

Księga bez tytułu

Anonim

Z angielskiego przełożył

Nemo



Świat Książki



Tytuł oryginału
THE BOOK WITH NO NAME

Projekt okładki
www.blacksheep.uk.com

Redaktor prowadzący
Ewa Niepokólczycka

Redakcja
Hanna Smolińska

Redakcja techniczna
Julita Czachorowska

Korekta
Elżbieta Jaroszek
Jadwiga Piller

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne.
Jakikolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych - żywych
czy zmarłych - jest całkowicie przypadkowe.

Copyright © The Bourbon Kid 2006, 2007

All rights reserved.

Copyright © for the Polish translation by Bertelsmann Media sp. z o.o., 2009

Świat Książki
Warszawa 2009
Bertelsmann Media sp. z o.o.
ul. Rosoła 10, 02-786 Warszawa

Skład i łamanie
Akces, Warszawa

Druk i oprawa
GGP Media GmbH, Pössneck

Oprawa twarda
ISBN 978-83-247-0912-0
Nr 6203

Oprawa broszurowa
ISBN 978-83-247-1450-6
Nr 6730

Szanowny Czytelniku,

Tylko ludzie o czystym sercu mogą zajrzeć na karty tej księgi.

Każda przeczytana strona, każdy kolejny rozdział przybliży Cię do końca.

Nie wszystkim uda się przebrnąć przez całość. Zawilości akcji oraz bogactwo stylów mogą oszołomić i zamącić w głowie.

Próbując dociec prawdy, będziesz ją miał pod samym nosem.

Zapadnie ciemność, a z nią nadejdzie wielkie zło.

Ci zaś, którzy doczytają tę księgę do końca, być może nigdy już nie ujrzą światła.

Anonim

Tego samego autora

Pod pseudonimem „Anonim” wydano przez stulecia niezliczone książki. Wymienianie ich tutaj byłoby i niemożliwe, i bezcelowe.

Spis treści

Spis treści.....	4
Rozdział pierwszy.....	7
Rozdział drugi.....	14
Rozdział trzeci.....	19
Rozdział czwarty.....	29
Rozdział piąty.....	35
Rozdział szósty.....	37
Rozdział siódmy.....	42
Rozdział ósmy.....	46
Rozdział dziewiąty.....	50
Rozdział dziesiąty.....	53
Rozdział jedenasty.....	57
Rozdział dwunasty.....	61
Rozdział trzynasty.....	65
Rozdział czternasty.....	68
Rozdział piętnasty.....	73
Rozdział szesnasty.....	77
Rozdział siedemnasty.....	85
Rozdział osiemnasty.....	90
Rozdział dziewiętnasty.....	94
Rozdział dwudziesty.....	97
Rozdział dwudziesty pierwszy.....	100
Rozdział dwudziesty drugi.....	105
Rozdział dwudziesty trzeci.....	108
Rozdział dwudziesty czwarty.....	112
Rozdział dwudziesty piąty.....	118
Rozdział dwudziesty szósty.....	122
Rozdział dwudziesty siódmy.....	127
Rozdział dwudziesty ósmy.....	130
Rozdział dwudziesty dziewiąty.....	138

Rozdział trzydziesty.....	142
Rozdział trzydziesty pierwszy.....	146
Rozdział trzydziesty drugi.....	151
Rozdział trzydziesty trzeci.....	153
Rozdział trzydziesty czwarty.....	160
Rozdział trzydziesty piąty.....	162
Rozdział trzydziesty szósty.....	168
Rozdział trzydziesty siódmy.....	171
Rozdział trzydziesty ósmy.....	177
Rozdział trzydziesty dziewiąty.....	183
Rozdział czterdziesty.....	185
Rozdział czterdziesty pierwszy.....	187
Rozdział czterdziesty drugi.....	191
Rozdział czterdziesty trzeci.....	196
Rozdział czterdziesty czwarty.....	203
Rozdział czterdziesty piąty.....	205
Rozdział czterdziesty szósty.....	215
Rozdział czterdziesty siódmy.....	220
Rozdział czterdziesty ósmy.....	227
Rozdział czterdziesty dziewiąty.....	231
Rozdział pięćdziesiąty.....	235
Rozdział pięćdziesiąty pierwszy.....	238
Rozdział pięćdziesiąty drugi.....	241
Rozdział pięćdziesiąty trzeci.....	244
Rozdział pięćdziesiąty czwarty.....	247
Rozdział pięćdziesiąty piąty.....	250
Rozdział pięćdziesiąty szósty.....	253
Rozdział pięćdziesiąty siódmy.....	259
Rozdział pięćdziesiąty ósmy.....	265
Rozdział pięćdziesiąty dziewiąty.....	273
Rozdział sześćdziesiąty.....	278
Rozdział sześćdziesiąty pierwszy.....	282
Rozdział sześćdziesiąty drugi.....	284
Rozdział sześćdziesiąty trzeci.....	293

<u>Rozdział sześćdziesiąty czwarty.....</u>	<u>296</u>
<u>Rozdział sześćdziesiąty piąty.....</u>	<u>300</u>

Rozdział pierwszy

Sanchez nie znosił w swoim barze obcych. Podobnie zresztą jak stałych klientów, tych jednak obsługiwał chętnie, a to z tego prostego powodu, że ich się bał. Wyproszenie bywalca byłoby równoznaczne z podpisaniem na siebie wyroku śmierci. Opryszkowie odwiedzający Tapiocę stale szukali okazji, żeby się sprawdzić; właśnie tutaj, w tym barze, bo dzięki temu cały światek przestępczy by się o tym dowiedział.

Tapioca bezsprzecznie miała styl. Ściany były żółte, ale nie w miłym dla oka odcieniu, raczej w kolorze plam z nikotyny. Nic w tym dziwnego, bo jedna z wielu niepisanych zasad baru głosiła, że jeśli już ktoś tu przychodził, to musiał palić. Cygara, fajki, papierosy, skręty, nargile, cygaretki, fajeczki z trawką... dozwolone było wszystko z wyjątkiem niepalenia; to akurat nie wchodziło w rachubę. Nieużywanie alkoholu także uchodziło za grzech, ale największym grzechem było pojawienie się obcego. Tutaj nikt nie lubił obcych. Obcy zapowiadali kłopoty. Nie wolno było im ufać.

Dlatego kiedy wszedł mężczyzna w długim czarnym płaszczu, z kapturem nasuniętym nisko na głowę, i usiadł na drewnianym stołku przy ladzie w kącie baru, Sanchez nie przypuszczał, żeby gościowi udało się opuścić lokal w jednym kawałku.

Ze dwudziestu bywalców siedzących przy stołach przerwał rozmowy i poświęciło chwilę na ocenę mężczyzny w kapturze. Sanchez zwrócił uwagę, że pić też przestali. Niedobrze. Gdyby akurat grała muzyka, po wejściu obcego z pewnością także by umilkła. Teraz słychać było jedynie uporczywy furkot wielkiego wentylatora na suficie.

Sanchez demonstracyjnie zignorował nowego klienta, udając, że go nie zauważył. Ale gdy tamten się odezwał, nie mógł już dłużej nie zwracać na niego uwagi.

- Barman! Daj pan bourbona.

Facet nawet na niego nie spojrział. Zamówił kielicha tak, jakby Sanchez w ogóle nie istniał, a że nie opuścił kaptura skrywającego twarz, trudno było powiedzieć, czy wygląda równie wrednie, jak wrednie brzmi jego głos, tak chropowaty, że można by nim heblować deski. (W tych stronach wredność człowieka oceniano po tym, jak bardzo chrapliwy był jego głos). Mając to na uwadze, Sanchez wziął względnie czystą szklankę do whisky i podszedł do klienta. Postawił szklankę na lepkim drewnianym kontuarze przed nosem obcego i zaryzykował przelotny rzut oka na ukrytą pod czarnym kapturem twarz. Jednak głęboki cień nie pozwalał dostrzec rysów nieznanego, a barman roztropnie wołał się nie gapić.

- Z lodem - mruknął mężczyzna, ledwie dosłyszalnie. Właściwie był to ochrypły szept.

Sanchez jedną ręką sięgnął pod ladę i wyciągnął na wpół pełną brązową butelkę z napisem „Bourbon” na nalepce, a drugą wziął dwie kostki lodu. Wrzucił je do naczynia i zaczął nalewać trunk. Napełnił szklanekę do połowy, po czym schował butelkę pod bar.

- Trzy dolary - powiedział.

- Trzy dolary?

- No.

- To lej pan do pełna.

Po wejściu obcego rozmowy ucichły, ale teraz panowała wręcz grobowa cisza. Oczywiście pomijając wentylator na suficie, który jakby furkotał coraz głośniejsze. Sanchez, który unikał już kontaktu wzrokowego ze wszystkimi, znów wziął butelkę i napełnił szklanekę po brzegi. Obcy rzucił mu banknot pięciodolarowy.

- Reszty nie trzeba.

Barman odwrócił się i włożył pieniądze do kasy. Nagle ponad te ciche dźwięki wybił się czyjś głos, również tak chrapliwy, jak to tylko możliwe. To Ringo, jeden z najbardziej paskudnych klientów lokalu, zapytał za plecami Sancheza:

- Hej, nieznajomy, co cię przywlokło do naszego baru? Masz tu jakiś interes?

Ringo siedział z dwoma kompanami przy stoliku usytuowanym zaledwie kilka kroków za obcym. Był to kawał gnidy - zwalisty, tłusty i nieogolony jak większość mętów w tym barze. Podobnie jak inni, miał w kaburze u pasa rewolwer i tylko czekał na byle pretekst, żeby zrobić z niego użytek. Stojący za kasą przy barze Sanchez odetchnął głęboko i przygotował się na nieuchronną rozróbę.

Ringo był osławionym bandytą, winnym wszelkich przestępstw, jakie tylko można sobie wyobrazić. Miał na swoim koncie gwałty, morderstwa, podpalenia, kradzieże, zabójstwa policjantów... pełny katalog zbrodni. Nie było dnia, żeby nie dokonał czegoś nielegalnego, co zapewniłoby mu dłuższą odsiadkę. Dzisiejszy dzień niczym nie różnił się od innych. Ringo zdążył już obrabować trzech mężczyzn, przystawiając im lufę rewolweru do głowy, teraz zaś, przepuściwszy większość łupu na piwsko, szukał okazji do zwady.

Kiedy Sanchez odwrócił się i spojrzał na salę, przekonał się, że obcy nawet nie drgnął, nie tknął też swojej szklanki. Mało tego - przez kilka przerażająco długich sekund nie odpowiedział na pytanie. Sanchez na własne oczy widział kiedyś, jak Ringo przestrelił komuś kolano tylko dlatego, że ten nie odpowiedział mu dostatecznie szybko. Dlatego odetchnął z ulgą, gdy nieznajomy, tuż przed tym, zanim bandyta miał powtórzyć pytanie, zdobył się na odpowiedź.

- Nie szukam kłopotów.

Ringo wyszczerzył zęby w złowróbnym uśmiechu.

- Ha! - warknął. - Kłopoty to ja i coś mi się widzi, że właśnie mnie znalazłeś.

Człowiek w kapturze nie zareagował. Siedział na stołku jakby nigdy nic i wpatrywał się w swoją szklankę. Ringo wstał z krzesła i podszedł do niego. Nachylił się nad kontuarem, wyciągnął rękę, brutalnie zdarł kaptur z głowy przybysza... i ukazała się wyrazista, choć nieogolona twarz jasnowłosego mężczyzny niewiele po trzydziestce. Jego przekrwione oczy świadczyły o tym, że albo ma kaca, albo za wcześnie obudził się z pijackiej drzemki.

- Chcę wiedzieć, co tu robisz! - warknął Ringo. - Chodzą słuchy, że rano przyjechał do miasta jakiś obcy. Uważa się za twardziela. A może ty też uważasz się za twardziela?

- Nie jestem twardzielem.

- To wkładaj płaszcz i wypierdalaj! - Jak większość rozkazów, także i ten miał swoje minusy, bo nieznajomy nie zdjął przecież płaszcza.

Blondyn przez chwilę zastanawiał się nad propozycją oprycha, po czym pokręcił głową.

- Znam tego obcego, o którym mówisz - odezwał się tym swoim ochrypłym głosem. - I wiem, po co tu przyjechał. Odczepisz się, to wszystko ci o nim opowiem.

Bandyta rozciągnął usta w szerokim uśmiechu, pod ciemnym i niehigienicznym wąsem. Obejrzał się na kibicującą mu widownię. Ze dwudziestu bywalców przy stołach bacznie obserwowało rozwój wypadków. Kiedy Ringo się uśmiechnął, napięcie na sali nieco zelżało, chociaż wszyscy obecni wiedzieli, że ta zmiana atmosfery jest tylko chwilowa. Było, nie było, siedzieli przecież w barze Tapioca.

- I co wy na to, chłopaki? Posłuchamy, co ten piękniś ma nam do powiedzenia?

Odpowiedział mu głośny chór potakiwaczy i stukanie się szklankami. Ringo objął ramiona jasnowłosego przybysza i odwrócił go na stołku twarzą do sali.

- No, blondasku, powiedz nam o tym pieprzonym gnojku. Czego on szuka w moim mieście?

Jawna drwina w głosie oprycha nie zniechęciła nieznajomego, który zaczął opowieść:

- Rano siedziałem w przydrożnym barze ze trzy kilometry stąd, kiedy ten wielki, na oko wredny facet wszedł, usiadł przy ladzie i zamówił drinka.

- Jak wyglądał?

- Eee, z początku nie było widać jego twarzy, bo była ukryta pod takim wielkim kaptur. Ale potem jakiś gnojek podszedł do niego i ściągnął mu ten kaptur.

Ringo przestał się uśmiechać. Podejrzewając, że blondyn się z niego nabija, nachylił się i mocniej ścisnął jego ramię.

- No i co, mały, gadaj, co było dalej - polecił głosem, który nie wróżył nic dobrego.

- No więc ten obcy, nawiasem mówiąc, całkiem przystojny gość, wychylił szklanicę jednym haustem, wyciągnął gnata i wystrzelał wszystkich kutasów w tym barze... z wyjątkiem mnie i barmana.

- Nooo! - rzucił Ringo, oddychając głęboko przez brudny nos. - Rozumiem, dlaczego nie zastrzelił barmana, ale nie widzę powodu, dla którego nie zabił ciebie.

- Chcesz wiedzieć, dlaczego mnie nie zabił?

Bandzior wyciągnął rewolwer z kabury u szerokiego czarnego pasa i wycelował w twarz nieznajomego, niemal wbijając mu lufę w policzek.

- Jakbyś zgadł, chcę wiedzieć, dlaczego ten taki owaki syn cię nie zastrzelił.

Obcy obrzucił go ostrym spojrzeniem, nie zwracając najmniejszej uwagi na przystawiony do głowy rewolwer.

- Ba! - odparł. - Nie zastrzelił mnie, bo chciał, żebym zajrzał do tej mordowni i znalazł pieprzonego tłuszciocha, którego zwą Ringo.

Nacisk, jaki nieznajomy położył na słowach „pieprzonego” i „tłuszciocha”, nie uszedł uwagi bandyty. Mimo to w ciszy, która zapadła po tym oświadczeniu, zachował, przynajmniej jak na siebie, względny spokój.

- Ja jestem Ringo. A ty coś za jeden, blondasku, do kurwy nędzy?!

- To nie ma znaczenia.

Dwóch tłustych oprychów, którzy siedzieli przy jednym stole z Ringiem, wstało. Zrobili krok w kierunku baru, żeby w razie czego przyjść kompanowi z pomocą.

- Ma znaczenie, i to duże - odrzekł Ringo jadowicie. - Bo chodzą słuchy, że ten facio, ten obcy, o którym się gada, nazywa się Bourbon Kid. Ty też pijesz bourbona, no nie?

Blondyn zerknął na dwóch *compadres* bandyty, po czym zajrzał w głąb lufy jego rewolweru.

- Wiesz, dlaczego nazywają go Bourbon Kid? - zapytał.

- Jasne, że wiem - zawołał za jego plecami jeden z kumpli Ringa. - Podobno jak Kid się napije bourbona, kompletnie mu odbija, dostaje pierdolca i morduje wszystkich, których ma pod ręką. Powiadają, że jest niezwyciężony i że tylko sam Szatan może go zabić.

- Zgadza się - przytaknął blondyn. - Bourbon Kid wykańcza każdego. Starczy jedna szklaneczka i całkiem mu odpierdala. Podobno to właśnie bourbon daje mu tę niesamowitą siłę. Zawsze jak tylko sobie łyknie, zabija wszystkich pojebańców w barze, jacy mu się nawiną. Już ja coś o tym wiem. Widziałem to na własne oczy.

Ringo bez pardonu dźgnął nieznajomego lufą rewolweru w skroń i wskazał na szklanekę

bourbona.

- Pij!

Nieznajomy powoli okręcił się na stołku przy barze i sięgnął po szklankę. Ringo śledził ruchy obcego, nie odrywając lufy rewolweru od jego głowy.

Stojący za barem Sanchez odsunął się, żeby nie obryzgała go krew czy resztki mózgu, które mogłyby pofrunąć w jego kierunku. Albo, skoro już o tym mowa, zabłąkana kula. Patrzył, jak blondyn podnosi szklankę. Na jego miejscu każdy normalny człowiek trząsłby się tak, że rozlałby przynajmniej połowę zawartości, ale nie on. Trzeba przyznać, że był zimny jak lód w jego szklance.

Tymczasem wszyscy klienci baru zerwali się na równe nogi w oczekiwaniu na to, co się stanie; sztuka w sztukę każdy z nich trzymał dłoń na rękojeści rewolweru. Patrzyli, jak nieznajomy unosi szklankę pod nos i przygląda się zawartości. Po zewnętrznej ściance naczynia spływał pot. To był pot, naprawdę. Prawdopodobnie z dłoni Sancheza, a może nawet ostatniego klienta, który pił z tej szklanki. Obcy odczekał, aż pot spłynie dostatecznie nisko, żeby nie musiał znosić jego smaku na języku. W końcu, kiedy kropla potu spłynęła tak, że nie zachodziła obawa, iż wejdzie w kontakt z jego ustami, odetchnął głęboko i wlał napój do gardła.

Trzy sekundy później szklanka była pusta. Wszyscy obecni w barze wstrzymali dech. Nic się nie wydarzyło.

Dlatego też wciąż nie oddychali.

I wciąż nic się nie działo.

Wobec tego wszyscy znowu zaczęli oddychać. Nawet wentylator.

Nadal nic.

Ringo odsunął rewolwer od twarzy blondyna i zadał pytanie, które cisnęło się na usta wszystkim obecnym:

- No to jak, blondasku, jesteś Bourbon Kidem, czy nie?

- Fakt, że wypilem te szczyzny, dowodzi tylko jednego - odparł blondyn, ocierając usta grzbietem dłoni.

- Tak? A to niby czego?

- Tego, że potrafię wypić szczyzny i się nie porzygać.

Ringo spojrzał na Sancheza. Barman cofał się chyłkiem, dopóki mógł, czyli do chwili, gdy dotknął plecami ściany za barem. Widać było, że jest roztrzęsiony.

- Nalałeś mu z butelki do odlewania się? - zapytał bandzior ostro.

Sanchez nerwowo kiwnął głową.

- Nie spodobał mi się już na pierwszy rzut oka - wyjaśnił.

Ringo schował broń i cofnął się. Nagle odchylił się do tyłu i zaniósł się gromkim śmiechem, jednocześnie klepiąc blondyna po ramieniu.

- Wypiłeś szklanę z flaszki, do której się odlewaliśmy! Ha, ha, ha! Szklanę szczyń! Ten facet wypił szczyń!

Wszyscy w barze ryknęli śmiechem. To znaczy wszyscy z wyjątkiem nieznanego blondyna, który wbił wzrok w Sancheza.

- Nalej mi, kurwa, bourbona! - Jego głos chrzęścił jak żwir.

Barman odwrócił się, wziął inną butelkę zza kontuaru i zaczął nalewać płyn do szklanki obcego. Tym razem napełnił ją po brzegi bez konieczności przypominania mu o tym.

- Trzy dolary.

Widać było gołym okiem, że blondyn nie jest zachwycony tym, że Sanchez domaga się kolejnych trzech dolarów, i bez zwłoki dał wyraz swojemu niezadowoleniu. Tak szybko, że oczy bywalców nie zdołały tego zarejestrować, sięgnął prawą ręką pod czarny płaszcz i wyciągnął pistolet. Broń w jego dłoni była ciemnoszara i najwyraźniej ciężka, co sugerowało, że magazynek jest pełny. Niegdyś była zapewne srebrna i błyszcząca, ale wszyscy w Tapiocie wiedzieli aż za dobrze, że jeśli ktoś nosi błyszczącą srebrną broń, to znaczy, że pewnie nigdy jej nie używał. Barwa pistoletu obcego świadczyła o tym, że korzystał z niej nader często.

Błyskawiczny ruch nieznanego skończył się z chwilą, gdy lufa broni wycelowała dokładnie w czoło Sancheza. Tej dynamicznej akcji zawtórowała seria głośnych trzasków, ponad dwudziestu, gdy wszyscy bywalcy baru przestali śledzić rozwój wypadków, wyciągnęli rewolwery, odciągnęli kurki i wycelowali w blondyna.

- Bez nerw, blondasku - rzucił Ringo i znowu przystawił obcemu lufę do skroni.

Sanchez nerwowo i ze skruchą uśmiechnął się do przybysza, który nadal trzymał ciemnoszary pistolet wycelowany w jego głowę.

- Tym razem na koszt firmy - powiedział.

- A widzisz, że bym sięgał po forszę, do kurwy nędzy? - padła zwięzła odpowiedź.

Zapadła cisza. Blondyn odłożył pistolet na kontuar obok nowej szklanki bourbona i westchnął cicho. Widać było, że jest wkurzony jak cholera i że potrzebuje się napić. Prawdziwego trunku. Musiał wreszcie spłukać z gardła ten ohydny smak moczu.

Podniósł szklanę do ust. Wszyscy bywalcy w nieznośnym napięciu śledzili jego ruchy, czekając, aż opróżni naczynie. On jednak chyba specjalnie się nad nimi znęcał. Przez chwilę siedział bez ruchu, jakby zamierzał się odezwać. Wszyscy obserwowali go z zapartym tchem. Powie coś, czy nie? A może najpierw wypije bourbona?

Na odpowiedź nie musieli długo czekać. Niczym człowiek, który nie pił od tygodnia, blondyn jednym haustem wychylił całą szklanę, po czym z trzaskiem odstawił ją na kontuar. Tym razem był to prawdziwy bourbon, bez dwóch zdań.

Rozdział drugi

Ojcu Taosowi zbierało się na płacz. Z biegiem lat zapamiętał niejedną smutną chwilę. Trafiały mu się smutne dni, czasami smutne tygodnie, a pewnie i smutny miesiąc raz na jakiś czas. Ale jeszcze nigdy nie czuł się tak źle. Nigdy w życiu nie było mu tak smutno.

Stał tam, gdzie stawał tyle razy, na wyniesionym ołtarzu w Świątyni Herere, i patrzył w dół na rzędy kościelnych ław. Dziś jednak było inaczej. Ławy nie wyglądały tak, jak lubił. Zazwyczaj przynajmniej połowa z nich była zajęta przez jego współbraci, hubalan - mnichów o posepnych twarzach. W tych rzadkich chwilach, gdy ławy były puste, czerpał przyjemność z podziwiania ich schludności albo wyściółek w odprężającym kolorze lila. Ale nie dziś. Ławy nie były już schludne ani liliowe. A co najgorsze, bracia hubalanie nie mieli posepnych min.

Unoszący się w powietrzu odór nie był mu całkiem obcy. Ojciec Taos miał okazję zetknąć się kiedyś z takim zapachem - ściśle mówiąc, pięć lat wcześniej. Przywoływał on przyprawiające o mdłości wspomnienia, ponieważ był to zapach śmierci, zniszczenia i zdrady, spowity w mgielkę prochu strzelniczego. Ław nie pokrywała już liliowa wyściółka, były zalane krwią. Niegdyś schludne, teraz stanowiły obraz nędzy i rozpacz. A najgorsze, że bracia hubalanie zajmujący połowę ław nie byli już posepni, byli martwi. Sztuka w sztukę.

Taos zadarł głowę, spojrział w górę i zobaczył, że z sufitu, całe piętnaście metrów nad nim, skapuje krew. Idealny łuk marmurowego sklepienia setki lat temu ozdobiono malowidłami; w przepięknych scenach święci anieli tańczyli ze szczęśliwymi, roześmianymi dziećmi. A teraz wszyscy aniołowie i wszystkie dzieci spryskani byli krwią leżących na dole hubalan. Ich radość życia i beztraska zniknęły, zakrwawione twarze wyrażały smutek, skrucę i żal. Tak samo jak mina ojca Taosa.

Ławy zalegało około trzydziestu ciał; prawdopodobnie kolejne trzydzieści, albo i więcej, leżało pod i między siedzeniami. Tylko jeden człowiek przeżył tę masakrę, mianowicie sam ojciec Taos. Ktoś uzbrojony w dubeltówkę postrzelił go z bezpośredniej odległości w brzuch. Ból był straszliwy, a rana wciąż jeszcze krwawiła, ale wiedział, że się zagoi. Jego rany zawsze się goiły, musiał jedynie pogodzić się z faktem, iż po ranach postrzałowych zazwyczaj zostają blizny. Do tej pory postrzelono go już dwukrotnie, pięć lat temu, w tym samym tygodniu i w odstępnie kilku dni.

Na wyspie przeżyło dostatecznie wielu mnichów, żeby pomogli mu ogarnąć ten bałagan.

Zdawał sobie jednak sprawę, że dla hubalan będzie to ciężkie przeżycie. Zwłaszcza dla tych, którzy byli tu pięć lat temu, kiedy to po raz ostatni świątynię wypełnił obrzydliwy, bezbożny smród prochu strzelniczego. Dlatego też z ulgą powitał dwóch swoich ulubionych młodych mnichów, Kyle'a i Peta, którzy weszli do świątyni przez ziejącą dziurę - wejście, do niedawna zamknięte przez olbrzymie, łukowate dębowe drzwi.

Kyle miał około trzydziestu lat, Peto był bliżej dwudziestki. Na pierwszy rzut oka często mylnie brano ich za bliźniaków. Nie wynikało to tylko z ich zewnętrznego podobieństwa, chodziło także o nawyki. Nie tylko ubierali się tak samo, ale od blisko dziesięciu lat Kyle był mentorem Peta i młodszy mnich podświadomie naśladował pełen nerwowości, przesadnie ostrożny styl bycia przyjaciela. Obaj mieli gładką oliwkową cerę i wygolone głowy. Nosili identyczne brązowe habity, takie same jak wszyscy ci nieżyjący mnisi w świątyni.

W drodze do ołtarza, na spotkanie z ojcem Taosem, czekała ich niemiła i denerwująca konieczność przechodzenia nad licznymi zwłokami swoich braci. Oglądanie ich w takiej sytuacji było dla Taosa ciężkim przeżyciem, ale pocieszające było to, że w ogóle widzi ich przy życiu, i jego serce zaczęło bić szybciej. W ciągu ostatniej godziny biło w tempie dziesięciu uderzeń na minutę, dlatego też ojciec z ulgą stwierdził, że teraz już powraca do normalnego, regularnego rytmu.

Peto przytomnie pomyślał, żeby wziąć ze sobą mały brązowy dzbanek wody dla ojca Taosa. Zmierzając do ołtarza, uważał, żeby nic nie rozlać, ale jego ręce wyraźnie się zatrzęsły, kiedy uświadomił sobie, do jak potwornej zbrodni doszło w świątyni. Przekazał dzbanek ojcu niemal z taką ulgą, z jaką tamten go przyjął. Stary mnich ujął naczynie oburącz i zebrał resztki sił, żeby je podnieść do ust. Gdy chłodna woda spłynęła mu do gardła, poczuł, że wraca do życia; poza tym woda w dużym stopniu przyspieszała proces powracania do zdrowia.

- Dziękuję, Peto. Nic się nie martw, dojdę do siebie, zanim dzień dobiegnie końca - zapewnił, schylając się, żeby odstawić pusty dzbanek na kamienną posadzkę.

- Naturalnie, ojcze. - W roztrzęsionym głosie Peta trudno byłoby się doszukać przekonania, ale przynajmniej pobrzmiewała w nim nikła nadzieja.

Po raz pierwszy tego dnia Taos się uśmiechnął. Niewinność Peta i jego dbałość o innych sprawiały, że nie sposób było nie widzieć spraw w lepszym świetle, skoro już dotarł tu, do tej krwawej jatki w świątyni. Trafił na tę wyspę w wieku lat dziesięciu, po tym jak gang handlarzy narkotyków zamordował jego rodziców. Żyjąc wśród mnichów, zyskał wewnętrzny spokój i z biegiem czasu pogodził się ze swoim bólem i bezbronnością. Taos miał poczucie, że wraz z braćmi dokonali czegoś wielkiego, wychowując Peta na cudownego, myślącego,

pozbawionego egoizmu człowieka, który stał teraz przed nim. Niestety, będzie musiał wysłać młodego mnicha z powrotem do tego świata, który pozbawił go rodziny.

- Kyle, Peto, chyba wiecie, dlaczego tu jesteście? - zapytał.

- Tak, ojcie - odparł Kyle za nich obu.

- Czy jesteście gotowi podjąć się tego zadania?

- Z całą pewnością, ojcie. Inaczej nie posyłałbyś po nas.

- To prawda, Kyle. Mądry z ciebie chłopak. Czasami zapominam o tym, na jak mądrego mężczyznę wyrosłeś. Ale ty, Peto, pamiętaj o tym. Wiele się jeszcze nauczysz od Kyle'a.

- Tak, ojcie - przytaknął skromnie Peto.

- Słuchajcie uważnie, bo czas ucieka - ciągnął Taos. - Od tej chwili każda sekunda jest na wagę złota. Przetrawanie, a wręcz istnienie wolnego świata spoczywa teraz na waszych barkach.

- Nie zawiedziemy cię, ojcie - zapewnił Kyle.

- Wiem, że mnie nie zawiedziecie, ale jeśli wam się nie powiedzie, sprawicie zawód całej ludzkości. - Stary mnich przerwał i podjął: - Odnajdźcie kamień. Przywieźcie go tutaj. Nie dopuście do tego, żeby znalazł się w rękach zła, kiedy zapadnie ciemność.

- Dlaczego? - spytał Peto. - Co by się wtedy stało, ojcie?

Taos wyciągnął rękę, położył ją na ramieniu podopiecznego i ścisnął go z zaskakującą, jak na człowieka w jego stanie, siłą. Przeraziła go masakra, do jakiej tu doszło, i groźba wisząca nad nimi wszystkimi; najbardziej jednak martwiło go, że z braku wyboru musi wysłać tych dwóch młodych mnichów na tak niebezpieczną misję.

- Posłuchajcie mnie, dzieci. Jeżeli ten kamień znajdzie się w niepowołanych rękach w nieodpowiednim czasie, wszyscy się o tym przekonamy. Oceany wyleją i ludzkość zostanie zmieciona z powierzchni ziemi jak łyż na deszczu.

- Jak łyż na deszczu? - powtórzył Peto.

- Tak, synu - potwierdził Taos łagodnie. - Właśnie tak jak łyż na deszczu. Ale teraz musicie się śpieszyć, nie mam czasu wyjaśniać wam wszystkiego. Poszukiwania należy rozpocząć natychmiast. Z każdą mijającą sekundą, z każdą minutą zbliżamy się do końca świata takiego, jaki znaliśmy i kochaliśmy.

Kyle wyciągnął rękę, dotknął policzka starszego brata i stał plamę krwi.

- Nie martw się, ojcie, nie zmarnujemy ani chwili. - Mimo to zawahał się, po czym zapytał: - Gdzie mamy rozpocząć poszukiwania?

- W tym samym miejscu co zawsze, synu. W Santa Mondega. To tam oni najbardziej pragną posiadać Oko Księżyca. Tam zawsze chcieli je mieć.

- „Oni”? Jacy „oni”? Kto je ma? Kto dokonał tej masakry? Kogo, czy czego, mamy szukać?

Taos zastanowił się nad odpowiedzią. Jeszcze raz obrzucił wzrokiem jatkę dookoła i wrócił pamięcią do chwili, gdy spojrział w oczy człowiekowi, który go zaatakował. I gdy sekundę później został postrzelony.

- Jednego człowieka, Kyle. Szukacie jednego człowieka. Nie wiem, jak się nazywa, ale kiedy dotrzecie do Santa Mondega, zasięgnijcie języka. Pytajcie o człowieka, którego nie można zabić. O kogoś, kto sam jeden potrafi zastrzelić trzydziestu, czterdziestu ludzi, a oni go nawet nie drasną.

- Ojczy, ale jeżeli ktoś taki istnieje naprawdę, czy ludzie nie będą obawiali się o nim mówić?

W pierwszej chwili Taosa zirytowały te pytania, ale słowa młodego mnicha miały głęboki sens. Zastanawiał się chwilę. Jedną z mocnych stron Kyle'a było to, że jeśli już coś kwestionował, przynajmniej robił to inteligentnie. Tym razem Taos potrafił udzielić odpowiedzi na jego pytanie.

- Tak, będą się obawiać, ale w Santa Mondega ludzie gotowi są zaprzedać duszę za garść kapusty.

- Za co? Nie rozumiem, ojczy.

- Za pieniądze, Kyle. Pieniądze. Najgorsze szumowiny i męty zrobią wszystko dla pieniędzy.

- Ale przecież my nie mamy pieniędzy, prawda? Żeby nie używać ich przeciwko świętym prawom Hubala.

- Teoretycznie masz rację - przyznał Taos. - A jednak mamy tu pieniądze, tyle że ich nie wydajemy. W porcie spotkacie się z bratem Samuelem. Dostaniecie od niego całą walizkę pieniędzy. Sumę większą, niż ktokolwiek mógłby potrzebować. Gospodarujcie nimi oszczędnie, żeby pozyskać niezbędne informacje. - Zalała go fala zmęczenia, połączonego z żalem i bólem. Przetarł dłonią twarz i podjął: - W Santa Mondega bez pieniędzy nie przeżylibyście ani pół dnia. Dlatego żeby nie wiem co, nie możecie ich zgubić. Miejcie się też na baczności. Jeżeli ludzie się dowiedzą, że macie pieniądze, będą was szukać. Bardzo źli ludzie.

- Tak, ojczy.

Kyle'a ogarnęło lekkie podniecenie. Po raz pierwszy, odkąd przybył na wyspę jako małe dziecko, miał ją opuścić. Wszyscy mnisi trafiali na Hubal w niemowlęctwie - albo jako sieroty, albo dzieci niechciane przez rodziców, a okazja opuszczenia wyspy, jeśli w ogóle,

trafiała się raz w życiu. Niestety, fakt bycia mnichem sprawiał, że Kyle'a wkrótce opanowały wyrzuty sumienia z powodu podniecenia, którego nie powinien poczuć. Nie czas i nie miejsce na takie uczucia.

- Czy to już wszystko? - zapytał.

Taos pokiwał głową.

- Tak, synu. A teraz idźcie. Macie trzy dni na odzyskanie Oka Księżyca i uratowanie świata od zagłady. Piasek w klepsydrze sypie się szybko.

Kyle i Peto ukłonili się ojcu Taosowi i ostrożnie ruszyli do wyjścia ze świątyni. Nie mogli się doczekać, kiedy wyjdą na świeże powietrze. Panujący w środku odór śmierci przyprawiał ich o mdłości.

Nie zdawali sobie jeszcze sprawy, że odór ten będzie towarzyszył im z chwilą, kiedy opuszczą swoją świętą wyspę. Ojciec Taos wiedział, że tak się stanie. Patrząc, jak odchodzą, żałował, że zabrakło mu odwagi, by wyjawić im prawdę o tym, co czeka ich w świecie zewnętrznym. Przed pięciu laty również wysłał do Santa Mondega dwóch młodych mnichów. Nigdy nie powrócili i tylko on jeden wiedział dlaczego.

Rozdział trzeci

Od tego wieczoru, kiedy jasnowłosa mężczyzna w płaszczu z kapturem pojawił się w barze Tapioca, minęło pięć lat. Lokal w zasadzie wyglądał tak jak wtedy. Ściany były może nieco ciemniejsze od dymu i bardziej podziurawione zbłąkanymi kulami, ale poza tym nic się nie zmieniło. Nadal nie tolerowano obcych, a stała klientela składała się wyłącznie z szumowin. (Z tym tylko, że to już nie byli ci sami bywalcy). W ciągu tych pięciu lat Sanchez przybrał nieco w pasie, ale poza tym także nic a nic się nie zmienił. Dlatego też kiedy dwaj dziwnie ubrani nieznajomi weszli po cichu do baru, zamierzał uraczyć ich zawartością butelki do odlewania się.

Ci dwaj mogli uchodzić za bliźniaków. Obaj mieli wygolone na łyso głowy i oliwkową cerę, obaj nosili się identycznie - pomarańczowe tuniki bez rękawów, przypominające kimona do karate, a do tego czarne spodnie bojówki i nieco zniewieściałe, spiczaste buty, także czarne. Na szczęście w Tapiocie nie obowiązywały żadne zasady dotyczące stroju, inaczej nie wpuszczono by ich za próg. Obcy podeszli do baru i stanęli, uśmiechając się do Sancheza głupkowato. Swoim zwyczajem zignorował ich. Pech chciał, że jak zwykle niektórzy z jego co bardziej nieprzyjemnych klientów - czyli naprawdę wrednych gości - zauważyli przybyszów i po chwili wrzawa w lokalu ucichła.

Jak to wczesnym popołudniem, ruch w barze był stosunkowo niewielki. Zajęte były tylko dwa stoliki: jeden przy kontuarze i jeden w samym rogu sali; przy pierwszym siedziało trzech mężczyzn, przy drugim dwóch podejrzanych typków popijało piwo. I jedni, i drudzy wbili twardy wzrok w obu przybyszów.

Stali bywalcy nie znali mnichów z zakonu hubalan, bo też nieczęsto pojawiali się oni w tych stronach. Nie wiedzieli także o tym, że ci dwaj przedziwnie ubrani obcy są pierwszymi od lat mnichami, jacy opuścili wyspę Hubal. Kyle, nieco wyższy od kolegi, był także starszy stażem w zakonie. Jego towarzysz Peto jako nowicjusz dopiero się uczył. Oczywiście, Sanchez tego nie wiedział. A zresztą miał to gdzieś.

Mnisi zjawili się w barze Tapioca z bardzo konkretnego powodu - było to jedyne miejsce, o jakim słyszeli. Idąc za radą ojca Taosa, popytali miejscowych, gdzie ewentualnie mogą znaleźć człowieka, którego nie da się zabić. Zazwyczaj padała stanowcza odpowiedź: „Zajrzyjcie do baru Tapioca”. Kilka osób w uprzejmości swojej podsunęło im nawet nazwisko człowieka, którego szukali. Kilkakrotnie usłyszeli: „Bourbon Kid”. Poza tym

wspominano o kimś, kto niedawno pojawił się w miasteczku i kogo nazywano Jefe. Jak na początek poszukiwań, było to całkiem obiecujące. A przynajmniej tak im się wydawało.

- Bardzo pana przepraszam - odezwał się Kyle, przez cały czas uśmiechając się do Sancheza uprzejmie. - Poprosimy dwa razy wodę, jeśli można.

Barman wziął dwie puste szklanki, napenił je sikami z butelki pod ladą i postawił przed obcymi.

- Sześć dolarów. - Jeżeli już skandaliczna cena nie odstraszyła obcych, to jego opryskliwy ton powinien im dać do myślenia.

Kyle dał Petowi sójkę w bok, nachylił się i nie przestając uśmiechać się sztucznie do Sancheza, syknął koledze do ucha:

- Peto, daj mu forszę.

Młody mnich się skrzywił.

- Ale czy sześć dolarów to nie za dużo za dwie szklanki wody? - odparł szeptem.

- Daj mu tę forszę! - powtórzył Kyle z naciskiem. - Nie możemy wyjść na idiotów.

Peto zerknął nad jego ramieniem na Sancheza i uśmiechnął się do wyraźnie zniecierpliwionego barmana.

- Myślę, że ten facet próbuje nas okantować.

- Dawaj mu forszę, ale już!

- Dobra, dobra, ale widziałeś, jaką wodę nam nalął? Jest, no... trochę żółtawa. - Odetchnął i dorzucił: - Wygląda jak mocz.

- Peto, po prostu mu zapłać.

Młodszy mnich wyciągnął z przypiętej do paska małej czarnej torebki zwitek banknotów, odliczył sześć jednodolarówek i podał je starszemu koledze. Z kolei Kyle przekazał je Sanchezowi, który z dezaprobatą pokręcił głową. To tylko kwestia czasu, zanim ktoś dobierze się tym dwóm cudakom do dupy, ale sami sobie winni, że tak się ubierają i zachowują. Odwrócił się, żeby schować pieniądze do kasy, lecz jeszcze nawet nie zdążył się z tym uporać, gdy pod adresem obcych, jak zwykle, padło pierwsze pytanie.

- Hej, kutasy, a wy tu czego? - zawołał jeden z dwóch szemranych gości od stolika w rogu.

Widząc, że człowiek ten patrzy w jego kierunku, Kyle nachylił się do Peta i wyszeptał mu do ucha:

- Coś mi się zdaje, że on mówi do nas.

- Myślisz? - W głosie Peta wyczuwało się zdziwienie. - A co to jest kutas?

- Nie wiem, ale mam wrażenie, że to coś obraźliwego.

Kyle odwrócił się i zobaczył, że mężczyźni wstali od stolika w kącie. Drewniana podłoga

zadrżała gwałtownie, kiedy te dwa mocno szemrane i wyjątkowo wredne typy ruszyły w stronę obu mnichów. Byli naprawdę odstręczający. Ich miny i zachowanie zapowiadały kłopoty. Nawet tacy naiwniacy z obcych stron jak Kyle i Peto zdawali sobie z tego sprawę.

- Rób co chcesz, bylebyś ich nie zdenerwował - szepnął Kyle do kolegi. - Wyglądają dosyć paskudnie. Gadanie zostaw mnie.

Dwaj rozrabiacy zatrzymali się o kilka stóp przed mnichami. Wyglądali na niedomytych, co zresztą potwierdzał bijący od nich odór. Większy z nich, imieniem Jericho, żuł tytoń i z kącika ust spływała mu brązowa strużka. Był nieogolony i nosił najwyraźniej obowiązkowe tutaj niehigieniczne wąsy; sądząc z wyglądu, możliwe, że nie wychodził z baru od kilku dni. Jego kompan, Rudy, był znacznie niższy, ale śmierdział równie okropnie. Zaprezentował popsute czarne zęby, uśmiechając się szeroko do Peta - jednego z nielicznych w mieście mieszkańców dorównujących mu niskim wzrostem. O ile Peto był uczniem Kyle'a, o tyle Rudy terminował u Jericha, cieszącego się w miejscowych kręgach sławą znacznie większego bandyty. Jakby chcąc pokazać, kto tu rządzi, Jericho wykonał pierwszy zaczepny ruch i dźgnął Kyle'a palcem w pierś.

- Pytałem cię o coś. Co wy tu robicie?

Obaj mnisi zwrócili uwagę na chropowatość jego głosu.

- Jestem Kyle, a to mój nowicjusz, Peto. Przyjechaliśmy z wyspy Hubal na Pacyfiku i kogoś szukamy. Może wy pomożecie nam go znaleźć?

- Zależy, o kogo biega.

- Eee, zdaje się, że mówią na niego Bourbon Kid.

W Tapiocce zapadła śmiertelna cisza. Nawet wentylator ucichł. Nagle zza kontuaru dobiegł brzęk tłuczonego szkła - to Sanchez upuścił pustą szklanke. Od dawna nie słyszał, żeby w jego barze ktoś wymienił to imię. Od bardzo dawna! Bourbon Kid przywoływał koszmarnie wspomnienia. Na sam dźwięk tego imienia barman zaczął dygotać.

Jericho i jego przydupas także wiedzieli, o kim mowa. Nie było ich w barze tej nocy, kiedy zawitał tu Bourbon Kid. Nigdy go nie spotkali. Tylko o nim słyszeli - o nim i o wieczorze, kiedy to w Tapiocce napił się bourbona. Jericho bacznie przyjrzał się Kyle'owi, chcąc sprawdzić, czy mówi poważnie. Wyszło mu na to, że mnich nie żartuje.

- Bourbon Kid nie żyje! - warknął. - Czego jeszcze chcecie?

Znając Jericha i Rudego nie od dziś, Sanchez uznał, że obcym pozostało ze dwadzieścia sekund życia. Ale chyba i ten szacunek był zawyżony, bo Peto wziął właśnie swoją szklanke z kontuaru i pociągnął głęboki haust. Jego kubki smakowe natychmiast podpowiedziały mu, że pije coś bezbożnego, i odruchowo wypłuł płyn z niesmakiem. Na Rudego! Sanchez o mało

nie wybuchnął śmiechem, wiedział jednak, że w swoim dobrze pojętym interesie musi się pohamować.

Rudy miał włosy, twarz, wąsy i brwi w sikach. Mnichowi udało się obryzgać go całego. Oczy Rudego wyszły na wierzch z wściekłości, gdy patrzył na złotawą ciecz spływającą mu po piersi. Cóż za upokorzenie! Coś tak poniżającego, że bez namysłu zamierzał zastrzelić Peta. Jednym płynnym ruchem sięgnął po wiszący u pasa rewolwer. Jego kompan Jericho przyszedł mu z pomocą i także wyciągnął broń.

Hubalanie ponad wszystko miłują pokój, ale od małego trenują sztuki walki. Tak więc dla Kyle'a i Peta pokonanie dwóch pijanych zbirów było dziecinną igraszka (niemal dosłownie, biorąc pod uwagę to, czym się zajmowali w dzieciństwie), mimo że tamci dwaj celowali w nich z rewolwerów. Obaj mnisi zareagowali natychmiast, z nieprawdopodobną szybkością. Każdy z nich w absolutnej ciszy zrobił unik i prawą nogą kopnął stojącego przed sobą bandziora między nogi. Następnie zahaczyli nogę za kolano przeciwnika i okręcili się. Wzięci z zaskoczenia i oszołomieni szybkością ataku Jericho i Rudy wrzasnęli tylko, zdumieni, gdy mnisi wyrwali im rewolwery. Niemal w tej samej chwili rozległ się podwójny łomot, gdy dwa zbiry runęły plecami na podłogę, która aż zadrżała. Zaledwie kilka sekund wcześniej byli panami sytuacji, a teraz obaj leżeli plackiem i gapili się w sufit. Co gorsza, widzieli, że mnisi celują do nich z ich własnej broni. Kyle zrobił krok w przód i oparł czarny spiczasty but na piersi Jericha, żeby nie wstawał. Peto nie poszedł w jego ślady, bo Rudy walnął głową w podłogę tak mocno, że pewnie nie miał pojęcia, co się z nim dzieje.

- To jak, wiesz, gdzie jest Bourbon Kid, czy nie? - zapytał Kyle, jeszcze mocniej przygniatając butem pierś Jericho.

- Wal się!

PIF!

Twarz Kyle'a nagle obryzgała krew. Spojrzał w lewo i zobaczył, że lufa rewolweru w ręku Peta dymi. Młodszy mnich strzelił Rudemu prosto w twarz. Podłoga i obaj mnisi byli upačkani jak jasny gwint.

- Peto! Po coś to zrobił?

- Ja... ja przepraszam, Kyle, ale nigdy nie strzelałem z broni palnej. Pociągnąłem za spust i jakoś tak wypaliła sama z siebie.

- Wiesz, że takie rzeczy się zdarzają - uświadomił go Kyle życzliwie.

Peto był tak wstrząśnięty, że z trudem mógł utrzymać rewolwer w rozedrganych rękach. Właśnie zabił człowieka; coś podobnego nigdy nie przysłoby mu do głowy. W życiu! A jednak, żeby nie sprawić zawodu przyjacielowi, próbował wyrzucić z pamięci myśli o

zabójstwie. Nie było to jednak łatwe, bo widoczna wszędzie krew nie dawała mu o tym zapomnieć.

Z kolei Kyle bardziej przejmował się faktem, że ich wiarygodność legła w gruzach, i cieszył się, że w barze jest mało klientów.

- Szczerze mówiąc, nie powinienem cię zabierać ze sobą - rzucił zniecierpliwiony.
- Przepraszam.
- Mógłbyś coś dla mnie zrobić?
- Oczywiście. Co takiego?
- Nie celuj we mnie z tego draństwa.

Peto opuścił broń, a Kyle z ulgą wrócił do wypytywania Jericha. Trzej mężczyźni przy stoliku na środku odwrócili się do nich plecami i zajęli się swoimi szklankami, jakby nic nadzwyczajnego nie zaszło. Kyle wciąż stał nad pozostałym przy życiu opryszkiem, leżącym na podłodze, i przyciskał butem jego pierś.

- Posłuchaj, przyjacielu - próbował przemówić mu do rozsądku. - Chcemy tylko wiedzieć, gdzie znajdziemy Bourbon Kida. Pomożesz nam czy nie?

- Nie, psiamać!

PAF!

Jericho z wrzaskiem złapał się za prawą nogę, z której w kilku kierunkach tryskała krew z rany postrzałowej tuż pod kolanem. Lufa rewolweru Peta znowu dymiała.

- P-p-przepraszam cię, Kyle - wydukał nowicjusz. - Znow sam wypalił. Naprawdę, wcale nie chciałem go...

Kyle ze złością pokręcił głową. Teraz już mieli na koncie jednego trupa i jednego rannego. Trudno było to uznać za dyskretną metodę odzyskania cennego niebieskiego kamienia zwanego Okiem Księżyca. Ale szczerze mówiąc, pomyślał, choć z nas dwóch to ja jestem starszy, to też jestem zdenerwowany wyjazdem z wyspy Hubal, więc Peto ma prawo być dwa razy bardziej roztrzęsiony.

- Nieważne. Ale postaraj się, żeby to było po raz ostatni.

Jericho bluzgał przekleństwami, zwijając się z bólu na podłodze, a Kyle wciąż przydeptywał mu pierś.

- Nie wiem, gdzie jest Bourbon Kid, przysięgam - wychrypiał ranny.

- Czy mój przyjaciel ma cię postrzelić jeszcze raz?

- Nie, nie! Proszę, przysięgam, że nie wiem, gdzie go szukać. Nigdy go nie widziałem. Musisz mi uwierzyć, proszę!

- W porządku. A wiesz coś o kradzieży bezcennego niebieskiego kamienia zwanego

Okiem Księżyca?

Jericho przestał się wiercić na moment, co dla obu mnichów było świadectwem, że coś wie na ten temat.

- Tak. Tak, wiem - wyjąkał i skrzywił się. - Poszukuje go taki jeden, nazywa się El Santino. Proponuje dużą forszę każdemu, kto mu go wystawi. Ale nic więcej nie słyszałem, przysięgam.

Kyle zdjął stopę z piersi Jericha i wrócił do kontuaru. Sięgnął po swoją nietkniętą szklankę i upił łyk, po czym idąc śladem Peta, z odrazą wypluł ciecz. Tyle tylko, że on dla odmiany opryskał Sancheza.

- Przydałaby się wam chyba świeża woda, bo ta tutaj już się nie nadaje - podsunął speszonemu i mokremu barmanowi. - Chodź, Peto. Idziemy.

- Zaczekaj. Spytaj ich o tego drugiego faceta... tego Jefe. Może wiedzą, gdzie moglibyśmy go znaleźć?

Kyle spojrział na Sancheza, ocierającego mocz z twarzy szmatą, która niegdyś może i była biała.

- Barman, słyszałeś o jakimś Jefe, który mieszka gdzieś w tych stronach?

Sanchez pokręcił głową. Jasne, że słyszał o Jefe, ale nie bawił się w donosicielstwo, a już z pewnością nie wobec obcych. Poza tym wiedział wprawdzie, kim jest Jefe, ale go nigdy nie spotkał. Był to osławiony łowca nagród i obieżyświat. To prawda, chodziły słuchy, że akurat teraz przebywa w Santa Mondega, ale jego noga nie powstała jeszcze w Tapiocce. Zdaniem Sancheza było to istne błogosławieństwo.

- Ja nikogo nie znam. A teraz wypierdalajcie z mojego baru.

Obaj mnisi wyszli bez słowa. Krzyżyk na drogę, pomyślał Sanchez. Ścieranie krwi z podłogi baru należało do jego najbardziej nielubianych obowiązków. A teraz właśnie go to czekało, i to za sprawą dwóch obcych, których powinien przegonić, ledwie wsunęli tu nos.

Poszedł do kuchni po szmatę na kiju i kubek wody i wrócił w chwili, kiedy do baru wszedł kolejny mężczyzna. No tak, jeszcze jeden obcy! Wysoki, mocno zbudowany i ubrany dość dziwnie. Tak jak tamte dwa świry. Zapowiadał się gówniany dzień. Sanchez miał już go serdecznie dość, a było dopiero wczesne popołudnie. Na podłodze leżał jeden sztywny, jego mózg rozprysnął się po całym barze, i drugi z przestreloną nogą. Trzeba będzie wezwać policję, chociaż może jeszcze nie w tej chwili.

Obwiązał mocno starą szmatą ranę na nodze Jericha i pomógł mu wstać, po czym wrócił za

kontuar, żeby obsłużyć nowego klienta. Jericho wgramolił się na stołek przy barze i siedział bez słowa. Nie zamierzał popełnić błędu po raz drugi i zaczepiać kolejnego obcego, który pojawił się w Tapiocie.

Barman względnie czystą ściertką wytarł ręce z krwi i spojrzał na klienta.

- Co podać, nieznajomy?

Mężczyzna usiadł na stołku obok Jericha. Miał na sobie grubą, czarną skórzaną kurtkę bez rękawów, częściowo rozpiętą, dzięki czemu widać było gęsto wytatuowany tors i wielki srebrny krucyfiks. Poza tym miał czarne skórzane spodnie, wysokie czarne buty, gęste czarne włosy, a do kompletu najbardziej czarne oczy, jakie Sanchez widział. W tych stronach oznaczało to, że były naprawdę czarne.

Nie zwracając uwagi na barmana, wyciągnął papierosa z miękkiej papierowej paczki, którą położył przed sobą na ladzie. Podrzucił go i - nie ruszając się - złapał ustami. Sekundę później nie wiadomo skąd wyjął zapaloną zapalną, przypalił papierosa i pstryknął zapalną w Sancheza, a wszystko to jednym płynnym ruchem.

- Szukam kogoś - oświadczył.

- A ja tu podaję - odparł barman. - To jak, zamawia pan czy nie?

- Whisky - powiedział tamten, po czym dorzucił: - Spróbuj mi nalać szczyń, a zabiję.

Sancheza nie zdziwił wyraźnie chrapliwy głos nieznajomego. Nalał whisky i postawił szklankę przed klientem.

- Dwa dolary.

Nieznajomy wychylił whisky duszkiem i walnął pustą szklanką w ladę.

- Szukam niejakiego El Santina. Jest tu?

- Dwa dolary.

Nastąpiła niezręczna chwila - zapłaci czy nie? Mężczyzna wyjął jednak banknot pięciodolarowy z małej kieszonki w kamizelce i położył na ladzie, cały czas trzymając go za róg. Sanchez chwycił banknot z drugiej strony, ale tamten nie puszczał.

- Mam się spotkać w tym barze z El Santinem. Znasz go?

Psiakrew, pomyślał Sanchez ze znużeniem. Dzisiaj każdy szuka kogoś albo cholera wie czego. Najpierw dwa cudaki i stuknięci zbrojcy rozpytują o Bourbon Kida - na samo wspomnienie tego imienia znowu się wzdrygnął - i o jakiś pieprzony niebieski kamień i tego łowcę nagród, Jefe, a teraz następny gówniany obcy przychodzi i pyta o tego El Santina, taka jego mać. Zatrzymał jednak te myśli dla siebie.

- Tak, znam go - odparł zwięźle.

Mężczyzna puścił banknot, a Sanchez porwał go czym prędzej. Gdy chował go do kasy,

jeden ze stałych bywalców tradycyjnie zaczął nagabywać obcego.

- Masz jakiś zasrany interes do El Santina, co? - zawołał jeden z trzech mężczyzn siedzących przy stoliku obok kontuaru.

Ubrany w skórę nieznajomy nie odpowiedział od razu. Dla Jericha był to sygnał, żeby zwlec się ze stołka i odkuśtykać. Miał już dość wrażeń jak na jeden dzień i nie uśmiechało mu się zarobić kolejną kulkę, zwłaszcza że jeden z tych mnichów, kawał złodzieja, wyparował z jego rewolwerem. W drodze do drzwi przeskoczył nad zwłokami swojego kompana i obiecał sobie solennie, żeby przez jakiś czas nie pojawiać się w Tapioce.

Gdy Jericho wyszedł, wielki, czarnooki nieznajomy przy barze postanowił w końcu odpowiedzieć na pytanie.

- Mam dla niego coś, na czym mu zależy - odparł, nie oglądając się na człowieka, który się do niego zwrócił.

- To daj to mnie, a ja mu przekażę w twoim imieniu - rzekł jeden z trójki przy stole i cała kompania zarechotała.

- Nie mogę.

- Możesz, jeszcze jak. - W głosie zabrzmiała niedwuznaczna groźba.

Rozległ się głośny trzask, jakby ktoś odwiódł kurek rewolweru. Obcy przy ladzie westchnął i głęboko zaciągnął się papierosem. Trzej opryszkowie wstali od stołu i zrobili kilka kroków w kierunku lady. Stanęli tuż za plecami nieznajomego, ten jednak wciąż się nie odwracał.

- Jak cię zwa? - zapytał złowróźnie ten w środku.

Sanchez znał aż za dobrze tę podstępną mendę; facet miał czarne, krzaczaste brwi i różne w kolorze oczy. Lewe było ciemnobrazowe, prawe o swoistej barwie, którą ktoś kiedyś określił jako „wężową”. Jego dwaj kompani, Pająk i Ogier, wydawali się nieco wyżsi od niego, może dlatego, że obaj nosili wyświechtane kowbojskie kapelusze, pamiętające lepsze dni. Ale oni nie stanowili problemu; to ten fiut pośrodku, z cudacznym okiem, oznaczał kłopoty. Marcus Gnida był drobnym złodziejaszkiem, bandytą i gwałcicielem. Teraz wbił obcemu w krzyże mały rewolwer. - Zadałem ci pytanie - powiedział. - Jak cię zwa, kierowniku?

- Jefe. Jestem Jefe.

O w dupę! - pomyślał Sanchez.

- Jefe.

- No. Jefe.

- Hej, Sanchez! - zawołał Marcus do barmana. - Czy ci dwaj mnisi nie szukali aby faceta,

którego zowią Jefe?

- Ano. - Barman uznał, że najlepiej będzie odpowiadać monosylabami.

Jefe zaciągnął się głęboko papierosem, odwrócił do pytającego i wydmuchał dym prosto w jego twarz.

- Mówiłeś coś o mnichach?

- A co? - rzucił Marcus, powstrzymując kaszel. - Dwaj mnisi. Rozminałeś się z nimi o włos. Musiałeś ich widzieć po drodze.

- Nie widziałem żadnych jebanych mnichów.

- Jasne, skoro tak mówisz.

- Słuchaj no, mały, wyświadczy sobie grzeczność i gadaj, gdzie mogę znaleźć El Santina.

Marcus Gnida cofnął rewolwer i przez chwilę mierzył w powietrze. Potem opuścił go z powrotem i wycelował prosto w nos Jefe.

- Już ci mówiłem, kierowniku... Daj mi, co tam masz, a już ja to przekażę El Santinowi.

Jefe rzucił papierosa na podłogę i uniósł ręce, jak gdyby chciał się poddać; przez cały czas się uśmiechał, jakby przypominał sobie dobry dowcip. Splótł ręce za głową i powoli opuścił je na kark.

- No dobra - rzekł Marcus. - Daję ci trzy sekundy, żebyś pokazał, co tam masz dla El Santina. Jeden... dwa...

ŁUP!

Pająk i Ogier, którzy stali po bokach faceta o dziwnych oczach, jednocześnie gruchnęli na podłogę. Marcus popełnił ten błąd, że spojrział w dół. Jego kumple leżeli sztywni; z gardła każdego z nich sterczał krótki, ciężki, obosieczny nóż. Kiedy oderwał od nich wzrok, uświadomił sobie, że nie ma już w ręku rewolweru - teraz trzymał go Jefe i mierzył do niego. Marcus przełknął ślinę. Szybki ten facet, pomyślał. I niebezpieczny jak cholera!

- Słuchaj no, a może zaprowadzę cię do El Santina? - zaproponował Gnida. Bądź wspaniałomyślny, powiedział sobie w duchu.

- Jasne. Świetnie. - Jefe błysnął zębami w uśmiechu. - Ale najpierw może walniemy po lufie whisky? Ty stawiasz.

- Z miłą chęcią.

Zaciągnąwszy zwłoki Rudego, Pajaka i Ogiera na podwórze, zostawili je tak, żeby nie rzucały się w oczy, po czym wrócili do baru i przez następne dwie godziny pili whisky. Gnidzie nie zamykały się usta. Niczym przewodnik wycieczek podsuwał Jefe najważniejsze informacje, gdzie w tej miejscinie można się dobrze zabawić. Ostrzegł też nowego kompana, których lokali i ludzi lepiej unikać. Jefe udawał, że obchodzi go, co Marcus ma do

powiedzenia, chociaż tak naprawdę chodziło mu tylko o partnera do kieliszka, który zapłaci za trunek. Całe szczęście, że kiedy wynieśli zwłoki z baru, Gnida przytomnie zwinął portfel Ogiera i trzy dolary, które Pająk miał w kieszeni koszuli. Portfel był pełen pieniędzy, więc stać go było na stawianie im kolejek przez parę dni.

Pod wieczór Jefe był już urżnięty i ani on, ani Marcus nie zwrócili uwagi, że w Tapiocie zaczął się prawdziwy ruch. Wciąż jeszcze było kilka wolnych stolików i krzeseł, ale w mroku czaiło się już wielu klientów, stałych bywalców. Jakimś cudem rozeszły się pogłoski, że Jefe ma przy sobie coś, co jest warte kupę szmalu. I chociaż zapracował sobie na reputację człowieka, którego należy się wystrzegać, to w tych stronach niezbyt dobrze go znano. A że był zalany w pestkę, stanowił idealny cel dla bandziorów i złodziei odwiedzających Tapiocę.

Okazało się, że to, co przydarzyło się Jefe tego wieczoru, dało początek prawie wszystkiemu, co nastąpiło później. Czyli przeważnie morderstwom.

Rozdział czwarty

Przybycie detektywa Milesa Jensena do Santa Mondega poprzedziły wieści o nim. Wszyscy gliniarze już z góry go nie znosili. Dla nich był tylko kolejnym z tych modnych, nowoczesnych detektywów. Podejrzewali, że nigdy w życiu nie miał do czynienia z prawdziwą akcją w terenie. Rzecz jasna, byli w błędzie, on jednak miał ciekawsze rzeczy do roboty niż tracić czas na usprawiedliwianie się przed bandą urodzonych kanalii, takich jak gliniarze z patrolu pieszego w Santa Mondega.

Powód, dla którego uchodził za pozera, wynikał z jego stanowiska służbowego: starszy detektyw, szef Wydziału Śledczego do spraw Nadprzyrodzonych. Marnowanie pieniędzy podatników, ot co. Pał lichy, kiedy pracował na cudzym terenie, ale teraz był tutaj, no i pewnie zarabiał wielokrotnie więcej niż każdy z nich. Wiedzieli jednak, że guzik mogą na to poradzić. Jensena wydelegował do Santa Mondega rząd Stanów Zjednoczonych. W normalnych warunkach władze amerykańskie miałyby gdzieś, co dzieje się w Santa Mondega, ostatnie wydarzenia jednak narobiły szumu i zwróciły uwagę rządzących.

A wydarzenia te miały związek z serią pięciu makabrycznych morderstw, co wprawdzie w tych stronach samo w sobie nie wydawało się niczym nadzwyczajnym, jednakże sposób, w jaki je popełniono, był nader znaczący. Wszystkich pięciu zabójstw dokonano w ten sam, rytualny sposób. Czegoś takiego nie widziano tu od tygodnia poprzedzającego legendarną masakrę urządzoną przez Bourbon Kida pięć lat wcześniej. Większość ofiar morderstw w Santa Mondega ginęła z rąk rewolwerowców albo oszalałych nożowników, ale nie ta piątka. Ich zabiło coś innego... coś nie do końca ludzkiego. Fakt ten spowodował, że sprawę uznano za dostatecznie ważną, by przydzielić do niej Milesa Jensena, który miał pracować sam, bez pomocy z zewnątrz.

Jak większość budynków w centrum miasteczka, komenda główna policji w Santa Mondega stanowiła obraz nędzy i rozpacz. Budynek wyglądał jak z początków dwudziestego wieku i w swoim czasie był pewnie dumą miasta. Rozkład komendy przywodził na myśl stare telewizyjne seriale kryminalne, na przykład *Posterunek przy Hill Street*. Był więc daleki od ideału, ale Jensen musiał w głębi duszy przyznać, że bywało znacznie gorzej.

Przeprawa w recepcji - z doświadczenia wiedział, że zwykle jest upiornie długa - tutaj poszła zdumiewająco szybko. Młoda recepcjonistka rzuciła tylko okiem na jego legitymację oraz pełnomocnictwo i skierowała go na górę, do gabinetu kapitana Rockwella, wyjaśniając

pogodnie, jak tam trafić. Zawsze to miło wiedzieć, że ktoś na Ciebie czeka.

W drodze przez gmach do gabinetu kapitana Jensen czuł na karku palące spojrzenia innych funkcjonariuszy, którzy bez wyjątku gapili się na niego. Tak działo się zawsze po zmianie przydziału. Inni gliniarze nie znosili go, i tyle. Nic nie mógł na to poradzić, przynajmniej nie w pierwszych dniach pracy na nowym miejscu. A w Santa Moniega sprawy nie ułatwiał fakt, że był chyba jedynym czarnym w siłach policyjnych. W miasteczku roiło się od ludzi najrozmaitszego autoramentu, różnych narodowości i ras, tylko nie czarnych. Być może czarni mieli dość rozumu, żeby nie osiedlać się na takim zadupiu, a może nie byli tu mile widziani. Czas pokaże, pomyślał.

Gabinet kapitana Rockwella mieścił się na drugim piętrze. Jensen czuł na sobie spojrzenia setki oczu, śledzących go w drodze do przeszklonego gabinetu kapitana w rogu budynku, kilkadziesiąt kroków od windy, którą wjechał na górę. Cała powierzchnia była upstrzona biurkami i boksami. Prawie przy każdym biurku siedział detektyw. Tak wyglądała dzisiejsza policja - niemal nikt nie patrolował ulic. Wszyscy tkwili za biurkami, wypełniając formularze albo wystukując raporty. Nowoczesna praca policyjna, pomyślał Jensen. Jakże inspirujące!

Na ściankach boksów i przepierzeniach, a nawet na monitorach komputerów wisiały rozmaite materiały dowodowe i zdjęcia podejrzanych, ofiar bądź osób zaginionych. Dla odmiany w gabinecie kapitana Rockwella panował nieskazitelny porządek. Z okien niewielkiego pokoju w rogu budynku na drugim piętrze rozciągał się wspaniały widok na miasteczko poniżej. Jensen zapukał dwa razy w szklane drzwi. Rockwell - najwyraźniej jedyny czarny w siłach policyjnych Santa Moniega - siedział za biurkiem, żując coś i czytając gazetę. Miał gęste siwe włosy i wystający brzuch, co razem wzięte pozwalało przypuszczać, że jest po pięćdziesiątce. Słyszając pukanie, nawet nie podniósł wzroku, tylko skinieniem ręki zaprosił gościa do środka. Jensen przekręcił klamkę i pchnął drzwi. Ledwie się uchyliły, więc musiał potrząsnąć nimi tak, że zadrżały szklane ściany gabinetu. W końcu kopnął je lekko u dołu, ustąpiły i wszedł do środka.

- Detektyw Miles Jensen melduje się na rozkaz, kapitanie.

- Siadajcie, detektywie - warknął Rockwell.

Jensen zauważył, że rozwiązuje krzyżówkę.

- Może panu w czymś pomóc? - zapytał, żeby przełamać lody, sadowiąc się na krześle naprzeciwko kapitana.

- Jasne, na przykład, co to jest? - Kapitan Rockwell na chwilę podniósł wzrok. - „Nie wolno w nie kopać”, pięć liter.

- Drzwi?

- A żebyście wiedzieli. Dacie sobie radę. Miło was poznać, Jansen. - Kapitan złożył gazetę i bacznie przyjrzał się nowemu pracownikowi.

- Jensen, jeśli wolno, kapitanie. Mnie też jest miło. - Detektyw nachylił się nad biurkiem i wyciągnął rękę.

Rockwell gadał dalej, jakby tego nie zauważył.

- Co wiecie na temat powodów, dla których tu jesteście, detektywie?

- Miałem odprawę w wydziale. Prawdopodobnie wiem o tej sprawie więcej niż pan, kapitanie - odparł, cofając rękę i siadając z powrotem.

- Mocno wątpię. - Ze sterty papierów po lewej kapitan wziął kubek kawy, upił łyk, skrzywił się z niesmakiem i wypluł kawę z powrotem do naczynia. - To jak, wymienimy się informacjami, czy będziecie mi tu zawracać dupę, jak ci z wydziału wewnętrznego?

- Nie będę panu zawracał dupy, kapitanie. Nie po to mnie tu skierowano.

- Coś wam poradzę, Jansen. Tutaj nikt nie lubi, jak ktoś się wymądrza, rozumiemy się?

- Jensen, nie Jansen, kapitanie.

- Jak zwał, tak zwał. Pokazał już wam który, gdzie tu jest kawa?

- Nie, kapitanie. Dopiero co przyszedłem.

- No to jak wam pokażę, dla mnie czarna, dwie kostki cukru.

- Ja nie pijam kawy, kapitanie.

- Nie pytałem was, czy pijecie. Niech wam Somers pokaże, gdzie jest, jak już się z nim spotkacie.

- A który to Somers? - zapytał Jensen, z pełną świadomością, że raczej nie ma co liczyć na odpowiedź. Kapitan Jessie Rockwell był cokolwiek osobliwy. Terkotał w tempie karabinu maszynowego i nie wyglądał na kogoś o dużych pokładach cierpliwości. A już z pewnością nie potrzebował więcej kofeiny. Gdy mówił, jego twarz co chwila wykrzywił grymas, jakby dostał lekkiego udaru. Najwyraźniej człowiek ten miał za dużo stresów, a za mało tolerancji dla Milesa Jensena.

- Somers to wasz nowy partner... a raczej to wy jesteście jego partnerem. On woli patrzeć na to w ten sposób.

Jensen się najeżył.

- Kapitanie, chyba zaszło jakieś nieporozumienie. Miałem pracować sam, bez partnera.

- Gówno prawda. My też się tu o was nie prosiliśmy. Ale zdaje się, że mamy was na głowie, a w dodatku płacimy za wasz pobyt, więc obaj jesteście chyba w sytuacji nie do pozazdroszczenia.

Jensenowi wcale się to nie podobało. Inni gliniarze nie traktowali jego pracy poważnie.

Ten kapitan też nie i gotów był iść o zakład, że z tym całym Somersem będzie tak samo.

- Z całym szacunkiem, kapitanie, gdyby zechciał pan zadzwonić do...

- A wy, Johnson, z całym szacunkiem pocałujcie mnie w dupę.

- Jensen, kapitanie.

- Jak zwał, tak zwał. A teraz słuchajcie mnie uważnie, bo nie będę się powtarzał. Somers, wasz nowy partner, to palant. Kawał prawdziwego dupka. Nikt nie chce z nim pracować.

- Co takiego? No to z pewnością...

- Chcecie usłyszeć, co mam wam do powiedzenia, czy nie?

Jensen już zdążył się zorientować, że sprzeczenie się z kapitanem Rockwellem nie ma najmniejszego sensu. W razie kłopotów sam będzie musiał sobie z nimi radzić, później. Kapitan nie zamierzał tracić czasu na tłumaczenia czy oprowadzanie go po komendzie. Najwyraźniej uważał, że jest zbyt zajęty albo zbyt ważny, by bawić się w uprzejmości. Lepiej więc siedzieć i słuchać, co ma do powiedzenia.

- Przepraszam, kapitanie. Proszę dalej.

- A, dzięki. Tyle że mam gdzieś wasze pozwolenie. To leży w waszym interesie, nie w moim. - Przez chwilę łykał na Jensena, sprawdzając, czy ten dziwaczny detektyw zamierza nadal protestować. Z zadowoleniem przekonał się, że nie, więc podjął: - Detektyw Archibald Somers jest przydzielony do tej sprawy jako wasz partner. Wydelegował go burmistrz, osobiście. Gdybym mógł postawić na swoim, noga Somersa nigdy nie powstałaby w tym budynku, ale burmistrz liczy na reelekcję, więc ma własne cholerne plany.

- Tak jest. - Jensen nie widział związku między tym wyjaśnieniem a sprawą, uznał jednak, że od czasu do czasu dobrze będzie okazać zainteresowanie i skinąć głową albo rzucić: „Tak jest”.

- Nieco ponad trzy lata temu Somers przeszedł na wcześniejszą emeryturę - ciągnął Rockwell. - Wszyscyśmy tu urządzili mu imprezkę z tej okazji.

- To miło z waszej strony.

- No, nie wiem. Bo nie zaprosiliśmy tego nieszczęsnego sukinkota, Somersa.

- Dlaczego nie?

Jensen był zaskoczony. Kapitan Rockwell zmarszczył brwi.

- Dlatego, że to palant. Jezu! Skupcie się, Johnson, na litość boską!

- Tak jest.

- No nic, nieważne. Przyjechaliście tu w sprawie Bourbon Kida, zgadza się?

- Niezupełnie.

- Nieważne. Somers ma obsesję na punkcie tej cholerniej sprawy Bourbon Kida. Dlatego

został zmuszony do przejścia na wcześniejszą emeryturę. Każde morderstwo w Santa Mondega próbował przypisać Bourbon Kidowi. Aż w końcu ludzie zaczęli uważać, że w policji siedzą same patentowane lenie, a z Kida zrobiliśmy kozła ofiarnego i zwalamy na niego wszystkie niewyjaśnione zbrodnie.

- A to oczywiście nieprawda - wtrącił Jensen i natychmiast pożałował swoich słów, bo można się było w nich doszukać sarkazmu, a przecież był od tego daleki.

Kapitan Rockwell znów łypnął na niego szybko. Upewniwszy się, że Jensen powiedział to szczerze, podjął:

- No cóż. - Oddychał przez nos tak głęboko, że jego nozdrza rozděły się do dwa razy większych niż zwykle rozmiarów. - Somers zaczął fałszować dowody, żeby we wszystko wrobić Bourbon Kida. Faktem jest, że w całym mieście są tylko dwie osoby, które widziały Kida i przeżyły. Ale nikt go nie widział od pięciu lat, kiedy pewnego wieczoru wyrzwał połowę mieszkańców. Większość z nas uważa, że już pewnie nie żyje. Prawdopodobnie zginął tamtej nocy i został pochowany jako jedna z wielu niezidentyfikowanych ofiar, które grzebaliśmy przez cały tydzień. Inni twierdzą, że zabiło go dwóch mnichów, kiedy opuszczał miasto. Właśnie to chyba was interesuje, nie? Ci mnisi i te pozostałe bzdury?

- Jeśli ma pan na myśli mnichów z zakonu hubalan i Oko Księżyca, to owszem.

- Hm. Ja tam nie wierzę w te pierdoły, inni zresztą też nie, ale jest coś, co powinniście wiedzieć, detektywie Johnson. Wczoraj w barze Tapioca dwóch mnichów zabiło człowieka. Zastrzelili go z zimną krwią. Drugiego zranili. I zmyli się, kradnąc dwa rewolwery. Pierwsze, co musicie zrobić z Somersem, to przesłuchać Sancheza, barmana.

Jensen spojrział na Rockwella, zaskoczony. O tym akurat nie wiedział. Hubalanie w miasteczku to było coś niezwykłego. Niezwykłego jak cholera. Z tego, co wiedział, mnisi nigdy nie opuszczali swojej wyspy, żeby nie wiadomo co. Tylko raz, te pięć lat temu, kiedy dwaj z nich przyjechali do Santa Mondega tuż przed masakrą, jaką urządził wieczorem Bourbon Kid.

- Aresztowano ich?

- Jeszcze nie. I nigdy do tego nie dojdzie, jeżeli ta dupa wołowa Somers postawi na swoim. Będzie was próbował przekonać, że to Bourbon Kid zabił tamtego gościa, tylko że przebrał się w tym celu za dwóch mnichów.

- No dobrze, kapitanie, ale skoro Somers przeszedł na emeryturę, to dlaczego pracuje nad tą sprawą?

- Już wam mówiłem. Dlatego, że tak sobie życzy burmistrz. Wszyscy wiedzą o obsesji Somersa na punkcie Bourbon Kida, więc społeczeństwo będzie zachwycone, że to on

prowodzi śledztwo. Bo widzicie, społeczeństwo nie wie o tym, że to palant. Wiedzą tylko, że wielu z nich straciło krewnych i ukochanych, kiedy Bourbon Kid pojawił się w mieście ostatnim razem.

- Ostatnim razem? Powiedział pan to tak, jakby Bourbon Kid znowu zjawił się w mieście.

Kapitan Jessie Rockwell rozsiadł się na krześle, łyknął kawy i znów z niesmakiem wypłuł ją do kubka.

- Prawdę powiedziawszy, sam nie jestem pewien tego, co gadam, ale rzecz ma się tak: niecałe dwadzieścia cztery godziny temu pojawiło się tu dwóch mnichów. W tej miejscinie nie widziano mnicha od pięciu lat. Ale to nie wszystko. Jesteście tu, bo rząd uważa, że dzieje się coś dziwnego, dobrze mówię?

- No, tak. Pięć brutalnych morderstw w ciągu ostatnich pięciu dni. Nie licząc tego faceta, którego podobno zabili mnisi. Sporo tego. Prawdę mówiąc, od groma. Więc przyjechałem, bo z tego, co wiem, to nie były zwyczajne morderstwa, prawda?

- Prawda. Widziałem w tym mieście niejednego bajzela, detektywie. Ale te ostatnie pięć zabójstw... no, czegoś takiego nie było od ostatniej wizyty Bourbon Kida. Może to przygrywka do kolejnej takiej jatki, jaką mieliśmy pięć lat temu. Historia lubi się powtarzać. Dlatego burmistrz chce powrotu Somersa. Palant bo palant, ale wie na temat Bourbon Kida więcej niż wszyscy inni razem wzięci. No a wy jesteście tutaj, bo po raz pierwszy od Bóg raczy wiedzieć kiedy, świat zewnętrzny uznał, że nie ma już w dupie tego, co dzieje się w Santa Mondega.

- Na to wygląda, kapitanie.

- No. - Rockwell dźwignął się z krzesła. - To jak, chcecie się spotkać z Somerssem?

Rozdział piąty

Jefe obudził się zniechęcony. Serce mu łomotało, a instynkt podpowiadał, że coś jest nie tak. Zdecydowanie nie tak. Ale co? Co spowodowało, że obudził się tak raptownie, zdjęty strachem? I poczuciem zagrożenia? Żeby się tego dowiedzieć, musiał poskładać do kupy wydarzenia poprzedniego wieczoru. To nie powinno być trudne. Po pierwsze, Marcus Gnida stawiał mu kolejkę za kolejką przez cały czas. Należało się tego spodziewać. Marcus się go bał, i słusznie. Jefe zamierzał go zabić, kiedy tylko osiągnie swój cel, to znaczy kiedy Gnida - który najpierw miał mu stawiać drinki przez cały wieczór - zaprowadzi go do El Santina. Do spotkania z El Santinem jednak nie doszło, a Marcusa Gnidy nigdzie nie było widać.

Jefe leżał na wznak na rozklekotanym starym łóżku w pomieszczeniu przypominającym obskurny pokój w tanim motelu. Był odwodniony, niewątpliwie wskutek nadużycia whisky, którą wytrąbili z Marcusem poprzedniego wieczoru. Szło im wcale nieźle. O ile pamiętał, Marcus był dobrym kompanem do kieliszka i miał łeb do whisky i tequili. Nie zmieniało to faktu, że wciąż był palantem, ale przynajmniej potrafił dotrzymać mu kroku w picciu. Jefe z każdą chwilą przypominał sobie nowe szczegóły minionej nocy. Marcus najwyraźniej trzymał się całkiem nieźle, kiedy Jefe zaczął już widzieć podwójnie. Dziwna sprawa, bo zawsze miał mocną głowę. Bywało, że złapał całymi dniami, a mimo to nadal był w formie. Dlaczego więc tak nagle urząnął się w trupa?

No nie!

Oblał go zimny pot. A w dodatku kac zrobił swoje i głowa zaczęła mu pękać. Czyżby dał się zrobić na jeden z najstarszych numerów na świecie? Czyżby walił kolejkę za kolejką, a Marcus pił tylko zwykłą wodę, zabarwioną tak, żeby wyglądała na tequilę? Jeśli tak było, to w grę wchodziły dwie możliwości. Po pierwsze, mógł zostać zabity we śnie. Jak widać, nie doszło do tego. Po drugie - okradziony. To akurat było wielce prawdopodobne. Jasny gwint!

Chwycił się za pierś, szukając cennego niebieskiego kamienia, który od kilku dni dyndał na jego szyi. Ale zamiast kamienia złapał powietrze. Usiadł raptownie na łóżku.

TY W DUPE JEBANY!

Jego krzyk odbił się echem w obskurnym budynku. Kiepska sprawa, i to pod każdym względem. Został okradziony, a co gorsza, facet, który go obrobił, znany był jako miejscowa kompletna menda, skrajna łajza i gnida. Jak Jefe mógł być tak durny, tak naiwny? Co za kretyn! A ta pieprzona gnida Marcus! Gość już nie żyje.

Pytania w głowie Jefe miały się jak lis polujący w kurniku. Czy Marcus zdaje sobie sprawę z potęgi tego kamienia? Czy wie, że to Oko Księżyca, najcenniejszy i najpotężniejszy kamień we wszechświecie? I czy ma świadomość, że teraz Jefe postawił sobie za punkt honoru zabicie go i odzyskanie kamienia?

Lowcę nagród najbardziej obchodził fakt, że tego dnia jest umówiony na spotkanie. Spotkanie z człowiekiem, który swą reputacją przerażał bardziej niż sam diabeł. Jeśli Jefe miał przeżyć to spotkanie, musiał odzyskać Oko Księżyca. El Santino oczekiwał, że przyniesie mu kamień przed północą. Jefe sam mu to obiecał. A El Santino nie był kimś, kogo Jefe chciałby zawieść, mimo że nigdy się nie poznali. Nie to jednak stanowiło jego największy problem. Jeżeli Marcus Gnida odkrył potęgę kamienia, odebranie mu go będzie praktycznie niemożliwe. Tak samo, jak niemożliwe, skoro już o tym mowa, że Jefe właśnie go stracił.

Coś jeszcze przyszło mu do głowy. Istniało niebezpieczeństwo, rzecz jasna, że Marcusa dorwali inni. Niejeden chciał zdobyć Oko Księżyca, w tym ludzie nie mniej brutalni niż Jefe, a może nawet bardziej. Jeżeli kamień trafił w ręce któregoś z nich, w żaden sposób nie odzyska go przed końcem dnia. Zakładając, że w ogóle mu się uda. Przez chwilę rozważał, co ma do wyboru. Mógłby wyjechać z miasta i nigdy tu nie wrócić, ale przecież żeby dopaść ten kamień, urobił się po łokcie. Właściwie to cud, że dotychczas pozostał przy życiu. Odszukanie i kradzież kamienia wymagały od niego zabicia ponad stu ludzi. Niektórzy o mało nie zabili jego, a jednak przeżył. Wyszedł z tego bez szwanku, tylko po to, by w ostatniej rundzie opuścić gardę. Ale chociaż odebranie kamienia Marcusowi mogło okazać się jeszcze trudniejsze, przypomniał sobie, ile pieniędzy jest wart ten klejnot. Nie mówiąc o tym, że zależało od niego też jego życie.

Pieprzyć to! Najpierw zje porządne śniadanie.

A Gnida ma przesrane.

Rozdział szósty

Jessica nawet już nie pamiętała, od jak dawna przedziera się przez gęste chaszczce. Drzewa wokół niej wzbijały się tak wysoko, że niemal przesłaniały niebo. Ich wystające z ziemi korzenie utrudniały poruszanie się i z każdym małym kroczkiem rosło ryzyko, że skręci sobie kostkę. A nie miała już czasu na małe kroczki.

Czuła, jak ziąb przenika jej ramiona i stopy. Ten ktoś - czy coś - kto obserwował ją w drodze przez las, teraz ją ścigał. Już się nie przyglądał, ale podkładał coraz bliżej. Drzewa rosły tak blisko siebie, a ich korony były tak gęste, że prawie nic nie widziała. Zresztą i tak za bardzo się bała, żeby się oglądać. Słyszała oddech prześladowcy, który z czasem przeszedł w ciężkie sapanie. Wiedziała jedno - to na pewno jakaś bestia. W każdym razie nie człowiek, ale czuła, że zwierzę to także nie jest. Było to coś innego, coś, co chciało ją dopaść.

Rozpaczliwie próbowała przyśpieszyć, ale gałęzie drzew jakby gęstniały, jakby wyciągały ręce, żeby ją przytrzymać. Wciąż jeszcze trzymała się na nogach, ale zdawała sobie sprawę, że to tylko kwestia czasu, zanim przewróci się o któryś z wystających korzeni. Z kolei bestia zbliżała się z każdą chwilą, sapiąc coraz głośniejsze i z większym wysiłkiem - jej nic nie powstrzymywało. Przyśpieszała coraz bardziej i Jessica wiedziała, że wkrótce ją dopadnie.

Nagle odetchnęła głęboko i otworzyła oczy. I natychmiast je zamknęła, oślepią ostрым światłem. Po chwili znów otworzyła. I zamknęła. I otworzyła. Robiła tak przez kilka minut, aż wreszcie przywykła do blasku. Mimo to sen, z którego się właśnie otrząsnęła, nie przestawał jej dręczyć. Był tak realny jak stare wspomnienie, które wróciło, żeby ją prześladować.

Rozejrzała się. Pokój był pusty, jedyne wyposażenie stanowiło łóżko, w którym leżała opatulona. Ściany pokrywała kremowa tapeta, pamiętająca lepsze dni. Jej jasny kolor zapewne miał zrekompenzować brak okna. Niestety, bezskutecznie; nie wpływał też na zmniejszenie poczucia klaustrofobii. Jessica uświadomiła sobie, że jest jej bardzo zimno, ale tym akurat się nie przejmowała - bywało już zimniej. Niepokoił ją natomiast fakt, że nie ma pojęcia, gdzie się znajduje i skąd się tu wzięła.

- Halo? - krzyknęła. - Halo? Jest tam kto?

Usłyszała, jak w oddali ktoś coś mamrocze. Głos był męski i dolatywał z dołu, jakby człowiek znajdował się piętro niżej. Dało jej to pojęcie o sytuacji, wyglądało bowiem na to, że przebywa w jakiejś sypialni na piętrze. Pośpieszny tupot kroków na schodach, zbliżający

się do drzwi w rogu pokoju, przyprawił ją nagle o szybsze bicie serca. Pożałowała, że zawołała tak bez zastanowienia. Kroki były ciężkie, sugerowały, że ten, kto idzie, to kawał chłopa. Kiedy dotarły na szczyt schodów i ucichły przed drzwiami, nastąpiła chwila ciszy, a następnie Jessica zobaczyła, że ktoś przekreśla klamkę. Drzwi, skrzypiąc, otworzyły się powoli.

- O Boże, obudziłaś się! - krzyknął zaskoczony mężczyzna, który otworzył drzwi.

Był wielki, masywny. Wygląda na farmera, pomyślała. Nawiasem mówiąc, całkiem przystojnego farmera. Ładne, gęste czarne włosy i wyraziste, regularne rysy. Miał na sobie flanelową kraciatą koszulę, wyrzuconą na wierzch brązowych roboczych spodni, z nogawkami wpuszczonymi w błyszczące czarne buty, sięgające powyżej kostek. Zanim zdążyła pomyśleć, zapytała:

- A pan, kurwa, kto?

- Obudziłaś się. Naprawdę się obudziłaś! Mój Boże... znaczy, e... psiakrew - wydukał mężczyzna. Wydawał się jeszcze bardziej osłupiały niż Jessica, chociaż należało przypuszczać, że na temat jej sytuacji wie znacznie więcej niż ona.

- Gdzie ja, kurwa, jestem? A pan coś za jeden, do cholery?

- Jestem Thomas. Thomas Garcia - przedstawił się, podchodząc do łóżka; na jego twarzy rozlał się szeroki, promienny uśmiech. - Opiekowałem się tobą. Znaczy się, opiekowaliśmy się tobą razem... ja i moja żona Audrey. Wyszła teraz na zakupy, ale niedługo wróci.

Instynkt Jessiki podpowiadał jej, że facet wygląda na całkiem miłego, wciąż jednak miała zamęt w głowie; kiedy zbliżył się do łóżka, uświadomiła sobie, że pod pościelą jest goluśienka.

- Słuchaj no, Thomas, jeżeli naprawdę tak masz na imię: jestem naga jak mnie Pan Bóg stworzył, więc z łaski swojej nie podchodź bliżej, dopóki nie znajdziesz moich ubrań.

Thomas cofnął się i unióśł ręce w przeproszającym geście.

- Z całym szacunkiem, panno Jessico - zaczął ostrożnie. - Kąpałem panią w łóżku przez jakieś pięć lat czy coś koło tego, więc widywałem już panią nago.

- Że co?

- Mówiłem...

- Słyszałam, co mówiłeś. Twierdzisz, że kąpałeś mnie w łóżku. No to lepiej dla ciebie, kolego, żebyś, kurwa, żartował.

- Przepraszam, ale ja...

Nagle uświadomiła sobie, co powiedział.

- Zaraz... pięć lat?! Czyś ty powiedział PIĘĆ LAT?!

- Tak, przywieziono cię do nas pięć lat temu. Byłaś ledwie żywa. Od tej pory opiekowaliśmy się tobą, z nadzieją, że pewnego dnia się obudzisz.

- PIĘĆ LAT! Jaja se, kurwa, ze mnie robisz? - Słowa Thomasa w równym stopniu zaskoczyły ją, co zirytowały. W życiu go nie widziała, więc jak miałby ją kąpać regularnie przez pięć lat?

- Przykro mi, Jessico. Masz na imię Jessica, prawda?

- Tak.

- Przepraszam, ale wzięłaś mnie kompletnie z zaskoczenia.

- Ja wzięłam z zaskoczenia ciebie? No ja pierdołę! O-o-okropnie przepraszam. A teraz dawaj mi, kurwa, coś do ubrania, zanim całkiem się wkurwię.

Thomas był wyraźnie zbity z tropu. Urażony, odparł sztywno:

- Dobrze, naturalnie, przyniosę ci ubranie, pogadamy potem. Chyba mamy sobie wiele do powiedzenia.

Wycofał się z pokoju, odwrócił, żeby zamknąć drzwi, i ciężko zszedł po schodach, zostawiając Jessicę, która przetrawiała to, co jej powiedział. Jak to możliwe? Czy to jakiś dowcip, czy sztuczka? Nagle ją olśniło. Niewiele pamiętała ze swojego życia. Wiedziała, że ma na imię Jessica, ale nie była pewna, czy to nie dlatego, że tak jej powiedział Thomas. W tym zamęcie myśli przypomniawszy sobie, jak to jest obudzić się na kacu i nie pamiętać, gdzie się było i co się robiło poprzedniej nocy. Tym razem różnica polegała na tym, że o ile pamiętała, jak to jest mieć kaca, o tyle nie przypominała sobie żadnych szczegółów ze swojego życia i po dłuższej chwili zastanawiania się nadal nic nie pamiętała.

Thomas wrócił kilka minut później. Nieco skruszony, rzucił jakieś ciuchy i znów zszedł na dół, obiecując, że przygotowuje coś na śniadanie.

Jessica pośpiesznie ubrała się w to, co przyniósł. Wszystko pasowało idealnie, a zatem prawdopodobnie strój należał do niej. Z braku lustra nie mogła się przejrzeć, czuła jednak, że wygląda dobrze; chociaż dopiero za jakiś czas będzie mogła się przekonać, czy te ciuchy nie wyszły z mody kilka lat temu. Teraz wszystko, co miała na sobie, było czarne - czarne, sięgające kostek botki; workowate niczym piżama czarne spodnie z elastycznym ściągaczem w pasie i u dołu nogawek; a do tego naprawdę odjazdowe czarne kimono jak do karate, niesamowicie wygodne. Prawdę mówiąc, tak świetne, że aż ogrzało jej ciało do właściwej temperatury.

Zanim była gotowa zejść do Thomasa, żeby się mogli poznać nawzajem, uświadomiła sobie, że ktoś jeszcze przyszedł do domu. Z parteru dobiegły głosy - z początku podniesione, a potem już tylko ciche mamrotanie. Nie miało jednak znaczenia, czy rozmowa toczyła się

głośno, czy cicho, bo przez zamknięte drzwi pokoju na piętrze i tak nic nie rozumiała.

Kilka razy odetchnęła nerwowo, żeby się uspokoić; w końcu otworzyła drzwi i wyjrzała na zewnątrz. Naprzeciw drzwi i po prawej zobaczyła ceglany mur. Nikt nie zadał sobie trudu, żeby pokryć cegły gipsem, tapetą, czymkolwiek. Po lewej ciemne schody prowadziły na parter. W mrocznym świetle prawie nie było widać stopni. W dwóch kinkietach na ścianie wzdłuż schodów paliły się świece, ale ich płomienie były niziutkie i wyglądały, jakby lada chwila miały zgasnąć. Zawahała się, skoro jednak dotarła tak daleko, nie było sensu wracać do bezpiecznego pokoju. Nieufnie zaryzykowała krok w dół i ostrożnie namacała stopień. Oto właśnie podejmowała wyprawę, by odkryć, gdzie się, u licha, znajduje, i skąd się tu wzięła.

Głosy na dole znowu przycichły. Z pokoju słyszała je lepiej, ale na tej zamkniętej, wilgotnej, mrocznej, zimnej i odpychającej klatce schodowej panowała taka cisza, że wcale nie była pewna, czy w ogóle na dole ktoś coś mówi. Może słyszała jedynie wycie wiatru?

Ostrożnie stawiała na każdym stopniu, żeby nie czynić hałasu. Instynktownie czuła, że nie powinna zapowiadać swojego nadejścia, dopóki nie dotrze do stóp schodów. Od celu dzieliło ją jakieś piętnaście stopni, które na oko i na dotyk sprawiały wrażenie, że będą trzeszczeć przy najlżejszym nacisku. Jessica jednak stąpała leciutko i dotarła na sam dół bezszelestnie, chociaż droga wydawała jej się wiecznością. Kiedy już wreszcie zeszła, na parterze powitały ją kolejne ceglane ściany na wprost i po lewej. Po prawej miała długą czarną zasłonę. Nie ulegało wątpliwości, że zastanie za nią Thomasa oraz tego, z kim rozmawiał od Bóg raczej wiedzieć kiedy.

Rzeczywistość, rzecz jasna, okazała się zupełnie inna. Odsunęła zasłonę i ujrzała kolejne cegły. Schody prowadziły do ślepego zaułka. Ale wobec tego jakim cudem Thomas wchodził po nich i schodził? I jaki sens miało powieszenie tam tej kotary? Niczego nie zasłaniała, jedynie zwykłą ceglana ścianę. Wezbrało w niej straszne wrażenie, że znalazła się w pułapce i że Thomas chyba nie jest takim dżentelmenem, na jakiego wyglądał przy pierwszym spotkaniu.

Sytuacja była mocno niepokojąca. Bo nie dość, że wszystko to irytowało Jessicę ponad wszelką miarę, to w dodatku wzbudziło w niej złość. Oto utknęła tutaj, w pułapce, nie wiedząc, kim ani gdzie jest, a na dodatek zaczynała ogarniać ją klaustrofobia. Oddychaj głęboko, pomyślała. Uznała, że łatwiej jej to przychodzi z zamkniętymi oczami, ale kiedy je zamknęła, znów znalazła się w gęstym, splątanym lesie, ścigana przez bestię. Natychmiast otworzyła oczy. Bestia zniknęła.

Zza ściany przed nią dobiegł nagle wyraźny głos Thomasa. Był zdecydowanie wzburzony.

- A po kiego nam żółty cadillac? - pytał kogoś.

Uwięzionej na klatce schodowej Jessice zakręciło się w głowie. Wyciągnęła rękę, przytrzymała się jednej ze ścian, a jednocześnie niechętnie zamknęła oczy. Czuła, że wraz z zawrotami głowy zaczyna tracić przytomność. Po pięciu latach leżenia w łóżku nawet ten krótki spacer zmęczył ją bardziej, niżby sobie wyobrażała. Kiedy nogi ugięły się pod nią i zaczęła się osuwać, usłyszała dwie rzeczy - po pierwsze, błagalny głos kobiety. Jessica nie rozróżniała słów, ale sądząc z tonu, można było przypuszczać, że kobieta błaga o życie.

Drugim dźwiękiem, który zaatakował uszy Jessiki, był głośny ryk. Ryk bestii.

Rozdział siódmy

Sanchez niezbyt często odwiedzał swojego brata Thomasa i bratową Audrey, lecz po wydarzeniach z poprzedniego dnia wiedział, że musi ich ostrzec przed potencjalnym niebezpieczeństwem, jakie im groziło. Minęło już prawie pięć lat, odkąd wpadł na ulicy na anioła. Dobrze pamiętał to spotkanie, bo działo się to wieczorem tego samego dnia, kiedy zobaczył więcej zakrwawionych zwłok, niż przeciętny przedsiębiorca pogrzebowy ogląda w ciągu roku. No, chyba że chodziłoby o przedsiębiorcę pogrzebowego z Santa Mondega sprzed pięciu lat, kiedy doszło do tej masakry. Aniołem, o którym mowa, była piękna młoda kobieta imieniem Jessica. Ich drogi skrzyżowały się przelotnie nieco wcześniej, kiedy pojawiła się w Tapiocce - był to jeden z tych rzadkich przypadków, kiedy z przyjemnością powitano w barze obcego. Ale następnym razem zobaczył ją nieprzytomną i całą we krwi, leżącą na ulicy i poszatkowaną kulami - była kolejną ofiarą kanalii zwanej Bourbon Kidem.

W przeciwieństwie do pozostałych ofiar Kida, Jessica jakimś cudem utrzymała się przy życiu. Tego dnia po mieście wałało się tyle zwłok, że Sanchez uznał, iż nie ma najmniejszej szansy na ściągnięcie do niej lekarza. Miejscowy szpital zapchany był rannymi z tego zwariowanego tygodnia, odkąd Kid zawitał do miasta. Nie, ta dziewczyna miała nikłą szansę na przeżycie jedynie u Audrey, żony Thomasa. Bratowa, swego czasu pielęgniarka, miała dryg do wyczarowywania cudownych lekarstw, dlatego też w niej właśnie Sanchez upatrywał szansy dla Jessiki. Być może jedynej szansy. Audrey już wcześniej zajmowała się ofiarami strzelaniny, a skoro udawało jej się utrzymać przy życiu pięćdziesiąt procent pacjentów, to i Jessica miała szansę, że przeżyje, a może nawet całkiem wróci do zdrowia.

Kiedy po kilku tygodniach okazało się, że pod opieką Audrey Jessica nie umrze, choć dostała co najmniej trzydzieści sześć kul, Sanchez wymógł na Thomasie i bratowej przyrzeczenie, że nikomu nie powiedzą o leczonej przez nich dziewczynie. Jessica była niezwykła. Nie jakaś pierwsza lepsza damulka. Przez lata pracy za kontuarem w barze Tapioca Sanchez był świadkiem różnych dziwnych rzeczy, ale nigdy nie widział, żeby ktoś, kto dostał trzydzieści sześć kul, przeżył, no może z wyjątkiem Mela Gibsona w *Zabójczej broni 2*.

W głębi duszy stale obawiał się, że Bourbon Kid wróci i znowu spróbuje ją zabić. I coraz bardziej wychodziło mu na to, że dzień ten nadejdzie raczej prędzej niż później.

Jessica przybyła do miasteczka pięć lat temu, zaraz po tym, jak w Tapiocce pojawili się

dwaj mnisi. Sanchez pamiętał, że czegoś szukali - czegoś związanego z cennym niebieskim kamieniem, który ukradł im łowca nagród, niejaki Ringo. Kamień ten sprowadzał na wszystkich same kłopoty, to nie ulegało wątpliwości. Ringo ukradł go dla El Santina, ale koniec końców nie oddał swojemu szefowi, bo kamień nadzwyczaj przypadł mu do gustu.

I wtedy przybyli ci dziwni mnisi. Chcieli odzyskać kamień i choć wydawali się raczej łagodni, dla zdobycia go nie cofnęliby się przed niczym. Ich przyjazd do Santa Mondega nieznacznie tylko poprzedził zjawienie się rozkosznej, acz tajemniczej Jessiki. Przez kilka dni pobytu w mieście dziewczyna podbiła serca wszystkich bywalców baru Tapioca. Rzecz jasna, zanim ktokolwiek zdążył ją poznać bliżej, pojawił się Bourbon Kid. Najpierw wykosił wszystkich klientów Lelka-Kufelka - konkurenta Tapioki - a potem zajrzał do baru Sancheza, szukając Ringa. Tu także wystrzelał wszystkich, sztuka w sztukę, oszczędzając jedynie Sancheza. Najbardziej ucierpiał Ringo, który zarobił blisko sto kulek, chociaż barman dokładnie pamiętał, że nieszczęśnik umarł dopiero wtedy, gdy Kid zdarł mu z szyi niebieski kamień. (Ba, faktem jest, że Ringo to bandyta, oprych i kanalia, ale sto kulek czy coś koło tego to jednak lekka przesada). Kamień ów miał tę właściwość, że ten, kto go posiadał, stawał się niezwyciężony. Sanchez tego nie rozumiał, wiedział jedynie, że klejnot jest źródłem wszelakich kłopotów. Biedna Jessica po prostu przechodziła ulicą, ale Bourbon Kid wygarnął do niej, wychodząc z Tapioki.

Na mieście chodziły słuchy, że ci mnisi, hubalanie, dopadli Bourbon Kida za miastem, zabili go i odebrali mu niebieski kamień, który prawnie im się należał. Tak więc kiedy pięć lat później Sanchez zobaczył, że pojawiło się dwóch kolejnych mnichów, a na dodatek bezwzględny łowca nagród imieniem Jefe, zaczął szykować się na najgorsze. Kiedy zaś dojechał na farmę Thomasa i Audrey, położoną tuż za miasteczkiem, przekonał się, że jego obawy okazały się ze wszech miar usprawiedliwione. Najgorsze już się stało.

Zaparkował przechodzonego, zardzewiałego białego volkswagena „garbusa” przed werandą od frontu. Drzwi domu ledwo trzymały się na zawiasach. To jeszcze nie świadczyło o tym, że stało się coś strasznego. Ale fakt, że ani Thomas, ani Audrey nie wyszli go powitać, mówił sam za siebie. Ten dom nigdy nie zostawał bez opieki. Na dźwięk nadjeżdżającego samochodu któreś z nich zawsze wychodziło na długą drewnianą werandę. Niestety, nie dziś.

Ich zwłoki znalazł w kuchni. Była to wielka kuchnia, spełniająca także rolę jadalni. Olbrzymi dębowy stół zajmował środek podłogi z ułożonej w szachownicę terakoty. Zazwyczaj panował tam idealny porządek, bo Audrey nie tolerowała choćby śladów bałaganu, dziś jednak wszystko było zlane krwią. Na podłodze po obu stronach stołu leżały jeszcze ciepłe zwłoki Thomasa i Audrey. Zdawało się, że ich zakrwawione, oszpecone ciała

dymią, a może parują. W powietrzu unosił się koszmarny odór. W swoim życiu Sanchez nieraz miał do czynienia z paskudnymi zapachami, jak choćby tej nocy pięć lat temu, kiedy w barze leżało dwadzieścia siedem trupów ludzi zastrzelonych na jego oczach przez Bourbon Kida. Ale nawet tamto było niczym w porównaniu do tego przyprawiającego o mdłości smrodu. Tym razem było to coś całkiem innego. Zapach zła. Mimo braku śladów po kulach trudno było rozpoznać Thomasa i Audrey. Nie było widać żadnych ran, a jednak oboje wręcz nurzali się we krwi. Wyglądało to tak, jakby oboje zginęli, pocąc się krwią. Dosłownie, jakby wypocili krew.

Sancheza specjalnie nie zaskoczył fakt, że jego brat i bratowa nie żyją. Od dnia, kiedy przywiózł do nich Jessicę, spodziewał się, że kiedyś zajrzy tutaj i znajdzie ich w takim stanie. A teraz ktoś ją zabrał. Tajne, zamaskowane drzwi w kuchni, prowadzące na schody do jej pokoju, stały otworem. Nie były rozbite czy w inny sposób uszkodzone, co świadczyło o tym, że otwarto je bez użycia siły. Sanchez zdawał sobie sprawę, że nie ma takiej możliwości, żeby dziewczyna nadal była na górze, czuł jednak, że musi się przekonać na własne oczy. Poza tym chciał po raz ostatni rzucić okiem na łóżko, w którym spędziła ostatnie pięć lat.

Wchodził na piętro powoli. Nigdy nie lubił tych schodów. Bał się po nich chodzić nawet w dzieciństwie, kiedy dom należał jeszcze do jego rodziców. Stopnie były zimne, twarde, a mała odległość między ścianami przyprawiała o klaustrofobię. I chociaż miał świadomość, że to tylko wyobraźnia płata mu figle, to nadal tkwiło w nim przekonanie, że im bardziej zbliżał się do szczytu schodów, tym bardziej powietrze się przersedzało.

Wchodząc ostrożnie na górę, nie słyszał żadnych dźwięków dobiegających z pokoju na piętrze. Gdyby cokolwiek usłyszał, mogłoby to oznaczać, że Jessica wciąż tam jest, cała i zdrowa, nawet jeśli pogrążona w śpiączce. Z drugiej strony, mogłoby to świadczyć również o tym, że przebywa tam zabójca jego brata. Dopiero gdy stanął pod drzwiami sypialni, uświadomił sobie, jak ciemno jest na schodach. Wiedział, że na ścianie wisały dwie świece, ale albo nikt ich nie zapalił, albo zgasły same. Pomimo wiązki światła, przebijającej przez szparę pod drzwiami, na dobrą sprawę widział tylko na odległość wyciągniętej ręki. Niemal sparaliżowany strachem, pchnął drzwi i sięgnął do kontaktu na ścianie pokoju. Zapaliło się światło, oślepiając go na chwilę. Zamrugał, żeby jego oczy przywykły do blasku, odetchnął głęboko i wszedł do sypialni Jessiki.

Tak jak podejrzewał, pokój był pusty, jeśli nie liczyć olbrzymiego pajaka pędzącego ku niemu po gołych deskach podłogi. Sanchez o mało nie narobił w gacie. Nienawidził pajaków z całej duszy, dlatego też odetchnął z ulgą, gdy stworzenie zatrzymało się nagle kilka kroków przed nim, po czym wycofało się powoli - jakby nie chciało stracić twarzy - i skryło pod

łóżkiem, na którym Jessica spędziła ostatnie pięć lat. Świadomość, że nie ma tu zabójcy (pomijając pajaka) dodała barmanowi otuchy, natomiast brak Jessiki go przygnębił. Łóżko było nieposłane, ale nie dostrzegł śladów walki, co wcale go nie zdziwiło. W końcu co za sztuka uprowadzić kogoś pogrążonego w śpiączce?

Wzdrygnął się, słysząc dobiegający z zewnątrz odgłos zapalnego silnika. Kiedy przyjechał, nie zauważył przed domem innego samochodu, ale wtedy nie zwracał specjalnie uwagi na otoczenie. Teraz jednak na dworze był niewątpliwie jakiś samochód, a sądząc z brzmienia silnika, nie chodziło o jego rozklekotanego starego „garbusa”. Ten warkot wydobywał się z o wiele większego, mocniejszego silnika. Po chwili dobiegł głośny pisk opon - kierowca tego wozu, kimkolwiek był, najwyraźniej chciał odjechać jak najszybciej. Ponieważ w sypialni nie było okien, Sanchez musiał popędzić wąskimi schodami na dół, z nadzieją, że zdoła dostrzec, kto odjeżdża z farmy w takim pośpiechu. A nuż uwoził ze sobą Jessicę?

Pomimo głębokiej niechęci do ludzi jako takich, starannego pilnowania się, żeby nie brać sobie cudzych kłopotów na głowę, a także zwyczaju częstowania obcych szczykami, Sanchez nie był pozbawiony zalet. Niestety, nie należała do nich szybkość ruchów. Krótko mówiąc, nie był szybkobiegaczem. Kiedy już z tupotem zbiegł na parter, przeskoczył nad zwłokami brata i wyrzał na dwór, zobaczył jedynie tył żółtego cadillaca, który pędził w oddali bitą drogą w kierunku Santa Mondega.

Sanchez nie należał do ludzi gwałtownych, ale znał wielu takich w miasteczku. Wiedział, z kim pogadać, jeżeli chciał się zemścić na właścicielu żółtego cadillaca. Szczerze mówiąc, znał pod dostatkiem takich, od których bez trudu może się dowiedzieć, kto zabił Thomasa i Audrey i co się stało z Jessicą. Nawet jeżeli nie było przy tym żadnych świadków, wiedział, że dowie się dokładnie, co tam się wydarzyło.

Ktokolwiek dokonał tych zabójstw i uprowadził Jessicę, zapłaci mu za to. Bo jedno nie ulegało wątpliwości - skoro Sanchez znał ludzi, którzy dowiedzą się, co się stało, to znał też takich, którzy będą wiedzieli, co z tym zrobić. Ludzi, którzy dokonają zemsty w jego imieniu. Ma się rozumieć, będzie im musiał zapłacić, to jednak nie stanowiło problemu. Niemal wszyscy lubili jego bar. I nawet jeśli nie przepadali za nim, to kiedy chcieli się napić, woleli pić w Tapiocie niż gdzie indziej. Darmowe drinki przez cały rok będą aż nadto silnym bodźcem dla każdego mieszkańca Santa Mondega, żeby pomóc mu w chwili potrzeby.

Tyle tylko, że Sanchez nie chciał byle kogo. Chciał mieć Króla. Najlepszego rewolwerowca w mieście. Człowieka, którego zwali Elvis.

Rozdział ósmy

Archibald Somers wyglądał dokładnie tak, jak Jensen się tego spodziewał. Miał czterdzieści kilka lat, a może nawet przekroczył już pięćdziesiątkę, i nosił się jak prowadzący teleturnieje - siwe, gładko zaczesane do tyłu włosy, idealnie odprasowane szare spodnie i biała koszula w wąskie brązowe prążki, biegnące od kołnierzyka w dół. W kaburze pod pachą, po lewej stronie klatki piersiowej, nosił pistolet i jak na swoje lata był w całkiem przyzwoitej formie. Ani śladu szpetnego mięśnia piwnego, portki też mu nie opadały. Jensen sam by chciał tak wyglądać w jego wieku. Na razie jednak miał trzydzieści kilka lat, wyborną kondycję i całkiem mu to odpowiadało.

Do gabinetu, który przyszło im teraz dzielić, wchodziło się z ciemnego korytarza na drugim piętrze budynku komendy głównej. Wielkością nie różnił się od innych pomieszczeń usytuowanych przy tym korytarzu - jedno przeznaczono na magazyn dla sprzętaczek, w innym urządzono gabinet pierwszej pomocy lekarskiej, no a poza tym były jeszcze toalety. Jensen nie miał pojęcia, co było wcześniej w pokoju, który przystosowano na potrzeby ich wspólnego gabinetu, i wolał nie wiedzieć. Mimo to klitka miała swój styl - powleczone werniksem drzwi z ciemnego drewna i stylizowane na antyki biurka nadawały jej swoisty charakter, którego brakowało podzielonej na boksy głównej sali. I tylko jasnozielone, niczym w więzieniu, ściany psuły ogólny nastrój.

Somers stawiał się do pracy w południe; lepiej późno niż wcale. Jensen zorientował się tymczasem, że główne biurko pośrodku ich nowo urządzonego gabinetu należy do jego partnera, dlatego też zajął mniejsze biurko w kącie, gdzie prawie nie docierało światło, i zaczął rozpakowywać swoje nieliczne rzeczy osobiste.

- Zapewne detektyw Somers? Miło mi pana poznać - odezwał się, wstając, i wyciągał rękę do wchodzącego mężczyzny.

- Miles Jensen, tak? - odparł Somers, mocno ściskając mu dłoń. - Jesteś moim nowym partnerem, co?

- Właśnie - przytaknął Jensen z uśmiechem.

Na pierwszy rzut oka ten emerytowany gliniarz wcale nie był taki najgorszy.

- Wszyscy już ci mówili, że jestem palant, co? - zapytał Somers, podchodząc do krzesła za swoim biurkiem.

- Coś mi o tym przebąkiwano.

- Jasne. Nikt mnie tutaj nie lubi. Rozumiesz, jestem ze starej szkoły. Tu większość zajmuje się tylko dbaniem o swoje kariery i awanse. W dupie mają staruszki, które padają ofiarą rabusiów. Ich obchodzą tylko te sprawy, które da się rozwiązać raz-dwa i odpfajkować. Chyba wiesz, że to miasto ma najwyższy wskaźnik osób zaginionych w całym cywilizowanym świecie, co?

Jensen, z nadzieją, że jego partner nie będzie kończył każdego zdania pytaniem: „co?”, uśmiechnął się do niego szeroko.

- Tak, chociaż nie sądziłem, że Santa Mondega zalicza się do miejsc cywilizowanych.

- I tu akurat masz rację, przyjacielu.

Jensen usiadł na obrotowym krześle na kółkach przy swoim biurku. Jeżeli pierwsze wrażenie o czymkolwiek świadczy, czuł, że współpraca z Somersem powinna mu się układać. Oczywiście mowa tu tylko o pierwszym wrażeniu.

- Hm... Podobno masz obsesję na punkcie dorwania Bourbon Kida? Ale dlaczego z tego powodu wszyscy cię nienawidzą?

Emerytowany gliniarz uśmiechnął się.

- To nie z tego powodu mnie nienawidzą. Nie mogą na mnie patrzeć dlatego, że ja sam tego chcę. Staram się ich wkurzać przy każdej nadarzającej się okazji. Żaden z nich nigdy nie chciał mi pomóc przy śledztwie, którego nie dałoby się zakończyć w ciągu tygodnia. Właśnie dlatego sprawa Bourbon Kida powędrowała do akt. Bo tylko ja jeden wciąż się nią zajmowałem. Udało im się mnie pozbyć pod pretekstem, że budżet nie pozwala nam prowadzić śledztwa, jeżeli istnieje możliwość, że Bourbon Kid nie żyje. No i co, teraz pewnie żałują, nie sądzisz? Ostrzegałem burmistrza, że Kid kiedyś wróci, ale posłuchał tamtych idiotów.

- Czyli że winisz burmistrza?

- E tam. - Somers pokręcił głową. - Burmistrz to z gruntu porządny facet, ale ma kupę doradców, którym zależy na tym, żeby historia Bourbon Kida poszła w zapomnienie. Nie pamiętają o tych wszystkich wdowach, które straciły mężów przez tego skurwiela. On wcale nie zniknął. Od pięciu lat zabija ludzi dzień w dzień, ale dopiero teraz pozwala odnajdywać nowe zwłoki. Szykuje nam kolejną masakrę. I tylko ty i ja, Jensen, możemy temu zapobiec.

- Zdajesz sobie sprawę, że nie przyjechałem tu tylko w związku ze sprawą Bourbon Kida?

- zapytał Miles, mając nadzieję, że nie obrazi partnera, który do pracy najwyraźniej podchodził z prawdziwą pasją.

- Wiem, po co tu jesteś - odparł Somers z szerokim uśmiechem. - Uważasz, że mają tu miejsce jakieś zjawiska nadprzyrodzone i że za tymi morderstwami stoi prawdopodobnie

sekta satanistów. Nie chcę cię okłamywać, moim zdaniem to jedna wielka bzdura, ale dopóki jesteś po mojej stronie i twoje śledztwo pomoże mi udowodnić, że te zbrodnie popełnia Bourbon Kid, a nie Jar Jar Binks, to nie ma sprawy.

Możliwe, że Somers był ciut cyniczny, a także nieco nadmiernie przywiązany do jednej, jedynej teorii, iż to Bourbon Kid stoi niemal za każdą zbrodnią, ale nie wyglądał na tak skończonego cymbała, jak go przedstawiano Jensenowi. Stosując przemyślną dyplomację, można by tego cynicznego starego glinę przekabacić i wykorzystać do swoich celów. Z pewnością nie brakowało mu motywacji.

- Jar Jar, tak? Co z tobą, masz fioła na punkcie kina?

- Interesuję się po amatorsku.

- Jakoś nie mogę sobie ciebie wyobrazić jako fana *Gwiezdných wojen*.

Somers przecesał długimi palcami lśniące siwe włosy i odetchnął głęboko.

- Bo i nie jestem. Wolę rzeczy, które zmuszają mnie do myślenia, a nie tylko do patrzenia, no i doceniam dobre aktorstwo. Dzisiaj co drugiego z czołowych aktorów wybiera się ze względu na wygląd, a nie talent. Dlatego większość z nich znika z ekranów przed trzydziestkąpiątką.

- Jasne... czyli że jesteś fanem Pacina i De Nira?

Somers pokręcił głową i westchnął.

- Gdzie tam, to jednowymiarowe, przebrzmiałe sławy odcinające kupony od chwały filmów gangsterskich z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, w których obsadzano ich etatowo.

- Nabijasz się ze mnie, prawda?

- Nie, za to Jacka Nicholsona mogę oglądać na okrągło. Ten facet potrafi zagrać dowolną rolę w dowolnym filmie. Ale jeśli chcesz mi zaimponować znajomością kina, Jensen, odpowiedz na takie pytanie... - Stary glina uniósł brew w stylu Jacka Nicholsona. - Reżyserzy, bracia Scott... wolisz Ridleya czy Tony'ego?

- Nie ma porównania. Tony'ego, bez dwóch zdań - odparł Miles bez wahania. - Nie powiem, Ridley nieźle się sprawił przy *Łowcy androidów* i *Obcym*, ale *Wróg publiczny* i *Karmazynowy przyływ* to rzeczy nie do przecenienia. Dobre, inteligentne filmy.

- W których bohaterem był czarny, tak? - Somers chciał mu zagrać na nerwach, lecz spudłował.

- To prawda, ale nie dlatego mi się podobają. Tony reżyserował też *Prawdziwy romans*, całkiem udany film, w którym nie ma czarnego bohatera.

- W porządku. - Emerytowany gliniarz westchnął. - Ja mimo wszystko wolę Ridleya, a to

dlatego, że Tony ma na koncie taką chałę jak horror *Zagadka nieśmiertelności*. W życiu nie widziałem takiego gniota o wampirach.

- Zgoda, to nie to samo co *Straceni chłopcy*.

- Święta prawda - przytaknął Somers i mając już dość tej dyskusji, zaproponował: - Słuchaj, znajźmy coś, co do czego się zgodzimy, a wtedy możesz powiedzieć każdemu, że jesteśmy bratnimi duszami. Proste pytanie: Robert Redford czy Freddie Prinze Junior?

- Redford.

- Dziękuję. To skoro już mamy ze sobą coś wspólnego, układ stoi, partnerze?

- Układ? Jaki układ?

- Taki, że ja biorę pod uwagę wszystkie te twoje nadprzyrodzone teorie i pomagam ci, jak dalece mogę, a ty rewanżujesz mi się tym samym. Przyjmujesz moją teorię na temat Bourbon Kida i traktujemy się na serio. Bóg mi świadkiem, że w tej komendzie policji nikt inny nie weźmie nas poważnie.

- Układ stoi, detektywie.

- Dobrze. To co, chcesz zobaczyć, jak Kid urządził te ostatnie pięć ofiar?

Miles pokiwał głową.

- Dawaj.

Somers wyciągnął lewą szufladę biurka, a z niej przezroczystą plastikową koszulkę. Otworzył ją i wysypał na biurko plik fotografii. Jensen wstał z krzesła, wziął pierwszą z brzegu błyszczącą odbitkę i przyjrzał jej się z uwagą. To, co zobaczył, przeraziło go. Nie wierzył własnym oczom. Potem spojrział na pozostałe zdjęcia na biurku. Omiatał je wzrokiem przez kilka sekund, a potem popatrzył na partnera, który siedział, kiwając głową. Miles Jensen widział już w życiu wiele naprawdę odrażających rzeczy, ale z czymś tak ohydny jeszcze się nie zetknął.

- Czy ja dobrze widzę? - zapytał cicho.

- Rozumiem cię - odparł Somers. - Jaki pojebany, chory skurwysyn mógłby zrobić coś takiego innemu człowiekowi?

Rozdział dziewiąty

Późnym rankiem mężczyzna zwany Elvisem triumfalnie wkroczył do baru Tapioca. Poruszał się tak, jakby tańczył na estradzie jive'a w rytm *Suspicious Minds*, i to nie tylko tego dnia, lecz zawsze. Zupełnie jakby nosił niewidzialne słuchawki, z których na okrągło leciał ten sam kawałek. Sanchez uwielbiał tego faceta; z podnieceniem oczekiwał na to spotkanie, ale - rzecz jasna - nie zamierzał się z tym zdradzić. Nie wyszłoby mu na dobre, gdyby Elvis dowiedział się, że go lubi. Elvis był tak zajebisty, że barman poczułby się jak ostatni głupek, gdyby wyszło na jaw, że go, tego no... wiecie... no że tamten jest jego idolem.

Poza tym Elvis ubierał się zajebiście. W każdym razie wyglądał zajebiście jak na kogoś, kto zawsze nosił się jak Elvis Presley. Wielu ludzi uważa, że ci, którzy naśladują Elvisa, są śmieszni, że przynoszą sobie wstyd, ale o tym facecie nikt by tak nie pomyślał. Przypominał im, jak zajefajny był Król w czasach, zanim przestał być spoko.

Tego akurat dnia Elvis wystroił się w liliowy garnitur. Miał spodnie „dzwony” z czarnymi frędzlami biegnącymi po bokach wzdłuż całych nogawek oraz idealnie dopasowaną marynarkę z czarnymi klapami, które pasowały do czarnej koszuli z cienkiego materiału, zapiętej tylko do połowy, dzięki czemu widać było opaloną, włochatą pierś i gruby złoty medalion z napisem TCB (*Taking Care of Business* - „Dbaj o swoje”), zwisający z szyi na ciężkim złotym łańcuchu. Niektórzy uważali wprawdzie ten medalion za tandetny, ale zdaniem Sancheza był odjazdowy. Elvis miał też długie czarne baki i bardzo gęste czarne włosy (niemal wymagające podcięcia). Końcowym sznytem był jego znak firmowy - okulary przeciwsłoneczne w grubej złotej oprawie, z którymi się nie rozstawał. Nie zdjął ich nawet wtedy, kiedy już usiadł przy kontuarze, gotów do omawiania interesu z Sanchezem.

Ani on, ani barman nie przejmowali się tym, że w lokalu panuje spory ruch. Skoro Elvis przez pół godziny chciał bić pianę z Sanchezem, żaden z klientów nie ośmieliłby się złożyć zamówienia. W miasteczku ludzie szanowali Elvisa, bali się go, a co najdziwniejsze, prawie wszyscy także go lubili.

- Coś mi się obilo o uszy, że masz jakieś gówniane wieści - odezwał się Król, znacząco kiwając głową.

Sanchez wziął butelkę i, nieproszony, nalał mu szklankę whisky.

- Gówniane wieści szybko się rozchodzą - odparł i powoli pchnął szklankę po ladzie w kierunku Elvisa.

- Tylko że za tym twoim gównem ciągnie się niezły smród - zauważył Król przeciągłym, głębokim głosem.

Po raz pierwszy tego dnia Sanchez się uśmiechnął. Wprawdzie tylko półgębkiem, ale przebywanie w obecności wielkiego człowieka wydobyło go z głębin smutku, w którym pograżył się od czasu znalezienia zwłok brata. Boże, błogosław Króla.

- Elvis, przyjacielu, powiedz, co konkretnie wiesz na ten temat?

- Szukasz kierowcy żółtego cadillaca, zgadza się?

- Zgadza. Widziałeś go?

- Widziałem. Mam go dla ciebie zabić?

- No. Zabij go. - Ku radości Sancheza Elvis sam to zaproponował. Barmana niepokoiła bowiem myśl, że będzie musiał się z tym do niego zwrócić. - Niech cierpi, a potem zabij go jeszcze raz. A jeśli to nic nie da, weź go na tortury, póki nie zdechnie.

- Zabić go więcej niż raz, he? Normalnie to by kosztowało ekstra, ale lubię cię, Sanchez, więc dla ciebie zabiję go po raz drugi za darmo.

Słowa te zabrzmiały w uszach barmana jak muzyka. Miał wrażenie, że nagle w głowie rozbrzmiały mu dźwięki *Suspicious Minds*.

- A ile chcesz za tę robotę? - zapytał.

- Tysiączek z góry. A jak już będzie trupem, chcę, żebyś zabulił za przemalowanie jego bryki. Zawsze mi się marzył różowy cadillac. To coś w sam raz dla rockandrollowca, no nie?

- Fakt - przyznał Sanchez. Wziął butelkę whisky i dolał Elvisowi do pełna. - Pójdę po pierwszą zaliczkę. Popilnujesz mi baru przez chwilę?

- Sie wie, szefie.

Elvis przez minutę siedział i gapił się w swoją szklanę, przeglądając się w niej. Sanchez zniknął na zapleczu, żeby przynieść pieniądze. Ale Królowi nie chodziło tylko o forszę i brykę. Powiadano, że kierowca żółtego cadillaca jest w posiadaniu cennego niebieskiego kamienia. Takie cacko mogło być warte majątek. Elvis nie znał się na biżuterii, wiedział jednak, że kobiety lubią błyskotki. Taki prezencik był najlepszym sposobem na zdobycie serca jakiejś damy, a Elvis uwielbiał panny.

Barman wrócił z tłustą brązową kopertą, wypchaną forszą. Elvis otworzył ją. Przerzucił banknoty, nie po to, żeby je przeliczyć, ale by sprawdzić, czy są prawdziwe, chociaż ufał Sanchezowi na tyle, na ile w ogóle zdolny był komukolwiek zaufać. Zadowolony, że wszystko jest w porządku, złożył kopertę wpół i schował ją do wewnętrznej kieszeni marynarki. Następnie chwycił szklanę, wychylił ją jednym szybkim haustem, okręcił się błyskawicznie na stołku, wstał i ruszył do drzwi.

- Hej, Elvis, zaczekaj! - zawołał Sanchez.

Król zatrzymał się, ale się nie obejrzał.

- No, chłopie, co jest?

- Nazwisko.

- Nazwisko?

- Tak, jak się nazywa ten facet, którego dla mnie zabijesz? Czy to ktoś, kogo znam?

- Możliwe. Jest nietutejszy. To łowca nagród.

- Ale jak się nazywa? I dlaczego zabił mojego brata i jego żonę?

Początkowo Sanchez nie zamierzał zadawać Elvisowi takich pytań, skoro jednak cyngiel przyjął robotę i ruszał wypełnić jego zlecenie, barman gwałtownie zapragnął dowiedzieć się czegoś więcej o tajemniczym kierowcy żółtego cadillaca.

Elvis odwrócił się i spojrzał na Sancheza ponad szklami okularów przeciwsłonecznych.

- Na pewno chcesz wiedzieć? Może lepiej powiem ci dopiero po wykonaniu roboty? Wiesz, żebyś się czasem nie rozmyślił.

- E tam, gadaj... Kim jest ten skurwiel?

- Wredny facet, wołają na niego Jefe. Ale spoko, jutro o tej porze będzie miał ksywkę Jefe Sztywniak.

Zanim barman zdążył go przestrzec, że Jefe to naprawdę groźny gość, Elvis wyszedł. No i dobrze. Da sobie radę z Jefe. Skurwysyna czeka paskudna i gwałtowna śmierć z ręki Króla.

Rozdział dziesiąty

Detektywi Miles Jensen i Archibald Somers od razu poznali, czym dziełem było to, co mieli przed sobą. Jensen spojrział na partnera, który niewątpliwie myślał o tym samym. Kolejne zwłoki dwóch osób, zamordowanych w sposób równie bezlitosny, jak pięć ofiar na zdjęciach, które Somers pokazał Jensenowi wcześniej. Tymi nieszczęśnikami byli Thomas i Audrey Garcia. Nie ulegało wątpliwości, że uda się to potwierdzić później dzięki kartotekom dentystycznym, na razie jednak przyjęli to jako wielce prawdopodobne założenie.

Przyjechali na wielką farmę na skraju miasteczka długo po policjantach, wezwanych telefonicznie na miejsce zbrodni przez krewnego ofiar. Długi i kręty bity trakt prowadził do werandy od frontu. Przechodzona stara limuzyna marki BMW Jensena z najwyższym trudem pokonała wertepy i wyboje w jednym kawałku. Stary dom stał tam od lat, mężnie znosząc napór wszelkich żywiołów. Żeby to stwierdzić, nie trzeba było wielkiego detektywa.

Już kilka sekund po wejściu do kuchni od frontu Jensen pozazdrościł Somersowi, który przezornie wziął ze sobą chusteczkę, a teraz zatykał nią usta i nos. Wydobywający się ze zwłok odór zbijał z nóg, a Miles był jedyną obecną tam osobą, która nie miała niczego, żeby zabezpieczyć się przed osaczającym ich zapachem. W kuchni zastali pięciu policjantów. Dwaj z nich taśmą mierniczą sprawdzali odległości od zwłok do innych miejsc w kuchni. Inny pracowicie pstrykał zdjęcia polaroidem. Co chwila aparat z terkotem wypluwał fotografie podobne do tych, na których Somers uwiecznione miał poprzednie pięć ofiar. Jeszcze inny funkcjonariusz usiłował zdejmować odciski palców - zadanie nie do pozazdroszczenia, bo niemal każdy centymetr kwadratowy kuchni spryskany był krwią. Piątym i ostatnim gliniarzem był porucznik Paolo Scraggs - najwyraźniej najstarszy rangą, bo nie robił nic poza tym, że zaglądał przez ramię kolegom, sprawdzając, czy należycie wykonują pracę.

Scraggs miał na sobie elegancki granatowy garnitur. I choć nie był to przecież strój służbowy, nosił go niczym mundur. Pod marynarką miał starannie odprasowaną, nieskazitelnie białą koszulę i ciemnogramatowy krawat bez wzorków. To, że jak widać, bardzo dbał o swój wizerunek, miało sens, bo przywiązywanie wagi do szczegółów było niezbędnym warunkiem, by znaleźć się w jego zespole. W „jego” ekipie technicznej. Nie uchodziła ona wprawdzie za dumę wydziału policji w Santa Mondega, ale Scraggs wychodził ze skóry, żeby zmienić ten stan rzeczy.

Ubiegły tydzień wystawił Scraggsa i jego ekipę na poważną próbę z powodu

makabrycznych morderstw, do jakich doszło ostatnio, a dzień dzisiejszy nie różnił się od poprzednich. W kuchni panował nieopisany bajzel. Oprócz krwi, która wyglądała, jakby polewano ją z węża ogrodowego, na podłodze i blatach walały się garnki, patelnie i porozbijane talerze. Albo Thomas i Audrey Garcia stoczyli niesamowitą walkę, albo ich zabójca zdemolował pomieszczenie, szukając czegoś cennego.

Lekarz sądowy zdążył już odjechać, ale załoga karetki nadal była na miejscu - czekała przed werandą, aż ktoś pozwoli im zapakować i wywieźć zwłoki. Somers dał im znak i wzięli się do roboty.

- Kto pierwszy przybył na miejsce? - spytał głośno emerytowany gliniarz, kiedy ratownicy medyczni przebiegali obok niego.

- Ja - odparł Scraggs i podszedł do niego z wyciągniętą ręką. - Porucznik Scraggs. Ja tu dowodzę.

- Już nie - walnął Somers prosto z mostu. - Detektyw Jensen i ja przejmujemy sprawę.

Scraggs, co zrozumiałe, wściekł się i opuścił rękę, widząc, że nie ma co liczyć na uścisk dłoni detektywa. Wiedział, kim jest Somers, więc powinien się zastanowić, zanim mu poda rękę. Na usta cisnęło mu się słowo: „Palant!”, ale powiedział tylko:

- Nie ma sprawy, Somers. Jak pan sobie życzy.

- Macie już jakieś tropy?

- Tak jest. Któryś z moich ludzi zebrał zeznania od brata jednej z ofiar.

- Od brata, he? Znamy go?

- Możliwe, że pan go zna. To Sanchez Garcia, kierownik baru Tapioca. Ten truposz, Thomas Garcia, był jego bratem.

Somers wyciągnął z kieszeni płaszcza mały notes, otworzył go i z pętelki na końcu wyjął ołówek.

- Czy Sanchez ma jakiś pomysł, kto mógł to zrobić? - zapytał.

Jensen niemal pozwolił sobie na uśmiech. Przez krótką chwilę Somers wyglądał i mówił niemal jak porucznik Columbo. Pohamował jednak wesołość. Zdecydowanie nie był to właściwy czas i miejsce na podśmiewanie się, zwłaszcza że Scraggs jawnie mu się przyglądał.

- Powiedział, że nie ma pojęcia, kto mógłby chcieć ich zabić - odparł porucznik i ciągnął: - Ale powiem wam jedno: jego zdaniem kosmici nie mają z tym nic wspólnego.

Skierował ten przytyk pod adresem Jensena, który nie po raz pierwszy słyszał coś takiego. Miasto nowe, a gówniane dowcipy wciąż takie same. Jakże przewidywalne. I męczące.

- Hej! - warknął Somers. - Odpowiadaj tylko, kurwa, na pytania. A szczeniackie uwagi

zatrzymaj dla siebie. Mamy tu dwóch sztywnych. Najprawdopodobniej to niewinni ludzie. Twój sarkazm nie pomoże nam złapać zabójcy.

- Przepraszam pana.

- Bo i masz za co. - Widać było, że Somers wzbudza respekt, i Jensen nadal nie rozumiał powodów, dla których inni gliniarze tak go nienawidzili. Patrzył na starszego detektywa, który mówił dalej: - Dobra, a kto znalazł zwłoki? Ten Sanchez?

- Tak jest, proszę pana - odparł Scraggs. - Twierdzi, że przyjechał tu około ósmej rano. Natychmiast zadzwonił na dziewięćset jedenaście.

- O ósmej, powiadasz? A gdzie jest teraz?

- Musiał wracać do pracy, przygotować bar przed otwarciem.

Jensen doszedł do wniosku, że najwyższy czas zaznaczyć swoją obecność. Zrobienie dobrego wrażenia na samym początku pierwszego śledztwa na nowym terenie zawsze było bardzo ważne. Wtrącił więc swoje trzy grosze:

- Sądząc ze stanu zwłok, ci ludzie zginęli stosunkowo niedawno. Czy Sanchez nie zauważył tu nikogo po przyjeździe? Na moje oko, tych dwoje zabito dziś rano.

- Twierdzi, że nic nie widział.

Rzucało się w oczy, że zwracając się do Jensena, Scraggs nie dodał na końcu: „proszę pana”. Czarny detektyw nie przejął się tym. I tak w końcu zdobędzie szacunek porucznika i innych gliniarzy. Jak zawsze do tej pory. Nie zwracając uwagi na opryskliwy ton Scraggsa, ciągnął:

- Ten dom stoi wyraźnie na uboczu. Dojechać i wyjechać można tylko jedną drogą. Pytaliście Sancheza, czy jadąc tutaj, mijał kogoś zmierzającego w przeciwnym kierunku?

- Oczywiście, że tak. I jak ci właśnie mówiłem, twierdzi, że nic nie widział.

- W porządku.

Może i było to głupie pytanie, ale Jensen nie wiedział, jak bardzo starannie policja w Santa Mondegga prowadzi przesłuchania, a z pewnością niczego nie zamierzał przyjmować na wiarę. Zerknął na partnera, który zapytał:

- Chcesz sam przesłuchać Sancheza?

Zapewne widział, że nowo przybyły detektyw aż się pali, żeby zweryfikować zeznanie Sancheza. Jensen poczuł, że chyba powoli zaczyna zdobywać nieco szacunku ze strony starszego partnera. Kierował się zawodową uczciwością i był dumny ze swojej pracy, co Somers najwyraźniej zaczął doceniać.

- Chcesz jechać ze mną? - zapytał Jensen.

- E-e, jedź sam. Zostanę tu z nimi i zobaczę, co da się znaleźć... wiesz, dopilnuję, żeby

niczego nie przegapili. - Było oczywiste, że ta uwaga nie spodobała się technikom, którzy posłali Somersowi kilka kąśliwych spojrzeń. Rzecz jasna, wcale się tym nie przejął. Drażnienie ich sprawiało mu niekłamaną przyjemność. - Aha, Jensen... pewnie sam byś do tego doszedł, ale i tak ci powiem: podczas przesłuchania Sanchez przez cały czas będzie łął jak najęty. On nie z tych, co to współpracują z policją. Jeżeli jest taki, jak mi się wydaje, to zdążył już wynająć płatnego cyngla, żeby załatwił tego zabójcę czy zabójców, tak że nie wierz we wszystko, co ci powie. W tym, co usłyszysz, prawdy będzie góra pięćdziesiąt procent.

Jensen zostawił partnera, żeby dalej wyżywał się na ekipie techników, i wyszedł na dwór. Cóż za ulga, wyjść z tego smrodu w kuchni na świeże powietrze! Przez dłuższą chwilę stał, oddychając pełną piersią. Karetka podjechała tyłem pod werandę i dwaj ratownicy medyczni pakowali do niej nosze. Większa torba na zwłoki leżała już w karetce, z boku, a teraz wnosili prawdopodobnie ciało Audrey. Jeden facet, pochylony, włożył do karetki tyłem, a drugi usiłował od spodu utrzymać nosze ze swojej strony. Blokował drogę Jensenowi, tak więc detektyw odczekał, aż zapakują nosze, i dopiero wtedy poklepał faceta po ramieniu.

- Mam się spotkać w barze Tapioca z niejakim Sanchezem Garcia. Wiesz, gdzie to jest? - zapytał.

- Jasne. Przejeżdżamy tamtędy w drodze do kostnicy - odparł medyk przez zaciśnięte zęby, dopychając nosze na miejsce. - Jedź pan za nami, jeśli pasuje.

- Dzięki, tak właśnie zrobię. - Wyciągnął z kieszeni banknot dwudziestodolarowy i podsunął go sanitariuszowi pod nos. - Jeszcze jedno. Gdyby Sanchez chciał wymierzyć sprawiedliwość we własnym zakresie, komu zleciłby mokrą robotę?

Mężczyzna przez moment patrzył na banknot, zastanawiając się, czy go przyjąć, czy nie. Nie namyślał się długo. Wyrwał pieniądze z ręki Jensena i schował do górnej kieszeni.

- W takiej sprawie Sanchez zaufałby tylko Królowi - powiedział.

- Królowi?

- Ano. Elvis żyje, chłopie. Nie wiedziałeś?

- Jak widać, nie.

Rozdział jedenasty

Marcusa Gnide wciąż męczył kac. Ale niespecjalnie się tym przejmował. Zwalczał klina klinem, dzięki czemu najgorsze miał już za sobą. Ubiegłej nocy spadł jak kot na cztery łapy. Obrobienie Jefe okazało się o wiele łatwiejsze, niż przypuszczał. Kiedy go okradał, łowca nagród spał smacznie jak niemowlę. Rzecz jasna, sprawę ułatwił fakt, że Marcus wrzucił do jego szklanki pigułkę gwałtu. W normalnych okolicznościach nie marnowałyby bezcennego rohypnolu na kogoś, w stosunku do kogo nie miał seksualnych zamiarów, no ale Jefe nosił na szyi ten piękny niebieski kamień. Ukrywał go całkiem nieźle, jednak im bardziej był wstawiony, tym częściej widać było, że coś tam chowa; w każdym razie widzieli to ludzie pokroju Marcusa, który miał oko do takich rzeczy. Przy okazji okazało się, że w kieszeniach Jefe Marcus znalazł kilka tysięcy dolarów, tak że spokojnie mógł pić na jego koszt przez dobre kilka miesięcy.

Wynajął sobie całkiem miły pokoik w hotelu Santa Mondega International. Ze względu na cenę nie zamierzał zatrzymać się tam na dłużej, ale chciał zakosztować kilku dni pławienia się w luksusie. Uznał, że skoro dopisał mu fart, to coś mu się od życia należy. A co, kurde, dlaczego miałby sobie nie dogadzać? Zasłużył na to.

Dochodziła druga po południu, a on wciąż jeszcze nawet nie rozsunął zasłon. Rozparł się leniwie na olbrzymim podwójnym łożu w pokoju hotelowym; nadal miał na sobie czarne skórzane spodnie, które nosił poprzedniego wieczoru, i siatkowy podkoszulek, niegdyś zapewne biały. Ekran telewizora umieszczono wielce dogodnie na ścianie na wprost łóżka, a butelka whisky stała pod ręką na nocnym stoliku, na wypadek gdyby miał ochotę walnąć sobie lufę. To się nazywa światowe życie, ot co! Właśnie tak Marcus wyobrażał sobie niebo, a w każdym razie tak wyobrażał sobie swoje życie, gdyby został królem.

Oglądał właśnie drugi z nadawanych kolejno odcinków serialu *BJ i Bear* na jakimś nieznanym kanale satelitarnym, kiedy ktoś cicho zapukał do pokoju.

- Obsługa hotelowa - dobiegł zza drzwi nieco stłumiony głos kobiety.
- Niczego nie zamawiałem.

Przez chwilę panowała cisza.

- Eee, no... bo ja jestem pokojówką. Chciałam pościelić panu łóżko i posprzątać.

Marcus sięgnął pod poduszkę u wezglowia łóżka i wyciągnął rewolwer. Zawsze trzymał broń pod poduszką, a w każdym razie pod tym, na czym składał głowę na noc; ot tak, na

wszelki wypadek. Poprzedniego wieczoru zaś był w szczególnie paranoidalnym nastroju. Przedsięwziął nadzwyczajne środki ostrożności, w obawie, że Jefe go odnajdzie, żeby się zemścić za kradzież portfela oraz, co ważniejsze, niebieskiego kamienia.

Wstał z łóżka i chwiejnie podszedł do drzwi, po raz pierwszy zdając sobie sprawę z tego, ile wypił ubiegłej nocy. Dopiero teraz oświeciło go, że zionie gorzałą, a jego ubranie nadaje się do pralni, na razie jednak obchodziło go tylko to, kto też stoi za drzwiami i podaje się za pokojówkę. W Santa Mondega jeśli ukradło się komuś furę szmalu i cenny kamień, trzeba było pilnować własnego tyłka przez ładne kilka tygodni, albo i dłużej. Z rewolwerem wycelowanym w drzwi spojrzał przez wizjer. Zobaczył stojącą w korytarzu młodą kobietę o bladej cerze, niewiele po dwudziestce, w typowym czarnym stroju pokojówki i białym fartuszk. Wyglądała tak niegroźnie, że wsadził rewolwer za pasek skórzanych spodni na plecach i otworzył drzwi; na wszelki wypadek nie zdjął jednak łańcucha.

- Dzień dobry, panie... Jefe, prawda? - odezwała się pokojówka, odczytując jego imię z karteczki, którą trzymała w ręku. Marcus przypomniał sobie, że meldując się w nocy w hotelu, zapłacił pieniędzmi ze skradzionego portfela. Widocznie jako dowód tożsamości pokazał recepcjoniście prawo jazdy Jefe.

- Tak, jestem Jefe. Chcesz wejść i posprzątać, dobrze mówię?

- Jeśli można, panie Jefe... oczywiście jeśli to panu nie przeszkadza.

Marcus zdjął łańcuch i otworzył drzwi.

- Wchodź, słodziutka. Jak ci na imię?

- Kacy.

Dziewczyna uśmiechnęła się do niego; ten uroczy uśmiech stopiłby serce każdego mężczyzny. A serce Marcusa łatwo było stopić. To dziewczę, ta pokojówka, która przed nim stała, była prześliczna. I wcale nie wydawało mu się tak, bo wciąż był pijany. Od lat nie spotkał równie pięknego stworzenia. Ta mina niewiniątka, te wspaniałe włosy... Gnida był wielkim amatorem kobiecych włosów. Piękne włosy stały niemal na szczycie listy zalet, jakie powinna posiadać jego ewentualna partnerka. Włosy tej dziewczyny, jedwabiste i sięgające do ramion, były ciemne. Bardzo ciemne. W Santa Mondega prawie wszyscy faceci szaleli za blondynkami, bo bardzo rzadko trafiały się w tych stronach, ale nie Marcus. On zawsze wolał brunetki.

- Uwinę się w dziesięć minut, panie... Jefe. Nawet pan nie zauważy, kiedy skończę - obiecała z zuchwałym uśmiechem i chyba nawet puściła do niego oko.

- Nie ma pośpiechu, Kacy, nikt cię stąd nie wyrzuci. A może byś tak ze mną trochę posiedziała, łyknęlibyśmy po jednym?

Pokojówka zachichotała. Piskliwie - nieomylny znak, że Marcus wpadł jej w oko. Znał się na tym. Złodziejska intuicja.

- No, ja to bym nawet i chciała, ale nam nie wolno zadawać się z klientami na terenie hotelu.

- To wyskoczmy gdzieś, maleńka - zaproponował Marcus, sprośnie puszczając do niej oko.

Kacy splonęła rumieńcem, ale propozycja wyraźnie jej się spodobała, bo szybko przesunęła po wargach palcem wskazującym lewej dłoni i oblizała go, jakby droczyła się z Marcusem.

- Pan poważnie... że niby tak na randkę?

- Jasne. Czemu nie?

Przez chwilę rozważała propozycję. Sprawiała wrażenie, że pomysł wydaje jej się kuszący, i chyba rzeczywiście tak było.

- Zgoda. Uwinę się w piętnaście minut. To może weźmie pan prysznic, a ja tymczasem posprzątam i spotkamy się na dole w holu za pół godziny?

Dopiero teraz Marcus uświadomił sobie, że śmierdzi. Stanowczo powinien wskoczyć pod prysznic, właśnie teraz.

- Jasne jak słońce... Kacy - powiedział, łypiąc na nią lubieżnie.

Czym prędzej ruszył do łazienki, ściągając po drodze siatkowy podkoszulek. Kacy znów zachichotała, a następnie podeszła do łóżka, żeby zmienić pościel.

- Zostawić włączony telewizor, kiedy będzie pan się kąpał, panie Jefe?

- Jak sobie chcesz, maleńka. Rób, jak sobie chcesz! - zawołał, puszczając wodę pod prysznicem i rozbierając się. Zapowiada się klawy dzień, pomyślał. Może to ten niebieski kamień przynosi mu szczęście? Albo ta kupa szmalu, którą zwędził? Ostatecznie nic tak nie przydaje atrakcyjności u płci przeciwnej jak zdobycie majątku.

Ściągnął czarne skórzane spodnie - rewolwer spadł na dywanik w łazience, więc odtrącił go nogą na bok - i już miał wejść pod prysznic, gdy nagle przypomniał sobie, że zostawił swój portfel (bo przecież teraz był to już jego portfel) na stoliku nocnym przy łóżku. W jego głowie rozdzwoniły się dzwonki alarmowe. Czy powinien zaufać tej dziewczynie, pokojówce, którą dopiero co poznał? Po chwili uzyskał odpowiedź - stanowcze „tak” - kiedy drzwi łazienki otworzyły się i panna stanęła przed nim, z portfelem w ręku.

- Wie pan, lepiej nie zostawiać portfela tak na wierzchu. Ktoś mógłby go ukraść, a nie możemy sobie na to pozwolić, bo to pan stawia mi lunch, prawda? - powiedziała, mierząc go wzrokiem od stóp do głów.

Marcus stał nagi i doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Należał jednak do tych mężczyzn, którzy lubią obnażać się przed kobietami, zwłaszcza przed tymi, które się tego nie spodziewają. Mina Kacy podpowiadała mu, że dziewczyna jest zaskoczona tym widokiem, ale i wyraźnie zadowolona. Znowu puścił do niej oko, tym razem powoli, seksownie.

- Połóż to gdzieś z boku, malutka. Zanim się obejrzysz, będę z powrotem.

Kacy uśmiechnęła się do niego, położyła portfel koło umywalki i wróciła do sypialni.

- No nie! - krzyknęła, podniecona. - Czy to *BJ i Bear*? Uwielbiam ten serial!

To będzie wspaniały dzień! Naprawdę wspaniały dzień dla Marcusa Gnidy! Uznał, że nareszcie trafiła mu się szczęśliwa passa, która oby nigdy się nie skończyła. Rzecz jasna, po takiej nocy jak ta ostatnia, ktoś bardziej inteligentny zachowywałby daleko posuniętą ostrożność i nie ufał nowo poznanym ludziom. Bogiem a prawdą, ktoś bardziej inteligentny już dawno wyjechałby z miasteczka.

I to z mocnym postanowieniem, że nigdy tu nie wróci.

Rozdział dwunasty

Kiedy Jensen dotarł do budynku komendy głównej, Somers siedział już za biurkiem i przyglądał się utrwalonym na fotografiach dowodom zebranych na miejscu ostatnich morderstw. Podniósł wzrok i zapytał:

- Wycisnąłeś z Sancheza coś pożytecznego?

Jensen zdjął brązową skórzaną kurtkę i rzucił ją nad biurkiem w kącie; kurtka prześliznęła się nad oparciem krzesła i zsunęła na podłogę.

- Nic a nic. Nie jest zbyt rozmowny w kontaktach z policją Santa Mondega, co?

- Ehe. Ostrzegalem, że to ciężki orzech do zgryzienia.

- A tobie jak poszło? - spytał Jensen, zerkając na odbitki z polaroida na biurku Somersa. - Technicy zebrali coś ciekawego?

- Nie. Na razie nic. Najwcześniej za jakiś tydzień zorientują się, że połowa odcisków palców, które sprawdzają, to ich własne ślady.

Jensen przez grzeczność roześmiał się, wyciągnął rękę i wziął jedno ze zdjęć, które Somers już obejrzał i odsunął na skraj biurka jako nieistotne. Odrażające zbliżenie zwłok jednej z ofiar ukazywało papkę z czerwonego ciała i krwi, najwyraźniej uformowaną tak, żeby przypominała zakrwawioną postać ludzką. Obraz na fotografii przedstawiał się jeszcze gorzej niż widok, jaki zastał w rzeczywistości, po przybyciu na farmę. Zrobiło mu się niedobrze.

- Które to z nich? - zapytał słabym głosem.

Somers podniósł wzrok.

- Chyba ona. Ale trudno powiedzieć, co?

Jensen zmarszczył czoło. Dawno już odkrył, że marszczenie czoła jest znakomitą metodą zapewniającą mu koncentrację na tym, co ma do zrobienia. Nie wiedział, dlaczego tak jest, a jednak myślenie najlepiej wychodziło mu wtedy, gdy marszczył czoło. W tym momencie myślał, że między tymi wszystkimi trupami musi zachodzić jakiś oczywisty związek. Każde morderstwo wyglądało dokładnie tak samo, to jasne, ale co łączyło ofiary? Co miały ze sobą wspólnego? Teraz było w sumie siedem zabójstw. Czy jest jakiś wspólny mianownik między tymi dwiema ofiarami i pięcioma z fotografii, które Somers pokazał mu wcześniej?

- Stwierdzenie, że tych dwoje zabiła ta sama osoba czy osoby, co poprzednie pięć ofiar, to chyba czysta formalność, mam rację? - zapytał.

- Co ty powiesz?

Jensen spojrzał na partnera ostro, podejrzewając, że się z niego nabija, zdał sobie jednak sprawę, że tamten ma po prostu taki sposób bycia.

Podszedł do swojego biurka i usiadł, zostawiając kurtkę na podłodze. Odchylił się na krześle i podniósł zdjęcie do oczu, żeby mu się lepiej przyjrzeć. Na pewno coś na nim jest. Coś takiego, dzięki czemu wpadnie na jakiś pomysł. Ale co? Cokolwiek to było, cokolwiek łączyło te zabójstwa, nie dawało się zauważyć na tych fotografiach. Somers ma chyba na ten temat jakąś teorię?

- Znalazłeś coś, co łączyłoby ze sobą te ofiary? - zapytał partnera.

Ten, nie odrywając wzroku od zdjęć, pokręcił głową.

- Nic - odparł. - Ofiary wydają się najzupełniej przypadkowe. Jediną ich wspólną cechą jest to, że wszystkie mają wydłubane oczy i wyrwane języki.

- Czyli że jest to pewnie wizytówka mordercy. Seryjni zabójcy często tak robią, żeby policjanci i lekarze wiedzieli, czyja to robota. - Miles wstał i zaczął krążyć po ciasnej przestrzeni między biurkami.

Somers znowu pokręcił głową. Argumenty partnera raczej go nie przekonały.

- Nie wydaje mi się, żeby to miało jakieś znaczenie. To oczywiste, że wszystkie te morderstwa są dziełem tego samego faceta. On wie, że my o tym wiemy, wobec tego po co miałby się fatygować i zostawiać nam dodatkowe wskazówki? - Najwyraźniej po raz kolejny odnosił się do Bourbon Kida.

- A może to jednak nie on? - Miles podsunął to jako temat do dyskusji.

- On, Jensen, on. To jego robota. Mógłbyś usiąść na chwilkę? Proszę.

Jensen podniósł kurtkę z podłogi i powiesił ją na oparciu krzesła, które przesunął tak, żeby siedzieć na wprost Somersa; chciał z uwagą wysłuchać tego, co partner ma do powiedzenia.

- Wal. O co chodzi?

Somers odłożył fotografie, oparł się łokciami na biurku i złączył dłonie. Był wyraźnie zmęczony, a w jego zachowaniu wyczuwało się ślad niecierpliwości.

- Ustaliliśmy, że nie będę się natrzasał z twoich teorii o siłach nadprzyrodzonych i zjawiskach paranormalnych. Ustaliliśmy też, że weźmiesz pod uwagę moją teorię na temat Bourbon Kida, nie odrzucając jej tak jak wszyscy inni, zgadza się?

- Zgadza.

- No więc posłuchaj mnie, Jensen. W tym śledztwie nie będzie zaskakujących zwrotów akcji. Nie okaże się na koniec, że to eks-żona Bourbon Kida popełniła wszystkie te morderstwa, żeby go zrobić. Nie jest to także robota kamerdynera, Kevin Spacey nie wparaduje na posterunek, zalany krwią, wrzeszcząc na cały głos: „Detektyw... detektyw!”, no

i nie znajdziesz głowy swojej żony w pudle na pustyni. Te morderstwa są dziełem Bourbon Kida. - Przerwał, żeby zaczerpnąć tchu, ale tylko westchnął ze znużeniem. - Tak że jeżeli naprawdę chcesz mi pomóc rozwiązać tę sprawę, postaraj się znaleźć motyw albo wykombinować, kto będzie następną ofiarą. Ba, jeżeli odkryjesz coś, z czego wynika, że Bourbon Kid pochodzi z Marsa albo że jest duchem i potrzebny nam egzorcysta, nie ma sprawy, ściągniemy takiego. Ale wiedz jedno, Jensen... jeżeli rozglądasz się za innym mordercą, tracisz tylko czas. Zaufaj mi. Skup wszystkie siły na znalezieniu Bourbon Kida albo się dowiedz, kim on jest, do jasnej cholery. I wtedy będziesz miał mordercę.

W głosie partnera Miles wyczuwał narastającą irytację. Wiedział, że Somers niezłomnie wierzy w to, co mówi. Wprawdzie sam też skłaniał się do tego, że starszy detektyw prawdopodobnie ma rację, jednakże wyeliminowanie możliwości, że zabójcą jest kto inny, byłoby czystą głupotą. Tak czy owak, jeżeli chciał sobie zapewnić pomoc partnera w tym dochodzeniu, musiał mu pójść na rękę.

- Masz to jak w banku, Somers. Nie zrozum mnie źle, wierzę, że masz rację, pamiętaj jednak, że w tym śledztwie pomaga ci świeża para oczu. Może zauważę coś oczywistego, co przegapiłeś? Kto wie? Ale zapewniam cię, że podchodzę do tej sprawy równie poważnie jak ty.

- W porządku. Mam tu listę dotychczasowych ofiar. - Z kieszeni koszuli wyciągnął notes, otworzył go, wyjął malutki ołówek i zaczął pisać coś na czystej stronie. - Nie znalazłem niczego, co by ich w jakikolwiek sposób łączyło - powiedział. - Nic a nic. Zobaczymy, może twoje świeże oczy na coś się przydadzą.

W jego głosie pobrzmiwał nieskrywany sarkazm i irytacja; niecierpliwym gestem wyrwał kartkę z notesu i pchnął po blacie biurka do partnera. Jensen wziął ją i odczytał nazwiska na liście:

Sarah King

Ricardo Webbe

Krista Faber

Roger Smith

Kevin Lever

Thomas Garcia

Audrey Garcia

Nic mu się nie rzuciło w oczy, lecz nic w tym dziwnego. Potrzebował informacji na temat przeszłości tych ludzi. Czy w wolnym czasie oddawali się tym samym zajęciom, czy mieli wspólnych znajomych, czy wszyscy byli świadkami jakiegoś wydarzenia... związek między

nimi musiał polegać na tych, albo podobnych, skojarzeniach. Miles był specjalistą od wynajdywania niejasnych powiązań. Z tym też sobie poradzi, co do tego nie miał wątpliwości. Pytanie - na które nie sposób było odpowiedzieć - brzmiało: ile zostało mu czasu, zanim zabójca wybierze kolejną ofiarę?

- I jak... złamałeś już kod? - zażartował starszy detektyw.

- Jeszcze nie, ale zdaj się na mnie, Somers. Muszę mieć dostęp do wszystkich danych, jakie macie na temat tych ludzi. Uwierz mi, jeżeli istnieje cokolwiek, co łączy ich z zabójcą, to ja to wykryję.

- W porządku. Możesz sobie szukać powiązań między nimi, ale w zamian musisz coś dla mnie zrobić.

Miles oderwał wzrok od nazwisk na kartce i spojrzał na partnera.

- Jasne, co tylko chcesz. Wal.

Somers odchrząknął i spojrzał ostro na Jensena, upewniając się, czy może mu zaufać. W końcu uznał, że jest on gotowy zrobić dla niego wszystko, i zadał jedyne pytanie, którego Miles się obawiał:

- Powiedz mi, detektywie... dlaczego, na litość boską, po tylu latach udawania, że Santa Mondega nie istnieje, rząd nagle postanowił przysłać tu śledczego od zjawisk nadprzyrodzonych? W ciągu ostatnich stu lat mieliśmy tu więcej morderstw niż gdziekolwiek na świecie, ale do tej pory zostawiano nas w spokoju, załatwialiśmy własne sprawy we własnym zakresie. Dlaczego teraz to się zmieniło? I dlaczego przysłali tylko jednego człowieka? Czy dlatego, że informacje, jakimi dysponuje rząd, są tak ściśle tajne, że nie chcą ich powierzyć więcej niż jednej osobie?

Miles niespokojnie wiercił się na krześle. A jednak jego partner był o wiele lepszym detektywem, niż mu go przedstawiano i niż się tego po nim spodziewał.

- No, detektywie Jensen - ciągnął Somers. - Chcę wiedzieć, co takiego przede mną ukrywasz. Dostałeś tego zaszczytu, że rząd wyjawiał ci jakieś tajne informacje na temat tej sprawy. Sprawy, której poświęciłem pięć lat życia. Co takiego wiesz? Co to ma wspólnego ze zjawiskami nadprzyrodzonymi, do jasnej, ciężkiej cholery?!

Jensen uniósł ręce, jakby się poddawał.

- Dobra, Somers, będę z tobą szczerzy - odparł. - Ale to, co ci teraz powiem, nie może wyjść poza ten pokój. Rozumiemy się?

Rozdział trzynasty

Marcus Gnida przez dobre piętnaście minut szorował się pod prysznicem, a następnie zabawił jeszcze w łazience dłuższą chwilę, susząc się i nacierając całe ciało talkiem hotelowym, wliczonym w cenę pokoju. Nie miał ze sobą czystych ubrań, wobec tego wskoczył w luźne, czarne skórzane spodnie, które nosił poprzedniego dnia. Nieszczególnie się tym przejmował, chociaż zdawał sobie sprawę, że skóra trąci piwskiem i papierosami. Zapinając rozporek, usłyszał, jak Kacy wychodzi z pokoju i zamyka za sobą drzwi. Jeszcze kwadrans i znowu ją zobaczy, jeśli dziewczyna dotrzyma słowa. A był absolutnie pewny, że się nie rozmyśli.

Wrócił do sypialni, żeby zobaczyć, jak się sprawiła. Łóżko było idealnie posłane, a w pokoju unosił się świeży zapach. Zastanawiał się właśnie, czy zdąży wyskoczyć i kupić czystą koszulę przed spotkaniem z Kacy, kiedy ktoś zapukał do drzwi. Czyżby zapomniała czegoś i dlatego wróciła?

- Wchodź! - zawołał.

Po chwili ciszy znowu rozległo się pukanie. Tym razem mocne. Marcusa przeszedł zimny dreszcz. Czyżby to pukał ktoś inny? Nie Kacy? Jakiś mężczyzna? A może nawet Jefe? Pokojówka musiała mieć przecież klucz uniwersalny, więc weszłaby sama. Prawda?

- Kacy? - zawołał. - To ty?

Bez odpowiedzi.

Znów przeszedł go zimny dreszcz; wzdrygnął się. Czy to może być Jefe? Czyżby udało mu się odnaleźć go tak szybko? A co najgorsze, zapomniał, gdzie zostawił broń, gdy szedł pod prysznic.

- Chwileczkę! Już idę! - krzyknął, żeby zyskać na czasie.

Gorączkowo rozglądając się po pokoju w poszukiwaniu broni, czuł, że wpada w panikę. Rewolweru nigdzie nie było widać, wrócił więc biegiem do łazienki. Omiótł pomieszczenie wzrokiem w równe pół sekundy. Gdzie ten kurewski gnaf? Szlag by to...! W łazience też go nie było. Gdzieżem go wtrynił, do kurwy nędzy? Odwrócił się i poczłapał do sypialni. Pod poduszką? Na pewno! Zajrzał pod obie poduszki na łóżku - nie, tam też rewolweru nie było. O żeż kurwa jego w dupę mać! Musiał otworzyć drzwi.

Po jakiego grzyba w ogóle się odzywał? Gdyby siedział cicho, ten, kto do niego przyszedł, pomyślałby, że nie ma go w pokoju. Uznał, że mądrze będzie wyjrzeć przez wizjer i

sprawdzić, kto stoi za drzwiami... w końcu mógł to być ktoś z obsługi hotelowej. A najbardziej wkurzał go fakt, że nie mógł znaleźć broni, a to bardzo mu się nie podobało.

Jedna z najstarszych sztuczek zabójców polega na tym, że puka się do drzwi, czeka, aż usłyszy się nachodzącego człowieka po drugiej stronie, i strzela się, kiedy ten wygląda przez wizjer. BUM! - i w głowie niczego niespodziewającego się celu wyrasta wielka dziura. Marcus, znając ten numer aż za dobrze, na palcach podszedł do drzwi i powoli, powolutku, wystawił głowę na przewidywaną linię ognia. Z sobie tylko znanych powodów przymknął oko, jakby mogło to osłabić siłę pocisku.

Wystarczył mu jedno spojrzenie. Gwałtownie szarpnął głową i rzucił się w bok szybciej, niż da się powiedzieć: „Oho, właśnie straciłem oko!”. Po drugiej stronie wizjera zobaczył bowiem wylot lufy pistoletu. Na całe szczęście posiadacz broni nie miał pojęcia, że Marcus przez ułamek sekundy stał dokładnie przed nim, oddzielony jedynie drzwiami.

Gnida na palcach podszedł do świeżo zasłanego łóżka. Gdzie ten kurewski gnat?! Butelka whisky wciąż stała na nocnym stoliku, więc chwycił ją i szybko walnął lufę. Myśl! Myśl, do ciężkiej cholery! Co masz do wyboru?

Znaleźć broń.

Jeszcze raz zajrzał pod poduszki. Nie, zdecydowanie rewolweru tam nie było. Wrócił do łazienki. W mordę, gdzie on jest?

Po raz trzeci przeszły go zimne dreszcze, tym razem dłuższe. Były po temu dwa powody. Pierwszy - że znowu ktoś zapukał do drzwi, jeszcze głośniejszy. Drugi - ba, i to dopiero był prawdziwy cios: zniknął jego portfel! Kacy położyła go obok umywalki, ale już go tam nie było. Jego rewolwer też wcześniej tam leżał. Teraz sobie przypomniał - podniósł go z podłogi i także położył obok umywalki. A jednak mnie obrobiła, suka jebana! O kurwa! Co za kurewstwo! Wrócił pędem do sypialni. Co miał do wyboru? Może uda mu się wydostać przez okno sypialni, a potem albo zejść po fasadzie budynku na ziemię, albo przedostać się do sąsiedniego pokoju?

Nic z tego! Mieszkał na szóstym piętrze, a cierpiał na lęk wysokości. Ale przecież musi istnieć jakieś inne wyjście?

Niebieski kamień! Marcus słyszał plotki na temat tego kamienia. Wiedział, że chce go dostać El Santino, i wiedział, że gotów jest wybulić za niego kupę forsy. Znał też historię, która obrosła już legendą, o tej nocy, kiedy Bourbon Kid zabił Ringa. Z tego, co słyszał, Ringa nie można było zabić, dopóki nosił na szyi niebieski kamień. Bourbon Kid postrzelił go sto razy, a mimo to Ringo nie umarł, dopóki Kid nie odebrał mu kamienia. Marcus nigdy nie wierzył w tę gównianą opowieść, ale teraz nie zostawało mu nic innego. Ba, tylko co zrobił

z wisiorkiem? Pamiętał, że w nocy schował go w jakimś bezpiecznym miejscu, ale był wtedy zalany w pestkę. Gdzie go położył, do diabła? Myśl... MYŚL... MYŚL!

Odpowiedź spadła na niego nagle, jak grom z jasnego nieba. Przed pójściem spać schował rewolwer pod poduszkę, jak zawsze, ale wisior z niebieskim kamieniem na wszelki wypadek schował do poszewki. Tylko od której poduszki? Wskoczył na łóżko i chwycił najbliższą. Wyglądała całkiem normalnie, a mimo to zdarł z niej poszewkę. Nic. Wziął drugą poduszkę. Wydawała się cięższa, co sugerowało, że w środku coś jest. Z wyjącmi nerwami gorączkowo zdzierał poszewkę. Znowu rozległo się walenie do drzwi, ale tym razem nikt nie pukał, teraz ktoś próbował je wykopać. Nie mając czasu na subtelności, Marcus zerwał drugą poszewkę i na łóżko wypadł wisior. Poczul ulgę... ale tylko przez sekundę. Ułga zmieniła się w przerażenie, gdy uświadomił sobie, że nie jest to wisior, który poprzedniej nocy ukradł temu Jefe. Ten był całkiem inny. Tandetny srebrny łańcuszek ze srebrnym wisiorkiem w kształcie „S”. Ta suka Kacy znowu zrobiła go w konia.

TRZASK! Marcus odwrócił się w chwili, gdy drzwi pokoju wyleciały z zawiasów. Skulił się na łóżku i zakrył głowę rękami, a tymczasem rewolwerowiec wszedł do pokoju.

Gnida nie usłyszał pierwszego strzału, poczul tylko straszliwy ból, kiedy jego kolano eksplodowało, a tryskająca dokoła krew wpadła mu do oka. Sturlał się z łóżka na podłogę, wrzeszcząc opętąnczo; przez kolejne siedem minut życia żałował, że nie zginął od razu.

Życzenie Marcusa Gnidy spełniło się w ósmej minucie, przedtem jednak zdążył zobaczyć, jak wyglądają jego wnętrzności. Poza tym musiał zjeść kilka swoich palców od rąk i nóg. A także zrobić o wiele, wiele gorsze rzeczy.

Rozdział czternasty

Dante pracował jako recepcjonista w hotelu Santa Mondega International zaledwie od dwóch tygodni. Na tych cholernych nocnych zmianach. Dwa tygodnie jakoś minęły, ale starczy tego. Zaledwie stawiał się do pracy o północy, z ulicy wtoczył się jakiś pijany męt i zażądał pokoju. Był tak zalany, że nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo hałasuje i w jak kłopotliwej sytuacji go stawia. Gdyby był tam wtedy kierownik hotelu pan Saso, nigdy nie pozwoliłby temu człowiekowi przestąpić progu hotelu, ale to Dante, jako recepcjonista, decydował o tym, kto może, a kto nie może się u nich zatrzymać.

Pijak uparł się na jeden z lepszych pokoi i chciał płacić gotówką, wobec tego Dante policzył mu za najlepszy apartament, ale dał pokój średniej klasy. Dzięki tej transakcji wpadło mu do kieszeni około czterdziestu dolarów. Nie to jednak wprawilo go w nastrój takiego podniecenia. O, nie. Od rana był nakręcony, bo ten nowy klient okazał się tak nieostrożny, że zaczął się chępić niebieskim kamieniem, który nosił na szyi na złotym łańcuchu i który wyglądał na niezwykle cenny.

Dante od dawna czekał na taką okazję. Pijany idiota z kupą szmalu - wyjmując prawo jazdy, jak ostatni głupek wymachiwał portfelem - i z cennym niebieskim kamieniem wartym pewnie kilka kawałków... oto był bilet do życia innego niż stanie za ladą recepcji w hotelu. Przecież to babska robota, a liberia, którą kazali mu nosić, nadawała się dla pedała. Różowa marynarka, jak babcię kocham! Ale nie tylko różowa marynarka, nędzna pensyjka i służalcze potakiwanie: „Tak jest, proszę pana; nie, proszę pana; dziękuję panu uprzejmie” stanowiło problem w tym zawodzie. W gruncie rzeczy chodziło o to, że Dante miał dwadzieścia kilka lat, a życie przeciekało mu między palcami. Wyleciał ze szkoły, więc nie miał co liczyć na dobrze płatną i umożliwiającą zrobienie kariery pracę. Zazwyczaj kiedy ubiegał się o posadę, jedyną nadzieję pokładał w tym, że rozmowę kwalifikacyjną będzie prowadziła kobieta. Był przystojnym chłopakiem, z gęstą grzywą czarnych włosów i błyskiem w jasnoniebieskich oczach, któremu kobiety, zwłaszcza te starsze, z niewiadomego powodu nie potrafiły się oprzeć. A że emanował pewnością siebie, stawały się one w jego rękach miękkie jak wosk i za każdym razem dostawał robotę.

W południe, kiedy słońce stanęło w zenicie, plan Dantego, w jaki sposób dobrać się do forsy tego durnego pijaka, nabrał już realnych kształtów. Wszystko było na dobrej drodze. Kiedy o dziewiątej rano przyszedł Stuart, portier z dziennej zmiany, Dante namówił go, żeby

wziął sobie wolne, a on go zastąpi. Stuart chętnie na to przystał, zwłaszcza że Dante obiecał wziąć jego zmianę za darmo. Oznaczało to wprowadzić pięć godzin dodatkowej pracy bez wynagrodzenia, ale teraz, wczesnym popołudniem, miało mu się to opłacić - nadszedł czas na wprowadzenie planu w czyn. Zaledwie kilka minut dzieliło go od zdobycia większych pieniędzy niż wszystko, co zarobił od przyjazdu do Santa Mondega przed trzema miesiącami. W wyobraźni kupował już samochód i przeprowadzał się do lepszego mieszkania, a to tylko na początek. Pokoik, który od kilku miesięcy wynajmował ze swoją dziewczyną, był tak mały, że nie pomieściłby rodziny susłów.

Ostatnimi czasy sprawy Dantego nie układały się po jego myśli. Przybył do Santa Mondega z nadzieją na znalezienie dobrze płatnej pracy. Po tygodniu stary przyjaciel ojca załatwił mu robotę w muzeum, niestety, na skutek kłopotliwego incydentu - Dante rozbił bezcenną wazę na głowie jednego ze zwiedzających - został wylany; i tak miał szczęście, że uniknął oskarżenia o napaść. Od tej pory los nie był dla niego łaskawy i jedyną pracą, jaką udało mu się znaleźć od ręki, była posada recepcjonisty w hotelu Santa Mondega International. Pracował w nim od dwóch tygodni, ale jakże ten czas się dłużył! Nie myślał o niczym innym, tylko w jaki sposób się stąd wyrwać - może trafi na bogatego klienta, który zaproponuje mu lepszą pracę, a może po prostu okradnie któregoś z nadzianych gości. Nie był wybredny, kwestia sprowadzała się do tego, co okaże się prostsze. Prawdopodobnie najlepszym wyjściem byłby naiwny gość hotelowy, którego dałoby się okraść tak, że ani by okiem nie mrugnął - no i jak raz nawinął mu się ten zapruty cymbał. Kretyn, który wynajął pokój poprzedniej nocy, raczej nie zaskarbiłby sobie współczucia kierownika, gdyby chciał się poskarżyć, że został okradziony, a to dlatego, że nie wyglądał na kogoś przy forsie. No i był pijany.

Plan Dantego, w jaki sposób oskubać klienta z forsą i cennego niebieskiego kamienia, był całkiem prosty. I chociaż nie do końca niezawodny, to jakże cudowny w swojej prostocie. Niestety, jak to zwykle bywa, kiedy Dante w wyobraźni liczył już pieniądze tego gościa, los wsadził mu kij między szprychy. Do holu wkroczył olbrzymi, przebrany za Elvisa facet i podszedł do recepcji.

- Kibluje tu u was taki facio, co reaguje na imię Jefe? - zapytał, nawet dosyć uprzejmie.

- Przykro mi, ale nie wolno nam udzielać takich informacji, proszę pana. - Dante posłużył się szablonową odpowiedzią, zgodną z polityką hotelu.

Elvis nachylił się i wsunął mu do ręki pięćdziesiąt dolarów.

- Nie zmuszaj mnie, żebym cię spytał po raz drugi, he? - Tym razem jego głos zabrzmiał zdecydowanie ochryple.

- Przepraszam, ale nie mogę panu tego powiedzieć - odparł Dante, nie kwapiąc się ze zwrotem pieniędzy.

Elvis przetrwał te słowa, po czym majestatycznie wyciągnął pistolet z kabury ukrytej pod marynarką liliowego garnituru i wycelował w gardło chłopaka.

- Oddawaj, kurwa, moją forszę i gadaj, gdzie znajdę Jefe. Podobno ta szpetna, pojebana menda zatrzymała się u was.

Dante oddał pieniądze. Zlany zimnym potem, wydukał:

- Pokój siedemdziesiąt trzy, szóste piętro. Życzę miłego dnia.

Elvis puścił do niego oko. W każdym razie tak to wyglądało, bo jego lewa powieka pod okularami przeciwsłonecznymi uniosła się i opadła szybko. Potem odwrócił się i ruszył do wind, po drodze zręcznie chowając broń do kabury pod marynarką.

Kiedy naciskał guzik sprowadzający windę, Dante rozmawiał już nerwowo przez komórkę. Po chwili ciszy, kiedy czekał na połączenie, usłyszał sygnał. Tylko jeden, bo ktoś odebrał natychmiast, ale chłopak nie czekał, aż usłyszy głos rozmówcy.

- Mała, zabieraj stamtąd swój tyłeczek! - szepnął natarczywie do mikrofonu.

- Co? Dlaczego? - padła odpowiedź.

- Jakiś pojebaniec z gnatem jedzie właśnie na górę do tego Jefe, a wygląda kurewsko wrednie!

- Ale nie znalazłam jeszcze kamienia.

- Pieprzyć kamień! Bierz słodką dupcię w troki i spadaj stamtąd. Ten skurwiel cię zabije!

- Dobrze, kotku. Jeszcze się tylko rozejrzę.

- Kacy, nie...!

Za późno. Dziewczyna się rozłączyła. Dante patrzył, jak Elvis wchodzi do windy. Olbrzym odwrócił się i spoglądał na recepcjonistę przez wielkie czarne okulary przeciwsłoneczne, dopóki drzwi nie zamknęły się za nim. Dante słyszał swoje ciężkie sapanie; dyszał, jakby dopiero co przebiegł maraton w wyjątkowo ciężkim kostiumie. Musiał podjąć decyzję, i to szybko.

Kurwa mać! Musiał wbiec na górę schodami i wydostać Kacy, zanim ten Elvisopodobny świr dostanie ją w swoje łapska. Powodowany strachem, przeskoczył przez ladę recepcji i pognął do klatki schodowej, usytuowanej za drzwiami wahadłowymi obok wind. Schody były duże i masywne, pokryte puszystym beżowym dywanem; akurat tej wysokości, żeby przeskakiwać je po dwa na raz. Musiał zresztą brać je po dwa na raz, bo sytuacja była krytyczna. Wskaźnik nad windami pokazywał, że Elvis jest już na wysokości pierwszego piętra. Dante wiedział, że nie jest w dość dobrej formie, by prześcignąć windę jadącą na

szóste piętro, ale kabina mogła zatrzymać się po drodze kilka razy, tak więc miał jeszcze szansę.

Na trzecim piętrze był już wykończony. Wchodził jednak dalej, tyle że z każdym półpiętrzem zwalniał o połowę. Kiedy z wywieszonym językiem dotarł w końcu na szóste, zatrzymał się i wyjrzał za róg korytarza. Elvis stał przed jednym z apartamentów, jakieś dziewięć metrów dalej, z wycelowanym w drzwi pistoletem.

Dante kompletnie nie wiedział, co robić. Podstawowy instynkt nakazywał mu dbać o własną skórę, wobec tego za wszelką cenę próbował pohamować sapanie. Jeżeli Kacy była w tamtym pokoju i trzeba by przyjść jej z pomocą, to przede wszystkim musiał zapewnić sobie przewagę wynikającą z zaskoczenia - Elvis nie mógł się zorientować, że on tam jest. Cofnął się o krok w głąb schodów, żeby na pewno nie można go było zauważyć z korytarza, i próbował zmierzyć się z obecnym problemem. Kiedy już uspokoił oddech, wyjrzał ponownie za róg, żeby sprawdzić, jak się sprawy mają w korytarzu. Elvis schował broń i cofnął się. Nagle skoczył do przodu i wymierzył potężnego kopniaka w drzwi obcasem niebieskiego zamszowego buta. Były to naprawdę solidne drzwi, więc kopniak niewiele dał. Elvis cofnął się jeszcze o kilka kroków i odczekał kilka sekund. Nagle rzucił się do przodu niczym rozjuszony byk i z impetem wyrzwał w drzwi, rozwalając je w drobny mak. Wyleciały z zawiasów, a olbrzymi zabójca wpadł do pokoju i zniknął z widoku.

Dante odczekał chwilę, nie bardzo wiedząc, co robić. I wtedy usłyszał strzał. Głośny jak cholera! Z pokoju natychmiast dobiegły krzyki straszliwego bólu. Wrzask był tak piskliwy, że chłopak nie mógł się zorientować, czy krzyczy kobieta, czy mężczyzna. Nagle kątem oka zauważył jakiś ruch w końcu korytarza - to ktoś otwierał drzwi innego pokoju. Wybiegła z niego Kacy, taszcząc najwyraźniej ciężką walizkę z czarnej skóry. Przebiegła obok drzwi, które wyważył Elvis, i popędziła do schodów. Na jej widok Dante odetchnął z ulgą.

- Dante! - wysapała, zaskoczona przez czającą się na szczycie schodów postać. - Chodź, uciekamy!

Zanim zdążył się połapać, co się dzieje, wręczyła mu walizkę z czarnej skóry i pociągnęła go za sobą po schodach.

- Nic ci nie jest, maleńka? - wydyszał.

- Oczywiście, że nic, skarbie.

- Udało ci się znaleźć ten niebieski kamień?

- No jasne.

Kacy pędziła po schodach tak szybko, że chłopak z trudem za nią nadążył. Taszczenie ciężkiej walizy, która obijała się o biodro, nie ułatwiało mu zadania, za to przysparzało

siniaków.

- Jezu, maleńka, kocham cię! Jesteś najlepsza! - wysapał do niej, a tymczasem walizka dalej żłobiła jego nogę.

- Wiem!

Dante wiedział, że ma najwspanialszą dziewczynę pod słońcem. Choć jeśli walizka, która bez przerwy go atakowała, okaże się pełna szamponów i odżywek do pielęgnacji włosów albo kuponów rabatowych, będzie musiał zrewidować swój pogląd. Dlaczego jest taka ciężka?

- A co jest w tej walizce, którą mi dałaś? - zawołał, widząc, że miłość jego życia ginie z widoku za zakrętem prowadzącym na następny podest.

- Właśnie to jest najlepsze - odkrzyknęła. - Trafiliśmy główny los na loterii, skarbie!

Rozdział piętnasty

Jensen był miło zaskoczony klasą, z jaką Somers przyjął to, co miał mu do powiedzenia. Wyjawiał wszystko chętnie, częściowo dlatego, że nie spodziewał się, by starszy detektyw uwierzył choćby w jedno słowo. Doszedł więc do wniosku, że tak czy owak nic nie straci. Jeżeli partner mu uwierzy, świetnie; a jeśli nie, to też dobrze. Niepokoiło go tylko, że gdyby inni dowiedzieli się i uwierzyli w to, co chciał mu powiedzieć, w Santa Mondega wybuchłaby powszechna panika. Faktem jest, że nie był w stanie, ani zaprzeczyć informacjom, którymi go obarczono, ani udowodnić ich prawdziwości. Właśnie po to tu przyjechał - żeby dowieść albo obalić prawdziwość tego, co się rządzącym wydawało, że wiedzą.

Somers był na tyle uprzejmy, że z uwagą wysłuchał całej opowieści, nie przerywając ani razu. Jensen wyjaśnił mu, że wysłano go do Santa Mondega w celu rozwikłania tajemnicy, której przywódcy państwowi i kościelni na całym świecie strzegli od stuleci. Kolejne zmieniające się rządy przekazywały historię swoim następcom. Ci zaś zawsze w nią powątpiewali i zazwyczaj wysyłali swoich śledczych do Santa Mondega, żeby dowiedzieć się, czy to prawda, czy nie. Niektórzy z wysłanników wrócili w jednym kawałku. Większość przepadła bez śladu. Ci, którym udało się wrócić, potwierdzali prawdziwość historii, ci zaś, którym się to nie udało, mieli swój wkład w podsycaniu plotek, że to jednak prawda.

Tymczasem, bądźmy szczerzy, reszta świata udawała, że miejscina o nazwie Santa Mondega nie istnieje. Nie widniała na żadnej mapie, a wydarzenia, jakie się tam rozgrywały, trafiały jedynie do stacji o zasięgu lokalnym, nieodbieranej poza granicami miasteczka. Jeśli wierzyć legendzie, brało się to stąd, że Santa Mondega była ponoć siedzibą żywych trupów. Jensen pamiętał, jak się czuł, kiedy po raz pierwszy przekazano mu tę informację. Instynkt podpowiadał mu, że oto wciskają mu kit na potęgę. Skoro jednak usłyszał to od człowieka, który podlegał bezpośrednio prezydentowi Stanów Zjednoczonych, musiał udawać, że traktuje rzecz na serio. Było, nie było, jeżeli wysoki przedstawiciel rządu dzieli się z tobą ściśle tajnymi informacjami, nie można ich potraktować jak badziewie; najpierw trzeba się zastanowić, bo a nuż jest w tym ziarno prawdy. Inaczej, w najlepszym wypadku, grozi wywalenie z pracy.

Somers przyswoił te wieści mniej więcej tak jak kiedyś Jensen, co według młodszego detektywa było godne najwyższego podziwu. Dla Jensena zjawiska nadprzyrodzone były chlebem powszednim, ale Somers był przecież tylko normalnym detektywem specjalizującym

się w morderstwach. Nawet jeżeli wszystkie te zbrodnie popełniła jedna i ta sama osoba - jeżeli jego teoria była prawdziwa.

- Spodziewałem się, że będziesz bardziej zaskoczony albo w ogóle uznasz to za bzdury - powiedział wyraźnie niewzruszonemu Somersowi, który wciąż siedział na krześle za biurkiem.

- Wiesz co? Słyszałem już kiedyś tę teorię, lata temu. I chociaż nie znalazłem ani śladu dowodu na jej poparcie, to nie natknąłem się też na nic takiego, co pozwalałoby ją odrzucić - odparował Somers.

Jensen musiał uszanować szczerość partnera. Zainteresowała go wiadomość, że stary wyga słyszał już kiedyś tę teorię. Jego zdaniem nie była to wprawdzie teoria, lecz fakt, ale przecież Somers miał takie samo zdanie na temat Bourbon Kida. Uważał, że udział Kida w tych morderstwach to nie teoria, lecz fakt. Nareszcie znaleźli wspólną platformę, pomijając filmy.

- Dzięki. Doceniam to, że się ze mnie nie naśmiewasz - rzekł Jensen i westchnął głęboko. - Większość ludzi zabiłaby mnie śmiechem, gdybym im to opowiedział.

Somers uśmiechnął się i pokręcił głową.

- Co cię tak rozbawiło? - zapytał Miles.

- W tej robocie napatrzyłem się na niejedno dziwactwo. Starczy rzucić okiem na zdjęcia tych truposzy i od razu wiadomo, że może to być robota czegoś, co nie jest do końca człowiekiem. Dlatego skłaniam się do teorii, że Bourbon Kid jest czymś na kształt ducha, którego nie da się zabić. Jeżeli dzięki temu nabierzesz przekonania do tej sprawy i pomożesz mi go wytropić, mogę nawet uznać, że jest samym diabłem.

- Dzięki.

- Nie ma sprawy. Ale jest jeszcze coś.

- Co takiego?

- Nie wierzę, że powiedziałeś mi absolutnie wszystko. To jak?

Jensen przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią. Przecież niczego celowo nie zataił... a może jednak?

- Nie, kolego, powiedziałem ci wszystko. W każdym razie nie ukrywałem niczego istotnego dla sprawy.

Somers wstał raptownie i odwrócił się do niego plecami. Podeszedł do okna, rozsunął żaluzje i wyjrzał na ulicę.

- Właśnie się zaczął Festiwal Księżycowy - odezwał się po chwili. - Za dwa dni w Santa Mondega nastąpi całkowite zaćmienie Słońca. A do miasta właśnie przyjechało dwóch mnichów, tak jak tamtych dwóch pięć lat temu. A wszyscy wiemy, do czego wtedy doszło, no

nie?

- Jasne. Zginęła kupa ludzi. Do czego pijesz?

- Dobrze wiesz, do czego piję, detektywie. Nie rznij głupa. Pięć lat temu ci ludzie zginęli z ręki Bourbon Kida w dniu, kiedy mieliśmy ostatnie zaćmienie Słońca. Zauważ, że z wyjątkiem Santa Mondega w żadnym mieście zaćmienie Słońca nie występuje co pięć lat. To niemożliwe. I właśnie dlatego wierzę w twoją historię. Ale ty przyjechałeś tu z powodu zaćmienia Słońca. Bourbon Kid wrócił tu z tego samego powodu, podobnie jak ci dwaj mnisi. Więc o co biega?

- Słyszałeś o Oku Księżyca?

Somers odwrócił się i popatrzył na Jensena.

- To ten niebieski kamień, tak? - odezwał się ponurym głosem. - Właśnie tego Kid szukał ostatnim razem. Facet, które go zwali Ringo, ukraść go mnichom. Przyjechali tu, żeby go odzyskać, i jakimś cudem odebrali go Kidowi. Może Kid nie potrafi zabijać świętobliwych albo co... cholera wie. Ale domyślam się, detektywie Jensen, że Oko Księżyca znowu zostało skradzione. I dlatego ty, mnisi i Bourbon Kid zjechaliście do miasta w ostatnich dniach. Ale co to ma wspólnego z zaćmieniem Słońca?

Po tych słowach zapadła głęboka cisza, gdy Jensen zastanawiał się, jak najlepiej odpowiedzieć.

- No nic - odezwał się wreszcie, zdając sobie sprawę, że Somers miał rację, bo rzeczywiście nie powiedział mu wszystkiego. - Lepiej usiądź. Teraz dopiero usłyszysz coś niesamowitego.

- Dzięki, postoję. Mów.

- Masz rację. Oko Księżyca znowu zostało skradzione. Według mojego źródła ze sfer rządowych, ten kamień posiada coś, co można by określić jako „magiczną moc”.

- Magiczną moc? - powtórzył stary wyga z niedowierzaniem.

- Tak, wiem, że to brzmi nedorzecznie i szczerze mówiąc, ta magiczna moc jest najbardziej niejasnym elementem w tej pełnej niejasności historii. Podobno ktoś, kto akurat ma kamień, staje się nieśmiertelny, dopóki ten znajduje się w jego posiadaniu, chociaż muszę podkreślić, że mamy na to jeszcze mniej dowodów niż na wszystko, co powiedziałem ci wcześniej. - Odczekał chwilę, zastanawiając się, jak Somers przyjmie kolejną informację. - Inna teoria głosi - zaczął ostrożnie - że ten kamień kontroluje orbitę Księżyca.

- Ciekawe. To nawet miałyby sens. Skoro zbliża się zaćmienie Słońca, ktoś, kto byłby w stanie kontrolować orbitę Księżyca, zyskałby wielką władzę.

- Zgadza się. A teraz pomyśl nad czymś takim, Somers. Jeżeli posiadacz kamienia może

zatrzymać Księżyc na orbicie okołoziemskiej w trakcie zaćmienia Słońca, a Księżyc pozostawałby w tej samej pozycji w stosunku do Ziemi, chociaż obracałby się razem z nią dokładnie w punkcie, w którym został zatrzymany, to obszar na Ziemi, pozbawiony światła słonecznego przez zaćmienie, pozostałby ciemny. Na zawsze.

Somers uznał, że czas usiąść. Zasiadł za biurkiem i wziął kilka zdjęć, które wcześniej pokazywał Jensenowi. Przyjrzał im się uważnie. Tym razem z jego miny Miles wnosił, że postrzega je w całkiem innym świetle.

- Chyba widzę teraz to samo co ty, Jensen.

- Naprawdę? A co ja takiego widzę, według ciebie?

- Widzisz ludzi, którzy rozkwitną w mieście pogrążonym w całkowitych ciemnościach.

- Widzę żywe trupy - odparł Jensen, przedrzeźniając chłopaka z filmu *Szósty zmysł*. - Które chodzą po mieście jak normalni ludzie. Ale zważ, że oni wiedzą, że nie żyją... ci w Santa Moniega.

Zaskoczona mina partnera powiedziała Jensenowi, że sam już do tego doszedł. Ten facet nie był jakąś durną łajzą.

- Wampiry! - wyrwało się Somersowi. - Jediną istotą, która zyskałaby na tym, że w mieście nigdy nie będzie światła słonecznego, jest wampir!

- Otóż to.

- Chryste Panie! Dlaczego sam na to wcześniej nie wpadłem?

Jensen uśmiechnął się.

- Jak miałbyś na to wpaść? Przecież ten pomysł jest kompletnie niedorzeczny.

- Był. Ale teraz nabrał sensu, jak cholera. Jeżeli Bourbon Kid jest wampirem, to lepiej dorwijmy go, zanim on dorwie się do tego kamienia.

Rozdział szesnasty

Sanchez nie miał żadnych wieści od Elvisa. I chociaż wiedział, że taki stan może potrwać kilka dni, a nawet tygodni, to jednak był coraz bardziej niecierpliwy; a przecież nie minęły jeszcze dwadzieścia cztery godziny, odkąd Elvis przyjął robotę. Żadna siła nie przekonałaby Sancheza, żeby zmienił zdanie i odwołał zlecenie dla płatnego zabójcy, którego w Santa Mondegga bano się jak nikogo innego. W każdym razie tak uważał, kiedy powierzał Elvisowi zadanie nie do pozazdroszczenia - wymierzenie kary w jego imieniu.

Potem jednak, co typowe, nastąpiło coś takiego, że Sanchez zmienił zdanie. Do jego baru zajrzał niespodziewany gość, kobieta. Zjawiła się pod wieczór. Nie widział jej od dłuższego czasu, a oto teraz miał ją przed sobą. Był bardziej zaskoczony, niż gdyby ktoś podał mu szklankę szczywn.

Jessica weszła jakby nigdy nic, jakby wszelkie troski tego świata jej nie dotyczyły. Była sama i nic nie wskazywało na to, że ma kłopoty. W żadnym wypadku nie wyglądała na kogoś, kto tego samego dnia rano był świadkiem brutalnego zamordowania dwóch osób. Prawdę mówiąc, wydawała się wyjątkowo spokojna.

- Barman, poproszę kawę - szepnęła, siadając przy kontuarze.

Sanchez odniósł wrażenie, że go nie poznała, i poczuł się mocno rozczarowany.

- Witaj, Jessico - powiedział.

Spojrzała na niego, nieco wystraszona, że barman skądś ją zna, skoro ona nie poznawała ani jego, ani lokalu, do którego weszła.

- Pan mnie zna? - spytała, nie potrafiąc ukryć zaskoczenia.

- Tak. Nie poznajesz mnie?

- Nie. Byłam tu kiedyś? Nic tutaj nie wydaje mi się znajome.

Oszołomiona, rozejrzała się po otoczeniu. Jeżeli była już kiedyś w Tapiocce, to widocznie bardzo dawno temu, a może lokal wyglądał wtedy inaczej, bo niczego tutaj nie poznawała.

- Tak, byłeś tu, mniej więcej pięć lat temu. Naprawdę nic nie pamiętasz?

- Nic. Ale mam nie najlepszą pamięć. Pewnie za jakiś czas sobie przypomnę.

Sanchez nie potrafił jej rozgryźć. Czy mówi prawdę? Czy rzeczywiście niczego nie pamięta? Może dotknęła ją amnezja czy coś w tym rodzaju? Był tylko jeden sposób, żeby się przekonać.

- A co porabiałś przez ostatnie pięć lat?

Zerknęła na niego podejrzliwie.

- Dlaczego pan pyta?

- Bo pamiętam, co się zdarzyło ostatnim razem, kiedy tu przyszedłeś. Wywarłeś na wszystkich niesamowite wrażenie.

- Cóż, to się zdarza - odparła oziębło.

Sanchez był zbity z tropu tą nagłą zmianą usposobienia. Za ledwie przed chwilą wystraszona i niepewna, teraz potraktowała go nagle z arogancją i rezerwą.

- A... Jasne... Hmm... Jaka ma być ta kawa?

- Darmowa.

- Hę?

- Mam gdzieś, jaka będzie ta kawa, bylebym nie musiała za nią płacić.

Generalnie rzecz biorąc, Sanchez nie znosił ludzi, którzy próbowali go na coś naciągnąć, był jednak zaskoczony, widząc Jessicę wybudzoną i na chodzie, i aż się palił, żeby dowiedzieć się, co się z nią działo i co wie na temat śmierci jego brata i bratowej. Dlatego też niechętnie nalał kubek czarnej kawy z pokrytego kamieniem dzbanka, który od dobrych czterech godzin stał na rozgrzanej płycie za barem i w którym bulgotała kawa.

Jessica spojrzała na brudny biały kubek z kawą, który pchnął po ladzie, i powąchała zawartość.

- Hmm. Mam nadzieję, że kawa nie jest tym, dzięki czemu ten bar zarabia na siebie.

- Nie, zarabia się na whisky i tequili.

- To ma pan szczęście.

Powoli zaczynał nie lubić tej dziewczyny. Rozczarowało go jej zachowanie, bo od pięciu lat wyobrażał sobie, że kiedy już w końcu odzyska przytomność, uzna go za swojego wybawiciela, za mężczyznę, któremu można zaufać. Jak dotąd nie zrezygnował z niej jeszcze tak do końca, chociaż swoją wcześniejszą postawą nie zjednała sobie jego sympatii.

- No więc co porabiałaś, Jessico?

Upiła łyk kawy.

- A co to pana właściwie obchodzi? Czy dziewczyna nie ma już prawa wpaść na kawę, żeby barman się do niej nie przystawiał? - Obrzuciła go pogardliwym spojrzeniem.

- Wcale się do ciebie nie przystawiam.

Na sugestię, że się do niej podwała, zareagował nieco obronnym tonem. Miał tego świadomość i zarumienił się lekko. Rzecz jasna, kiedy się zorientował, co się dzieje, hamulce puściły, poszedł na całość i oblał się krwawym pąsem. Musiał szybko opuścić salę, zanim klienci to zauważą i zaczną się z niego natrzęcać. Stali bywalcy Tapioki natychmiast

wykorzystywali każdą oznakę słabości. Barman odwrócił się na pięcie i wyszedł poszukać kucharza, Mukkę. Czas, żeby ta wielka łajza zmieniła go za barem na pół godziny. Przekłete baby, żeby on miał się przez nie rumienić! A w ogóle to za kogo ona się uważa? Po prostu chciał być dla niej miły. To suka!

Minęły dwie minuty, zanim Mukka wyszedł z zaplecza i stanął za barem; pierwszym klientem, którego przyszło mu obsłużyć, był wielki, wyraźnie wściekły sukinsyn zwany Jefe.

- Barman! - warknął. - Gdzie, do kurwy nędzy, podziewa się ta menda Marcus Gnida?

- Marcus Gnida? Nie znam takiego - odparł kucharz uprzejmie.

Spod czarnej kamizelki bez rękawów Jefe wyciągnął obrzyna i wycelował w głowę Mukki. Kucharz nie był wprawdzie ułomkiem, ale miał zaledwie dwadzieścia lat. Nie zdążył jeszcze nabrać ciała, no i nie należał do najdzielniejszych. Miał wyrosnąć na twardego skurczybyka, ale to dopiero za kilka lat, a zresztą nie miał bronii, jedynie drewnianą warząchew, którą wziął ze sobą z kuchni.

- Eee, ja naprawdę nie znam tego Marcusa - rzucił nerwowo.

- Daję ci trzy sekundy. Trzy... dwa...

- Dobra! Zaczekaj! - Mukka pomachał warząchwią przed nosem Jefe. - Mój szef Sanchez na pewno wie, kim jest ten Marcus. Wyszedł na zaplecze. Mogę go do pana przyprowadzić.

- To leć po niego. Ale pamiętaj, jak będziesz wracał, że ja nadal celuję do ciebie z tego gnata i jeżeli będziesz miał ze sobą coś oprócz tej pieprzonej łyżki, odstrzelę ci jaja. Rozumiemy się?

- Eee, jaja. Tak, rozumiem.

Wystraszony Mukka poszedł na zaplecze. Sanchez siedział w kuchni i oglądał wiadomości na stojącym w kącie przenośnym telewizorze.

- Hej, Sanchez, siedzi tam jakiś wredny typ, celuje we mnie z obrzyna i pyta o jakiegoś Marcusa Gnidę.

- Powiedz mu, że nie znasz żadnego pieprzonego Marcusa Gnidy.

- Już mu mówiłem, ale przystawił mi lufę do głowy i zaczął odliczać od trzech w dół.

Sanchez westchnął głęboko i dźwignął się z krzesła. Jego nastrój nic a nic się nie polepszył. Dzisiaj znowu wszyscy klienci działali mu na nerwy. Każda szumowina, każdy z tych mętów.

- Sukinsyn - mruknął pod nosem, wracając do baru.

Na widok Jefe po raz drugi tego dnia przeżył nieliczne zaskoczenie. Spodziewał się, że do tej pory Elvis zdążył już rozwalić łowcę nagród. Przez moment zastanawiał się nawet, czy płatny cyngiel nie zginał w trakcie zadania i czy Jefe nie przyszedł tu teraz, żeby wyrównać

rachunki. Ale jak zwykle nie zdradzał się ze swoimi uczuciami (pomijając żenujący rumieniec, który przydarzył mu się przed chwilą).

- Jesteś Jefe, tak? Czego chcesz? - Z ulgą przekonał się, że tamten nie trzyma już obrzyna, o którym wspominał Mukka.

- Chcę dorwać tę pierdoloną gnidę, Marcusa. Wiesz, gdzie jest?

- Ostatnim razem widziałem was razem.

- No więc nie jesteśmy już razem. Rozstałem się nie tylko z nim, ale i z portfelem i drogocennym wisiolem, które miałem przy sobie zeszłej nocy.

- Koszmar! I pewnie rąbnął ci też to twoje ładne autko, he?

- O jakim to ładnym autku mówisz? - spytał Jefe, niepomiernie zdziwiony tym, że barman wie, jakim samochodem jeździ.

- O żółtym cadillacu. Masz przecież takiego ładniutkiego żółtego cadillaca, no nie?

- Skąd masz takie informacje, panie barman? - zapytał Jefe złowróbnym tonem; wyglądało na to, że lada chwila wyciągnie obrzyna, tyle że tym razem wyceluje w głowę Sancheza.

- A, podsłuchałem, jak ktoś mówił, że jeździsz takim ładnym żółtym cadillakiem.

- E tam. Sprzedałem go jakiś czas temu i kupiłem zajebiście bajeranckie porsche, chociaż nic ci do tego. To jak, widziałeś Marcusa czy nie?

- Nie widziałem, ale jak chcesz, mogę o niego popytać. Normalnie zagląda tu prawie co wieczór, ale skoro cię obrobił, to pewnie przez jakiś czas będzie unikał mojego lokalu.

- Wiesz, gdzie mieszka?

- Jasne, w rynsztoku, z resztą miejscowych szczurów - odparł Sanchez. Nie mógł się jednak uwolnić od myśli o samochodzie, więc zapytał: - A kiedy żeś sprzedał tego cadillaca?

Pytanie pozostało bez odpowiedzi. Aż do tej pory Jessica siedziała bez słowa. Sanchez zwrócił uwagę, że nie wykazała cienia reakcji, kiedy wspomniał o żółtym cadillacu. Może nie widziała go na farmie? Albo widziała, ale nie pamięta? Tak czy owak, siedziała w milczeniu na stołku przy barze, słuchając rozmowy barmana z łowcą nagród.

Przycupnięta przy ladzie Jessica była pod wielkim wrażeniem braku tolerancji Jefe dla wszystkiego i wszystkich. Teraz uznała, że nadeszła idealna chwila, by zwrócić na siebie jego uwagę.

- Na ile ten cały Gnida pana obrobił? - wtrąciła się, ucinając pytanie Sancheza o cadillaca.

Do tej pory Jefe nawet jej nie zauważył. Już miał powiedzieć, żeby pilnowała, kurwa, własnego nosa, kiedy zorientował się, jaka jest ładna.

- Na kilka tysięcy - rzucił nonszalancko. - Ale nic się nie martw, panienko, zostało mi aż

nadto, żeby ci postawić kolejkę.

Widowisko, jakie zaprezentował Jefe, który postanowił nagle popisać się swoim urokiem osobistym, wzbudziło w Sanchezie grozę, zaprawioną lekkim obrzydzeniem. Na polecenie łowcy nagród nalał mu szklankę whisky i napełnił kubek Jessiki kawą ze wstrętnego dzbanka. Jefe niedbale rzucił mu banknot i odwrócił się do dziewczyny.

Przez następne dwadzieścia minut łowca nagród wychodził ze skóry, przystawiając się do Jessiki, co ona przyjmowała z wyraźnym zadowoleniem. Sanchez przestał dla nich istnieć. Typowe! Wszystkie kobiety interesują się albo facetami przy forsie, albo aroganckimi dupkami, którzy ich nie szanują. Jefe mieścił się w każdej z tych kategorii, chociaż wyglądało na to, że dzięki Marcusowi Gnidzie nie jest już taki dziany.

Napatrzywszy się na tę parę, flirtującą ze sobą niczym licealiści, którym buzuja hormony, Sanchez odetchnął z ulgą, gdy Mukka wystawił głowę zza winkla i zawiadomił go, że dzwoni Elvis. Znowu zostawił więc kucharza przy barze i poszedł na zaplecze, odebrać telefon od Króla. Rozsiadł się w ulubionym skórzanym fotelu w biurze tuż obok kuchni i podniósł słuchawkę.

- Cześć, Elvis - rzucił.

- Hej, człowieku, mam dla ciebie dobre wieści. Ten cały Jefe jest już sztywny. Skasowałem go dzisiaj rano. Zdychał paskudnie, możesz mi wierzyć. Twoja mama byłaby dumna.

Przedziwne to wszystko, pomyślał Sanchez. W takiej sprawie Elvis by go nie okłamał. Miał w sobie zbyt wiele dumy. Najwyraźniej jednak był w błędzie, skoro Jefe stał właśnie w Tapiocie przy barze i przystawiał się do Jessiki.

- Słuchaj, Elvis, to wytłumacz mi jedną rzecz: jak to się stało, że Jefe siedzi właśnie w moim barze i żłapie whisky?

- Hę?

- Elvis, Jefe nie ma już złotego cadillaca. Dopiero co się dowiedziałem, że niedawno go sprzedał i kupił sobie porsche... a przynajmniej tak twierdzi.

- Nic nie kapuję - burknął Elvis, zdezorientowany.

- Nieważne, jeżeli tylko zabiłeś faceta od złotego cadillaca. Tak było?

- Człowieku, a bo ja wiem? Ten facio niczym nie jeździł. Wziął pokój w hotelu i zameldował się jako Jefe. Recepcjonista podał mi jego numer pokoju itede.

- No więc nie zabiłeś Jefe. Tłumaczę ci, ten sukinsyn jest teraz u mnie.

- To kogo stuknąłem, do kurwy nędzy?

- Nie wiem, kurwa. Może Marcusa Gnide. Wczoraj w nocy zwinął portfel Jefe.

- Ja pierdolę!

Sanchezowi przyszło coś do głowy.

- Zaraz, poczekaj chwilę. Czy ten facet miał przy sobie wisior z niebieskim kamieniem?

- E tam, człowieku, gówno miał. Ani portfela, ani gnata, kompletnie nic.

- O żeż kurwa...! A jak wyglądał?

- Tłusty, nieogolony moczymorda. Półgoły świr bez jaj, który jakoś tak dziwnie mi się przyglądał. Normalna cipa, nie chłop... zero szacunku dla siebie. Sukinsyn sprzedałby własną matkę, byleby ocalić dupsko.

- Uhm, no. To Marcus Gnida, bez dwóch zdań. Jesteś pewny, że nie miał przy sobie tego wisiora?

- Pewnie, że jestem pewny. W pokoju był tani srebrny łańcuszek, ale bez niebieskiego kamienia, tylko z jakimś gównianym poskręcany wisiorkiem.

Sanchez pomyślał, że czas przekazać Elvisowi najnowsze wieści.

- Widzisz, wczoraj w nocy on ukradł Jefe niebieski brylant czy coś w tym guście, wart całą kupę szmalu.

- Niebieski brylant? No, wreszcie gadasz do rzeczy, też coś o tym słyszałem. Powiadasz, że ile jest wart, konkretnie?

- Po mojemu dla tego Jefe, co to siedzi u mnie w barze, jest wart od groma. Podzielimy się forszą po równo, pół na pół.

- A niby czemu miałbym ci, kurwa, oddawać połowę, Sanchez? Jak znajdę to draństwo, opylę je na własny rachunek. Poza tym jak to jest, dalej chcesz, żeby go sprzątnął?

- Kurwa, nie! Masz zabić skurwysyna, który jeździł tym żółtym cadillakiem. Nie był to Marcus i wychodzi na to, że Jefe też nie. Jeżeli nie znajdziesz kierowcy żółtego cadillaca, to w zamian przynieś mi ten wisior. Podzielimy się po połowie i nie będziesz musiał skasować tego faceta od cadillaca... Przynajmniej na razie.

Elvis odetchnął głęboko, rozczarowany.

- Porąbane to! Dobra, układ stoi. Wrócę do tego hotelu i zobaczę, co się da wygrzebać.

- Dzięki, Elvis. Odezwij się potem. A ja zobaczę, może uda mi się dogadać z Jefe co do ceny.

Elvis wymamrotał coś pod nosem i rozłączył się. Pożegnania nie były jego mocną stroną. Skoro miał zarobić parę zielonych, liczył się głównie czas.

Jak wszyscy miejscowi, Sanchez wiedział to i owo o historii niebieskiego kamienia zwanego Okiem Księżyca. Wiedział, że zdaniem niektórych ten, kto posiada ów kamień, staje

się niezwyciężony. Inna sprawa, że wielu nie wierzyło w takie bzdury - wiedzieli tylko, że El Santino pięć lat temu zaproponował Ringowi za Oko Księżycy około stu tysięcy dolarów. Pech chciał, że Ringo nie zdążył skasować nagrody, bo został zastrzelony przez Bourbon Kida. Było zatem wielce możliwe, że Jefe usiłował sprzedać klejnot El Santinowi, ale pewnie za więcej niż te sto tysięcy zielonych, których żądał Ringo. I właśnie tę wiedzę Sanchez zamierzał obrócić na swoją korzyść.

Wrócił na salę i podszedł wprost do Jefe. Łowca nagród zabawiał Jessicę, opowiadając zabawne anegdoty o swoich licznych przygodach, kiedy to ścigał idiotów na tyle głupich, że zadarli z kimś dostatecznie bogatym, by wyznaczył nagrodę za ich głowę. Sanchez uznał, że nadarza się znakomita okazja, żeby się wtrącić.

- Hej, Jefe, chcesz, żebym rozpuścił wieści, że zależy ci na odzyskaniu tego kamienia? Znam ludzi, którzy specjalizują się w takich sprawach.

Jefe zdołał warknąć na niego i uśmiechnąć się jednocześnie. Wyraźnie nie spodobało mu się, że barman przerwał im rozmowę, a i jego szczodra propozycja pomocy nie przypadła mu do gustu.

- Nie potrzebuję, żeby pomagał mi jakiś palant z za baru. Chcesz dostać działkę z nagrody, i tyle. Już ja sam dam znać, komu trzeba.

- Jeśli chcesz, mogę powiedzieć El Santinowi, że straciłeś kamień. On zna takich, co to potrafią się tym zająć.

Dotychczas Sanchez nie pozwolił sobie na tak jawną groźbę wobec człowieka pokroju Jefe i pewnie nigdy by tego nie powtórzył. Najprawdopodobniej El Santino wynajął łowcę nagród, żeby ukraść dla niego ten kamień, i gdyby się dowiedział, że Jefe go stracił, wkurzyłby się nie na żarty. Jefe docenił subtelność tej groźby, a jednocześnie rozumiał, że El Santina należy trzymać od tego z daleka. Gdyby ktoś - on czy ona - dorwał się do wisiora i sprzedał go El Santinowi, Jefe nie dostałby nic, mógłby liczyć jedynie na odwiedzinę Ponurego Żniwiarza.

- No dobra - powiedział ze znużeniem. - Załatw mi ten kamień, a ja ci dam dziesięć tysięcy.

- Jasne. Ale dziesięć tysięcy dla mnie i drugie dziesięć dla mojego przyjaciela, który ci go załatwi.

Jefe wbił w Sancheza ostre spojrzenie. Barman przeciągał strunę, ale też miał aktualne informacje i był ustosunkowany, a poza tym wiedział, jak bardzo Jefe zależy na tym klejnocie.

- Twoje na wierzchu, panie barman.

Sanchez poczuł, jak spływa na niego fala ulgi.

Jessica, która przysłuchiwała się tej wymianie zdań, była pod wielkim wrażeniem.

- Kurde! Masz wolne dwadzieścia kawałków, żeby mi sprawić naszyjnik z brylantem? - zapytała; jej twarz była parodią miny niewiniątka.

Jefe uniósł brew.

- Cha, cha! A to dobre! Niestety, to nie brylant, a poza tym nie jest dla ciebie, słodziutka. Dla ciebie szykuje coś lepszego.

- Ooo! Nie mogę się doczekać - zaszczębiotała, posyłając mu nieprzyzwoity uśmiezek.

- Ale będziesz musiała wziąć na wstrzymanie. Najpierw muszę znaleźć gościa zwanego Marcus Gnida. Czekam go spotkanie z samym diabłem.

Sanchez słyszał, co Jefe mówił o odszukaniu Marcusa, ale nie uznał za stosowne podzielić się z nim podejrzeniem, że Gnida nie żyje. I tak wkrótce sam się o tym przekona.

Rozdział siedemnasty

Archibald Somers i Miles Jensen dostali wezwanie telefoniczne około szóstej po południu. Znalaziono kolejne zwłoki, tym razem w hotelu Santa Mondega International. Detektywi dotarli tam w rekordowo krótkim czasie. Somers prowadził jak wariat, żeby dostać się tam jak najszybciej i zamknąć okolicę, na wypadek, gdyby - co mało możliwe - morderca wciąż był w pobliżu. Niestety, wieści rozprzestrzeniały się niczym pożar lasu i zanim dotarli do hotelu, połowa mieszkańców miasteczka stała tam już w oczekiwaniu na chwilę, gdy będą wynosić zwłoki.

Somers zaparkował na ulicy jakieś pięćdziesiąt metrów od hotelu i obaj detektywi przepchnęli się przez tłum gapiów do wejścia. Pokazali odznaki dwóm funkcjonariuszom pilnującym wstępu, zostawili za sobą tłum ciekawskich i wkroczyli do holu. Wystrój wnętrza wywarł na Jensenie spore wrażenie. Od środka budynek wyglądał na najbardziej nowoczesny przybytek w Santa Mondega - sztywne beżowe dywany, a do tego stylowe, nieomal królewskie szkarłatne kanapy, na których goście hotelowi mogli sobie przysiąść. Stojący za ladą recepcji młody człowiek przez mgnienie oka nawiązał kontakt wzrokowy z Jensenem, po czym spuścił oczy i udawał, że jest zajęty.

- Kapuję, jak się sprawy mają - szepnął Somers do partnera. - Idź na górę i obejrzyj miejsce zbrodni, a ja sobie pogadam z naszym przyjacielem z recepcji.

- Załatwione. Za moment zobaczymy się na górze.

Jensen wszedł po schodach na szóste piętro, gdzie znalaziono zwłoki ostatniej ofiary mordercy. Nie trzeba wielkiego detektywa, żeby odszukać pokój, w którym doszło do zabójstwa. Drzwi były wywalone z zawiasów, a przed nimi stał mundurowy. Miles podszedł do niego i okazał legitymację.

- Cześć, jestem detektyw Jensen.

- Wiem - odparł funkcjonariusz. - Czekaliśmy na pana. Proszę tędy.

Gliniarz wskazał ręką rozwalone drzwi; wchodząc do środka, Jensen uprzejmie skinął mu głową. W pokoju panował nieznośny odór - znany już nozdrzom Milesa Jensena, niemniej niezmiennie odrażający.

Dla Milesa zwłoki stanowiły chleb powszedni, nigdy jednak nie widział czegoś tak makabrycznego jak to, czego był świadkiem w ciągu pierwszych dwudziestu czterech godzin od przybycia do Santa Mondega. Ostatnią ofiarę zidentyfikowano - okazało się, że jest nią

miejscowy męt i oprych znany jako Marcus Gnida. Zameldował się w hotelu pod przybranym nazwiskiem, prawdopodobnie dlatego, że bał się o swoje życie. I najwyraźniej się nie mylił.

Gdy Jensen rzucił okiem na zwłoki, jedno wydało mu się oczywiste. To morderstwo różni się co nieco od innych! Marcusowi nie wylupiono oczu. Nikt też nie wyrwał mu języka, chociaż faktem jest, że go odcięto w połowie długości. Poza tym ktoś rozplątał mu brzuch i - jeśli wierzyć jednemu z techników, którzy tam pracowali - włókł go za flaki po całym pokoju. Inni goście hotelowi zeznali, że słyszeli strzały z broni palnej. To by pasowało do przestrzelonych kolan, chociaż na razie trudno było to potwierdzić, bo nie znaleziono żadnych łusek.

Pokój numer 73 to była jedna krwawa jatka. Nie ulegało wątpliwości, że równie paskudnie wyglądał przed tym ostatnim morderstwem, poza tym ktoś wypił większość alkoholu z minibarku. Butelki walały się po całej podłodze, a plamy z whisky i piwa mieszały się na dywanie z zaciekami z krwi. Drzwiczki minibarku stały otworem - w środku zostało tylko kilka butelek wody mineralnej i przewrócony sok pomarańczowy. Technicy, jak zawsze, wychodzili z siebie, żeby wszystko zbadać i utrwalić obraz takim, jak go zastali, wobec czego Jensen pilnował się, żeby niczego nie dotknąć.

- Jakby pan chciał wiedzieć, to porucznik Scraggs jest tam z tyłu, w łazience - odezwał się jeden z techników, który na czworakach zbierał pincetą z podłogi resztki brzucha Marcusa Gnidy.

- Jasne. Dzięki.

Nic lepszego nie przyszło Jensenowi do głowy. Miał wrażenie, że jest tam zbędny i swoją osobą tarasuje tylko miejsce zbrodni. Nie chcąc, żeby postrzegali go w ten sposób, postanowił sprawdzić, co też Scraggs porabia w łazience.

- Hej, poruczniku, znalazł pan tu coś? - zapytał, wsuwając głowę przez drzwi łazienki.

Scraggs akurat przeglądał się w lustrze nad umywalką. Zaskoczony przez detektywa, wydawał się lekko przestraszony i zażenowany.

- Nic. Macie już jakąś teorię na ten temat?

- W tym momencie jeszcze nie - wyznał Jensen. - Ale wszystko przed nami. Widział pan kiedyś coś takiego?

Scraggs jakby otrząsnął się z zakłopotania po tym, jak przyłapano go na przeglądaniu się w lustrze; odwrócił się znów do lustra i przeciągnął dłońmi po gęstych ciemnych włosach, a także poprawił wąski niebieski krawat.

- Widziałem już kupę takich zwłok i powiem wam jedno, detektywie, i to za darmo: to nie jest robota Bourbon Kida. Wasz partner Somers będzie twierdził inaczej, ale on by zwał na

Kida śmierć Kennedy'ego, gdyby tylko mógł.

- Skąd ta pewność, że to nie robota Kida?

- Bo ten pieprzony Kid nigdy nic nie robi - prychnął Scraggs, odwracając się twarzą do Jensena. - Kid to historia. Przyjechał kiedyś do miasta, zastrzelił od groma ludzi i zniknął. W tamtym tygodniu Somers stracił chyba wszystkich, na których mu zależało, wszyscy zginęli z ręki Bourbon Kida. Usiłuje przypisywać wszystko Kidowi, bo uważa, że dzięki temu łatwiej go złapie, tymczasem w ten sposób tylko buduje jego legendę i Kid urasta na kogoś w rodzaju współczesnego Johna Wesleya Hardina¹.

Scraggs wziął rękawiczki chirurgiczne, leżące z boku umywalki. Włożył je, przepchnął się obok Jensena i wrócił do sypialni, gdzie omal nie nadepnął na doczesne szczątki Gnidy. Jensen pośpieszył za nim.

- Czy wszyscy tak właśnie myślą? - zawołał za porucznikiem.

Scraggs się zatrzymał, ale tym razem nie odwrócił się do niego.

- Nie chodzi o to, że wszyscy tak myślą - sprostował. - Wszyscy o tym wiedzą!

Ominął kilka strzępów ciała na dywanie i wyszedł z pokoju przez dziurę, w której niegdyś były drzwi. Przechodząc przez nią, obrzucił pustym spojrzeniem detektywa Archibalda Somersa, który minął go w progu i wszedł do środka z dwoma papierowymi kubkami kawy.

- I co my tu mamy, partnerze? - zapytał Jensena.

Młodszy detektyw patrzył, jak Somers rozgląda się po pokoju. Stary wyga wkrótce zatrzymał wzrok na krwawej masie na podłodze, która niegdyś była Marcusem Gnidą.

- Hm, niewiele - odparł Miles. - Tym razem nie mamy wyłupionych oczu, a język odcięto, nie wyrwano.

- To miło - skwitował Somers, wachając zawartość jednego z kubków. - Masz. - Podał Jensenowi ciepłe papierowe naczynie. - Przyniosłem ci kawę.

- Nie, dzięki. Nie pijam tego świństwa.

- Twoja wola.

Somers rozejrzał się, szukając miejsca, gdzie mógłby odstawić zbędny kubek. Niestety, w całym pokoju nie było gdzie postawić naczynia z gorącą, parującą kawą. Technicy nie pokochaliby go, gdyby zostawił kubek tam, gdzie właśnie zamierzali zbierać odciski palców albo szukać śladów DNA, dlatego wychylił się za drzwi i zobaczył, że Scraggs zmierza w kierunku schodów.

- HEJ, SCRAGGS! - zawołał. - ŁAP!

¹ John Wesley Hardin (1703-1791) - angielski teolog, współtwórca Kościoła metodystów (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

Jensen zobaczył tylko, jak jego partner rzuca kubek w kierunku, który obrał porucznik Scraggs. Zaraz też usłyszał wrzask, świadczący o tym, że wieczko kubka odpadło i gorąca zawartość poparzyła wrażliwe części ciała nieszczęsnego porucznika. Następnie posypały się przekleństwa, skierowane niewątpliwie pod adresem Somersa, ale szef techników nie wrócił, żeby stanąć z gburowatym starym wygą twarzą w twarz i wyładować na nim wściekłość.

- A ten facet z recepcji powiedział coś ciekawego? - zapytał Jensen.

Somers cofnął się do pokoju i upił łyk kawy.

- Kurde, ale gorąca! - burknął, oblizując najwyraźniej poparzone usta. - A, tak. Portier mówił, że jego kolega z nocnej zmiany widział, jak wchodzi tu Elvis.

- Elvis?

- No. Wiesz, Elvis, król rock and rolla.

- Ej, ej! Momencik! - rzucił Jensen, przypominając sobie wcześniejszą rozmowę. - Rano jeden z gości z karetki, tam na farmie, wspominał coś o Elvisie.

- Nie może być! I co mówił?

- Powiedział, że ten barman, Sanchez, wynajmie Elvisa, żeby zabił tych, którzy zamordowali jego brata i bratową.

- Co takiego?! O żeż... Dlaczego nie powiedziałeś mi o tym wcześniej? - Somers odwrócił się do partnera raptownie, ze złością; zdawało się, że patrzy, w co by tu kopnąć, żeby wyładować gniew. Ale że jedynym obiektem w zasięgu jego nogi były zwłoki Marcusa, zrezygnował.

- No... bo myślałem, że z jego strony to tylko pic na wodę.

- Chryste Panie, nie! Jensen, powinienes mi o tym powiedzieć. Elvis to tutejszy mięśniak do wynajęcia. Kawał wrednego skurwysyna i nie da się ukryć, że to wygląda na jego robotę.

- Naprawdę?! A więc nie sądzisz, że to dzieło Bourbon Kida? - odrzekł Jensen, zaskoczony. Inni gliniarze, z którymi rozmawiał, mówili mu, że Somers zwali wszystko na Kida.

- Nie. To robota Elvisa, bez dwóch zdań. Ale czy uda nam się znaleźć niezbite dowody, czy nie, to już inna sprawa. To zawodowiec. Specjalnie zwrócił na siebie uwagę portiera i dał się zapamiętać, żeby odebrać wypłatę za robotę, ale na pewno nie zostawił ani śladu DNA dla naszych techników. Nic tu nie znajdziemy. Natomiast trzeba się dowiedzieć, po kiego ruszył w miasto, żeby załatwić tego biednego skurczysyna. Nie ma mowy, żeby Marcus Gnida zabił Thomasa i Audrey Garcię, bez względu na to, co ten ptasi mózdzek Sanchez o tym sądzi. On jest... znaczy się, był... złodziejem, nie zabójcą. Jeżeli Elvis zrobił to na zlecenie Sancheza, to dopadł nie tego człowieka, co trzeba.

Jensen był zły na siebie, że nie powiedział wcześniej Somersowi o tej historii z Elvisem. Gdyby to zrobił, Marcus Gnida pozostałby może przy życiu. Dostał nauczkę - jeżeli w Santa Mondega ktoś mówi ci coś, co wygląda na lekki obłąd, to należy zakładać, że to prawda.

- A gdzie znajdziemy tego całego Elvise? - zapytał.

- Ba, jeżeli wciąż szuka zabójcy brata Sancheza, to niezadługo wyląduje w kostnicy. Elvis to kawał paskudnego skurczysyna, wredny jak cholera, ale jeżeli wytropi Bourbon Kida, przekona się, że trafiła kosa na kamień.

Rozdział osiemnasty

Zdarzało się to nieczęsto, i dobrze, bo Sanchez tego nie znosił. Pojawienie się El Santina w jego barze w najlepszym razie nie wróżyło nic dobrego, a biorąc pod uwagę to, co aktualnie działo się w mieście, należało przypuszczać, że rzadki gość jest w naprawdę parszywym nastroju.

- Sanchez - rzucił El Santino i kiwnął mu głową na powitanie. - Jak leci?

- Nieźle, dzięki. A co u ciebie?

El Santino miał gdzieś, jak się miewa Sanchez, barman zaś był na tyle mądry, by zdawać sobie z tego sprawę. W tych okolicznościach i tak cieszył się, że bandyta raczej nie zamierza go zabić.

Z gangstera był kawał chłopca. Naprawdę wielki, imponującej postury, był, niestety, ostatnim sukinsynem. Nosił wysokie czarne buty, czarne skórzane spodnie ze srebrnymi guzikami biegnącymi po bokach nogawek i jedwabną koszulę o barwie srebra. A na to wszystko gruby, czarny skórzany płaszcz z szerokimi klapami, sięgający do kolan.

Nawet ktoś, kto nigdy nie spotkał El Santina, kto nigdy o nim nie słyszał, już na pierwszy rzut oka by się zorientował, że oto ma przed sobą człowieka, którego całe miasto boi się jak nikogo innego. Charakterystyczne, sięgające ramion ciemne włosy wsuwał za uszy i przytrzymywał czarnym kowbojskim kapeluszem. Szczecina na jego twarzy walczyła o lepsze z bliznami, nad którymi górowały czarne, krzaczaste brwi, zbiegające się u nasady nosa tak, że wyglądały jak jedna brew. Za nim, u wejścia do baru, stali jego dwaj ochroniarze, Carlito i Miguel. Ubierali się tak samo jak El Santino i byli do niego tak podobni, że mogliby uchodzić za jego młodszych braci. Jedyne różnica polegała na tym, że nosili czarne koszule, a nie srebrne, no i żaden z nich nie był tak wysoki jak szef.

Historia panowania El Santina na tym terenie sięgała wielu lat wstecz. Dla niektórych był żywą legendą, mniej więcej tak jak Kayser Soze². Przez całe lata był dobrze prosperującym biznesmenem zajmującym się prostytutką; Carlito i Miguel, jako alfonsi, odpowiadali bezpośrednio przed nim. Pewnego dnia jego najcenniejsza kurewka, olśniewająca szkocka piękność zwana Maggie May, dała się podebrać konkurencyjnej bandzie, na której czele stali osławieni, przerażający bracia Vincent - Sean i Dermot. Byli to dwaj kolesie z Irlandii, straszne moczymordy. Rzecz jasna, nikt nie wspominał na głos o ich pochodzeniu, bo byli

² Kayser Soze - mityczny, przerażający bandyta z filmu *Podjejrzeni* (*Usual Suspects*).

deczko drażliwi na punkcie „Starego kraju”.

Maggie była ulubioną dziewczynką El Santina i jedyną z jego licznych panienek, na myśl o której robił sobie dobrze, dlatego też jej odejście do Vincentów odebrał jako ciężką, osobistą zniewagę. Wymierzył im więc karę we właściwy sobie, bezlitosny sposób. Irlandzcy braciszczowie zostali zaskoczeni podczas popijawy w Lelku-Kufelku. Czterem ich kumplom, z którymi tankowali, Miguel i Carlito ucieli głowy (bo, jeśli wierzyć pogłoskom, obaj mieli tej nocy katany - miecze samurajskie). Ten sam los spotkał Maggie May, za to, że dopuściła się tak ciężkiej zdrady. Bogiem a prawdą, przyjęła to pewnie jako wybawienie, bo wcześniej El Santino oddał ją na kilka godzin na łaskę i niełaskę Carlita i Miguela.

Niestety, Sean i Dermot Vincentowie nie mieli aż takiego szczęścia. Jak wieść niesie, wylądowali w lochach zamku El Santina na skraju miasta. Co noc, regularnie, służyli za seksualne zabawki rozmaitym zbrodniaczom i oprychom, których gangster stale podejmował.

Pozbawiony się irlandzkich braciszków, olbrzymi meksykański alfons został niekwestionowanym numerem jeden - najbardziej bezwzględny i przerażającym gangsterem w Santa Mondega. Patrząc na niego, Sanchez za każdym razem widział jedynie gwałconych i torturowanych braci Vincent. Nie inaczej było teraz.

- No jak, Sanchez, widziałeś coś, z czego chciałbyś mi się zwierzyć? - zapytał El Santino takim tonem, że lepiej nie mówić. Ciszę, jaka zapadła w barze po jego pytaniu, można by kroić nożem do kastrowania żab.

- Tego, no... widziałem tu parę razy takiego gościa, Jefe mu jest. - Sanchez sięgnął pod ladę i wyciągnął szmatę i kufel do piwa. Z nerwów i żeby się czymś zająć, zaczął wycierać brzeg kufla. El Santino budził taki postrach, że barman przykładął wielką wagę do tego, co robia jego ręce.

- Tak? I co, Jefe coś ci powiedział?

- Nie, ale podsłuchałem, jak mówił, że cię szuka.

- Co ty powiesz?

- No, tego... zdaje mi się, że tak właśnie mówił - bąknął Sanchez i skupił się na polerowaniu szkła.

- Zdaje ci się... Jasne.

- Walniesz jednego...? Na koszt firmy.

- A co? Whisky. Potrójną. I po szklaneczce dla Carlita i Miguela.

- Już się robi.

Sanchez starannie sięgnął po najlepszą whisky, jaką miał, i nalał trzy szklanki nowym klientom. Widział, że trzęsą mu się ręce, dlatego nalewał jak najszybciej, bojąc się, że ktoś

może to zauważyć. Odmierzył w miarę równe porcje, jeśli w ogóle było to możliwe w tych okolicznościach, a kiedy skończył, ustawił trzy szklanki na ladzie, obok tej, z której sam popijał.

- *Salud y dinero*, panowie! - wybełkotał, uśmiechając się sztucznie.

El Santino zmierzył go twardym wzrokiem.

- Sanchez - powiedział.

- No?

- Stul pysk!

- Jasne. Nie ma sprawy.

Wielkolud nie sięgnął po swoją szklankę, a jego goryle nawet nie podeszli do baru.

- To jak, Sanchez, ten Jefe ma coś dla mnie? He?

- No, miał coś dla ciebie.

Sanchez był zbyt mądry, żeby uraczyć El Santina choćby tylko półkłamstwem. Bandyta znany był z tego, że wyczuwa łgarstwo na kilometr i że nie ma litości dla tych, którzy próbują wyprowadzić go w pole.

- To dlaczego jeszcze mi tego nie przyniósł? - zapytał olbrzym, znowu patrząc barmanowi prosto w oczy. - Co on z tym kombinuje?

Przechlapane, pomyślał Sanchez. Będzie musiał powiedzieć mu prawdę, całą prawdę i tylko prawdę. I to bez pomocy boskiej.

- Bo mu to ukradł taki jeden, Marcus. Ale pomagam mu, żeby to odzyskał.

- Ty mu pomagasz?!

- No. Znam takiego jednego gościa, specjalistę od odzyskiwania rzeczy zagubionych. Facet ma swoje kontakty.

Przez ułamek sekundy wyraz oczu El Santina sugerował, że jego zdaniem Sanchez wie o kradzieży kamienia o wiele więcej, niż mówi.

- Rozumiem. A ile ci płaci Jefe za odnalezienie skradzionego towaru?

- Dwadzieścia tysięcy.

El Santino pozwolił sobie na równie przelotny, co fałszywy uśmiezek.

- Coś ci powiem, Sanchez. Jak znajdziesz mój towar przed Jefe, dam ci do rączki pięćdziesiąt kawałków. Znamy się nie od dzisiaj, a ja ci ufam.

- Sie wie, El Santino. Będzie, jak każesz.

- To dobrze. - Olbrzymi gangster w końcu sięgnął po szklankę whisky. - Wiesz, dlaczego ci ufam, no nie, Sanchez?

Barman poczuł, że oblewa się potem. Nie znosił, kiedy El Santino zadawał mu

niewygodne pytania, i tym razem, jak zawsze, odczekał jak najdłużej, licząc na to, że pytający sam sobie odpowie. Tak też się stało.

- Ufam ci, bo nie jesteś taki głupi, żeby próbować mnie przechytrzyć. Za dobrze mnie znasz, żeby się na to porwać. I to akurat jest jedyne, co mi się w tobie podoba. - Przerwał, a po chwili dorzucił: - Wiesz, gdzie mnie znaleźć.

Wychylił duszkiem potrójną whisky, z trzaskiem odstawił szklanę na ladę i wyszedł z Tapioki tak samo, jak wszedł, w towarzystwie Carlita i Miguela, którzy nawet nie umoczyli dzioba. Sanchez wziął ich szklanki i przelał zawartość z powrotem do butelki. Ręce mu drżały, nogi dygotały, i dziękował Bogu, czy co tam panuje w Santa Mondega, że Jefe z Jessicą wyszli dwadzieścia minut wcześniej.

Było to niezwykle szczęśliwe zrządzenie losu, a to z dwóch powodów. Po pierwsze, El Santino prawdopodobnie zabiłby Jefe i paru Bogu ducha winnych klientów, gdyby łowca nagród pojawił się bez kamienia. Po drugie, oznaczało to, że jeżeli Elvisowi uda się zdobyć kamień przed Jefe, to będą mieli do podziału piękną sumkę w wysokości pięćdziesięciu tysięcy dolarów od El Santina, zamiast dwudziestu kawałków zaproponowanych przez Jefe. Rzecz jasna, nie wiadomo było, co zrobi łowca nagród, kiedy się zorientuje, że wykolegowano go z interesu, ale Sanchez uznał, że Elvis da sobie z tym radę.

Najwyższy czas przedzwonić do Króla, pomyślał. Cyngiel tak szybko wytropił Marcusa Gnidę, że jeśli chodzi o zdobycie kamienia, miał dużą przewagę nad innymi. Wyglądało na to, że ani El Santino, ani Jefe nie wiedzą, że Marcus nie żyje. Ale, ma się rozumieć, takie wieści rozchodziły się po Santa Mondega szybciej, niż mnich wypluwał szczyny z ust, dlatego też Sanchez wiedział, że to tylko kwestia czasu, zanim się dowiedzą. Niedługo czasu.

Rozdział dziewiętnasty

Jefe wtoczył się do hotelu Santa Mondega International i ruszył wprost do nocnego recepcjonisty, który siedział za ladą i nudził się jak mops, bo jeszcze nie wiedział, że łowca nagród za chwilę wprowadzi nieco ożywienia do jego życia.

- W którym pokoju kibluje ta kurwa Marcus? - padło pierwsze pytanie.

Recepcjonista - młody Latynos, nastolatek pod dwudziestkę - westchnął i spojrzął na Jefe tak, jakby to samo pytanie zadawano mu już tysiąc razy i miał powyżej uszu odpowiedzi na nie.

- Marcus Gnida? - odparł.

- No.

- Nie żyje.

- Że co?!

- Rano znaleźli na górze jego zwłoki. Policja kręci się po hotelu przez cały dzień.

- O w mordę! Wiedzą, kto go sprzątnął?

- E tam, oni akurat nie wiedzą!

Jefe się wkurzył. Co tam wkurzył... wkurwił się nie na żarty! Recepcjonista okazał się bardziej pomocny, niż się spodziewał, tyle że nie takich informacji oczekiwał. Jeżeli zabójca Marcusa nie zwinął kamienia, to znaczy, że do tej pory ma go już policja. A w ogóle to co miał na myśli ten mały, mówiąc: „oni akurat nie wiedzą”?

- Oni akurat nie wiedzą? Znaczą się co?

Recepcjonista - człowiek młody i naiwny - najwidoczniej nie wiedział, z kim ma do czynienia. Gestem, w którym Jefe doszukał się całkowitego braku szacunku, pokazał łowcy nagród, żeby się do niego nachylił.

- Ja tu robię na zastępstwie. Ten, co był na stałe, urwał się zeszłej nocy, razem ze swoją dziewczyną, pokojówką. Już tu nie wróca. Podobno coś widzieli. Po mojemu oni wiedzą, kto zabił tego pechowego skurczybyka i wyparowali, bo się boją, żeby zabójca ich nie dorwał.

Jezu Chryste Przenajświętszy! Nozdrza Jefe rozděły się, gdy głęboko zaczerpnął powietrza. Nie był rozczarowany tym, co usłyszał. Był wściekły jak jasna cholera, chociaż jak na niego, ukrywał to wcale nieźle.

- A gdzie znajdę tamtego ciecica, co? Gdzie mieszkają, on i ta jego dziwka?

- Takich informacji nie udziela się za friko.

Gruby błąd! Jefe złapał chłopaka za włosy i grzmotnął jego głową o ladę.

- Posłuchaj mnie, ty kupo łajna! - syknął. - Gadaj zaraz, gdzie ich znajdę, albo będziesz zbierał swój nos z podłogi własną dupą.

- No dobra, już dobra. Jezu, dlaczego nikt nie chce mi zapłacić za tę informację?

Młody Latynos krzywił się z bólu i widać było, że jest równo przymulony.

- Co ty mi tu nawijasz? Kto jeszcze o nich pytał?

Ponieważ recepcjonista nie był łaskaw odpowiedzieć od razu, Jefe ponownie zmiażdżył mu twarz o ladę. Tym razem towarzyszył temu niemiły dźwięk łamanego nosa. Nie było cienia wątpliwości, który z rozmówców prowadzi tę konwersację. Starsza para, siedząca na jednej z kanap w pobliżu, podniosła wzrok, jakby chciała się wstawić za chłopakiem. Wystarczył jednak jeden szybki rzut oka Jefe w ich kierunku, żeby staruszkowie przytomnie zmienili zdanie. Kiedy głowa młodego człowieka znowu powędrowała w górę, zmądrzał już na tyle, żeby czym prędzej odpowiedzieć na pytanie łowcy nagród, mimo że krew i gluty spływające z nosa nie ułatwiały mu zadania.

- No... - wymamrotał niewyraźnie. - Gliny się rozpytywały, no i ten cudak przebrany za Elvisa. Mówię ci, chłopie, to kawał wrednego skurwysyna. Naprawdę paskudny typ. Był tu jakąś godzinę temu.

- A tyś mu powiedział, gdzie ich znaleźć, tego ciecica i jego kurewkę, tak?

- Człowieku, a bo ja miałem wybór?! Zmusił mnie. Weź, zobacz, co ten sukinsyn mi zrobił.

Podniósł lewą rękę, spowitą grubą warstwą białego bandaża. Odsunął opatrunek na bok i pokazał głęboką ranę, biegnącą wnętrzem dłoni od kciuka do małego palca. Na pierwszy rzut oka mogłoby się wydawać, że dłoń ma przeciętą na pół. Jefe przyjrzał jej się uważnie przez chwilę i zerknął na chłopaka ze współczuciem. Potem z kabury pod czarną skórzaną kamizelką wyciągnął pistolet i strzelił chłopakowi prosto w ranę.

PIF!

Krew trysnęła na wszystkie strony. Przez dwie sekundy nic się nie działo, po czym recepcjonista uświadomił sobie, co się stało, wrzasnął z bólu i spadł z krzesła na plecy.

Starsza para wstała z kanapy i bez słowa wyszła z holu na ulicę. Jefe i tak nie zwracał na nich uwagi. Miał gdzieś, ilu ludzi go zauważy. Musiał odzyskać kamień, więc nikt - i nic - nie mógł go przed tym powstrzymać.

- Słuchaj no, ty śmierdząca kupo gówna. Kogo powinieneś się teraz bardziej bać, mnie czy tego sukinsyna Elvisa?

- Ciebie, człowieku! Jasna sprawa, że ciebie! - zaskowyczał recepcjonista, kurczowo

zaciskając przestreloną dłoń.

- Dobrze. Skoro już to ustaliliśmy, gadaj, w morde, gdzie znajdę tego eks-ciecia nocnego, co to się ulotnił, i tę jego kurewkę. Chcę wiedzieć o nich wszystko, co twoim zdaniem mogłoby mnie zainteresować. Na początek powiedz mi, jak się nazywają.

- Dante! On ma na imię Dante, a na jego dziewczynę wołają Kacy.

- A gdzie ten cały Dante i ta pieprzona Kacy mieszkają?

Recepcjonista był teraz roztrzęsioną, skowyczącą kupką nieszczęścia; skulony na podłodze w pozycji płodowej, marzył tylko, żeby ktoś przyszedł mu na pomoc.

- Sz... sz... - wystękał.

- Ty mnie tu, kurwa, nie uciszaj, gówniarzu jeden! - warknął Jefe i wycelował pistolet w głowę chłopaka.

- Sz... sz... Shamrock House... mieszkanie numer sześć - wydukał w ostatniej chwili, skamieniały z przerażenia.

Jefe niedbale skierował lufę broni w sufit.

- A tobie jak na imię, synu? - zapytał spokojniejszym tonem.

- G... G... Gil.

- No to zapamiętaj sobie, Gil, nigdy więcej nie waż się mnie uciszać.

- Ja... ja nie będę... przysięgam.

PAF!

Jefe strzelił Gilowi w sam środek twarzy i beznamytnie patrzył, jak mózg nieszczęsnego chłopaka obryzguje dywan i ścianę za nim.

- I nigdy więcej nie przeklinaj, cioto!

Mając niezbędne informacje bezpiecznie zachowane w zakamarkach umysłu, Jefe odwrócił się i wyszedł z hotelu frontowymi drzwiami. W progu przystanął na moment, żeby postrzelić w nogę mijającą go staruszkę, która wchodziła do holu. Wijąc się z bólu, padła na podłogę, a zanim doszła do siebie na tyle, by zdać sobie sprawę z tego, co się stało, Jefe już dawno zniknął. Wybierał się do Shamrock House, żeby zabić Dantego i Kacy.

I odzyskać niebieski kamień.

Rozdział dwudziesty

Shamrock House, mieszkania numer sześć. Jefe nie robił sobie nadziei, że zastanie tam Dantego i Kacy. W każdym razie nie żywych. Prawdopodobnie byli głupi, jeśli jednak byli aż tak durni, żeby zostać w tym mieszkaniu, to ten gościu, Elvis, pewnie już dawno ich załatwił.

Jefe nie był pewien, gdzie Elvis mieści się w tym równaniu. Może pracował dla El Santino, a może to Sanchez wynajął go, żeby odnalazł kamień. Jeśli tak, to znaczy, że barman się uwinął. Tak czy owak, jeśli Elvis znalazł Dantego i Kacy, to miał nad nim kilka kroków przewagi w poszukiwaniu Oka Księżyca. Choć, ma się rozumieć, nigdzie nie było powiedziane, że on w ogóle szuka tego kamienia. Niewiedza na temat tego, ile wie ten cały Elvis i dla kogo - jeśli w ogóle - pracuje, to była niezła zagwozdka. Niestety, jak się okazało, ten problem był tak nisko na liście priorytetów Jefe, że nie odczekał i nie poświęcił tej kwestii należytej uwagi.

Za brudną i już na oko zbutwiałą ladą portierni w holu Shamrock House siedział staruszek w zapinanym na guziki swetrze. Nie starał się zwrócić na siebie uwagi nowego gościa, Jefe zaś z lubością ignorował starego piernika. Zupełnie jakby porozumieli się bez słów, nawet na siebie nie patrząc. Jefe minął portiernię i nie fatygując się do rozklekotanej windy, ruszył wilgotnymi drewnianymi schodami na górę. Nie wiedział, gdzie znajdzie mieszkanie numer sześć, ale zważywszy na to, że budynek był dosyć wąski, uznał, że na pewno nie na parterze.

Okazało się, że mieszkanie, którego szukał, mieści się na drugim piętrze; zanim do tego doszedł, pożałował, że nie zapytał o to starca w portierni. Drzwi numer sześć znajdowały się na końcu zimnego, wilgotnego korytarza wyłożonego lepkiem ciemnozielonym dywanem. Tapeta, niegdyś zapewne kremowa, teraz była brudnożółta, pokryta ciemnymi plamami wilgoci wspinającej się na nią z podłogi. W wielu miejscach niemal całkiem odpadała od ściany.

Dotarłszy w końcu do drzwi z przyśrubowaną zardzewiałą cyfrą „6”, Jefe sprawdził, czy ma przy sobie broń. Instynktownie robił to za każdym razem, kiedy wybierał się do kogoś, kogo miał zamiar zabić. I chociaż robił to odruchowo, nawet o tym nie myśląc, traktował tę czynność jako coś na kształt talizmanu i trzymał się tego z niemal religijną wiarą. Kiedy już się upewnił, że wciąż ma przy sobie gnata, wypiął pierś, wyprostował się w ramionach i trzy razy zapukał do drzwi.

- Halo? Jest tam kto? - zawołał.

Bez odpowiedzi. Zastukał ponownie. I znów nikt mu nie odpowiedział, ale Jefe ogarnęło przerażające uczucie. Takie, kiedy czujesz, że ktoś cię obserwuje i się z ciebie naśmiewa. Rzut oka na mroczny, gówniany korytarz powiedział mu, że jest sam, a mimo to nie mógł się pozbyć tego wrażenia. Nie był to jednak stosowny czas na roztrząsanie bliżej niesprecyzowanego niepokoju. To była pora na działanie.

ŁUP!

Wkopał drzwi do środka. Wystarczył jeden kopniak, ustąpiły bez problemu. Prawdę mówiąc, poszło mu tak łatwo, że omal nie wyleciały z zawiasów. Jefe był świadomy swojej siły, mimo to łatwość, z jaką drzwi stanęły otworem, nasuwała podejrzenie, że przy zamku już wcześniej ktoś majstrował. Z powodu wilgoci drzwi były nieźle przegniłe, nic więc dziwnego, że zamek pewnie ledwie się trzymał. Jefe nie zawracał sobie jednak głowy stanem zamka. Przede wszystkim musiał sprawdzić, czy ktoś nie czai się w środku. Wyciągnął broń i gotów do akcji, wskoczył do mieszkania w sposób dobrze znany z telewizyjnych seriali policyjnych, sprawdzając teren po lewej i prawej; wchodząc w głąb pokoju, odwracał się zniechęca, by upewnić się, że nikt nie czyha na niego za plecami.

Niewiele było do oglądania, przynajmniej na pierwszy rzut oka. Mieszkanie składało się z jednego pokoju, wyposażonego jedynie w dwuosobowe łóżko przykryte krwistoczerwoną kołdrą, stojący przed małym przenośnym telewizorem fotel oraz brudną poźółkłą umywalkę, nad którą wisiało zapaćkane lustro. Tapeta była w jeszcze gorszym stanie niż w korytarzu, a poza tym panował tam niesamowity smród, jakby ktoś zostawił pod łóżkiem befsztyk i o nim zapomniał.

Jefe już miał schować broń, gdy naraz ujrzał krew na powłoczce kołdry na łóżku. Przyjrzał się jej. Krew nie przesiąkła jeszcze przez pościel, nadal tworzyła kałużę na ciemnoczerwonej powłoczce kołdry. Była świeża. Jak bardzo świeża, okazało się już po chwili, kiedy z góry spadła kolejna kropla i rozprysnęła się na środku kałuży. Jefe powoli podniósł wzrok - najpierw same oczy, a dopiero potem zadarł głowę. I wówczas zobaczył truposza na suficie. To jego krew kapiała na łóżko.

Facet był przygwożdżony, dosłownie, do sufitu całą kolekcją małych noży. Niektóre przebiły jego dłonie, niektóre stopy, a jeszcze inne pierś. Kolejny nóż poderzwał mu gardło od ucha do ucha, dwa inne dosyć paskudnie wylupiły oczy i wyglądało na to, że jeszcze jeden wbił się w krocze. W mordę jeża! Truposz był tak zmasakrowany, że trudno było powiedzieć, jak kiedyś wyglądał. Skórę miał powleczonej krwią, a ubranie w strzępach. Jefe odniósł wrażenie, że tego faceta rozszarpało stado dzikich bestii, które potem powiesiły go niczym pranie, żeby wysechł. Łowca nagród naoglądał się w życiu niemało zwłok, ale czegoś takiego

jeszcze nie widział.

- Ja pierdolę, człowieku! - powiedział na głos. - Coś ty za jeden?

Z początku truposz nie odpowiedział, gdy jednak Jefe wyciągnął rękę w górę i dźgnął go lufą pistoletu, odpowiedź padła, i to jak! Z szyi zabitego zsunął się złoty łańcuch i wylądował na łóżku. Jefe omal nie wyskoczył ze skóry, ale kiedy już doszedł do siebie, a jego serce zaczęło bić w normalnym rytmie, podniósł wisior. Na grubym złotym łańcuchu dyndał ciężki złoty medalion z wrytymi trzema literami: „TCB”. Jefe wiedział, co to oznacza. „TCB” - *Taking Care of Business*, czyli „Dbaj o swoje”. Elvis Presley nosił ten akronim wryty na okularach przeciwsłonecznych. Był to znak firmowy Króla. Odgadnięcie, kim jest ten nieboszczyk, nie wymagało więc specjalnego polotu.

- Więc to ty jesteś Elvis, he? O żeż w dupę, chłopie! Kto cię tak, kurwa, urządził? Wyglądasz, jakbyś się spotkał z samym diabłem w przebraniu.

Truposz, nie dziwota, nie odpowiedział. Przez następne kilka minut Jefe myszkował po mieszkaniu. Niczego nie znalazł, a kiedy pod ciężarem Elvisa noże w końcu puściły i jego ciało gruchnęło na łóżko, uznał, że ma już dość, i czym prędzej opuścił ten paskudny lokal. Ruszył do schodów tak szybko, jak to możliwe, ale żeby nie wyglądało na to, że się śpieszy. Kiedy w drodze na ulicę mijał staruszka w portierni, ten nawet na niego nie spojrział. Był zbyt mądry, żeby sprawdzać wszystkich gości odwiedzających jego kamienicę. Po co identyfikować przestępcę, który w rezultacie uzna, że musi cię zabić?

Na dworze, szczęśliwy, że znów jest na świeżym powietrzu, Jefe najpierw odetchnął głęboko kilka razy, a dopiero potem ruszył ulicą do swojego samochodu. Odzyskanie Oka Księżyca zapowiadało się teraz na niezwykle trudne zadanie. Musiał złapać jakiś nowy trop. Kto zabił Elvisa? I gdzie jest teraz Oko Księżyca? Czy nadal ma go ten gówniarz Dante? A jeśli tak, to gdzie się teraz, psiakrew, podziewa?

Takie i inne pytania przelatywały przez myśli Jefe, jedno za drugim. Pochłonęły go do tego stopnia, że nawet nie zauważył swojego starego żółtego cadillaca, zaparkowanego na poboczu drogi; minął go i podszedł do swojego błyszczącego, nowiutkiego srebrnego porsche.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Sanchez nie był zachwycony widokiem Jessiki, która po raz drugi tego dnia odwiedziła Tapiokę. Kiedy wpadła za pierwszym razem, nie dość, że była opryskliwa, to jeszcze zamiast zainteresować się nim, jej wybawcą, opuściła lokal w towarzystwie Jefe. Dlatego był mocno zaskoczony, gdy pojawiła się wieczorem, w o wiele bardziej przyjaznym nastroju. Ruch w barze był umiarkowany, więc Mukka zajął się obsługą gości, Sanchez zaś posadził tyłek na stołku po drugiej stronie baru i niczym klient, pociągał z kufla swoje najlepsze piwo.

Jessica od progu ruszyła ku niemu jak po sznurku. Wciąż miała na sobie ten sam czarny strój w stylu ninja, który nosiła kilka godzin wcześniej. Tak się złożyło, że była ubrana dokładnie tak samo jak tamtego wieczoru przed pięciu laty, kiedy Sanchez zobaczył ją po raz pierwszy. Bogiem a prawdą, nigdy nie widział jej w niczym innym, ale to pewnie dlatego, że dziewczyna po prostu nie miała innych ubrań, a w każdym razie nic na ten temat nie wiedziała. Jej strój, który pięć lat wcześniej poszedł w strzępy, przesyty kulami z pistoletu, bratowa barmana Audrey zacerowała i pozszywała tak, że wyglądał wcale nieźle.

- To jak, Sanchez - odezwała się Jessica, siadając obok niego na stołku przy barze. - Postawisz mi kolejkę i powiesz, kim według ciebie jestem?

Wprawdzie Sanchez wzdrygał się już na samą myśl, że miałby się do czegoś takiego przyznać, ale było mu miło, że dziewczyna nagle się nim zainteresowała. Od czasu, kiedy po raz pierwszy rzucił na nią okiem, myślał o niej w zasadzie bez przerwy. Nie dość, że była najpiękniejszą kobietą, jaką zdarzyło mu się spotkać, to jeszcze najciekawszą. W gruncie rzeczy znał ją do pięciu lat, a jednak nic o niej nie wiedział. Aż do dzisiaj pozostawała nieprzytomna, jeśli nie liczyć pierwszych dwóch godzin, odkąd ją zobaczył.

- Mukka, nalej pani.

- Jasne, szefie. Co ma być?

- Krwawa Mary.

- Już się robi.

Kiedy Mukka przygotowywał koktajl dla Jessiki, Sanchez był w stanie tylko gapić się na nią i uśmiechać. W końcu, po dobrej minucie grzechotania szklankami i butelkami, kiedy szukał składników do Krwawej Mary, kucharz postawił przed dziewczyną wysoką, wąską szklankę z czerwonym płynem.

- Jest w tym trochę lodu? - zapytała Jessica, wiedząc doskonale, że żadnego lodu nie ma.

- A widziałaś, żebym go wrzucił? - odciął się Mukka z jawnym sarkazmem.

- Daj pani ten pieprzony lód, do kurwy nędzy! - ryknął na niego Sanchez.

Kucharz spełnił polecenie, chociaż w ramach buntu syknął coś pod nosem, na tyle głośno, żeby szef go usłyszał.

- Przepraszam cię za to, Jessico. - Sanchez uśmiechnął się do niej jak najmilej. Uświadomił sobie, że jeśli chce nawiązać z dziewczyną rozmowę, to nie ma innego wyjścia, niż poprosić ją wprost, żeby opowiedziała mu o sobie. Odetchnął głęboko, po czym palnął pierwszą lepszą rzecz, jaka mu przyszła do głowy:

- Tak... znaczy się... Powiedz mi, jak to się stało, że znam cię od pięciu lat, a nic o tobie nie wiem?

- No nie, na miłość boską! Nie traćmy czasu na gadanie o duperelach, co?

Nie będzie łatwo, pomyślał Sanchez; nie zamierzał jednak się poddać, dopóki nie wypróbuje wszystkich sposobów.

- W porządku - odparł spokojnie. - Ale to działa w dwie strony. Chcę usłyszeć, co wiesz na temat mojego brata i jego żony, panienko.

- Nigdy ich nie spotkałam - odrzekła Jessica, zmieszana. - A może?

- Spotkałaś ich, jeszcze jak. To oni utrzymywali cię przy życiu przez ostatnie pięć lat, po tym, jak cię uratowałem.

- Ty mnie uratowałeś? Sranie w banię!

Sanchez był głęboko rozczarowany faktem, że dziewczyna nie przyjmuje do wiadomości, iż uratował jej życie, tak jakby w żadnym razie nie wchodziło to w rachubę. Przełknął jednak dumę i brnął dalej.

- Ani sranie, ani w banię - zaprzeczył z naciskiem. - Pięć lat temu ktoś cię postrzelił i zostawił na pewną śmierć akurat przed tym barem. Zabrałem cię i zawiozłem do domu mojego brata. Audrey, jego żona, była pielęgniarką i zajmowała się tobą. Całe te pięć lat spędziłaś w sypialni, a ona i mój brat trzymali cię przy życiu, w mizernej nadziei, że kiedyś z tego wyjdiesz.

Widać było, że Jessica podchodzi do jego słów podejrzliwie, co Sanchez uznał za całkiem zrozumiałe. Musiał sobie zapracować na jej zaufanie, ale to wymagało czasu. Na razie musiał obstawać przy swoim.

- A dlaczego zawiozłeś mnie akurat do niej? Czemu nie do pierwszego lepszego szpitala, jak potraktowałbyś każdego innego? - zapytała, obserwując go uważnie spod oka, żeby sprawdzić, czy jego odpowiedź jest prawdziwa.

- Bo tego dnia szpital był przepełniony.

- A co to za dziwaczny pretekst? - fuknęła.

- W ciągu tygodnia postrzelono ze trzysta osób... mężczyzn, kobiet i dzieci. Większość z nich umarła, bo w szpitalu się nie wyrabiali. A że szwagierkę wylali ze szpitala kilka miesięcy wcześniej, to uznałem, że tylko u niej masz szansę na przeżycie. Nie mówiąc już o tym, że to, że jeszcze żyłaś, kiedy do ciebie dotarłem, zakrawało na cud. - Przerwał i obrzucił ją wzrokiem od stóp do głów. - Coś mi mówiło, że z tego wyjdiesz. I co, wygląda na to, że miałem rację, nie?

- Jasne. Zdaje się, że powinnam ci podziękować. - W jej myślach kotłowało się od tego, czego się dowiedziała, w dużej mierze dlatego, że nie pamiętała nic z tego, o czym jej mówił.

Sanchez odniósł wrażenie, że Jessica ani myśli mu dziękować, ale na swój sposób okazała mu jednak wdzięczność, co w tych stronach uchodziło za wyraz podziękowania.

- Najlepiej mi podziękujesz, jeżeli powiesz, co się, kurwa, stało z moim bratem i jego żoną.

Teraz wszystko było w rękach Jessiki. Nareszcie miała okazję wynagrodzić mu to, że swego czasu jej pomógł. Mogła dopomóc w odszukaniu zabójcy brata. Niestety, jej odpowiedź, jak się tego spodziewał, nie wniosła nic nowego.

- O czym ty mówisz?

- Kto ich zabił? Tylko o to mi chodzi.

- A, o to...

- Właśnie.

- Nie wiem.

- Nie wiesz?!

- No, tak. Nie wiem.

- Ale przecież tam byłaś, dobrze mówię?

- Byłam... a przynajmniej tak mi się zdaje. Ale ja nic nie wiem. Nic a nic nie pamiętam.

- Jak, kurwa, możesz nic nie pamiętać, skoro byłaś tam, kiedy zostali zabici? - Sanchez stracił w końcu cierpliwość i nie potrafił ukryć irytacji.

- Bywają chwile, kiedy wraca mi pamięć - wyjaśniła Jessica cicho; patrzyła gdzieś w dal, na ścianę za barem. - Wiem, że mam coś w rodzaju amnezji, ale to nie dotyczy tylko tego, co działo się, zanim zapadłam w śpiączkę. Jeżeli leżałam w śpiączce... ja wciąż zapominam, gdzie jestem i jak tu trafiłam. Kiedy się skupię ze wszystkich sił, coś tam mi się przypomina, ale nawet wtedy nie jestem pewna, czy pamiętam to tak, jak należy.

- Ale pamiętasz, że dzisiaj już tu byłaś, co?

- Tak, to akurat pamiętam. Pamiętam też, że wyszłam stąd razem z Jefe, tylko że potem pojechaliśmy do niego i kazał mi tam czekać, więc czekałam, ale nie wrócił. Nie mogłam

sobie przypomnieć, dlaczego kazał mi czekać, dlatego pomyślałam, że wrócę tu i pogadam z tobą. Uznałam, że może oświecisz mnie w paru kwestiach. No, na przykład, że powiesz mi, czy twoim zdaniem jestem miłą dziewczyną, czy ostatnią suką, bo na razie sama nie wiem, jak to ze mną jest.

- Szczerze ci powiem, Jessico, że też nie bardzo wiem - wyznał Sanchez z westchnieniem.

- Aha... - Wydawała się rozczarowana i przez chwilę miał wrażenie, że niepotrzebnie uraził jej uczucia.

- Wiesz, jesteś taka śliczna, że na pewno nie możesz być zła - powiedział w nadziei, że poprawi jej humor.

- Dzięki. - Pociągnęła przez słomkę łyk Krwawej Mary.

Zanim z powrotem uniosła nagle głowę, poziom płynu w jej szklance opadł o parę centymetrów. - Żółty cadillac! - wybuchnęła, na co Sanchez od razu nastawił uszu.

- A właśnie, co wiesz o tym żółtym cadillacu? - zapytał, a jego oczy rozbliły.

- Wspominałeś coś o nim rano, kiedy gadałeś z Jefe, prawda?

- No. Widziałem, jak odjeżdżał sprzed domu mojego brata, zaraz po tym, jak go znalazłem martwego. Wiesz, kto siedział za kółkiem? Widziałaś ich?

- O mój Boże! Przypominam sobie. To byli dwaj mężczyźni. Zabili twojego brata i jego żonę. Widziałam to. A przynajmniej tak mi się zdaje. Nie, zaraz, poczekaj chwilę...

- Co? Co jest, na litość boską?!

- Nie, oni nie umarli. Tamci dwaj ich pobili. Chcieli wydostać od nich jakieś informacje. - Przerwała na pół sekundy i raptownie wciągnęła powietrze. - O w mordę!

- W mordę? Komu, kogo?

- W mordę, to przecież mnie szukali! - Spojrzała na Sancheza szeroko otwartymi oczami, wyraźnie roztrzęsiona.

- I co, nie zauważyli cię? - zapytał.

- Nie. Z jakiegoś powodu mnie nie widzieli. Wobec tego wymknęłam się na dwór i wtedy zobaczyłam tego żółtego cadillaca.

- I co było dalej? - Rozsadzała go irytacja i rozczarowanie, że dziewczyna tak niewiele potrafi sobie przypomnieć, ale usilnie starał się mówić spokojnie.

- Uciekłam, po prostu. Nie wiem, jak długo biegłam, ale pędziłam tak i pędziłam, aż w końcu wylądowałam tutaj. - Przerwała i zamyśliła się. - Nic więcej nie pamiętam. Przynajmniej w tej chwili.

Podniosła szklankę i znowu przysssała się do słomki. Tym razem wysuszyła zawartość do dna. Zajęło jej to mniej więcej dziesięć sekund. Sanchez nie bardzo wiedział, o co by tu

jeszcze ją zapytać, ale tak czy inaczej stracił okazję do dalszej indagacji, bo drzwi od ulicy otworzyły się z hukiem i do sali wpadł Jefe. Ruszył wprost do baru i usiadł na stołku obok Jessiki, tak że dziewczyna siedziała teraz między nim a Sanchezem.

- Dla mnie whisky, a dla pani jeszcze raz to samo - zamówił, nie spuszczać wzroku z Mukki, który wyszedł z kąta, gdzie czaił się do tej pory.

Mając w pamięci ostatnią wizytę Jefe, młody kucharz i barman w jednej osobie czym prędzej wziął się do dzieła i postawił przed nim na ladzie niemal pełną butelkę whisky i szklanę. Sanchez nachylił się przed nosem Jessiki, wziął flaszkę, odkorkował i nalał do szklanki solidną miarkę. Odniósł wrażenie, że łowca nagród jest cokolwiek wstrząśnięty, co nijak do niego nie pasowało. Wytrąciło go to z równowagi. Ludzie pokroju Jefe nie zwykli okazywać po sobie, że są wstrząśnięci.

- Hej, chłopie, wszystko w porządku? - zapytał.

- W porządku to będzie, jak sobie golnę. Jak usłyszysz, co ci mam do powiedzenia, też będziesz chciał sobie strzelić jednego.

- Mówisz? Co jest grane?

Jefe podniósł szklanę z whisky i wychylił jednym haustem. Potem odstawił ją na ladę, licząc na dolewkę. Spojrzał zza Jessiki na barmana.

- Ten twój pieprzony Elvis jest sztywny, Sanchez - oświadczył. - Ktoś go załatwił na cacy. A jak mówię, że na cacy, to wierz mi, że sponiewierał go jak jasna cholera.

Rozdział dwudziesty drugi

Przez kilka godzin Jefe i Jessica siedzieli w barze i pili na umór. Łowca nagród wydudlił przez ten czas dwie whisky, osiem piw i trzy tequile. Po pierwszych dwóch szklankach szybko wrócił do dawnej, aroganckiej formy. Jessica, mająca na koncie tylko pięć Krwawych Mary, była bardziej stonowana. Ku irytacji Sancheza, z każdą kolejką coraz bardziej mieli się ku sobie. Barman wyraźnie widział, że dziewczyna autentycznie jest pod wrażeniem Jefe, który raczył ją anegdotkami o swoich przygodach jako łowcy nagród i opowiadał, jak to łapał, a czasami zabijał ludzi dla pieniędzy. Tropił osławionych przestępców jak świat długi i szeroki. Czy to w najdzikszej dżungli, czy w najwyższych górach, nie było takiego miejsca, gdzie Jefe nie wyszedłby i nie dopadł swojej ofiary.

Choć wystrzegął się wymieniania konkretnych nazwisk, czasami dawał do zrozumienia, że to on jest sprawcą śmierci wielu potężnych i sławnych ludzi, którzy jakoby zginęli w wypadkach. Z jego strony był to względnie bezpieczny bajer, bo przecież nikt nie mógł zweryfikować tych opowieści. Inna sprawa, że nikt by z nim nie dyskutował na ten temat, za żadne skarby, bo było powszechnie wiadomo, jak dobry jest Jefe w swoim fachu. Jeżeli ludziom wykładającym pieniądze zależało na tym, żeby rzecz wyglądała na wypadek, to łowca nagród wypełniał zadanie zgodnie z życzeniem zleceniodawcy.

Sanchez nie był w stanie konkurować z tak dramatycznymi opowieściami, dlatego też nie zdziwił się, kiedy Jessica, cokolwiek zawiana, wyszła w towarzystwie Jefe na godzinę przed zamknięciem lokalu. Przytuleni, podpierając się nawzajem dla zachowania równowagi, wytoczyli się z baru na ulicę. Na dworze, zaledwie wyszli na chłodne nocne powietrze, zaczęli śpiewać jakąś bzdurną piosenkę, której słów Sanchez nie potrafił rozpoznać. A potem zniknęli.

Tapioca była prawie pusta, jeśli nie liczyć małej grupki stałych bywalców grających w karty przy stole w rogu sali oraz dwóch mężczyzn w kapturach, siedzących przy stoliku w pobliżu baru. Wcześniej Sanchez nie zwrócił na nich uwagi. Obsługą gości zajmował się Mukka, a on krążył po lokalu, od czasu do czasu zamieniając słówko z którymś ze stałych klientów i na wszelkie sposoby próbując zwrócić na siebie uwagę Jessiki.

Trzeba wiedzieć, że w Tapiocie obowiązywała zasada (aczkolwiek niepisana), zgodnie z którą nikomu z gości nie wolno było nosić kapturów. Sanchez wprowadził ją krótko po incydencie z Bourbon Kidem sprzed pięciu lat. Parada kostiumowa z okazji Festiwalu

Księżycowego miała się odbyć dopiero za parę dni, ale ci dwaj wyglądali, jakby już przebrali się za rycerzy Jedi. Obaj mieli na sobie długie brązowe szaty, narzucone na luźne, workowate białe spodnie uszyte z grubego materiału. Sanchez stanął przed dylematem: czy podejść do nich i poprosić o ściągnięcie kapturów, czy nie. Po prawdzie jednak był zmęczony, a wieści o Elvisie mocno nim wstrząsnęły. Nie chcąc się wdawać w kolejne utarczki, tym razem postanowił odstąpić od swojej zasady.

Tak się złożyło, że obaj mężczyźni sami z siebie mieli właśnie zdjąć kaptury. Znienacka wstali zza stołu i podeszli do Sancheza, który stał oparty o kontuar. Jeden z nich trzymał się z tyłu i szedł ze zwieszoną głową, jak gdyby był mniej pewny siebie niż jego kompan. Kiedy zbliżyli się na tyle, że barman poczuł się trochę nieswojo, zrzucili kaptury i pokazali swoje twarze. Rozpoznał ich natychmiast. Byli to ci dwaj mnisi, którzy odwiedzili bar przed dwoma dniami. O ile z naciągniętymi na głowy kapturami wyglądali dosyć złowieszczo, o tyle teraz sprawiali wrażenie takich samych, na pozór nieśmiałych głupków.

- A wy czego tu, kurwa, chcecie? - zapytał Sanchez wojowniczo. Pomyślał, że kolejne kłopoty są nieuniknione, i westchnął ciężko.

- Tego samego, czego najwyraźniej chcą wszyscy w tej miejscinie - odparł ten z przodu (tak się składa, że był to Kyle). - Chcemy dostać Oko Księżyca. A to dlatego, że w świetle prawa należy do nas.

- Odpierdolcie się ode mnie, co? Nie jestem, kurwa, w nastroju. - Postanowił im pokazać, że irytuje go ich obecność. Ostatnim razem ci dwaj klauni narobili tu niezłego bigosu i w świetle tamtych wydarzeń miał nadzieję, że dobry los każe im się trzymać z daleka od jego baru. Jednakże ta obcesowa postawa na nic się nie zdała, obaj mnisi całkowicie ją zignorowali.

- Siedzimy tu prawie cały dzień - rzekł Kyle. - Słyszeliśmy, co się dzieje. El Santino zaproponował ci pięćdziesiąt tysięcy dolarów, jeżeli zdobędziesz dla niego kamień. My damy ci sto tysięcy, tylko za informację, kto jest w posiadaniu kamienia. Nie musisz go dla nas odzyskać. Sami się tym zajmujemy. Skieruj nas tylko, do kogo trzeba. Z chwilą, kiedy kamień znajdzie się w naszych rękach, sto tysięcy dolarów będzie twoje. Mocno bym się zdziwił, gdyby ktokolwiek złożył ci lepszą ofertę.

Trzeba przyznać, że oferta Kyle'a rzeczywiście była wyjątkowo korzystna. Sanchez wyraził to na głos.

- To bardzo atrakcyjna propozycja.

- Wiem. A więc jak, układ stoi? Czy nie?

Barman przez chwilę pocierał policzek, jak gdyby zastanawiał się nad propozycją, chociaż

w ogóle o tym nie myślał. Faktycznie, układ był wspaniały. Sytuacja, w której nie mógł przegrać. Jako ludzie świątobliwi, mnisi zapewne uważali dane słowo za święte. Gdyby udało mu się dorwać ten kamień, sprzedałby im go za sto kawałków, a potem zawiadomił Jefe i El Santina, że teraz to mnisi mają klejnot i od każdego z nich skasowałby po kilka tysięcy ekstra.

- Zgoda. Stoi - odparł w końcu. - Dowiem się, kto ma kamień, i go wam wystawię. A wy mi odpalicie sto patyków i wszyscy będą szczęśliwi, dobrze mówię?

- Dobrze - przytaknął Kyle. - To co, grabula?

- Sie wie.

Sanchez zdziwił się, że mnisi wiedzieli o zwyczaju dobijania interesu uściskiem rąk. Widocznie podłapali nieco miejscowych obyczajów. A może zamierzali potraktować go kilkoma ciosami karate, kiedy wyciągnie do nich rękę? Tak czy owak, za sto kawałków gotów był uściskać dłoń każdemu z nich. Warto było zaryzykować, więc podał im rękę po kolei i z lekkim niesmakiem stwierdził, że ich uścisk był słabiutki, co świadczyło o tym, że owszem, byli świadkami tego zwyczaju, ale jeszcze nigdy go nie stosowali.

- Wkrótce się z tobą skontaktujemy - oznajmił Kyle i skinął głową. - Pamiętaj, obyś miał dla nas pomyślne wieści.

Po tych słowach obaj mnisi odwrócili się i ruszyli do wyjścia. Sancheza zaintrygowała zmiana w ich zachowaniu w porównaniu z poprzednią wizytą. Tym razem wydawali się o wiele bardziej opanowani i pewni siebie i wykazywali oznaki tego, że przynajmniej starają się dopasować do tutejszych zwyczajów.

- Hej, klechy! - zawołał za nimi. - Jedno pytanie. Nie macie przypadkiem samochodu?

Kyle zatrzymał się tak raptownie, że Peto zderzył się z nim, co wytrąciło ich nieco z równowagi. Nie obejrzał się na Sancheza, ale odpowiedział.

- Nie. Nie mamy samochodu. Dlaczego pytasz?

- Tak sobie. Ruszajcie w drogę. Do zobaczenia.

Rozdział dwudziesty trzeci

Kiedy Jensen o dziesiątej rano stawiał się w biurze, Somers tkwił tam, gdzie zawsze, to znaczy siedział za biurkiem. I zajmował się także tym, czym zwykle, czyli oglądał wykonane polaroidem fotografie zwłok.

- Słowo daję, w tym mieście roi się od kłamców i szumowin - poskarżył się Miles. Zdjął brązową zamszową marynarkę i rzucił ją na drugą stronę gabinetu. Spadła na oparcie krzesła i zsunęła się na podłogę. - Tu nie ma jednego przyzwoitego człowieka - ciągnął. - Przez całą noc przesłuchiwałem znanych nam współpracowników tego całego Elvisa i ani jeden nie powiedział mi choćby słowa, które nie byłoby kłamstwem w żywe oczy. Wiedziałeś, że Elvis umarł trzy lata temu? A przed czterema laty wyemigrował do Australii. Poza tym z ostatnich informacji wynika, że wyjechał na weekend, żeby odwiedzić Priscillę. Zakłamane dranie, sztuka w sztukę!

- Jensen, Król nie żyje - wtrącił Somers.

- Weź, kurna, nie zaczynaj od nowa.

- Nic nie zaczynam. Trzy godziny temu znaleziono zwłoki Elvisa w jakiejś gównianej kawalerce.

- Co ty, żarty sobie robisz?!

- E-e. Ma wydłubane oczy i wyrwany język, tak jak wszyscy inni, z wyjątkiem Marcusa Gnidy, którego, bądźmy szczerzy, to on przecież zabił.

- Czy te fotografie są stamtąd? - zapytał Jensen, spoglądając na odbitki w ręku partnera.

- No.

- Daj popatrzeć. - Miles nachylił się nad biurkiem i wyciągnął rękę. Somers podał mu plik czarno-białych zdjęć w formacie siedem na pięć cali.

- Wyglądają dokładnie tak samo jak wszystkie poprzednie, Jensen. Tracisz tylko czas.

- Somers, do jasnej cholery! Ten facet był naszym najlepszym tropem.

- Niekoniecznie... Mamy jeszcze jeden.

- Kogo ty teraz zgrywasz, Yodę?

Somers puścił mimo uszu gniewną uwagę partnera i pchnął w jego stronę mały notes, otwarty na stronie, na której nabazgrał ołówkiem kilka słów. Miles podniósł go.

- Dante Vittori i Kacy Fellangi. Para przystojnych młodych ludzi - przeczytał na głos. - Co to niby ma być? Zapisaleś się do klubu swingersów, czy co? - prychnął sarkastycznie. Mimo

że dzień dopiero się zaczął, był już tak przepelniony frustracją, że nie miał za grosz cierpliwości do takich gier.

- Dante Vittori był nocnym recepcjonistą w hotelu Santa Mondega International - wyjaśnił Somers cicho. - Kacy Fellangi to jego dziewczyna. Pracowała tam jako pokojówka.

- Zgoda... I co z tego?

- A to, że zaraz po tym, jak zginął Marcus Gnida, oboje zniknęli. Zwłoki Elvise znalezione w ich mieszkaniu.

- O? - bąknął Jensen, odkładając notes i plik zdjęć na biurko. - I co to oznacza?

Somers wyciągnął rękę, wziął notes i schował go do górnej kieszeni białej koszuli.

- To znaczy, że z jakiegoś powodu Elvis wybrał się do nich, kiedy już zabił Marcusa Gnide.

- Czyli że widocznie widzieli go, jak zabijał Gnide, tak? - Jensen myślał na głos. - I że musi ich stuknąć, żeby go nie zidentyfikowali?

- Może tak, a może nie.

- No to ja już nic nie rozumiem. W jakim innym celu miałby ich ścigać? A może oni z nim współpracowali?

- E tam. Nie wydaje mi się. Elvis zawsze pracował sam. To był solista. Beatlesi pracowali zespołowo, ale Elvis zawsze był sobie sterem i okrętem. Nie, moim zdaniem mieli coś, na czym mu zależało, a cokolwiek to było, chciał to też zdobyć Bourbon Kid. I dlatego Elvis nie żyje. Widocznie nadział się na Kida w mieszkaniu tej pary. Kłopot w tym, że nasi przyjaciele Dante i Kacy spakowali manatki i wynieśli się stamtąd na długo przed przybyciem Elvise i Kida. Nawiasem mówiąc, zalegają z czynszem.

Miles podszedł do leżącej na podłodze marynarki, podniósł ją, otrzepał z kurzu, powiesił na oparciu krzesła i usiadł. Spojrzał na partnera, który czekał, żeby się uspokoił i spróbował zbierać poszlaki do kupy. Starszy gliniarz, rzecz jasna, miał nad nim dużą przewagę, jako że zaczął przetwarzać szczegóły związane ze śmiercią Elvise trzy godziny wcześniej.

- Taaak. - Jensen westchnął. - Elvis przetrząsał ich mieszkanie w poszukiwaniu czegoś, kiedy nasz zabójca...

- Bourbon Kid.

- Niech ci będzie. Bourbon Kid. No więc wpada tam, szukając... powiedzmy, że Oka Księżyca, i zastaje Elvise. I oczywiście jako kompletny psychol...

- A także być może wampir...

- ...zabija Elvise, a potem mówi: „O w mordę!”

- Powiadasz? Nagle staje i mówi: „O w mordę!”?

- Tak, staje i mówi: „O w mordę!”, bo uświadamia sobie, że King nie ma przy sobie tego, czego szukał. - Jensen zamilkł na dłuższą chwilę, bo na tym etapie sam już nie wiedział, do czego zmierza jego teoria. W końcu podjął, z mniejszą pewnością siebie: - Ale skąd mógł przypuszczać, że te dzieciaki, Dante i Kacy, to mają?

Somers uniósł rękę na znak, że może by tak Miles się zamknął i go posłuchał.

- Chcesz poznać moją teorię?

- Jasne.

- Otóż moja teoria jest taka: wiemy, że Marcus Gnida był doświadczonym złodziejem, zgadza się?

- Zgadza.

- No więc założmy, że Marcus był w posiadaniu Oka Księżycy. A że kto mieczem wojuje, od miecza ginie, nagle sam pada ofiarą kradzieży. Dante i Kacy zabierają mu Oko i dają nogę. Potem... chociaż akurat co do tego nie jestem całkiem pewien... te dzieciaki zdołały, być może, zidentyfikować Elvisa jako zabójcę Marcusa, więc Król na wszelki wypadek postanawia ich stuknąć. Wybiera się do ich mieszkania, w tym samym czasie co Bourbon Kid, który też szuka Oka Księżycy. Ich ścieżki się krzyżują i... ŁUBUDU! Król ma przechlapane.

- Długo się nad tym zastanawiałeś, co? - zauważył Jensen, bo w głosie partnera wychwytił wyraźną nutkę podniecenia.

- Nie oszukujmy się. Zabójca Elvisa to ta sama osoba, która zabiła wszystkich innych, z wyjątkiem Marcusa. Świadczą o tym wylupane oczy i wyrwany język.

Miles przez dłuższą chwilę rozważał tę teorię.

- Cienka sprawa, ale przyznaję, że mi się podoba. Może i coś w tym jest. Tyle że zapomniałeś o jednym - powiedział wreszcie.

- Niby o czym? - Jego partner pytająco uniósł brew.

- Słuchaj, ja wiem, że twoim zdaniem za tym wszystkim stoi Bourbon Kid i pewnie masz rację, ale jeżeli to ten Dante zabił Elvisa i wszystkich pozostałych?

Somers energicznie pokręcił głową, rozparł się na krześle i westchnął głęboko.

- Czy ty za wszelką cenę postanowiłeś nie wierzyć, że wszystkie te zabójstwa są dziełem Bourbon Kida? Ile razy jeszcze będziemy musieli do tego wracać? Nie możesz mi wreszcie zaufać?

- Źle mnie zrozumiałeś. - Jensen uniósł rękę na znak, żeby partner dał mu dokończyć. - Ja wierzę, że to Bourbon Kid stoi praktycznie za wszystkimi tymi morderstwami, naprawdę... przynajmniej za tymi, które masz na zdjęciach.

- No dobra, więc o co ci biega, psiakrew?

- O to - odrzekł Jensen, mierząc partnera ostrym wzrokiem - że to właśnie ten gówniarz Dante może być Bourbon Kidem.

Rozdział dwudziesty czwarty

Dante nie przepadał za wrózkami. Zazwyczaj przynosiły mu złe wieści. Wyglądało na to, że dla wszystkich innych mają same dobre nowiny, a w jego wypadku zawsze okazywało się, że na horyzoncie gromadzą się czarne chmury. Bogiem a prawdą, nieczęsto odwiedzał wróżki, ale ponieważ Kacy miała do nich wyraźną słabość, co jakiś czas towarzyszył jej na któreś z licznych spotkań.

Ostatnim razem odwiedzili specjalistkę od czytania z kart do tarota; dla Kacy miała same dobre wiadomości, ale poproszona przez nią, by zajrzała w przyszłość Dantego, znalazła jedynie wszystko, co najgorsze. Przepowiedziała mu śmierć jego psa Hectora, który istotnie zdechł niecałe trzy tygodnie później. Miał świadomość, że Kacy dobrze wie, iż niechętnie towarzyszy jej w odwiedzinach u kolejnej wróżki, jaką wynalazła, ale po heroicznym wyczynie w hotelu Santa Mondega International, kiedy to okradła pijanego opryszka, uznał, że przynajmniej tyle jej się od niego należy. Poza tym chciał udowodnić Kacy, że nic a nic nie wierzy w całe to durne przepowiadanie przyszłości. Owszem, jego ukochany pies zdechł, ale to był zwyczajny zbieg okoliczności.

Dom Mistycznej Damy wyglądał znajomo, jak gdyby Dante widział go kiedyś we śnie. Miał jednak przekonanie graniczące z pewnością, że nigdy wcześniej w nim nie był... a przynajmniej nie w obecnym życiu. Dom usytuowany był przy promenadzie wychodzącej na port. Z zewnątrz całkiem przypominał cygański wóz przerobiony na małą chałupkę. Niski dach wygięty w łuk, zewnętrzne ściany pomalowane na czerwono, małe okienka w żółtych obramowaniach. Kilka schodków prowadziło do drzwi frontowych, które sprawiały wrażenie, jakby można je było złożyć w harmonijkę i wsadzić do środka, gdyby Mistyczna Dama postanowiła odholować swoje domostwo.

Kacy pierwsza weszła po schodkach; Dante włókł się za nią. Drzwi wejściowe stały otworem, ale niełatwo było zajrzeć do wewnątrz, bo w progu, od sufitu do podłogi, wisiała zasłona z wielokolorowych paciorków.

- Wchodźcie śmiało! - dobiegł ich skrzekliwy głos. - Kacy i Dante, prawda?

Chłopak uniósł brew.

- Kurwa mać, a ona skąd to wie?! - wyszeptał do ucha swojej dziewczyny.

Spojrzała na niego i widząc, że wcale się z niej nie nabija, pokręciła głową.

- Umówiłam się z nią telefonicznie, matolku.

- A, no... Jasne.

Pokój, do którego weszli, pogrążony był w mroku i tak wąski, że gdyby Dante rozpostarł ramiona, mógłby dotknąć obu ścian. Tu i tam, na wysokości oczu, wisiały na nich świece o różowych migotliwych płomykach. Kiedy wzrok nowych gości przyzwyczał się do panującego tam półmroku, zobaczyli na wprost siebie spowitą w pelerynę postać Mistycznej Damy, siedzącą za ciemnym drewnianym stołem po drugiej stronie pomieszczenia. Peleryna była w kolorze ciemnofioletowym, kobieta zaś (jak wielu mieszkańców Santa Mondega) miała na głowie kaptur, skrywający jej twarz.

- Siadajcie, proszę, moi młodzi przyjaciele - zaskrzeczała.

- Dziękujemy - odparła Kacy, siadając na jednym z dwóch drewnianych krzeseł ustawionych przy stole, naprzeciw kobiety. Dante przycupnął na drugim, siląc się na obojętność, w nadziei, że ta stara baba nie wyczuje, iż nie kupi nic z tych głupot, jakimi miała zamiar ich uraczyć.

- Tak naprawdę nie wierzysz, że powiem wam coś istotnego, prawda? - rozległ się chrapliwy głos, dobywający się gdzieś spod kaptura.

- Z góry do niczego się nie uprzedzam.

- To dobrze. Tak trzymaj, synu, a kto wie, może dowiesz się czegoś o sobie albo o Kacy, o czym nie miałeś pojęcia.

- No, byłoby miło.

Kobieta powoli ściągnęła kaptur i ukazała się stara, pomarszczona twarz, obficie upstrzona brodawkami i czyrakami. Wróżka wbiła wzrok w Kacy i uśmiechnęła się, ale tylko przelotnie. Spoważniała natychmiast, gdy jej wzrok padł na wisior na szyi dziewczyny.

- Skąd masz ten niebieski kamień? - zapytała ostro. Wszelkie ciepło zniknęło z jej głosu.

- Słucham?

- Ten wisior, który masz na szyi. Powiedz, gdzie go znalazłaś?

- Ona go nie znalazła - wtrącił się Dante. - Dostała go ode mnie w prezencie... kilka lat temu.

- Bzdury!

- Nie, mówię poważnie.

- Nie próbuj mnie okłamać. Nie jestem głupia, chłopcze, i tobie też radzę zmańdrzeć. Skąd macie ten kamień?

Głos Mistycznej Damy świadczył o całkowitym braku tolerancji dla kłamców. Ta myśl krążyła Kacy po głowie, kiedy zastanawiała się, czy nadal udawać, że dostała wisior od Dantego przed kilku laty. Doszła do wniosku, że nie ma sensu posuwać się do jawnego

kłamstwa, ale też nie widziała potrzeby, by przyznawać się, że ukradła wisior w pokoju hotelowym pijanemu opryszkowi, z którego teraz, według wszelkich znaków na niebie i ziemi, został pewnie tylko zewłok świętej pamięci opryszka.

- Dostałam go wczoraj od klienta w hotelu - wyznała.

Stara kobieta rozparła się na krześle i zmierzyła Kacy twardym, przeciągłym spojrzeniem, oceniając, w jakim stopniu dziewczyna mówi prawdę, a w jakim kłamie.

- Nieważne, skąd go masz - oświadczyła w końcu. - Pozbądź się go jak najszybciej. Ten kamień sprowadzi na ciebie nieszczęście.

- Skąd możesz o tym wiedzieć? - spytała dziewczyna, ciekawa, co Mistyczna Dama sądzi, że wie na temat tego kamienia.

- Odpowiedz mi na takie pytanie: czy człowiekowi, od którego, jak twierdzisz, go dostałaś, ten kamień nie przyniósł pecha?

- Skąd mam wiedzieć?

- Dobrze, Kacy, zapytam inaczej. Czy zamieniłabyś się miejscami z poprzednim właścicielem kamienia?

Dziewczyna pokręciła głową.

- Nie.

- On nie żyje, prawda?

Zabrzmiało to wprawdzie jak pytanie, a z drugiej strony czuło się, że Mistyczna Dama zna odpowiedź, na tej samej zasadzie, na jakiej prowadzący teleturniej zna odpowiedzi na wszystkie pytania, zanim jeszcze zada je uczestnikom.

- Kiedy go widziałam ostatnio, jeszcze żył - odparła dzielnie Kacy.

- Każdy, kto ma przy sobie ten kamień, prędzej czy później zostaje zabity. Zazwyczaj krótko po tym, jak wszedł w jego posiadanie. A więc człowiek, od którego go dostaliście, do tej pory z pewnością już zginął.

Ku swej irytacji Dante pomyślał, że ciekawi go, co wróżka ma im do powiedzenia.

- Skąd o tym wiesz? Masz jakiś dowód? - Agresja w jego głosie zaprawiona była szczyptą sarkazmu.

Nie podobało mu się, że Mistyczna Dama wzbudza w Kacy strach. Nigdy nie spotkał równie dzielnej dziewczyny, tyle że wierzyła w bzdury, jakie słyszała od wrózek, i dlatego teraz była zdenerwowana.

- Zajrzyjmy do mojej kryształowej kuli, co wy na to? Wtedy wam powiem - zaproponowała starucha w odpowiedzi. Ściągnęła czarny kawałek jedwabiu, zakrywający kulisty przedmiot stojący na ciemnym mahoniowym stole. - Połóż mi banknot na dłoni, daj

dwadzieścia dolarów, a odkryję ci wasze przeznaczenie.

A dlaczego nie: „Cyganka prawdę ci powie”? - pomyślał Dante. Sięgnął jednak do kieszeni, wyciągnął dwudziestkę i rzucił na stół mniej więcej w kierunku Mistycznej Damy. Baba natychmiast porwała banknot i schowała go gdzieś w zakamarkach ubrania, zupełnie jak uliczny żebrak, który dostał dość pieniędzy, żeby kupić sobie flaszkę ulubionej gorzały. Potem znów rozparła się na krześle; sprawiała wrażenie pogrążonej w głębokiej zadumie. W końcu zaczęła powoli przesuwając dłońmi nad kryształową kulą.

Ku zaskoczeniu Dantego i Kacy, tuż pod powierzchnią kuli zaczęła się tworzyć biała chmura. Mistyczna Dama przez kilka sekund przesuwała jeszcze dłońmi tu i tam, po czym chmura zaczęła opadać i zastąpiła ją rzadka mgiełka, w której Dante dopatrywał się rysów twarzy mężczyzny. Nachylił się, żeby lepiej widzieć. Twarz niezwykle przypominała oblicze człowieka, któremu ukradli niebieski kamień.

- Rany boskie, przecież to ten Jefe - mruknął cicho do Kacy, jakby liczył na to, że stara kobieta go nie usłyszy.

- Jesteś pewien, że to jego prawdziwe imię? - spytała Mistyczna Dama.

Dante i Kacy porozumieli się wzrokiem; zaniepokoiła ich forma, w jakiej wróżka zadała to pytanie. Czyżby знаła tego człowieka pod innym imieniem? Okazało się, że ten, którego okradła Kacy, miał przy sobie dwa portfele. Z jednego wynikało, że nazywa się Jefe, i pod takim imieniem zameldował się w hotelu, ale w drugim portfelu znajdowały się dokumenty jakiegoś Marcusa.

- Szczerze mówiąc, możliwe, że nazywa się Marcus - wyznała dziewczyna ze skrucą, jak gdyby wiedziała, co nastąpi dalej.

Mistyczna Dama schyliła się w prawo i podniosła coś z podłogi. Dante zebrał się w sobie, czujnie obserwując, czy kobieta nie sięga przypadkiem po jakąś broń. Tymczasem ona podniosła z podłogi gazetę. Była to „Daily Scope”; na czołówce bił w oczy wydrukowany wielkimi literami tytuł: „MARCUS GNIDA ZAMORDOWANY”.

Chłopak i dziewczyna szybko przebiegli wzrokiem treść artykułu pod nagłówkiem. Ujrzeni zdjęcie człowieka, któremu skradli niebieski kamień. Fotografia była stara, ale niewątpliwie przedstawiała tego mężczyznę. Uśmiechał się bezmyślnie i miał zapuchnięte oczy, co sugerowało, że zdjęcie cyknięto prawdopodobnie podczas wieczornej popijawy... a temu Marcus Gnida oddawał się każdego wieczoru. Artykuł nie podawał zbyt wielu szczegółów tego, w jaki sposób Marcus spotkał się ze swoim Stwórcą, z treści wynikało jednak, że jego koniec był wyjątkowo nieprzyjemny. Dante wrócił wspomnieniami do chwili, gdy obserwował w hotelowym korytarzu, jak przebrany za Elvisa facet wykopuje drzwi do

pokoju. Marcus Gnida nie żył, zamordowany przez tego Elvisa. A teraz Elvis, niewątpliwie kawał ostatniego skurczybyka, być może szuka jego i Kacy.

Mistyczna Dama z powrotem zakryła kryształową kulę czarnym jedwabiem. Potem wyciągnęła banknot dwudziestodolarowy stamtąd, gdzie go schowała, i wsunęła go Kacy do ręki.

- Weź te pieniądze, ale zrób coś dla własnego dobra - przykazała cicho. - Pozbądź się tego wisiora, zanim ktokolwiek się zorientuje, że w ogóle go miałeś, choćby przez chwilę. On dysponuje nadprzyrodzoną mocą i ściąga zło wszędzie, gdzie tylko się znajdzie. Dopóki masz go przy sobie, nie jesteś bezpieczna. W zasadzie i tak nie jest się bezpiecznym, jeżeli kiedykolwiek miało się z nim kontakt. Wielu, wielu szukało tego kamienia i wielu przez niego zginęło.

- A co w nim jest takiego złego? - spytała Kacy.

Dante nigdy jeszcze nie słyszał, żeby w jej głosie pobrzmiwał tak silny strach.

- Kamień sam w sobie nie jest zły - odparła starucha. Była wyraźnie zmęczona i zniechęcona. - Ale go do siebie przyciągnie. On będzie was szukał i nic go nie powstrzyma, dopóki go nie zdobędzie.

- Kto?

- Nie wiem, kim jest, i nie chcę wiedzieć. Gdyby się dowiedział, że znam jego tożsamość, mnie też by załatwił.

- A czy ten facet nie nosi się przypadkiem jak Elvis? - spytał Dante. Ta stara wiedźma przyprawiała go o gęsią skórkę.

Twarz Mistycznej Damy wykrzywił wściekły grymas.

- Co o nim wiecie?! - syknęła.

- No... naszym zdaniem to chyba on zabił Marcusa - szepnęła Kacy.

Stara baba pochyliła się i oparła o stół.

- Czy wy w ogóle nie oglądacie wiadomości? - zaskrzeczała, zniżając głos. - Elvis nie żyje.

- Nie o to chodzi - sprostował chłopak ze śmiechem. - Ten facet tylko nosił się jak Elvis.

Wróżka protekcyjnie pokręciła głową.

- Gdzie wy właściwie mieszkacie? - zapytała stanowczo.

- A bo co? - odparł Dante obronnym tonem. Ale Kacy chętnie udzieliła jej informacji.

- Wczoraj wprowadziliśmy się do motelu.

- Czy przedtem mieszkaliście w kamienicy o nazwie Shamrock?

- Tak. Skąd wiesz? - spytał Dante.

Ta Mistyczna Dama... phi, ta wróżka!... faktycznie miała coś do powiedzenia, w

przeciwieństwie do wielu innych, do których Kacy ciągała go, żeby poznać przeszłość. Starucha znowu rozparła się na krześle i w uśmiechu błysnęła do niego zębami.

- Bo oglądam wiadomości i słucham radia - wyjaśniła. - Właśnie tam znaleziono dziś rano zwłoki Elvisa.

- Że co proszę?!

- No cóż, ten człowiek, o którym mówiłeś, ten podobny do Elvisa, nie żyje. Zdaje się, że próbował was wytropić, ale nie on jeden. I wygląda na to, że przegrał. Jego zwłoki znaleziono w waszej kamienicy. Niewiele brakowało, a padłoby na was.

Dante zmarkotniał. Prawdę mówiąc, był nieco oszołomiony. Ta ostatnia wiadomość nieźle nim wstrząsnęła. A co gorsza, zmartwiła go. I to mocno. Ktoś wytropił i zabił Elvisa, prawdopodobnie z powodu wisiorka z niebieskim kamieniem, który zdobyli wraz z Kacy. Istniała jednak jeszcze inna możliwość. Walizka, którą Kacy podgrandziła z innego pokoju, po tym, jak okradła Marcusa Gnide. Może ktoś właśnie jej szuka? Pozbycie się kamienia było niezłym pomysłem, ale pozbycie się walizki nie wchodziło w rachubę, zawierała bowiem sto tysięcy dolarów w banknotach pięćdziesięciodolarowych. Nie wiedział, czego tamci poszukują bardziej - stu kawałków czy tego cennego niebieskiego kamienia. Tak czy owak, należało czym prędzej ulotnić się z Santa Mondega.

- W dupę! Chodź, Kacy, spadamy stąd. Zastawmy ten pieprzony kamień w lombardzie, zanim będzie za późno.

- Nie ma sprawy, kotku.

Mistyczna Dama nie musiała zaglądać do kryształowej kuli, by wiedzieć, że nigdy więcej nie ujrzy Dantego i Kacy. Moce zła miały paskudny zwyczaj odszukiwania wszystkich, którzy weszli w kontakt z Okiem Księżyca, i nic nie mogło ich powstrzymać przed odzyskaniem go. Ci młodzi ludzie będą mieli szczęście, jeśli uda im się przeżyć do końca dnia.

Rozdział dwudziesty piąty

Kiedy Kyle i Peto zameldowali się w hotelu Santa Mondega International, byli pod wielkim wrażeniem uprzejmości personelu. Kierownik uparł się, żeby portier wniósł ich bagaż do pokoju, ale mimo że zarówno kierownik, jak portier sprawiali miłe wrażenie, Kyle nie wypuszczał z ręki czarnej walizki, którą mieli ze sobą. Zapewnił kierownika, że jest lekka jak piórko i zawiera tylko modlitewnik i parę sandałów.

Kyle na okrągło wbijał Petowi do głowy jedną rzecz - że w żadnym razie nie wolno im ufać nikomu, kogo spotkają. Dlatego choć chcieli okazać personelowi hotelu zaufanie, podkreślali z naciskiem, że nikt poza nimi nie ma prawa dotknąć ich walizki. A kiedy portier opuścił ich pokój, na wszelki wypadek schowali ją pod łóżko. Kyle poinformował Peta, że gdyby ktoś szukał u nich czegoś cennego, to nie przyjdzie mu do głowy, żeby tam zaglądać. Widocznie zbyt rzadko oglądał telewizję, inaczej by wiedział, że jest to najgorsze miejsce na ukrywanie kosztowności. Każda pokojówka czy bagażowy usiłujący okraść gościa hotelowego zawsze najpierw zagląda pod łóżko.

Kyle dopiero teraz zaczął sobie uświadamiać w całej pełni, dlaczego ojciec Taos z takim naciskiem obstawał przy tym, żeby nie ufali nikomu, oraz wyolbrzymiał znaczenie tego, by pod żadnym pozorem, ani na chwilę, nie spuszczała walizki z oczu. Idąc za radą mądrego starego mnicha, stale wbijał to do głowy przyjacielowi. No ale tym razem, choć sam przed sobą niechętnie się do tego przyznawał, młody nowicjusz był Bogu ducha winien. To Kyle wpadł na pomysł, żeby ukryć walizkę pod łóżkiem. Błędnie założył, że kiedy będą wyruszali do Tapioki, wystarczy tylko zamknąć za sobą drzwi na klucz. Co zaowocowało tym, że teraz pod łóżkiem nie było nic. Ani walizki, ani - co ważniejsze - stu tysięcy dolarów w używanych banknotach, które były w środku. Zostali okradzeni i nie mieli pojęcia, przez kogo.

- Kyle, kto mógł się dopuścić czegoś takiego? - zapytał wyraźnie zdenerwowany Peto, po raz tysięczny zaglądając pod łóżko w nadziei, że walizka jednak tam jest i tylko przedziwnym zrządzeniem losu jej nie zauważyli. Ale jego przyjaciel też nie miał pomysłu, czyja to sprawa.

- Jeśli się nie mylę, w zasadzie każdy mógł to zrobić. Wygląda na to, że tutaj nikt nie ma ani sumienia, ani pojęcia o tym, co jest dobre, a co złe. Wpadliśmy w poważne kłopoty, Peto. Tylko te pieniądze miały nam umożliwić handel ze światem zewnętrznym. A teraz, jeżeli mamy odzyskać Oko Księżyca, sami musimy zostać złodziejami, tak jak wszyscy dokoła.

Peto nie wierzył własnym uszom. Zrezygnował z bezsensownych poszukiwań i opadł na krzesło przy oknie. Kyle opowiedział się za złamaniem zasad, jakimi kierowali się przez całe życie. Na dodatek była to pierwsza sugestia, jaka mu przyszła do głowy. Innych pomysłów nie przedstawił. Sprawa wyglądała poważnie.

- Ależ to by było sprzeczne z zasadami - odparł, przerażony. - W ten sposób sprzeniewierzylibyśmy się wszystkiemu, czego nas uczono.

- Tak, to prawda - przytaknął Kyle z zadumą. - Ale, przyjacielu, prawdopodobnie to samo przytrafiło się wszystkim innym mnichom, którzy zostali wysłani z Hubala na misje. Właśnie dlatego żaden z nich nie jest już w stanie wrócić i żyć pośród nas. Myślę, że dopiero teraz widzimy, z jak prawdziwie wielkim poświęceniem wiąże się misja odzyskania Oka Księżyca.

- Musi istnieć jakiś sposób na odzyskanie Oka bez uciekania się do kradzieży. Z całą pewnością! - Peto obstawał przy swoim.

- Naprawdę sądzisz, że ktoś pomoże nam je odzyskać za darmo, skoro komu innemu może je sprzedać za pięćdziesiąt tysięcy dolarów? - Kyle przeciągnął ręką po twarzy i przetarł zmęczone oczy. - Nie, Peto, nie mamy wyboru - podjął. - Musimy odłożyć na bok wszystko, czego nas uczono do tej pory. Jeżeli chcemy zdobyć kamień, musimy złamać wszelkie nasze święte śluby.

- Czy to oznacza, że zaczniemy pić, palić, przeklinać, uprawiać hazard i sypiać z łatwymi kobietami? - zapytał młody mnich.

- Naoglądałeś się za dużo telewizji, Peto. Nie sądzę, żebyśmy musieli złamać akurat te śluby. Możliwe jednak, że trzeba będzie popełnić takie przestępstwa, jak kłamstwo czy kradzież - odparł jego brat z zakonu.

Siedział teraz na wielkim, dwuosobowym łóżku, pod którym wcześniej schowali pełną pieniędzy walizkę. Ukrył twarz w dłoniach. Złamanie świętych praw Hubala... Wyruszając na tę wyprawę, nie planował nic podobnego, chociaż zdawał sobie sprawę, że wykonanie zadania może się wiązać i z taką koniecznością.

- Z drugiej strony, skoro mamy złamać choćby jeden ze ślubów i na zawsze zostać wygnani z wyspy Hubal, z pewnością równie dobrze możemy złamać wszystkie śluby i mieć to z głowy? - przekonywał Peto. - Zresztą i tak już strzeliłem jednemu bandziorowi prosto w twarz i go zabiłem.

- To się nie liczy - warknął Kyle. - To był wypadek.

Po raz pierwszy wyglądało na to, że Kyle przestał panować nad swoimi uczuciami. Peto nigdy jeszcze nie widział go w takim stanie. Starszy mnich był wyraźnie zrozpaczony utratą pieniędzy, a na samą myśl, że miałby złamać choćby jeden ze ślubów, jakimi kierował się

przez całe życie, poczuł się jeszcze gorzej. Natomiast Peto szybko oswajał się z możliwością łamania zasad. Bogiem a prawdą, wręcz cieszył się z takiej możliwości. Z tą myślą zerwał się nagle na równe nogi.

- Kurwa, Kyle, a gdzie jest minibar? - zapytał wyzywającym tonem.

- No, no! Spokojnie, Peto - przywołał go do porządku starszy mnich i także zerwał się na nogi. - Mówiłem, że może trzeba będzie złamać niektóre śluby. Przekląłeś, ale umówmy się, że na razie na tym poprzestaniesz, hm? Jeżeli w celu odzyskania Oka Księżyca dopuścisz się kłamstwa i kradzieży i zostaniesz wygnany z Hubala, to wtedy, i tylko wtedy, będziesz mógł myśleć o łamaniu pozostałych ślubów, takich jak ten, który zabrania picia alkoholu.

Peto był wyraźnie zawiedziony. W barze Sancheza napatrzył się na tych wszystkich pijaków i spodobał mu się pomysł, żeby doświadczyć tego na własnej skórze. W głębi duszy wiedział, że Kyle nigdy nie pozwoliłby mu skorzystać z minibaru, ale już na samą myśl o tym nabral nową ochoty do życia. A wypowiedzenie słowa „kurwa” również dało mu zaskakujące poczucie swobody.

- Masz rację, Kyle, oczywiście, że tak. Mimo wszystko wysłuchaj mnie. Jeżeli mamy odebrać Oko jakiemuś opryszkowi, który je w tej chwili posiada, to czy nie byłoby rozsądnie dowiedzieć się, jak to jest być jednym z nich? Wiesz, wejść w ich skórę?

- Pewnie, że tak, ale nie miałem na myśli upijania się, w żadnym razie.

- Wobec tego o co ci chodziło?

- Zdajmy się na swoją siłę. - Peto z ulgą pomyślał, że jego przyjaciel nareszcie wygląda, jakby coś planował. - Na walkę wręcz, obojętne, czy trzeba będzie na kogoś napaść, czy bić się za pieniądze. To musi być nasz pierwszy plan.

- Poważnie sądzisz, że odzyskamy nasze sto tysięcy dolarów, napadając na kogoś?

Kyle wziął się pod boki i spojrzał na sufit, szukając w nim natchnienia.

- Nie, raczej nie, ale na początek dobre i to - odpowiedział. - Zostaliśmy bez grosza przy duszy, więc czy mamy w tej chwili lepszy wybór?

- A jak wygląda gorszy wybór? - zapytał Peto, gdy wreszcie zdał sobie sprawę, że w obecnej sytuacji nie będą mieli czym zapłacić za następny posiłek.

- Nie mamy innego wyboru. Będziemy musieli napaść na kilka osób, zabrać im wszystkie pieniądze i... eee... puścić je w ruch. W Tapiocie podsłuchałem, jak ktoś mówił, że na skraju miasta rozbił się wędrowny jarmark. Przypuszczam więc, że uda się tam pospekulować naszymi pieniędzmi, żeby je pomnożyć.

- Masz na myśli hazard? - Oczy młodszego mnicha rozblęły.

- Nie. To by oznaczało złamanie świętego ślubu. Będziemy obracać naszymi pieniędzmi w

celu zdobycia większego majątku, ale nie dla korzyści własnej, tylko dla dobra ludzkości.

- To mi się podoba - pochwalił Peto z uśmiechem.

- I dobrze. To teraz pooglądaj sobie telewizję i zobacz, czego jeszcze możemy się dowiedzieć o świecie zewnętrznym przed jutrzejszym zaćmieniem Słońca.

- Zgoda. A co leci?

- Weekend u Berniego.

- Brzmi nieźle.

Rozdział dwudziesty szósty

Jensen spędził większą część dnia w biurze, bez najmniejszych choćby sukcesów stukając w klawiaturę swojego laptopa. Miał dostęp do akt oraz informacji dotyczących obywateli w całym kraju, które spokojnie można by uznać za ciężkie naruszenie prywatności, gdyby wiedział o nich ktokolwiek poza garstką najwyższych przedstawicieli władz. Sprawdzał wszelkie możliwe dane na temat pięciu ofiar morderstw, których śmierć polecono mu wyjaśnić; wreszcie, po całych godzinach uporczywych poszukiwań, które nie naprowadziły go na choćby cień jakiegokolwiek śladu, coś znalazł.

I to coś dobrego. Bardzo dobrego. Tyle że rzecz opierała się na nadzwyczajnym przypadku. Właśnie dlatego Jensen był tak cholernie dobry w swoim fachu. Sprawdzał każdą, najwęższą nawet ścieżkę śledztwa, bez względu na to, jak nikłe miał szanse powodzenia. Akta pracownicze nieboszczyków nie wniosły niczego nowego. Najczęściej odwiedzane przez ofiary kluby - też nic. Ich znajomi - znów nic. Cóż takiego więc znalazł, co łączyło ze sobą wszystkie pięć ofiar?

Przed południem Somers urzędował poza biurem, najpewniej poszukując tropów i żłowiąc kawę. Kiedy wrócił, z kubkiem kawy w ręku, powitał go widok Milesa Jensena, który wyraźnie zadowolony z siebie, siedział ni mniej, ni więcej, tylko za jego biurkiem!

- Mam nadzieję, że masz cholernie dobry powód, żeby siedzieć na moim miejscu, z tym uśmiechem samozadowolenia na twarzy - odezwał się Somers, odstawiając kubek kawy na blat i przysuwając sobie krzesło, na którym zazwyczaj siadał jego partner.

- Dzisiejsza kategoria to filmowe horrory - oświadczył Jensen i uśmiechnął się. - *Psychopata* czy *The Ring*!

- *The Ring*, ma się rozumieć - palnął Somers bez namysłu. - *Psychopata* to tylko trzeciorzędny film o seryjnym mordercy, na którym każdy kinoman, który zna się na rzeczy, odgaduje, kto jest zabójcą już w pierwszej scenie, zanim jeszcze skończy się czołówka.

- Naprawdę? - W głosie Jensena brzmiało zaskoczenie. - Nie pamiętam tego fragmentu.

- A jakże. William McNamara, który wtedy był już całkiem dobrze zapowiadającym się aktorem, pojawia się w pierwszej scenie pośród całej masy statystów. Pamiętam, że oglądając to, myślałem sobie: po jaką cholere facet, który grał już pierwszoplanowe role w kilku mniej znanych filmach, siedzi w tłumie statystów, jeśli nie po to, żeby na końcu wyskoczyć jako ów tajemniczy zabójca? No i miałem rację, choć akurat nie to zniszczyło ten film. Moim zdaniem

spaprał go reżyser.

- Muszę powiedzieć, że moim zdaniem *Psychopata* był całkiem niezły i w dużej mierze oryginalny.

- Ale nie sądzisz chyba, że jest lepszy niż *The Ring*? Co? - zapytał Somers.

- No... zawsze uważałem, że *The Ring* jest nieco naciągany, ale wiesz co? Zdaje się, że jakieś dwadzieścia minut temu zmieniłem zdanie.

Somers przechylił głowę na bok i zaczął przeczesać palcami siwe włosy; często tak robił, kiedy nad czymś myślał. Był wyraźnie zaintrygowany.

- Dawaj dalej. Co takiego znalazłeś? Tylko mi nie mów, że wszystkie nasze ofiary oglądały tę samą taśmę wideo, a potem zginęły w ciągu siedmiu dni.

- Niezupełnie - odparł Jensen, rzucając na biurko przed sobą plik papierów.

Somers sięgnął i wziął je do ręki.

- Co to jest? - zapytał.

- Dane z biblioteki.

- Dane z biblioteki?! - Somers odłożył je, jakby go sparzyły.

- No. Każda z pierwszych pięciu ofiar wypożyczyła z biblioteki miejskiej tę samą książkę. To jedyni ludzie, jacy w ogóle ją brali. A zatem wszyscy, którzy ją przeczytali, zginęli.

Jego partner nie wydawał się przekonany.

- A co z innymi bibliotekami i księgarniami, które mają ten tytuł u siebie? - rzekł. - Przecież nasz zabójca nie jest w stanie stuknąć każdego, kto kupił tę książkę albo wypożyczył ją w innej bibliotece.

- A nie jesteś ciekawy, co to za książka? - Miles uniósł brwi, okazując w ten sposób zdziwienie, że partner do tej pory go o to nie spytał.

- Niech no zgadnę. Autobiografia Victorii Beckham?

- E-e. To by miało sens tylko wtedy, gdyby wszyscy ci ludzie popełnili samobójstwo.

- Fakt - przyznał Somers z uśmiechem. - No, gadaj. Co to za książka?

Jensen pochylił się i wskazał na wiersz mniej więcej w połowie górnej strony pliku papierów, który położył przed partnerem. Somers znów wziął je do ręki i spojrział na wskazane miejsce.

- Potężna chandra?

- Nie, niżej - rzekł Miles, mocniej wbijając palec w kartkę.

- Żenujący lubieżnik?

- Nie. - Jensen jeszcze mocniej nacisnął palcem papier.

Somers podniósł wzrok. Jego mina zdradzała irytację. Nagle, jak gdyby oświeciło go

poniewczasie, spojrział w dół i w tym momencie przestał się krzywić. Wlepił wzrok w miejsce, które wskazywał partner. Na pierwszy rzut oka wyglądało to tak, jakby miejsce na liście po *Potężnej chandrze* zajmował *Żenujący lubieżnik*, ale przy bliższym spojrzeniu okazało się, że pomiędzy nimi widnieje puste miejsce, obok zaś nazwisko autora, oznaczone jako: „Anon.”.

Potężna chandra

Sam McLeod

Anon.

Żenujący lubieżnik

Richard Stoodley

Wyznania panienki do towarzystwa

Ginger Taylor

- Czy to jakaś księga bez tytułu? - zapytał.

- Tak mi się zdaje - odparł Jensen. - Górna z tych kartek, które trzymasz, zawiera wykaz wszystkich książek wypożyczonych przez Kevina Levera. Następne to listy wszystkich tytułów pożyczanych przez pozostałe ofiary. Każda z tych osób wzięła tę książkę bez tytułu, napisaną przez anonimowego autora. Musimy ją znaleźć.

- Jensen, jesteś genialny!

- Nie, po prostu mam to szczęście, że dali mi dostęp do całej masy poufnych akt, których istnienie większość ludzi uznałaby za jawne pogwałcenie praw człowieka.

Somers cmoknął pod nosem.

- Bo pewnie tak jest, przyjacielu - skwitował. - Ale takie dane, jeżeli korzysta się z nich we właściwy sposób i dla dobra sprawy, mogą uratować czyjeś życie. Wyrwanie ludziom języków i wydłubywanie oczu też jest gwałceniem praw człowieka, nie sądzisz? - Pomyślał, że zabrzmiało to trochę tak, jakby moralizował, co nie zmieniało faktu, że miał rację.

- Trudno się z tym nie zgodzić.

Somers przejrzał wykazy biblioteczne pozostałych ofiar zabójcy. Dane dotyczyły jednak tylko pięciu osób - fakt, który przeoczył, kiedy Jensen po raz pierwszy wspomniał o książce. Nie chciał podważać sukcesu partnera, ale musiał go o to zapytać.

- A Thomas i Audrey Garcia? Co z nimi? I z Elvisem, skoro już o tym mowa? Oni nie wypożyczali tej książki?

- Z tym mamy problem - przyznał Jensen. - Żadne z tej trójki nie było zapisane do biblioteki. Nie wypożyczali książek. Czyli że nasz morderca musiał mieć inny powód, żeby ich zabić. Ustaliliśmy już zresztą motyw zabójstwa Elvisa, więc jego możemy sobie darować.

Somers pokręcił głową. Musiał, a raczej musieli, mieć pewność, więc naciskał dalej:

- Może to o niczym nie świadczy. Może to tylko błąd w aktach biblioteki. Wiesz, literówka czy coś w tym stylu. A jeśli w systemie jest kilka książek bez tytułu albo bez autora? Może

oni...

- Nie - wpadł mu w słowo Jensen. - Mówiłem ci, sprawdziłem wszystkie możliwe bazy danych. Tylko te pięć osób wypożyczyło w bibliotece miejskiej książkę bez tytułu, napisaną przez anonimowego autora. To nie może być zwykły zbieg okoliczności. Możliwe, że Tom i Audrey znali jedną z ofiar i widzieli tę książkę, chociaż sami jej nie wypożyczyli.

- Sprawdzales, czy nie ma żadnych innych powiązań między zabitymi?

- Tak. Nic nie znalazłem, ale kto wie, może do czegoś się jeszcze dokopię.

- No to kop dalej, Jensen. I nie przestawaj, dopóki nie znajdziesz naszego zabójcy. Hej! Co jest grane?

Młodszy detektyw sporadycznie stukał w klawiaturę swojego laptopa na biurku Somersa, nie przerywając rozmowy z partnerem, teraz jednak znieruchomiał i z otwartymi ustami gapił się na monitor.

- Słuchaj! - rzucił z podnieceniem. - Może właśnie go znalazłem!

Stary wyga wyprostował się na krześle i upuścił wykazy biblioteczne na biurko.

- Co jest grane? - powtórzył. - Co takiego znalazłeś?

- Nie uwierzysz, ale według moich danych akurat teraz, kiedy tu sobie gadamy, ktoś inny wypożyczył książkę bez tytułu. Mamy nowy trop!

Somers wstał, nie mogąc opanować podniecenia.

- Kto? Jak on się nazywa?

Miles wpatrzył się w ekran laptopa.

- To kobieta. Nazywa się Annabel de Frugyn.

- Annabel de Frugyn?! A cóż to za nazwisko, do diaska?

- Dostyć głupie, jeśli chcesz znać moje zdanie. Poczekaj, może uda mi się wyciągnąć adres.

Gorączkowo zaczął bębnić w klawiaturę. Za każdym razem, gdy wciskał klawisz „Enter” i na sekundę przestawał stukać, mars na jego twarzy się pogłębiał.

- Co jest? - zapytał Somers niecierpliwie. - Nie ma adresu?

Nie zwracając na niego uwagi, Jensen jeszcze przez trzydzieści sekund stukał w klawiaturę, co chwila cmokając i robiąc miny. W końcu oznajmił:

- Nic. Kompletnie nic. Ta osoba, Annabel, nie ma adresu. Nie do wiary: książkę bez tytułu, napisaną przez anonimowego autora, wypożycza ktoś, kto nie ma adresu... Jakie jest prawdopodobieństwo czegoś takiego?

Somers pokręcił głową i nachylił się do partnera. Zacisnął obie ręce na skraju biurka tak mocno, że zbieleły mu knykcie. Był wyraźnie zirytowany.

- Szanse Annabel de Frugyn na przeżycie maleją z każdą sekundą, odkąd ta książka jest w

jej posiadaniu. Musimy ją odnaleźć, zanim zostanie zabita. Ty zajmij się swoimi zabawkami i sprawdź, czy uda ci się zdobyć jej adres. Ja się do tego zabiorę w staromodny sposób i zasięgnę języka na mieście. Ktoś musi wiedzieć, kim jest ta Annabel de Frugyn. Dobrze, że nasze szczęśliwe gwiazdy nie kazały nam szukać Johna Smitha.

- Sie robi - rzucił Jensen. - Kto pierwszy zdobędzie jej adres, wygrywa. A przegrany stawia kolejkę, stoi?

Emerytowany gliniarz maszerował już do wyjścia z gabinetu.

- Postawisz mi kawę! - warknął. - Czarną, dwie kostki cukru.

Rozdział dwudziesty siódmy

Gdyby tylko mogli, Dante i Kacy natychmiast poszliby zastawić kamień, byleby się go pozbyć, ale wynikł pewien problem. Lombard był już zamknięty. Co dalej? Wyrzucenie klejnotu zakrawałoby na głupotę, zwłaszcza że najwyraźniej był niezwykle cenny.

Najlepszy pomysł, jaki przyszedł Dantemu do głowy, to zwrócić się do znajomego, który pracował w Muzeum Historii i Sztuki w Santa Mondega. Profesor Bertram Cromwell, stary przyjaciel ojca Dantego, był tak miły, że załatwił mu tę robotę w muzeum, która zakończyła się tak pechowo. I chociaż chłopak pracował tam niedługo, to z czasem polubił Bertrama Cromwella i odczuwał wyrzuty sumienia, że zawiódł jego zaufanie, kiedy to po nieszczęsnym incydencie z wagą został zwolniony. Jednakże profesor nie miał tego młodemu człowiekowi za złe i był tak uprzejmy, że dał mu referencje, gdy ten ubiegał się o posadę w hotelu. Chłopak był mu za to do zgonnie wdzięczny, gdyż dzięki temu nie musiał wracać do rodzinnego Ohio z podkulonym ogonem.

Przy pierwszym spotkaniu Dante odruchowo zwrócił uwagę, że Cromwell wygląda dokładnie tak, jak w jego mniemaniu powinien wyglądać profesor. Miał nienagannie uczesane, bujne i falujące siwe włosy, wąskie okulary w cienkich oprawkach, ponad którymi patrzył na swoich pracowników, gdy przyszło mu z nimi rozmawiać, a do tego ze sto różnych kosztownych, szytych na miarę garniturów. Dobiegał pewnie sześćdziesiątki, ale z wyglądu i luźnego sposobu bycia sprawiał wrażenie człowieka o dobre dziesięć lat młodszego. Pomimo rzucającego się w oczy gruntownego wykształcenia był wyjątkowo uprzejmy i miał dryg do traktowania ludzi w sposób przyjacielski, ale bez cienia protekcyjności. Dante z całą pewnością chciałby być kimś takim jak on, gdyby był bogaty albo mądry. Na razie jednak był biedny i przebiegły, ale spryt to nie to samo co mądrość.

Muzeum - jeden z największych budynków w Santa Mondega - zajmowało cały odcinek między dwiema przecznicami przy głównej ulicy. Gmach był olbrzymi, biały i siedmiopiętrowy, zbudowany w stylu federalnym. Na fasadzie od frontu powiewały flagi wszystkich państw świata. Do najbardziej chwalebnych cech Muzeum Historii i Sztuki w Santa Mondega należało to, że w swoich zbiorach posiadało rzeczy charakterystyczne dla każdego kraju na świecie, poczynając od bezcennych dzieł sztuki, aż po zwykłe muszelki.

Dante i Kacy weszli po trzech długich, białych betonowych schodach biegnących wzdłuż frontu budynku, a następnie przeszli przez szklane drzwi obrotowe do recepcji. Profesor

Bertram Cromwell przebywał w wielkim, pełnym obrazów pomieszczeniu po lewej stronie holu. Właśnie kończył oprowadzanie grupki studentów. Było ich około piętnastu; zamiast słuchać tego, co Cromwell miał im do powiedzenia na temat eksponowanych obrazów, zajmowali się przede wszystkim nieustannym cykaniem zdjęć. Dante zorientował się, że wycieczka zbliża się do końca. Wiedział, że profesor wyjątkowo nie znosi przemawiać do niedokształconych turystów, którzy i tak go nie słuchają, choć jako profesjonalista, zawsze oprowadzał ich do samego końca, nie pomijając najdrobniejszej pouczającej informacji. Jednakże bez wątpienia czekał, aż wycieczka dobiegnie końca i uwolni się wreszcie od koszmaru błyskających fleszy.

Na widok Dantego i Kacy, stojących w progu muzeum, wskazał im ruchem ręki, żeby usiedli i zaczekali, aż skończy oprowadzanie studentów. Skorzystali więc z wygodnej, obitej kremowym materiałem kanapy obok recepcji. Hol muzeum robił wrażenie, bez dwóch zdań. Wielkością przewyższał trzy ostatnie mieszkania razem wzięte, które wynajmowali Dante i Kacy. Niesamowicie wysoki sufit górował dobre dziewięć metrów nad podłogą, a cudownie świeżą atmosferę zapewniała najlepsza klimatyzacja w całej Santa Mondega.

Siedząc na kanapie, mieli doskonały widok na wielkie, sklepione wejście do pierwszej z olbrzymich galerii muzeum. Ściany obwieszane były obrazami, środek galerii zaś zajmowały liczne eksponaty różnych rozmiarów, a także oszklone gabloty, w których wystawiano mniejsze przedmioty. Żadne z nich nie widziało w eksponatach nic wartościowego czy ciekawego, chłopak jednak, przez szacunek dla profesora, przynajmniej próbował docenić to, na co patrzy. Wybrał jeden z obrazów i wlepił w niego wzrok, jak gdyby próbował odczytać zawarte w nim przesłanie. Niestety, obraz ten należał do gatunku, jakiego szczególnie nie znosił. Jego zdaniem dobry obraz powinien przypominać fotografię, ten zaś był z rodzaju tych, które wyglądały, jakby ktoś bez składu i ładu ochlapał płótno farbami we wszelkich możliwych kolorach. Jeżeli kryło się w nim piękno, to niedostępne dla oczu chłopaka.

W końcu studenci przebiegli obok nich i wypadli na dwór, dzięki czemu Dante mógł wstać z kanapy i podejść do Cromwella. Kacy wsunęła dłoń w jego rękę i ruszyła pół kroku za nim.

- Sie masz, Cromwell! Jak leci? - zapytał chłopak wesoło.

- Znakomicie, panie Vittori, dziękuję. Miło mi pana widzieć, i panią także, panno Fellangi. Czym mogę służyć?

- Cromwell, chcemy, żebyś coś dla nas obejrzał. Wpadliśmy, że tak powiem, na coś, co może okazać się sporo warte, a tego no, wiesz, na dobry początek przydałoby nam się trochę gotówki.

Bertram Cromwell uśmiechnął się.

- Czy macie to przy sobie?
- No, ale czy moglibyśmy ci to pokazać w jakimś ustronnym miejscu?
- Prawdę mówiąc, jestem dosyć zajęty, Dante.
- Wierz mi, profesorku, spodoba ci się to, co zobaczysz.

Profesor uniósł brew. Nie wydawał się przekonany i zapewne sądził, że tylko marnują jego czas, jednak dobre wychowanie i uprzejmość nie pozwalały mu odprawić ich z kwitkiem.

- Cóż, widocznie to coś niezwykłego. Pozwólcie za mną, proszę. Przejdziemy do mojego gabinetu.

Dante i Kacy przez kilka minut wędrowali za Cromwellem w gąszczu korytarzy, po drodze rozmawiając o niczym i zerkając na mijane obrazy i inne eksponaty. Chłopak jeszcze niedawno pracował w muzeum jako woźny, a mimo to nie rozpoznał żadnego z wystawianych przedmiotów. Nie był miłośnikiem sztuki i zupełnie nie interesował się historycznymi zabytkami, tak więc spokojnie można było założyć, że w drodze powrotnej także niczego nie rozpozna.

Dla odmiany Kacy obserwowała i zapamiętywała wszystko, co mijali - nie dlatego, że interesowały ją ekspozycje, lecz dlatego, że chciała zapamiętać drogę powrotną. Wcześniej spotkała Bertrama Cromwella tylko raz i nie miała jeszcze wyrobionego zdania na jego temat. Dlatego też uznała, że rozsądnie będzie zachować szczególną ostrożność i zapamiętać drogę, którą profesor ich prowadził, w razie gdyby - co mało prawdopodobne - musiała wraz z Dantem uciekać w popłochu. Po wizycie u Mistycznej Damy wpadła w lekką paranoję i z każdą chwilą była coraz bardziej podejrzliwa w stosunku do każdego, z kim się spotykali.

I słusznie.

Rozdział dwudziesty ósmy

Gabinet Cromwella mieścił się w podziemiach. Było to olbrzymie i przestronne pomieszczenie, z którego użytkownik niewątpliwie miał prawo być dumny. Na wprost drzwi stało dziewiętnastowieczne biurko z polerowanego dębu, a za nim zatrważająco wielki fotel, kryty czarną skórą. Po drugiej stronie stały dwa mniejsze, ale nie mniej modne fotele, także skórzane. Profesor wskazał je swoim gościom, a sam zasiadł w masywnym fotelu za biurkiem.

Dante nie wykazywał ani cienia zainteresowania pokojem, za to Kacy była przytłoczona jego przepychem. Dwie ściany w całości, od sufitu do podłogi, pokrywały książki w twardych oprawkach, ustawione na dziesiątkach dębowych półek. Według wyobrażeń dziewczyny, tak właśnie powinna wyglądać najbardziej ekskluzywna biblioteka na świecie. Pozostałe dwie ściany wyłożono boazerią z ciemnego, lśniącego drewna i ozdobiono kolekcją wielkich obrazów. Wszystkie płótna utrzymane były w niezwykle ciemnej tonacji. Zdawało się, że na żadnym z nich nie ma ani trochę jasnego koloru. Kacy pomyślała, że gdyby nie przytulne ciepło rozchodzące się z ogrzewania w ścianach oraz blask światła, padający ze wspaniałego kandelabru, przebywanie w tym pokoju napawałoby strachem i grozą.

Cromwell wiercił się przez kilka sekund, aż w końcu rozsiadł się wygodnie; jego garnitur szeleścił, ocierając się o skórzaną tapicerkę fotela. Złożył dłonie i przez chwilę bębnił palcami jednej ręki o palce drugiej, a następnie uśmiechnął się do swoich gości po kolei. Najpierw do Dantego, potem do Kacy. A ponieważ żadne z nich najwyraźniej nie rozumiało, jak cenny jest jego czas, postanowił odezwać się pierwszy, a nie czekać, aż któreś z nich zagai rozmowę.

- No cóż, Dante, czy mogę obejrzeć to wasze jakże cenne cacko?

Kacy poczekała, aż jej chłopak wyrazi zgodę, co też zrobił, kiwając głową. Wówczas zdjęła łańcuszek z szyi i wysunęła niebieski kamień zza topu, pokazując go po raz pierwszy. Cromwell wyciągnął rękę nad biurkiem, a dziewczyna upuściła wisiołek na jego dłoń. Przez kilka sekund uczony trwał w bezruchu, gapiąc się na to, co położyła na jego wyciągniętej ręce. Jego mina świadczyła o tym, że chyba coś wie na temat przedmiotu, który trzymał. Oczy mu rozbłyły i przez chwilę miał wyraz twarzy dziecka, przejętego prezentem, jaki dostało pod choinkę. W końcu, gdy uznał, że wpatruje się w kamień dostatecznie długo, by zauważyli, że jest pod wrażeniem, przysunął go sobie pod nos i wbił w niego ostre spojrzenie.

- I co pan myśli? - zapytała dziewczyna.

Cromwell puścił jej pytanie mimo uszu i lewą ręką wysunął szufladę biurka. Pogrzebał w niej, wyraźnie czegoś szukając, ale ani na chwilę nie spuścił kamienia z oczu. Po kilku sekundach szperania w szufladzie wyciągnął małą lupę i przysunął ją sobie do oka. Kolejne trzydzieści sekund spędził na oglądaniu klejnotu pod każdym możliwym kątem, trzymając go pod lupą prawą ręką.

- No i? - rzuciła Kacy, nieco skrepowana faktem, że profesor nie odpowiedział jej na pytanie.

Cromwell odłożył wisiorek i lupę na biurko i odetchnął głęboko przez nos.

- A i owszem, jest cenny - mruknął, jakby mówił sam do siebie.

- Jak myślisz, ile jest wart? - spytał Dante. Nieco dziwaczne zachowanie profesora rozbudziło jego nadzieje.

Cromwell obrócił się na fotelu w lewo i wstał. Potem wyszedł zza biurka i podszedł do zastawionej książkami ściany po lewej. Przesunął palcem po grzbietach książek na jednej z półek, prawie na wysokości oczu. Dotknął ośmiu czy dziewięciu grzbietów, aż wreszcie jego dłoń zatrzymała się na grubym tomie w czarnej twardej oprawie. Wyciągnął go, wrócił na fotel i delikatnie położył książkę na biurku.

- Całkiem możliwe, że ten niebieski kamień jest najcenniejszym kamieniem na świecie - oświadczył, patrząc na Dantego i Kacy, żeby sprawdzić, czy rozumieją doniosłość jego słów.

- Świetnie - ucieszył się chłopak. - Gdzie możemy go sprzedać?

Cromwell westchnął głęboko.

- Chyba nigdzie - odpowiedział łagodnie.

Dante nie mógł się powstrzymać, żeby nie wyrazić na głos głębokiego rozczarowania.

- Ha! Typowe! Dlaczego?

- Pozwólcie, że najpierw zajrzę do tej książki. Jest tu na temat tego kamienia coś, co powinniście przeczytać, zanim postanowicie, co zrobić z nim dalej.

- Zgoda.

Chłopak i dziewczyna spojrzeli na siebie roziskrzonym wzrokiem, a tymczasem Cromwell przerzucał kartki księgi. Kacy chwyciła Dantego za rękę i ścisnęła mocno, żeby opanować podniecenie.

- Jak brzmi tytuł tej książki? - spytała profesora.

- Księga mitologii księżycowej.

- Ach tak...

Ta odpowiedź nic jej nie mówiła i zaczęła żałować, że w ogóle zadała to pytanie. Nie ona jedna. Dante również nie miał pojęcia, co to takiego mitologia księżycowa.

Po minucie przerzucania kartek i czytania fragmentów tekstu, czemu towarzyszyło częste pomrukiwanie i chrząkanie, Cromwell w końcu trafił na stronę, której szukał, i zaczął ją czytać po cichu. Ze swego miejsca Dante widział kolorową ilustrację przedstawiającą niebieski kamień, jakże podobny do tego, który wręczyli profesorowi. Ten na obrazku nie wisiał na srebrnym łańcuszku, ale poza tym wyglądał dokładnie tak samo jak ten, który leżał teraz przed nim na biurku.

Po dłuższej chwili profesor skończył lekturę, zerknął na swoich gości i podsunął im książkę. Oboje spojrzeli na dwie strony przed sobą, spodziewając się ujrzeć coś takiego, że padną z wrażenia - na przykład konkretną sumę określającą wartość kamienia. Ale nie dostrzegli nic takiego, wobec czego przenieśli wzrok na profesora i bez słowa czekali, aż sam im wyjaśni, co takiego powinni zobaczyć.

- Młoda damo, ten niebieski kamień, który nosiła pani na szyi, wśród historyków znany jest jako Oko Księżycyca.

- O kurczę!

Kacy była pod wrażeniem. Oko Księżycyca brzmiało niezwykle wytwornie, a ona jak dotąd nie miała szczęścia posiadać biżuterii mającej własną, niepowtarzalną nazwę.

- No więc, ile to jest warte? - zapytał Dante ponownie.

- Młody człowieku, nie do mnie powinienes skierować to pytanie. Powinienes zadać je sobie - przestrzegł Cromwell i ciągnął poważnym tonem: - Czy warto ryzykować życie dla tego kamienia?

- Rany boskie, ciebie też o to nie pytać? - odparł chłopak, wracając myślami do tej przygnębiającej baby, czyli Mistycznej Damy.

Z jakiegoś powodu Cromwell nie podjął jednak tematu i nie zwracając uwagi na chłopaka, mówił dalej:

- Na Oko Księżycyca nie ma cennika, Dante. Jest warte tyle, na ile wycenia je jego posiadacz. Niektórzy ludzie nie cofnęliby się przed niczym, byleby tylko zdobyć ten kamień. Ale wcale nie ze względu na jego wartość materialną.

- Więc dlaczego chcą go zdobyć?

- Bo jest taki ładny? - podsunęła Kacy.

Tym razem Cromwell postanowił jej odpowiedzieć.

- Nie. Istotnie, muszę przyznać, że jest bardzo ładny, ale jego wartość wynika z tego, że według legendy, a także zgodnie z tym, co podają w tej książce, Oko Księżycyca to kamień obdarzony niesamowitą mocą. Coś jakby kamień magiczny, jeśli wolicie.

- Mógłbyś to powtórzyć? - rzekł Dante, który całkiem się w tym pogubił.

Znał Bertrama Cromwella dostatecznie dobrze, by nie uważać go za durnia. Był to człowiek inteligentny, który nie zwykł wygadywać bzdur. Skoro twierdził, że ten kamień ma właściwości magiczne, to wszystko przemawiało za tym, że mówi prawdę, jakkolwiek absurdalna mogłaby się wydawać.

- Na temat możliwości Oka Księżyca krążą najrozmaitsze i liczne opowieści - podjął starszy pan. - Niektórzy twierdzą, że ten, kto go nosi... na przykład na łańcuszku na szyi... albo chociażby ma go przy sobie, staje się nieśmiertelny.

- Nieśmiertelny? Znaczy, że... nie da się go zabić? Że będzie żył wiecznie?! - wyjąkała Kacy.

- Tak, ale zdaniem innych, ten kamień kradnie duszę temu, kto go nosi.

Dante uśmiechnął się.

- I ludzie wierzą w te pierdoły?

- Ależ oczywiście.

- A ty też wierzysz w te brednie, Bertie?

- Powstrzymam się od opinii.

- Wobec tego co mamy z nim zrobić?

- No cóż - rzekł profesor i znów wstał zza biurka. - Zawsze możecie sprawdzić, czy rzeczywiście ma właściwości uzdrawiające.

Chłopak się zaciekał.

- Co masz na myśli?

Bertrand Cromwell podniósł wisior z biurka i rzucił go Dantemu, który złapał go oburącz.

- Załóż ten łańcuch na szyję, a ja ci skaleczę ramię, tylko na tyle, żeby popłynęła krew. Jeżeli ten kamień ma taką moc, wówczas rana się zagoi, a ty w ogóle nie poczujesz bólu.

Dante zerknął na Kacy z ukosa, sprawdzając, co ona na to. Wyraźnie zapaliła się do pomysłu, wobec tego niechętnie (bo z jednej strony nie wierzył w czary i tym podobne bzdury, z drugiej zaś jak najbardziej wierzył w ból) wsunął łańcuszek przez głowę i opuścił go na szyję. Następnie zakasał prawy rękaw i wyciągnął przedramię, które Cromwell chwycił lewą ręką, a prawą z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjął nóż sprężynowy. Wysunął ostrze i pokazał je chłopakowi, który, szczerze mówiąc, był niepomrotnie zdumiony, że ktoś pokroju profesora nosi przy sobie taką kosę.

- W porządku - rzucił Dante, wpatrując się w ostrą klingę w ręku Cromwella. - Rób, co masz robić.

- Jesteś pewny? - spytał profesor.

- Tak, do roboty. Szybko, zanim się rozmyślę.

Bertram Cromwell odetchnął głęboko, po czym z całej siły wbił czubek noża w przedramię chłopaka, od wewnętrznej strony. Niemal jednocześnie wydarzyły się dwie rzeczy: ostrze zagłębiło się w ciało na dobre pięć centymetrów, a Dante wrzasnął wniebogłosem:

- AU!... KURWA MAĆ!... Co jest, kurwa?! AU! Ty ciulu jebany! Rany boskie, czemuś mnie, kurwa, dźgnął?! W MORDE! T... ty pojebie!

- Boli? - zapytała Kacy; nie była to najmądrzejsza z uwag, jakie zdarzyło jej się wygłosić.

- OCZYWIŚCIE! BOLI JAK SKURWYSYN! PRZECIEŻ MNIE, KURWA, DŹGNAŁ!

Chłopak ścisnął ramię, za wszelką cenę usiłując powstrzymać imponujący krwotok. Cromwell wyjął z kieszeni miękką chusteczkę higieniczną i wycierał ostrze noża.

- Dante, czujesz, że rana się goi? - zapytał spokojnie.

- Jaja se ze mnie robisz?! O mało co żeś mi nie odciął ręki. Nie, kurwa, nic a nic się nie goi! Zagoi się za cholera wie ile tygodni. Będą musieli mnie zszywać. Na miłość boską, człowieku, coś ty narobił? Myślałem, że mnie tylko draśniesz, a nie będziesz mi odcinał ręki, do kurwy nędzy!

- Przepraszam, Dante. Chciałem mieć pewność, że rana będzie na tyle głęboka, żeby nie było wątpliwości, czy kamień zadziałał, czy nie.

- Zadziałał jak ta lala, jeżeli chodziło o to, żebym do końca życia miał pieprzoną bliznę!

Cromwell wyciągnął czystą białą chusteczkę z górnej kieszeni marynarki i podał ją dziewczynie.

- Proszę, Kacy. Zawiąz mu tym ranę i ściśnij mocno. To zatamuje krwotok.

Dziewczyna wzięła chusteczkę i mocno chwyciła rękę Dantego. Obwiązała ranę i zacisnęła końce materiału w ciasny supeł.

- I jak, kotku? - zapytała.

Mina chłopaka się zmieniła - wyraz bólu i oburzenia na jego twarzy ustąpił miejsca zaskoczeniu.

- Hej, momencik. Zdaje się, że rana się zagoiła! - zawołał.

- Naprawdę? - zapytał Cromwell, wyraźnie podniecony.

- Nie, ty skretyniały palancie! Oczywiście, że się nie zagoiła! Dźgnąłeś mnie w ramię, pamiętasz? Chryste, i pomyśleć, że jesteś profesorem! - Sprawną ręką zdjął wisiołek i podał go dziewczynie. - Masz, weź to badziewie i walnij go nim w łeb, dobra?

- Przepraszam, Dante, naprawdę bardzo cię przepraszam - rzekł Cromwell, siadając przy biurku. - Słuchaj, obiecuję, że ci to wynagrodzę. Jeśli chcesz, załatwię, że będziesz mógł wrócić na swoje dawne stanowisko.

Chłopak powoli się uspokajał. Prawdę mówiąc, zaczynały go męczyć wyrzuty sumienia z

powodu tego, że wydarł się na profesora, a zwłaszcza że nazwał go pojebem.

- No dobra, profesorku, nie ma sprawy - rzucił wielkodusznie. - Jakoś przeżyję. Bywało gorzej. - Wzruszył ramionami.

- Mimo wszystko, Dante, gdybym mógł coś dla ciebie zrobić...

- A jasne, że tak - chłopak wpadł mu w słowo. - Powiedz mi tylko, gdzie mogę sprzedać ten cholerny wisiołek za najlepszą kasę.

Cromwell pokręcił głową.

- Nie sprzedawaj go, przyjacielu. Po prostu pozbądź się go. Jeżeli go zatrzymasz, przyniesie ci jeszcze więcej bólu i cierpienia.

- Gorzej już chyba być nie może, co?

- I owszem, może być o wiele gorzej - odparł Cromwell grobowym tonem. - Poza tym jest jeszcze jedna rzecz.

- Co takiego? - Dante nadal ścisnął rękę i krzywił się z bólu.

- Jutro, w samo południe, nastąpi zaćmienie Słońca. Obyś nie miał wtedy tego kamienia przy sobie.

- Dlaczego?

- Bo byłoby źle. Ten kamień należy do mnichów z wyspy Hubal. Będą go szukać i nic, absolutnie nic nie powstrzyma ich przed odzyskaniem go i zawiezieniem tam, gdzie jego prawowite miejsce. Dopóki masz ten kamień przy sobie, średnia twojej długości życia zmniejsza się z każdą sekundą.

- Naprawdę? Dlaczego on jest taki ważny dla tych mnichów?

- Dlatego, przyjacielu, że chociaż może ci się to wydać śmieszne, mnie zresztą też, ci mnisi uważają, że ten mały niebieski kamień steruje ruchem Księżyca. Jeżeli wpadnie w niepowołane ręce, ktoś mógłby go wykorzystać do zatrzymania Księżyca na orbicie okołoziemskiej.

- A to coś złego? - wtrąciła Kacy. Wiedziała, że to głupie pytanie, ale profesor, a nawet sam gmach muzeum, zszargał jej nerwy. Kiedy była zdenerwowana, plotła trzy po trzy, a plotąc trzy po trzy, mówiła same głupoty. Dlatego uwielbiała być z Dantem. Był głupi, ale jego pewność siebie sprawiała, że wcale się tym nie przejmował. Ona, owszem, była mądra, jednak często brano ją za głupią, bo choć w sensie fizycznym była bardzo dzielna, to nie potrafiła opanować nerwów w towarzystwie ważnych osobistości i w nieznanym otoczeniu, a już zwłaszcza w miejscu tak imponującym, jak to muzeum.

Całe szczęście, że Cromwell nie oceniał ludzi na podstawie ich inteligencji, a to z tego prostego powodu, że w porównaniu z nim niemal każdy wychodził na głupka. Dlatego też

odpowiedział na pytanie dziewczyny bez cienia wyższości w głosie.

- Tak, to coś bardzo złego. Zaczniemy od tego, że Księżyc steruje przyływami i odpływami mórz i oceanów, ale w tym momencie o wiele ważniejszy i bardziej istotny jest fakt, że jutro w południe nastąpi całkowite zaćmienie Słońca. A zatem, jeśli te pogłoski odpowiadają prawdzie i posiadacz tego kamienia rzeczywiście jest w stanie sterować ruchem Księżyca na orbicie, to co waszym zdaniem taki ktoś miałby w planach na jutro?

Dante nie chciał wyjść na głupka, ale naprawdę nie znał odpowiedzi na to pytanie. Dla większości ludzi pewnie była oczywista, on jednak nie miał zielonego pojęcia i wyglądało na to, że Kacy także nie ma żadnego pomysłu. W rezultacie, po kilku sekundach milczenia, Cromwell sam sobie odpowiedział:

- Jeżeli posiadacz kamienia skorzysta z jego mocy w trakcie zaćmienia Słońca, jest więcej niż prawdopodobne, że on, czy też ona, zechce sprawić, żeby to zaćmienie zostało na wieki. Nie chcę was zanudzać szczegółami technicznymi, w jaki sposób można tego dokonać, w każdym razie zapewniam was, że najprawdopodobniej posiadaczowi kamienia uda się utrzymać Księżyc w jednej linii ze Słońcem, po to, żeby światło słoneczne już nigdy nie dotarło do Santa Mondega. Innymi słowy, przez trzysta sześćdziesiąt pięć dni w roku to miasto byłoby pogrążone w absolutnych ciemnościach. To zaś, moi drodzy przyjaciele, nie służy przyciągnięciu tu tych, którzy chcą się wylegiwać na słońcu. W gruncie rzeczy chodziłoby o przyciągnięcie rozmaitych dziwadeł.

- O w mordę! - Dante wyrzucił z siebie pierwsze słowa, jakie mu przyszyły do głowy.

- Ja bym to ujął nieco inaczej.

- Ale komu mogłoby zależeć na czymś takim? Mówiłeś, że wielu ludzi chce zdobyć ten kamień, ale przecież nikomu z nich nie zależy chyba na odcięciu od nas słońca? To by była głupota - dowodził Dante. Nie przychodziła mu do głowy ani jedna korzyść wynikająca z tak irracjonalnego postępowania; no chyba że ktoś by to robił dla kasy.

- W zupełności się z tobą zgadzam, przyjacielu, ale jeśli wierzyć legendzie, naprawdę istnieją tacy, którym na tym zależy.

- Na przykład kto?

- Nie wiem. Może czciciele diabła? Ludzie uczuleni na słońce albo ci, którzy boją się raka skóry? Szczerze mówiąc, wiem na ten temat tyle co wy. Jednakże faktem jest, Dante, że Oko Księżyca pojawiło się w Santa Mondega tuż przed spodziewanym zaćmieniem Słońca, a zatem należy zadać sobie pytanie, jaki cel przyświecał temu, kto go tu przywiózł.

Kacy czuła, że paranoja narasta w niej niczym nowotwór złośliwy. Czyciele diabła? O czcicielach diabła wiedziała tylko trzy rzeczy:

Po pierwsze - że czczą diabła. To oczywiste.

Po drugie - że należą do gatunku tych, których rajcuje składanie w ofierze innych ludzi.
Prawdopodobnie.

Po trzecie - że kiedy nie przebierają się po swojemu i nie noszą rytualnych przyrządów satanistycznych, wyglądają jak każdy inny człowiek.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Choć do południa było jeszcze daleko, w Tapiocce roiło się już od obcych. W normalnych warunkach Sanchez chodziłby na rzesach, tym jednak razem pozwolił sobie na pewną dozę tolerancji, w końcu sytuacja była szczególna. Wspaniały lokalny Festiwal Księżycowy trwał w najlepsze, co zawsze przyciągało do miasta rzesze turystów.

Za dzisiejszą tolerancją Sancheza kryło się jeszcze coś innego. Barman obserwował każdego klienta bez wyjątku, sprawdzając, czy któryś z nich nie nosi na szyi wisiora z niebieskim kamieniem. Nikogo takiego nie zauważył, przynajmniej nie w Tapiocce, ale ponieważ na resztę dnia wybierał się w miasto, będzie miał okazję sprawdzić mnóstwo innych ludzi.

Festiwal Księżycowy odbywał się tylko przed spodziewanym zaćmieniem Słońca. Gdziekolwiek indziej na świecie byłoby to więc rzadkie wydarzenie, ale w Santa Mondega, zaginionym mieście, całkowite zaćmienie Słońca następowało co pięć lat. W sumie nikt nie wiedział, dlaczego tak się dzieje, ale miejscowi cieszyli się z tego, bo w trakcie festiwalu nie zamieniliby swojego miasteczka na żadne inne miejsce na świecie. Uroczystość ta z dawien dawna wrosła w krajobraz Santa Mondega, bo jej początki sięgały setek lat wstecz, niemal do czasów, kiedy garstka hiszpańskich poszukiwaczy przygód założyła pierwszą osadę tu, gdzie teraz leżało miasteczko.

Dla Sancheza jednym z ulubionych elementów festiwalu była parada przebierańców. Wszyscy w mieście wychodzili ze skóry, żeby postarać się o jak najciekawsze kostiumy, co tworzyło wspaniałą atmosferę, wesołą i pogodną. A skoro wszyscy byli szczęśliwi i nastawieni przyjaźnie - pomimo heroicznych ilości wypitego alkoholu - to obawy, że wybuchną awantury, wyraźnie malały, za to rosły szanse klientów, mebli i wyposażenia Tapioki, że nie poniosą uszczerbku; no i barmanowi pracowało się nieco łatwiej.

Drugą ulubioną atrakcją Sancheza był odpust. Jakiś czas temu, jak zawsze przed Festiwalem Księżycowym, do miasta przyjechał objazdowy jarmark i od blisko tygodnia trwał już w najlepsze. Dzisiaj, zaledwie na dzień przed zaćmieniem Słońca, barman znalazł wreszcie czas, żeby się tam wybrać.

Zostawił więc Tapiocę i tłumy obcych, którzy się w niej zjawili, na głowie Mukki i samotnie wyruszył na jarmark. Przede wszystkim liczył na hazard. Ma jarmarku oferowano wszelkie możliwe sposoby zainwestowania swoich ciężko zarobionych pieniędzy. Sanchez

słyszał kiedyś, że w jednym z namiotów mieści się kasyno, a w innym miniaturowy tor wyścigowy dla szczurów. Najbardziej ucieszyły go jednak pogłoski, że jest tam także ring bokserski, na którym odbywają się walki za pieniądze. Podobno oblegany był na okrągło. Pierwszy lepszy facet z ulicy mógł wejść i wyzwać na pojedynek jarmarcznego boksera, przy czym chodziło z grubsza o to, żeby śmiałek wytrzymał trzy rundy i nie dał się znokautować.

Na całym terenie jarmarku stały olbrzymie namioty w jaskrawych kolorach oraz bogato udekorowane stragany, oblegane przez wybałuszających oczy turystów. Wszędzie kłębiły się tłumy ludzi, przechodzących od jednej atrakcji do drugiej, przy akompaniamencie kilku różnych melodii grzmiących z zamontowanych na słupach głośników. Uwagi Sancheza nie rozpraszały żadne duperelne rozrywki. Jego interesował tylko jeden namiot - ten, w którym odbywały się walki bokserskie. A jednocześnie najbardziej oblegany. Zdawało się, że połowa mieszkańców Santa Mondega wpadła na ten sam pomysł, co on - dostać się na boks, i to najwcześniej. Namiot ów łatwo było znaleźć, bo z zewnątrz otaczały go setki starannie zaparkowanych w rzędach motocykli - niewątpliwy znak, że do miasta zjechali Aniołowie Piekieł.

Przedostanie się do olbrzymiego namiotu zajęło Sanchezowi dobre dwadzieścia minut. Kręcące się tam i siam hordy ludzi w środku powodowały, że próba podejścia do ringu była co najmniej trudna, jeśli wręcz nie ryzykowna. Organizatorzy najwidoczniej zdawali sobie sprawę z tego, że zjawia się tłumy, bo umieścili ring na wysokiej platformie, zapewniając każdemu względnie dobry widok.

Tutejsze pojedynki nie miały nic wspólnego z zasadami sformułowanymi przez markiza Queensberry. Walki odbywały się na gołe pięści i chociaż gryzienie i wydłubywanie oczu nie było najlepiej widziane, to wszystko inne w zasadzie wchodziło w rachubę, w tym ciosy stopami, łokciami i kantem dłoni.

Gdy Sanchez dostał się wreszcie do środka, toczyła się już jakaś walka. Ale cóż za dysproporcja! Jeden z zawodników był niemal dwa razy większy od drugiego. Ten wielki - olbrzymi, wygolony na łyso zbir - od stóp do głów pokryty był tatuażami. Jego drobny przeciwnik wyglądał na statecznego ojca rodziny, który znalazł się na ringu tylko dlatego, że nie widział lepszej metody, by zarobić pieniądze wystarczające na wykarmienie żony i dzieci. Jedno spojrzenie na niego pozwalało się zorientować, że walka trwa już od jakiegoś czasu - wyglądał jak krwawa miazga. Z niemal całkiem wydłubanym z oczodołu okiem zataczał się po ringu, trzymając się za prawy bark, jak gdyby próbował nastawić wywichnięte ramię. W przeciwieństwie do niego łyсы bokser był świeżutki niczym rozcięcie łuku brwiowego nad drugim okiem przeciwnika, z którego krew tryskała we wszystkich kierunkach. Sanchez nie

zdziwił się, gdy po kilka sekundach walka dobiegła końca. Mniejszego z zawodników wkrótce zniesiono z ringu i wytaszczonego na dwór - na świeże powietrze, no i żeby troskliwi lekarze mogli uratować mu życie.

Po zakończeniu walki niektórzy kibice się rozeszli i Sanchez miał lepszy widok na to, co się dzieje. Na ring wkroczył spiker w cylindrze i we fraku i z mikrofonem przy ustach wykrzykiwał coś, czego w panującym zgiełku barman nie mógł zrozumieć. Ktoś jednak najwyraźniej usłyszał jego słowa, bo nie minęła minuta, a na ringu pojawił się, owacyjnie witany, kolejny zawodnik. Przynajmniej ten facet wyglądał na godniejszego przeciwnika niż jego poprzednik. Olbrzymi łysy bokser, którego nazywano chyba Zakutą Pałą, ani na chwilę nie zszedł z ringu. Nie trzeba było geniusza, żeby zrozumieć, iż jest to zawodowy bokser, potykający się z ochotnikami w interesie organizatora walk.

Układ polegał na tym, że śmiałek musiał wytrzymać z Zakutą Pałą trzy trzyminutowe rundy i nie dać się znokautować ani w inny sposób zmusić do rzucenia ręcznika. Wpisowe wynosiło pięćdziesiąt dolarów, gdyby jednak pretendent przetrzymał trzy rundy, dostałby za to sto dolarów. A jeśli cudem jakimś udałoby mu się znokautować Zakutą Pałę w ciągu tych trzech rund, wyszedłby bogatszy o tysiąc dolarów. Był do wystarczający powód, żeby wielu pijanych idiotów próbowało szczęścia. A po prawdzie, odnosiło się to do wielu idiotów, którzy choć nie byli pijani, również postanowili rzucić wyzwanie Zakutej Pale.

Zawodnik, który wszedł na ring, był przeciętnie wyglądającym białym. Zakuta Pała był od niego cięższy o ponad dwadzieścia kilogramów, zapewne więc facet liczył tylko na przetrwanie trzech rund, a nie na nokaut. Sanchez z miłą chęcią postawił dwadzieścia dolarów na to, że Zakuta Pała wygra już w pierwszej rundzie. Stojący wśród widzów bukmacher zaproponował mu rozsądne przebicie, które pozwoliłoby Sanchezowi więcej niż podwoić te pieniądze, oczywiście w razie, gdyby wygrał. Barman powinien być jednak mądrzejszy.

Ku irytacji Sancheza, ochotnik tańczył na ringu przez pierwsze dwie rundy, od czasu do czasu trafiając słabym prostym większego rywala. Z kolei Zakuta Pała szaleńczo (i pewnie specjalnie) wywijał tylko rękami. Nagle, mniej więcej minutę przed zakończeniem ostatniej rundy, raptownie ocknął się z letargu, wyprowadził trzy szybkie ciosy - ŁUP, ŁUP, ŁUP - i było po walce. Wszystkie pojedynki miały taki sam przebieg. Sanchez wiedział o tym, wiedzieli o tym wszyscy, a jednak to właśnie bukmacherzy śmiali się ostatni. Dranie!

Barmanowi potrzebny był dobry cynk. Musiał wiedzieć to samo co bukmacherzy, a jeszcze lepiej coś, o czym oni nie wiedzą. Nagle, kiedy jeszcze wyrzekał na swojego pecha, zauważył niebywałą okazję, jakiej wypatrywał. Pod ścianą wielkiego namiotu stali dwaj mnisi hubalanie, Kyle i Peto, i z wyraźnym zainteresowaniem obserwowali walki. Mimo iż nadal

dziwacznie ubrani, nie wyglądali już jak pół dupy zza krzaka. Prawdę mówiąc, zaczęli sprawiać wrażenie, jakby wrosli w klimat Santa Mondega. Sanchez przyglądał im się przez dłuższą chwilę. Stale wymieniali szeptem jakieś uwagi, kiwając głowami, jakby całkowicie się ze sobą zgadzali. Czyżby zastanawiali się, kogo obstawiać? A może lepiej - któryś z nich miał zamiar zmierzyć się z zawodowcem? Ci dwaj rzeczywiście potrafili spuścić niezły łomot. Sanchez to wiedział, ale bukmacherzy niemal na pewno nie mieli o tym pojęcia. A skoro nie miał nic do stracenia, podszedł do nich. Poznali go natychmiast, wyraźnie zaskoczeni, że zmierza w ich kierunku.

- Hej, chłopaki, jak leci? Nie sądziłem, że tak szybko znów się spotkamy - rzucił Sanchez jowialnie, jakby byli starymi kumplami.

- Barman Sanchez - odezwał się Kyle oficjalnie. - Miło pana widzieć.

Peto przytaknął słowom przyjaciela ruchem głowy i uśmiechnął się.

- A może by tak któryś z was ruszył się i załatwił tego gościa? Pokonalibyście go bez trudu. Widziałem, jak walcycie, pamiętacie? Potraficie skopać dupę.

- Potrafimy, jeszcze jak - przyznał Peto.

Ano, pomyślał Sanchez, ci dwaj zaczynają pasować do tej pipidowy, bez dwóch zdań.

- Owszem, potrafimy - zgodził się z nim Kyle. - Ale walka nie leży w naszym charakterze, chyba że w razie absolutnej konieczności... albo jeśli nie da się jej uniknąć.

- A gdybym zapłacił za was wpisowe?

Dwaj mnisi w jednej chwili porozumieli się wzrokiem. Nie mogli uwierzyć we własne szczęście. Może jednak nie będą musieli na nikogo napadać.

- Zgoda - odpowiedział Kyle.

Sanchez także nie wierzył w swój fart.

Rozdział trzydziesty

Dante i Kacy, nieco utemperowani, a właściwie wręcz przerażeni po spotkaniu z Cromwellem, opuścili muzeum i ruszyli na jarmark. Mieli pewien plan. Tak jak wielu zwiedzających, skierowali się wprost do namiotu boksinerskiego, aczkolwiek z innych niż większość ludzi powodów.

Przez ponad godzinę obserwowali walki na gołe pięści, zanim doszli do oczywistego wniosku. Pieniądze powinni zainwestować w Zakutą Pałę. Walczył już cztery razy i bez problemu wygrał wszystkie starcia, nie wykazując śladów zmęczenia. Nie przybyli tu jednak, żeby na niego stawiać. Przynajmniej nie w sensie wykładania pieniędzy na zakład o to, czy wygra, czy przegra. Zamierzali powierzyć mu swoje życie.

Po doświadczeniach z Mistyczną Damą i z profesorem Dante uznał, że potrzebny im jest ochroniarz. Jeżeli chcieli sprzedać komuś Oko Księżyca za poważne pieniądze, musieli postarać się o wsparcie. Najlepszą metodą wydało im się wybranie największego twardziela spośród uczestników otwartego turnieju boksinerskiego na gołe pięści. Kacy była przekonana, że Zakuta Pała to właściwy człowiek do tej roboty, Dantego jednak dręczyły rozmaite wątpliwości. Marzył o tym, żeby zobaczyć wielkiego zabijakę w jeszcze jednym starciu, bo nie mógł się pozbyć podejrzeń, że wszystkie walki są ustawione.

Kiedy na ring wkroczył piąty przeciwnik Zakutej Pały, nie wzbudził, niestety, strachu u nikogo z widzów. Ten niewysoki, dziwnie wyglądający łysy cudak ubrany był w schludną pomarańczową tunikę przypominającą kimono do karate i w czarne workowate spodnie. Po krótkiej wymianie zdań z sędzią ringowym, w trakcie której bez wątpienia został pouczony o - jakże nielicznych - obowiązujących tu zasadach, przyszedł czas na przedstawienie małego człowieczka publiczności. Spiker w cylindrze i we fraku chwycił mnicha za nadgarstek, wyszedł z nim na środek ringu i ryknął do mikrofonu:

- Panie i panowie! Ochotnik do następnego starcia przybył do nas aż z wyspy na Oceanie Spokojnym! Trzymajcie kciuki za Niewinnego Peta!

Sekundant drobnego zawodnika, identycznie ubrany i niewiele od niego większy, stał w narożniku i starał się zachowywać zbolalą, a zarazem wystraszoną minę.

Po komunikacie rozległy się głośne okrzyki widzów, którzy najprawdopodobniej próbowali zszargać nerwy nowego pretendenta, w nadziei, że zobaczą krwawą jatkę. Peto był dwa razy mniejszy od Zakutej Pały i nie wyglądało na to, żeby ktoś chciał postawić na niego

jakąś większą sumę.

Dante kręcił głową. Gdyby nawet Zakuta Pała nie wiadomo jak przekonująco wygrał to starcie, wciąż nie byłby przekonany, czy chce powierzyć swoje życie temu wytatuowanemu zbirowi. Wyczuwając to, Kacy uznała, że musi go przekonać do zmiany decyzji. Chciała opuścić ten namiot, i to raczej prędzej niż później. Tu nie było bezpiecznie. Teraz jedynym bezpiecznym dla niej miejscem był ich pokój w motelu.

- No dobrze, jeżeli Zakuta Pała wygra i tym razem, proponuję, żebyśmy złożyli mu ofertę - podsunęła. - Nie możemy czekać w nieskończoność.

Dante zgodził się, acz niechętnie.

- Zgoda. Ale gadanie z nim zostaw mnie.

- Ile mu chcesz zaproponować?

- Myślę, że jakieś pięć kawałków.

- Pięć kawałków?!

- Uważasz, że to za dużo, tak? - zapytał Dante, chociaż doskonale wiedział, co ona sądzi.

- No wiesz, to kupa forsy. Ale skoro uważasz, że jest wart aż tyle, to dobrze, zgadzam się.

- I właśnie za to cię kocham, Kace - powiedział, przyciągając ją do siebie i składając pocałunek na jej pełnych ustach. Wystarczyło to, żeby jednocześnie ogrzać jej serce i uspokoić nerwy.

Zaczęli się przeciskać przez hałaśliwy, spocony, śmierdzący piwskim tłum, aż wreszcie dotarli w pobliże ringu. Tam zresztą łatwiej było się poruszać, bo ring umieszczono tak wysoko, że ktoś stojący za blisko i tak nic by nie widział. Dante liczył, że uda mu się zamienić szybko słówko z Zakutą Pałą, zanim rozpocznie się walka, więc ruszył pod same liny.

- Hej, wielkoludzie... E! WALIMORDO! - wrzasnął, przekrzykując tłum. Natychmiast zrozumiał, że Zakuta Pała nie jest w stanie go usłyszeć, wobec tego ruszył do jego narożnika. Było jasne, że chce pogadać z sekundantem zabijaki. Ten wielki, paskudnie wyglądający facet miał mnóstwo tatuaży, i to w takich miejscach, że z całą pewnością potrafił znieść nieziemski ból. Tatuaże były i duże, i małe, ale wszystkie wyglądały nader złowieszczo. Przeważały wśród nich węże i noże, choć trafiały się i przypadkowe słowa, takie jak „ŚMIERĆ” lub „WYBRANIEC”. Poza tym miał mocno owłosioną, wręcz włochatą twarz, ale nie dzięki bujnej czy krzaczastej brodzie, lecz rzadkiemu zarostowi pokrywającemu nie tylko dolną, ale i górną część jego oblicza. I chociaż o głowę przewyższał drobnego faceta, który właśnie stawał do walki z Zakutą Pałą, to był zaledwie sekundantem zawodowego boksera.

- Hej, ty tam! Mogę cię prosić na słówko? - krzyknął mu Dante do ucha, żeby

przekrzyczeć harmider.

- Nie. Wypierdalaj stąd.

- To czy mogę pogadać po walce z Zakutą Pałą? Mam dla niego intratną propozycję.

- Mówiłem, żebyś wypierdalał. Więc spadaj, zanim ci wsadzę ten durny łeb w dupę!

Dantemu wyjątkowo nie spodobał się ton sekundanta boksera, ale gdyby przyszło mu z nim walczyć, to był do tego gotowy. Rana, jaką Cromwell zadał mu nożem w swoim gabinecie, rzeczywiście zagoiła się pięknie (choć nie chciał się do tego przyznawać przed Kacy), wiedział więc, że stać go na kilka niezłych ciosów, gdyby sytuacja tego wymagała.

- Wal się! - odpysknął.

- Coś ty powiedział?

- Powiedziałem: wal się, ty szpetna cioto z małpią głową.

Kacy zawsze obawiała się takich sytuacji. Dante miał zwyczaj przejawiać swój charakter w trudnych do przewidzenia momentach. Sprowokowany, co pewien czas odczuwał potrzebę stawiania się komuś, kto miał nad nim przewagę na przykład w postaci stanowiska służbowego czy - tak jak w tym wypadku - komuś cięższemu o jakieś dwadzieścia pięć kilogramów.

Potężny sekundant boksera odstawił spluwaczkę, którą trzymał, i przysunął twarz do Dantego tak blisko, jak tylko można najbliżej, ale żeby go nie dotknąć.

- Powtórz to jeszcze raz, mały. No, śmiało! - powiedział niemal uprzejmie.

Zapadła niezręczna cisza, kiedy chłopak zastanawiał się nad odpowiedzią. Na szczęście Kacy wtrąciła się i wybawiła go z kłopotu.

- A nie mielibyście ochoty, ty i ten twój przyjaciel, Zakuta Pała, zarobić pięć tysięcy zielonych za kilka godzin roboty? - zapytała z najszerszym, najbardziej uroczym z repertuaru swoich uśmiechów.

Pomagier boksera wciąż patrzył na Dantego, ale dosłyszał ofertę Kacy i przetrwał ją w myślach. Nie trwało to długo - już po chwili błysnął zębami w szerokim uśmiechu.

- Coś wam powiem, dzieciaki, zaczekajcie do końca tej walki, a potem siądziemy sobie i pogadamy. Zakuta Pała będzie miał teraz przerwę. Wyjdziemy gdzieś i przedyskutujemy waszą propozycję.

- Dziękuję - odparła Kacy, wciąż uśmiechając się tak, jakby miała usta rozepchnięte wieszakiem.

Dante i sekundant boksera przez chwilę jeszcze mierzyli się wzrokiem, aż w końcu Kacy pociągnęła chłopaka za sobą i wmieszali się w tłum.

Po chwili rozległ się gong i zaczęła się walka. Nie trwała długo. Dante i Kacy ze zgrozą

patrzyli, jak Zakuta Pała szarżuje przez ring, żeby zadać pierwszy cios, zanim jeszcze gong wybrzmi do końca. Mały łysy człowieczek w pomarańczowej tunice odwrócił się w narożniku i w tym samym momencie, w drugiej sekundzie walki, zarobił straszliwy cios w głowę, który niemal wyrzucił go za liny. Pozbierał się jednak nadspodziewanie szybko, mikrus jeden, i - ku zaskoczeniu większości kibiców (w tym Dantego i Kacy, ale nie Sancheza) - spuścił Zakutej Pałę taki łomot, jakiego ten w życiu sobie nie wyobrażał.

Najpierw z niewiarygodną szybkością wyprowadził całkiem solidny cios w gardło Zakutej Pały, po którym jego ogromny przeciwnik zaczął się chwiać, usiłując zaczerpnąć powietrza. Ułamek sekundy później wielkolud zarobił potężne kopnięcie z boku w szczękę, po czym mikrus założył mu na szyję nelsona i zanim Zakuta Pała zorientował się, co jest grane, przestał oddychać. Dobranoc, Zakuta Pało.

Cała walka nie trwała nawet trzydziestu sekund. W pierwszej chwili kibice zamilkli, oszołomieni, niepewni, czego właściwie byli przed chwilą świadkami. Wszyscy, co do jednego, którzy postawili na zwycięstwo Zakutej Pały (a było ich mnóstwo), bardzo chcieli wierzyć, że walka została ustawiona. W sytuacji takiej jak ta, kiedy wygrywał o wiele mniejszy facet, zawsze podejrzewano szwindel. Niestety, wyglądało na to, że tym razem jest inaczej. Zakuta Pała za nic nie zgodziłby się podłożyć i przegrać tak łatwo z tak małym, nieco zażenowanym przeciwnikiem jak Niewinny Peto. To musiało wydarzyć się naprawdę.

Kiedy w końcu do wszystkich na widowni dotarło, co się stało, podniosła się niesamowita wrzawa, gwizdy i owacje. Gwizdy, bo prawie każdy stracił pieniądze, a owacje, bo dla odmiany miło było zobaczyć, jak stojący na straconej pozycji mikrus tak przekonująco wygrywa z takim osiłkiem jak Zakuta Pała.

Zażenowani tą wrzawą Peto i Kyle stali na ringu, gdy wynoszono nieprzytomnego olbrzyma; owacje się nasiliły. Kibice zrozumieli, że Peto wywalczył sobie pozycję mistrza, który będzie teraz podejmował wyzwania pretendentów. Wszyscy w namiocie niecierpliwie czekali na jego następną walkę. Pytanie tylko, kto będzie jego kolejnym przeciwnikiem?

Rozdział trzydziesty pierwszy

Sanchez był wniebowzięty. Na szybkim unicestwieniu Zakutej Pały przez Peta zarobił tysiączek. Kosztowało go to jedynie wpłacenie wpisowego za Peta oraz postawienie na jego zwycięstwo pięćdziesięciu dolarów, przy notowaniach dwadzieścia do jednego. Wprawdzie gdyby odważył się obstawić wygraną mnicha już w pierwszej rundzie, miałby o wiele więcej, ale wcale się tym nie przejmował. Mnisi winni mu byli przysługę. Zapłacił za nich wpisowe, więc przy pewnej dozie szczęścia może uda mu się wykorzystać tych naiwniaków, nakłonić Peta do dalszej walki i kazać mu wygrać w odpowiedniej rundzie.

Widział, że Kyle jest mu wdzięczny, że odpalił mu pięćdziesiąt dolarów ze swojej wygranej. Za szybkie zdemolowanie Zakutej Pały mnisi zgarnęli tysiąc dolarów w gotówce, które organizator niechętnie wypłacił im w brudnych banknotach, lecz mimo to Kyle z radością przyjął dodatkową pięćdziesiątkę od barmana. Najwidoczniej zasmakowali w pieniążkach, a w gruncie rzeczy w hazardzie, pomyślał Sanchez. Takich lubię! Już widział, jak zaprzyjaźnia się z tymi dwoma cudakami. Przynajmniej na jakiś czas.

Minęło dwadzieścia minut; Peto szybko rozprawił się z nowym bokserem organizatorów, całkiem przeciętnym robolem zwanym Duży Neil, sprowadzonym na miejsce Zakutej Pały. Sanchez, który działał teraz zarówno jako doradca, jak i menedżer obu mnichów, załatwił z organizatorem, żeby Peto mógł walczyć z wszystkimi nowymi chętnymi. Wkrótce już barman, mnisi i organizator ustalali, w której rundzie Peto ma zwyciężyć. Sanchez i zakonnicy wysłali grupkę gnojzków, patrzących tylko, jak by tu zarobić parę dolców dla siebie, żeby w ich imieniu anonimowo obstawili parę zakładów, i ani się obejrżeli, jak tłukli ciężki szmal kosztem bukmacherów.

Dwie godziny, podczas których Peto zademonstrował cały swój arsenał technik różnych sztuk walki, minęły w mgnieniu oka. Kiedy młody mnich pokonał piątego z kolei przeciwnika, Sanchez był już dwanaście tysięcy dolarów do przodu. Kyle zaczął od znacznie niższych stawek, kiedy jednak dodał swoje wygrane do nagród, które zgromadził Peto, okazało się, że mają ponad cztery tysiące. Jeszcze tylko dziewięćdziesiąt sześć tysięcy zielonych i odzyskają całość tego, co im skradziono.

Na razie jednak stanęli wobec problemu, skąd wziąć następnych przeciwników. Większość kibiców zorientowała się, że Peto wybiera sobie moment, kiedy zakończyć walkę; a co ważniejsze, widzieli, że wszystkich pokonuje bez trudu. W trakcie pięciu zwycięskich starć

tylko trzykrotnie został trafiony przez przeciwników. Oznaczało to, że chociaż kibice uważali się za prawdziwych twardzieli, którzy potrafią przywalić, to jednak nie mieli ochoty ryzykować pojedynku z kimś, kogo nie są w stanie trafić. Aż tu nagle, kiedy wydawało się, że nikt nowy już się nie zgłosi, pojawił się nowy pretendent. I to w jak dramatycznym stylu!

Gdy Sanchez, mnisi i organizator stali na ringu i zastanawiali się, co zrobić w związku z brakiem przeciwników, zza namiotu dobiegł donośny ryk silnika, tak głośny, że uciszył rozkrzyczanych kibiców. Wszyscy odwrócili głowy w kierunku wejścia i zobaczyli, że do namiotu wjeżdża potężna maszyna marki Harley Davidson. Tłum rozstał się niczym Morze Czerwone przed Mojżeszem i Izraelitami. Motocykl, z gatunku tych znakomitych, staroświeckich harleyów, na jakich Dennis Hopper i Peter Fonda śmigali w filmie *Easy Rider*, był świetnie utrzymany. Niewątpliwie był oczkiem w głowie właściciela, bo wyglądał, jakby właśnie zjechał z taśmy fabrycznej. Srebrna farba błyszczała, a chromowane części lśniły, jak gdyby maszynę dopiero co ściągnięto z wystawy w salonie; olbrzymi podwójny silnik w układzie „V” musiał być idealnie wyregulowany, bo mrucał niczym kot, który się opił śmietanki.

Jednakże mieszkańców miasta, którzy przebywali w namiocie, zachwycił nie tyle widok motocykla, ile człowieka, który na nim jechał. W tych stronach był powszechnie znany. Organizator walk rozpoznał go natychmiast i czym prędzej wyskoczył na środek ringu, zagrzewając kibiców do frenetycznego aplauzu. Można było zarobić znacznie więcej forsy, pora była jeszcze wczesna, a olbrzym na podrasowanym harleyu davidsonie rzucił na ring rękawicę, a ściślej mówiąc, kapelusz. Ogromny brązowy stetson pofrunął nad tłumem kibiców i wylądował u stóp organizatora, który podniósł go i włożył zamiast swojego cylindra.

- Panie i panowie! - zawył do mikrofonu. - Powitajcie człowieka, na którego wszyscy czekaliśmy. Oto największy żyjący mistrz walki na gołe pięści, największy, jakiego widział świat! Jedyne i niepowtarzalny! Rodeeeeeooooo Rxxxxx!

W tłumie kibiców, najogólniej mówiąc, wybuchło szaleństwo. Kyle i Peto nie bardzo wiedzieli, co oznacza całe to zamieszanie, ale podobnie jak wszyscy inni, byli pod dużym wrażeniem wejścia tego człowieka. Facet podjechał harleyem pod sam ring; tylne koło maszyny wzbijało piach i kurz, sypiąc w twarz wszystkim kibicom stojącym w promieniu kilku metrów, aż w końcu motocykl zatrzymał się powoli. Ku uciesze zgromadzonych, Rodeo Rex jeszcze przez chwilę palił gumę, po czym nagle zgasił silnik i zsiadł niespiesznie, żeby ci, którzy mieli aparaty fotograficzne, mieli okazję uwiecznić go na zdjęciach.

Był wielki. Naprawdę olbrzymi, powaga. Kyle i Peto nigdy w życiu nie widzieli równie

olbrzymiego faceta. Składał się z samych mięśni, na jego potężnym cielsku nie było ani grama tłuszczu. Miał na sobie obcisły czarny T-shirt z napisem „Halloween”, prawdopodobnie o dwa rozmiary za mały; prawdę mówiąc, koszulka była tak obcisła, że z pewnej odległości wyglądała jak wielki tatuaż. Na prawej dłoni nosił czarną skórzaną rękawiczkę, ale o dziwo, lewą dłoń miał gołą. Podarte na kolanach dżinsy były wpuszczone w czarne, wysokie do połowy łydek buty. Kiedy zsiadł z motocykla i stanął na ziemi, okazało się w pełni, jaki jest olbrzymi. Miał blisko dwa metry wzrostu; długie do ramion, skołtunione kasztanowe włosy przytrzymywała mu opaska na wysokości czoła. Sprawiał wrażenie, że mógłby produkować się w telewizji jako mistrz zawodowego wrestlingu, gdyby nie fakt, że jego przerażający wygląd wykluczał obsadzenie go nawet w roli najgorszych szwarccharakterów. Na jego widok dzieciaki nie tylko by się wystraszyły na śmierć - śniłyby się im w nocnych koszmarach. Noc w noc. A pewnie i wielu dorosłym spędzały sen z powiek.

W grę wchodził tylko jeden powód, dla którego Rodeo Rex odwiedził namiot bokserski, co zresztą było jasne od samego początku. Olbrzym od razu przerzucił cielsko ponad linami, wskoczył na ring, dopadł organizatora walk i uściskał go jak brata. Potem chwycił mikrofon i przywitał się ze swoją publicznością.

- Przyszliście tu po to, żeby zobaczyć, jak skopię komuś dupsko? - huknął.

- Taaak! - odpowiedział mu wrzask tłumu.

- A więc, że użyję nieśmiertelnych słów Marvin'a Gaye'a... „Do roboty!... Bierz się do roboty, moja mała!” - ryknął, wywijając rękami w powietrzu.

Pod naporem szturmujących kibiców bukmacherzy omal nie zostali zmiażdżeni. Obstąpił ich rozwrzeszczany tłum, ludzie wyciągali banknoty dwudziestodolarowe. Tym razem jednak tylko nieliczni stawiali na Peta, a bukmacherzy proponowali najrozmaitsze stawki.

Sanchez widział już, jak walczy Rodeo Rex, i chociaż uważał, że Peto jest absolutnie pierwsza klasa, to na zwycięzcę typował Rekxa. Kyle domyślił się tego po minie barmana, który wyglądał jak rozochocone dziecko.

- Czy ten człowiek to ktoś w rodzaju idola? - zapytał Sanchez, który suszył do Rekxa zębami niczym zakochana do nieprzytomności nastolatka.

- E tam - odparł Sanchez. - Ten facet to najprawdziwszy zabijaka. Pieprzona legenda. W życiu nie widziałem, żeby przegrał. I powiem ci jedno: nigdy nie zobaczę.

- A dużo widziałeś tych jego walk?

- Od chuja, człowieku. Chcesz przerznąć forszę, to postaw na swojego kumpla Peta. Ten facet naprawdę może mu zrobić krzywdę.

Peto usłyszał, co barman mówi do Kyle'a, i podszedł, żeby się włączyć do rozmowy.

- Sanchez, ja bez trudu pokonam tego gościa. Nie patrzyłeś, jak walczę? Tutaj nikt nie jest dla mnie godnym przeciwnikiem. Wszyscy są albo pijani, albo bez kondycji, albo jedno i drugie, a ponadto nie mają wiary w siebie, niezbędnej, żeby mnie zwyciężyć.

Sanchez wiedział, że Peto jest dobry, jednak w starciu z olbrzymim walimordą nie dawał młodemu mnichowi najmniejszych szans. A poza tym uwielbiał Rodeo Rekxa, który był jego bohaterem. Młodego mnicha także lubił, tyle że pokonując Rekxa, Peto tym samym zniszczyłby reputację niepokonanego, jaką ten wielki człowiek wyrobił sobie w Santa Mondega z biegiem lat.

- Nie dasz mu rady, mały. Jesteś dobry, ale on jest najlepszy. Dla własnego dobra postaw na swoją przegraną w pierwszej rundzie. A potem padnij po jego pierwszym ciosie... i więcej nie wstawaj. Rozumiemy się?

Peto i Kyle zeskoczyli lekko z ringu i odeszli od tłumu kibiców, którzy usiłowali dostać się jak najbliżej Rodeo Rekxa. Znaleźli ustronne miejsce tuż pod swoim narożnikiem. Sanchez, który obserwował ich z góry, domyślił się po minach, że wciąż są przekonani, iż Peto jest w stanie wygrać. I miał rację. Kyle i Peto dostrzegli w tym szansę zbitcia prawdziwego majątku na zakładach i pomysł ten wielce im się spodobał. Przez kilka minut, przycupnięci, omawiali taktykę; w końcu Peto wskoczył na ring, a Kyle poszedł się rozejrzeć za bukmacherem. Dwie minuty później wrócił i dołączył do przyjaciela na ringu.

- Udało ci się obstawić? - zapytał młodszy mnich, kiedy czekali w narożniku. Zmartwiony Sanchez zszedł na ziemię i ruszył na poszukiwanie jakiegoś chłopaka, który zgodziłby się postawić zakład za niego.

- A jak myślisz? - Kyle puścił oko do podopiecznego. - I to jakie przebicie wytargowałem!

Ku ich zdziwieniu, tuż przed rozpoczęciem pierwszej rundy Rodeo Rex przytruchtał do ich narożnika, żeby zamienić słówko z przeciwnikiem. Żaden z poprzednich rywali Peta niczego takiego nie robił, dlatego też obaj mnisi nadzwyczaj ostrożnie podchodzili do tego, czego ten wielkolud może od nich chcieć.

- Wy dwaj jesteście mnisi hubalanie, mam rację? - W ustach Rekxa słowa te, wypowiedziane nadspodziewanie cywilizowanym tonem, kompletnie ich zaskoczyły.

- Tak, istotnie. Jak pan to poznał? - spytał Kyle z niezamierzoną protekcyjnością, wynikającą ze zdumienia. Niesamowita sprawa! Ktoś, kto na pierwszy rzut oka spędza czas na popijawach, bijatykach i ogólnie rzecz biorąc, prowadzi się w sposób zgoła odmienny od ich ascetycznego trybu życia, zazwyczaj nie ma pojęcia o istnieniu mnichów z wyspy Hubal.

- Spotkałem już takich jak wy. Bardzo równi goście. No i świetni zawodnicy. Czeka nas

ciekawa walka.

Peto był kompletnie zbity z tropu, a już zwłaszcza elokwencją tego olbrzyma. Elokwencją, której prawdopodobnie dorównywało jego wykształcenie.

- Dzięki. Hm, a kiedy spotkał pan wcześniej innych hubalan? - zapytał uprzejmie.

Rex wciągnął głęboko powietrze przez nos i wypuścił je ustami, w taki sposób, jakby puszczał kółka z dymu.

- Całe lata temu. Domyślam się, że zjawiliście się w tym mieście z tego samego powodu, co wtedy oni.

- A cóż to za powód? - spytał Kyle, zaintrygowany; chciał się przekonać, ile właściwie Rex wie na ten temat.

- Oko Księżyca. Założę się, że znowu ktoś je ukradł. Przyznajcie, mam rację?

- Możliwe - odparł Kyle, przypatrując się uważnie Reksowi, by sprawdzić po jego minie, czy się z nich nie nabija. - Ale skąd pan może wiedzieć coś o Oku? - I znów w jego głosie zabrzmiało lekceważenie, choć wcale nie miał takiego zamiaru.

Rodeo Rex uśmiechnął się.

- Powiedzmy, że mamy wspólny interes. A może wyskoczylibyśmy po walce na jednego? Coś mi się zdaje, że możemy sobie nawzajem pomóc.

- Jasne - odparł Peto czym prędzej. - Chętnie wypijemy kolejkę, prawda, Kyle?

- Oczywiście - przytaknął starszy z mnichów. - Napijemy się z panem z największą przyjemnością, panie Rex.

- Po prostu Rex. Albo Rodeo Rex. Byle nie „panie Rex”. Nigdy w życiu!

Co rzekłszy, przy głośnym aplauzie widowni wrócił truchtem do swojego narożnika i uniósł ręce w rytualnym geście nadchodzącego zwycięstwa.

Rozdział trzydziesty drugi

Od chwili porażki Zakutej Pały Dante i Kacy oglądali kolejne walki z coraz większym zainteresowaniem. Dziewczynie podobał się ten drobny, łysy mężczyzna, który najpierw zniszczył olbrzyma, a potem pięciu kolejnych śmiałków, bo tyłu odważyło się rzucić mu wyzwanie. Dante nie był do niego tak przekonany. Chciał mieć ochroniarza, który odstraszy ludzi już samym swoim widokiem. To nie był człowiek dla nich, a poza tym zaniepokoiło go coś jeszcze.

Prawdę mówiąc, niepokoiło go kilka rzeczy. Po pierwsze, zdawało się, że w namiocie bokserskim wszyscy lepiej lub gorzej się znają. Po drugie, i to było o wiele ważniejsze, przyszło mu na myśl, że ma więcej powodów, dla których nie podoba mu się człowiek zwany Niewinnym Petem.

- Kacy, popatrz na tego Peta i jego przyjaciela, który wygląda dokładnie tak samo. Zauważyłaś w nich coś dziwnego?

- No, że są do siebie bardzo podobni - odparła, drażniąc się z nim.

- Psiakrew, tyle to sam widzę. Ale jak jeszcze wyglądają? No wiesz, dwóch małych, łysych facetów w pomarańczowych kimonach i czarnych workowatych spodniach. Nic ci to nie mówi?

- Że są ślepi na kolory?

- Nie, maleńka. To mnisi. Popatrz tylko na nich. To pieprzone mnichy. I to twarde dranie! Proponuję, żebyśmy spadali stąd w cholerę. Może oni tu przyszli, bo chcą nas zabić? Ta stuknięta stara baba radziła nam pozbyć się tego kamienia, zanim ktoś nas zabije. Bertie Cromwell mówił to samo.

W głowie Kacy rozdzwoniły się dzwonki alarmowe, gdy zdała sobie sprawę, że po raz pierwszy Dante wyprzedził ją w zachowaniu środków ostrożności.

- Boże, masz rację. - Przerwała i zamyśliła się na chwilę. - No chyba że to im odsprzedamy ten wisior?

- Nie ma mowy - zaprotestował, kręcąc głową. - Profesorek zdaje się uważał, że możemy dostać za niego ładne kilka kawałków. Sama widziałaś, jakie z nich twardziele. Jeżeli powiemy im, że mamy wisior, urwą nam łby i po prostu go zabiorą. Na razie się przyczaimy i spróbujemy opchnąć kamień jutro, u jubilera albo w antykwariacie. A potem zjeżdżamy z tej dziury w cholerę.

- A co z szukaniem ochroniarza?

- Rezygnuję z tego pomysłu. Po mojemu, za duże ryzyko. Tutaj wszyscy się ze sobą kumplują. Mówię ci, przyczajmy się. Nie wydaje mi się, żeby można tu było zaufać komukolwiek.

- Zgoda. Bo ja przecież ufam tobie, Dante. Zawsze ci ufałam. Skoro mówisz, żeby się zbierać, to się zbierajmy.

Wyszli więc. Tuż przed rozpoczęciem walki Peta z Rodeo Reksem. Mania prześladowcza wywołana tym, czego się nasłuchali na temat Oka Księżycy, zaczynała robić swoje. Dante był przekonany, że niemal wszyscy w namiocie bokserskim przyglądają im się ukradkiem. Zupełnie jakby wiedzieli o klejnocie, który mają przy sobie. Ogarnięty podejrzliwością, odnosił wrażenie, że wszyscy gapią się na Kacy, żeby sprawdzić, co takiego nosi na szyi. I mimo że Oko ukryte było pod jej białym T-shirtem, oboje czuli się tak, jakby wisiało na wierzchu, by każdy mógł je zobaczyć.

Na szczęście dla nich, tak nie było. Ostrzegano ich już, że wielu ludzi byłoby gotowych ich zabić, byleby się dorwać do tego kamienia. Wychodząc z namiotu bokserskiego, minęli jedną z takich osób - człowieka w kapturze, który na widok Oka Księżycy zabiłby ich w jednej sekundzie.

Rozdział trzydziesty trzeci

Biblioteka miejska w Santa Mondega była olbrzymia, chociaż Miles Jensen nie bardzo sobie wyobrażał, z jakiej racji taka zasrana dziura zasłużyła na coś takiego i po co to komu. Nie dość, że miała trzy kondygnacje, to w dodatku każda z nich zajmowała powierzchnię stadionu lekkoatletycznego. Wszędzie, od podłogi aż po wysoki sufit, ciągnęły się regały pełne książek. Na każdym piętrze, z dala od regałów, wydzielono przyjemne miejsca do czytania, gdzie gromadka nadzwyczaj przyjaznych kelnerek serwowała kawę i tylko czekała na skinienie klienta, żeby w mgnieniu oka zjawić się z dolewką.

Jensen zamówił sobie prywatną wycieczkę z przewodnikiem po bibliotece. Trwała blisko godzinę, ale - jako wielbiciel słowa drukowanego - nie cierpiał z tego powodu.

Oby wszędzie były takie biblioteki jak ta, pomyślał.

Odnalezienie książki bez tytułu napisanej przez anonimowego autora zapowiadało się na niełatwe zadanie, a sprawy nie ułatwiał mu fakt, że nie wiedział nawet, czy szukać jej w dziale beletrystyki, czy wśród literatury faktu. W pewnym sensie przydać się mogła wiedza, że książkę tę wypożyczyła owa Annabel de Frugyn, oznaczało to bowiem, iż jedyną szansę stwarza zasięgnięcie języka w okienku informacji, a nie polowanie na ten tytuł na własną rękę.

W informacji urzędowała drobna blondynka pod trzydziestkę. Była w gładkiej białej bluzce i nosiła niemodne okulary w grubej oprawce. Włosy zebrała do tyłu i związała w ciasny kok, a chociaż nie miała makijażu, zdaniem Jenseny była wyszorowana jak należy. Przyszedł mu na myśl stary bajer z filmu *Serenada w Dolinie Słońca*: „Och, ależ... ależ pani jest prześliczna, panno Carstairs”, po którym bohaterka zdejmuje okulary albo rozpuszcza włosy. Prawdę mówiąc, miała zadatki na supermodelkę, gdyby trafiła we właściwe ręce. Możliwe, że zdawała sobie z tego sprawę i za wszelką cenę próbowała to tuszować, żeby nie rozpraszać uwagi mężczyzn w tak czcigodnym miejscu jak biblioteka. A może to obowiązujące w bibliotece przepisy nakazywały jej ukrywać urodę, ewentualnie tylko Miles potrafił docenić jej piękno. Niestety, jak to się mówi, uroda to rzecz powierzchowna; kiedy Jensen podchodził do kobiety, zmroziła go wzrokiem, dając do zrozumienia, że jego obecność nie jest mile widziana.

Siedziała za biurkiem w kolorze drewna tekowego, w recepcji przypominającej z wyglądu bar, tyle że za plecami zamiast piwa i mocniejszych trunków miała książki i komputery.

- Czym mogę panu służyć? - zapytała ze znużeniem, jak gdyby tego dnia powtarzała to zdanie po raz tysięczny. I, szczerze mówiąc, pewnie tak właśnie było.

- Szukam książki - odparł Jensen.

- A pytał pan u rzeźnika na rogu Dunn Street?

No pięknie! Na żarty jej się zebrało!

- Tak. Niestety, akurat tej książki, której szukam, nie mieli, więc po wizycie u sprzedawcy dywanów i w sklepie ze śmiesznymi rzeczami postanowiłem zajrzeć do biblioteki.

Kobiecie (która, jeśli wierzyć stojącej przed nią tabliczce, nazywała się Ulrika Price) nie spodobała się jego riposta. Sarkazm był jej jedyną możliwością obrony przed klientami zadającymi głupie pytania, więc zirytowało ją, że tym razem trafiła kosa na kamień.

- A można wiedzieć, jak brzmi tytuł książki, której pan szuka?

- Niestety, nie wiem. Widzi pani...

- Poproszę o nazwisko autora.

- No cóż, też nie wiem. Figuruje w spisie jako dzieło anonimowe.

Ulrika Price uniosła lewą brew. Wyraźnie nie była rozbawiona i przez chwilę czekała, aż Jensen przyzna się, że żartuje, i udzieli jej sensownej odpowiedzi. Detektyw patrzył, jak mina kobiety przechodzi od niezadowolenia z - jej zdaniem - kiepskiego żartu, przez głębokie rozczarowanie, aż po jawną złość, gdy uświadomiła sobie, że ten nowy klient mówi śmiertelnie poważnie.

- O Boże! - Westchnęła. - Czy to beletrystyka, czy literatura faktu?

Jensen uśmiechnął się i wzruszył ramionami. Panna Price zamknęła oczy i powoli chwyciła się za głowę. Wyglądała, jakby miała za sobą ciężki dzień, a obecna chwila przepełniła czarę goryczy.

- Czy mogłaby pani sprawdzić w komputerze? Zdaje mi się, że ostatnio wypożyczała tę książkę niejaka Annabel de Frugyn.

Ulrika Price spojrzała na niego i jej twarz nieco się rozchmurzyła.

- A więc nie nabija się pan ze mnie, co? - zażartowała.

- Gdzieżbym śmiał! - odparł Miles i uśmiechnął się, licząc na rewanż. Z zaskoczeniem stwierdził, że dotychczas wzburzona panna Price niechętnie, bo niechętnie, ale jednak odpowiedziała uśmiechem. Błysk w jej oczach zdradzał, że chyba nawet zaczyna jej się podobać opanowanie i pewność siebie detektywa.

Ta mała na mnie leci, pomyślał. To powinno ułatwić sprawę.

Bibliotekarka zaczęła stukać w klawiaturę, niewidoczną spod blatu biurka. Pisała, nie patrząc na palce, dzięki czemu mogła śledzić to, co pojawia się na monitorze, stojącym przed

nią nieco na prawo. Jensen nie widział ekranu, ale miał nadzieję, że kobieta przekreśli go tak, żeby pokazać mu wyniki swoich poszukiwań. Niestety, nic z tego. Aż tak bardzo jeszcze nie przypadł jej do gustu.

- Ma pan rację - odezwała się, wyraźnie zaskoczona. - Annabel de Frugyn rzeczywiście ma w tej chwili tę książkę i faktycznie nie mamy w aktach ani jej tytułu, ani nazwiska autora.

- Świetnie, tak właśnie myślałem - odrzekł Jensen. - A może mi pani powiedzieć coś bliższego na temat tej książki? W jakim dziale jej szukać albo w jakiej kategorii się mieści? A jeśli nie, to czy pracuje tu ktoś, kto cokolwiek o niej wie?

- Owszem, proszę pana, mogłabym panu powiedzieć to i owo. Ale tylko pod warunkiem, że jest pan zapisany do naszej biblioteki, a wątpię, żeby tak było. Pracuję tu od dziesięciu lat. Znam prawie wszystkich klientów, ale pana jakoś nigdy nie widziałam.

- Ależ zapewniam panią, że jestem do was zapisany. Nazywam się John Creasy, tylko w zeszłym tygodniu wypożyczyłem dwie książki.

Uśmiech zniknął z jej twarzy. Jeszcze przez chwilę stukała w klawiaturę, po czym zmarszczyła czoło, patrząc na monitor.

Jeżeli wszystko szło zgodnie z planem, powinna zobaczyć na ekranie dane biblioteczne Johna W. Creasy'ego, nieistniejącej postaci, którą Jensen poprzedniej nocy wprowadził do danych biblioteki ze swojego laptopa, na wypadek gdyby napotkał taki opór jak w tej chwili. Imię i nazwisko zapożyczył od postaci z filmu *Człowiek w ogniu*, granej przez Denzela Washingtona. Był to jeden z wielu pseudonimów, jakimi czasami się posługiwał, i miał wszelkie dokumenty potwierdzające jego tożsamość, włącznie z kartą biblioteczną.

- Ma pan jakiś dowód tożsamości? I kartę biblioteczną? - spytała panna Price.

- Oczywiście, proszę pani.

Z wewnętrznej kieszeni kurtki wyciągnął portfel, a z niego prawo jazdy oraz kartę. Podał je kobiecie, która znowu wydawała się niezadowolona. Wyrwała mu dokumenty z ręki i ledwie rzuciwszy na nie okiem, upuściła je na biurko.

- Zabawne - powiedziała. - Wprawdzie jest pan czarny, ale ani trochę nie przypomina pan Denzela Washingtona.

Jej zachowanie świadczyło o tym, że również widziała *Człowieka w ogniu* i ma świadomość, że Jensen podaje się za kogo innego. Hm, pomyślał detektyw, z jakiego powodu bibliotekarka miałaby być tak podejrzliwa w stosunku do kogoś, kto potrafi udowodnić, kim jest? Może już czas skończyć z używaniem nazwiska John Creasy? Byłoby szkoda, bo polubił ten pseudonim, ale skoro potrafiła go przejrzeć zwykła bibliotekarka, to tym bardziej zrobiłby to fachowy przestępca.

- A więc co pani wiadomo o tej książce? - zapytał ponownie.

- Nic - odparła; jej kwaśną minę zastąpił uśmiech samozadowolenia. - Poza tym, że niedawno wypożyczyła ją niejaka Annabel de Frugyn.

- Podobno zna pani prawie wszystkich klientów, prawda? Z wyjątkiem mnie, rzecz jasna.

- Tak.

- A zatem może mi pani powiedzieć, gdzie mieszka Annabel de Frugyn?

- Nie mamy jej adresu w kartotece.

- Nie pytałem, czy macie jej adres. - W głosie Jensena pojawił się nagle władczy ton. - Pytałem, czy pani wie, gdzie ona mieszka?

- To wagabunda. Nie ma stałego miejsca zamieszkania.

- I wypożycza pani książki ludziom, którzy nie mają adresu?

- Tak.

- Dlaczego?

- Dlatego, że mogę. - Patrzyła mu prosto w oczy, z beznamiętną twarzą.

Detektyw pochylił się i oparł ręce na blacie biurka. Przysunął twarz do Ulriki Price na tyle blisko, by zrozumiała, że z nim nie ma żartów.

- Więc niech pani pomyśli, gdzie mógłbym ją znaleźć - rzekł oziębło. - Jej życie jest w niebezpieczeństwie. Jeżeli nie znajdę jej, zanim zostanie zamordowana, pociągnę panią do odpowiedzialności.

- Pan z policji, prawda?

- I owszem. A pani obywatelskim obowiązkiem, jako wybitnej bibliotekarki w tej głównianej mieścinie, jest udzielenie mi wszelkiej pomocy. A zatem gdzie mogę znaleźć Annabel de Frugyn?

- Mieszka w przyczepie, ale nigdy nie nocuje dwa razy z rzędu w tym samym miejscu. To wszystko, co wiem.

- Tylko tyle? - Miles nie ukrywał sceptycyzmu.

- No, niezupełnie - przyznała panna Price z westchnieniem. Potem odetchnęła głęboko i dodała: - Może zainteresuje pana coś jeszcze.

- Słucham.

- Dziś rano pytał o nią i o tę książkę jeszcze jeden mężczyzna.

- Co za mężczyzna? Jak wyglądał?

Nagle odniósł wrażenie, że Ulrika Price jest zasmucona. A nawet nieco roztrzęsiona. Jej zimny wzrok i aura niezmaconej prawości gdzieś się ulotniły.

- To był on. Człowiek bez twarzy.

- Bez twarzy? Co jest, do k....? Co mi tu pani opowiada, że bez twarzy? Nosił maskę, czy co?

- On nigdy nie pokazuje twarzy - wyjaśniła, wyjątkowo cicho. W jej głosie pojawiło się drżenie, a oczy zaszyły łzami. Jensen poczuł wyrzuty sumienia, że tak skutecznie próbował ją zastraszyć, i cofnął nieco głowę, zostawiając dziewczynie więcej przestrzeni. - To człowiek w kapturze - ciągnęła. - Ostatnio widzieliśmy go w Santa Mondega tuż przed poprzednim zaćmieniem Słońca. A teraz przyszedł tu po raz drugi.

- Co za człowiek w kapturze? Czy to był Bourbon Kid? Słyszała pani o Bourbon Kidzie, prawda? - Jego podniecenie było wręcz namacalne.

- Tak, słyszałam o nim. Jak wszyscy. Ale jak mówiłam, nigdy nie widziałam twarzy tego człowieka, więc nie potrafię panu powiedzieć, czy to był on, czy nie. Inna sprawa, że nigdy nie widziałam też twarzy tego... tego drugiego.

Jensen zabębnił palcami po blacie. Często tak robił, gdy myślał na stojąco. Bębnienie narzucało rytm, który jakimś sposobem wyostrzał jego umysł. Najwyższy czas przyspieszyć tempo przesłuchania.

- Dobra, w porządku. I co pani powiedziała temu człowiekowi w kapturze? - zapytał natarczywie.

- Chyba zrobiłam coś bardzo głupiego. - I znów ten zniżony, cichy głos.

- O czym pani mówi? Co takiego pani zrobiła? Zaczyniżę gadać do rzeczy, kobieto! - pomyślał w duchu.

- Podałam mu adres Annabel de Frugyn.

- Przecież dopiero co pani mówiła, że ona nie ma adresu.

- Bo nie ma. Podałam mu adres szefa miejscowego gangu. Nazywają go El Santino.

- El Santino? Nie rozumiem. Dlaczego to pani zrobiła?

- Dlatego, że jeżeli tym człowiekiem rzeczywiście był Bourbon Kid, to właśnie on pięć lat temu zabił mojego męża. Pomyślałam, że jeśli go wyślę do domu El Santina, to dojdzie między nimi do walki. El Santino to jedyny człowiek, który potrafi zabić Bourbon Kida. A gdyby go zabił, wtedy zemściłabym się za to, co straciłam pięć lat temu.

Jensen odsunął się od biurka. Ta kobieta rzeczywiście nieźle go zażyła. Wścibskie babsko! Podała mu nieco przydatnych informacji, ale teraz musiał wykombinować, co począć z całym tym klopssem. Na początek powinien złapać Somersa i wspólnie z nim uknuć jakiś plan. Miał jednak jeszcze jedno pytanie do Ulriki Price.

- Mówiła pani, że ten człowiek w kapturze przyszedł tu po raz drugi, tak?

- Tak.

- A co się wydarzyło za pierwszym razem?

- Przyszedł tu dwa tygodnie temu. W jednej chwili wszystkich stąd wymiotło, każdy był przerażony. Na miejscu został tylko personel. A on podszedł do mojego biurka i poprosił, żebym pozwoliła mu skorzystać z komputera.

- A pani się zgodziła... mam rację?

- Ba, a co innego mogłam zrobić? Byłam skamieniała ze strachu.

- I do czego potrzebny mu był ten komputer?

- Korzystał z niego tylko przez chwilę. Zapisał sobie kilka nazwisk i zniknął.

- Widziała pani, co to były za nazwiska?

Bibliotekarka pociągnęła nosem, jakby miała zalać się łzami, które na razie błyszczały tylko w kącikach jej oczu.

- Nie, ale kiedy wyszedł, sprawdziłam, co oglądał. Interesowały go nazwiska ludzi, którzy czytali tę książkę bez tytułu.

Zdaniem Milesa Jensena układanka zaczynała nabierać sensu. Kid znalazł nazwiska wszystkich ludzi, którzy przeczytali tę książkę, i postanowił ich zabić. Inna sprawa, że nie wyjaśniało to śmierci małżeństwa Garcia. Czy Elvisa, skoro już o tym mowa. W tej sytuacji miał jeszcze jedno pytanie.

- Pani Price, czy zna pani takie małżeństwo... Thomasa i Audrey Garcie?

Ulrika kiwnęła głową i znów zachlipała.

- Tak, kiedyś Audrey zaglądała tu od czasu do czasu. Nigdy nie wypożyczała żadnych książek, ale czytała je na miejscu. Wydaje mi się, że kilka miesięcy temu czytała tę książkę bez tytułu.

- Rozumiem. Czy mówiła pani o tym temu człowiekowi w kapturze?

- Nie, w ogóle nic mu nie mówiłam.

- W porządku. Dziękuję pani. - Jensen wziął dokumenty wystawione na Johna Creasy'ego i schował je do wewnętrznej kieszeni. - Proszę posłuchać, nazywam się Miles Jensen. Detektyw Jensen. - Wyciągnął odznakę, pokazał ją kobiecie i mówił dalej: - Gdyby przypadkiem przypomniała pani sobie coś, o czym pani zdaniem powinienem wiedzieć, choćby na pozór była to zupełna błahostka, proszę dzwonić do mnie, do komendy głównej policji w Santa Mondega. A gdyby mnie akurat nie było, niech pani pyta o detektywa Archibalda Somersa.

Ulrika Price znowu uniosła brew.

- Archie Somers? To on wrócił do służby?

- Coś w tym rodzaju. Zna go pani?

- Oczywiście. Ten człowiek od początku do końca spaprał całe śledztwo w sprawie morderstw popełnionych przez Bourbon Kida. To przez niego nigdy nie złapano zabójcy mojego męża.

- Ja złapię zabójcę pani męża, proszę pani. Przyznam jednak, że Archie Somers bardzo mi pomaga. Zna historię tej sprawy jak mało kto. Ale niech pani będzie spokojna, to ja prowadzę śledztwo. Tym razem nie będzie żadnej partaniny.

Ulrika uśmiechnęła się, jakby wiara Jensena w swoje możliwości dodała jej zaufania.

- Dziękuję - szepnęła.

- Nie ma za co. Niech pani na siebie uważa.

Opuszczając bibliotekę, Jensen pogrążony był w głębokiej zadumie. Kiedy wychodził przez drzwi frontowe na ulicę, Ulrika Price sięgnęła po telefon na biurku i wybrała numer. Ktoś odebrał już po pierwszym sygnale i usłyszała jedno słowo:

- Halo?

- Cześć, tu Ulrika z biblioteki... Właśnie był tu Miles Jensen... Tak, powiedziałam mu dokładnie to, co mi kazałeś... Tak, słowo w słowo.

Rozdział trzydziesty czwarty

- Peto! Obudź się! Obudź się, to ja, Kyle. Nic ci nie jest?

- Co się stało? Rany, moja głowa! Au!

Młodszeemu mnichowi głowa pękała tak, jak gdyby rozjechał go pociąg. Gdzie on właściwie był, u licha? Jedyne, co widział, to twarz Kyle'a nad sobą, na tle czystego, białego nieba. Miał wrażenie, że leży na czymś w rodzaju trawy. Ale dlaczego? I skąd się tam wziął?

- Przegrałeś już w pierwszej rundzie, tak jak zaplanowaliśmy - wyjaśnił Kyle, szczerząc zęby w uśmiechu. - Ale aktorsko, niestety, nie wypadłeś najlepiej. Mogłeś przyłożyć mu chociaż ze dwa razy, zanim padłeś.

- He? Że co?

- No już, Peto, przestań się zgrywać. Miałeś udawać w trakcie walki, a niej po niej. Nikt już na nas nie patrzy.

- Kyle, gdzie ja jestem?

- Na dworze, z lekarzami.

Peto przekręcił głowę w lewo. Metr dalej stała karetka; oparty o nią lekarz w białym kitlu i ze stetoskopem na szyi uśmiechał się do niego. Mnich czuł się jak worek kamieni i nie był pewien, czy zdołałby się poruszyć, gdyby spróbował. Czuł zapach świeżego powietrza i widział, że leży na rzadkiej trawie porastającej piaszczysty teren przed olbrzymim namiotem, ale przebieg wypadków, które doprowadziły do tego, że się tam znalazł, wciąż okrywała mgielka. A właściwie nie tyle mgielka, ile gęsta mgła.

- Czy to ten namiot, w którym się boksowaliśmy? - zapytał.

- Tak, ale skończ już z tym - rzucił Kyle, zniecierpliwiony. - Dość wygłupów. Lada chwila mamy się spotkać z tym miłym Rodeo Reksem, wypijemy po jednym.

- Miłym? O mało mnie nie zabił! Przecież to psychol.

Aż do tej pory Kyle'owi zwyczajnie nie przyszło do głowy, że jego zakonny braciszek naprawdę mógł odnieść poważne obrażenia.

- He? To znaczy, że nie udawałeś?

- Nie, do kurwy nędzy! Czy ja wyglądałem na takiego, co udaje? Facet przypierdolił mi tak, że omal nie urwał mi tego pieprzonego łba. O w mordę! - Nagle coś przyszło mu na myśl.

- Czy mam wszystkie zęby?

Kyle skłonny był puścić mimo uszu przekleństwa Peta, dopóki ten nie dojdzie do siebie.

- Tak - zapewnił go. - Widocznie Rex wyhamował cios, żeby nie wybić ci ani jednego zęba. To miło z jego strony, przyznasz?

- Jasne, z wdzięczności postaw mu kolejkę. O żeż kurwa, ale mnie łeb napierdala! W dupę! Amnestia na przekleństwa się skończyła. Kyle i tak tolerował je już za długo.

- Proszę cię, Peto, czy mógłbyś więcej nie przeklinać? Nie sądzę, żeby to było konieczne.

- Jasne. Weź i sam daj sobie przypierdolić w łeb temu Rodeo Reksowi. Zobaczymy, co wtedy powiesz, pojebańcu.

Znienacka Peto usiadł prosto i przeszył drugiego zakonnika wściekłym wzrokiem. Pod wpływem tego nagłego ruchu zakreśliło mu się w głowie i przez kilka sekund mrugał, żeby się otrząsnąć. Kyle, mimo że współczuł ciężko pobitemu przyjacielowi, nie był zbudowany jego agresywną postawą.

- Uspokój się! - warknął.

- Przecież jestem spokojny. Nie widać?

- Nie.

- Wobec tego przyjmijmy, że jestem spokojny. Może być?

- Może.

Kyle pomógł przyjacielowi podnieść się z ziemi i przez kilka sekund na nowo uczył go, jak się chodzi. Kiedy młodszemu mnichowi jako tako rozjaśniło się wreszcie w głowie, ruszyli do pobliskiej pijalni piwa, mieszczącej się w wielkim namiocie. Czas na szklanekę wody.

Rozdział trzydziesty piąty

Rodeo Rex napawał się zainteresowaniem tłumu. Kibice kochali go, a on kochał ich za to, że go kochają. W całym tym podnieceniu i zamieszaniu jakoś tak wyszło, że jego sekundantem został Sanchez. Prawdopodobnie był to największy zaszczyt, jaki kiedykolwiek spotkał barmana. Sanchez znał Reksa od wielu lat, bo bokser, będąc w mieście, często wpadał do Tapioki na kielicha. Za każdym razem zatrzymywał się w Santa Mondega tylko przez kilka tygodni, ale już samą swoją obecnością potrafił nieźle rozruszać miasteczko. Opowiadał wspaniałe anegdoty, przeważnie o tym, jak kogoś złał, a najczęściej o tym, jak to pobił całą bandę zbirów, żeby zdobyć serce jakiejś ślicznotki.

Dopiero co pokonał czwartego z rzędu przeciwnika po Pecie i wyglądało na to, że nikt więcej nie odważy się stanąć z nim do walki. Podczas gdy czekali na kolejnego ochotnika, Sanchez stał jedną nogą na dolnej linie ringu i usiłował dosięgnąć rękami czoła Reksa, żeby je otrzeć.

- Przyjechałeś do miasta tylko na walki, czy może w interesach? - zapytał, a jednocześnie uświadomił sobie, że jest bardziej zasapany niż Rex.

- W interesach. To tylko szybka rozgrzewka przed tym, co mam do załatwienia później.

- Znam tego, kogo masz zabić?

Sanchez właściwie nie wiedział, z czego utrzymuje się Rex, ale przypuszczał, że przeważnie wiąże się to z zabijaniem. Prawdopodobnie był łowcą nagród, chociaż z jego opowieści wynikało, że częściej zabijał w imieniu własnym niż dla kogoś innego.

- Sam jeszcze nie wiem, kogo mam zabić. Ale to tym większa frajda. - Przerwał, spojrzawszy na sekundanta i zapytał: - Działo się tu ostatnio coś, o czym powinienem wiedzieć?

Pomimo że stoczył pięć zwycięskich walk w ciągu ostatnich dwudziestu minut, nie wykazywał ani śladu zmęczenia. Był w wyśmienitym humorze, dlatego Sanchez z żalem pomyślał, że musi powiadomić go o czymś, co z całą pewnością popsuje mu nastrój. Tym, co miał mu do powiedzenia, zada Reksowi najcięższy cios, jaki mógł go spotkać tego dnia. Musiał go jednak poinformować, że jego odwieczny przyjaciel Elvis nieprędko się już pokaże. A w zasadzie nigdy.

- Słuchaj, Rex, niełatwo mi o tym mówić, ale mam dla ciebie złe wieści. Twój kumpel Elvis odwalił wczoraj kitę. Znaleźli go w pokoju w jakiejś kamienicy. Wygląda na to, że został zamordowany.

Wiadomość ta nie tyle popsowała Reksowi nastrój, ile go zniszczyła. Mina mu zrzędała, uśmiech zniknął z twarzy jak starty z tablicy napis. Przez sekundę wydawał się zdruzgotany, a potem przez chwilę sprawiał wrażenie, jakby czekał, aż Sanchez powie, że tylko żartował. Ale wszystko to trwało zaledwie moment.

- Coś ty, kurwa, powiedział?! Mój Elvis, Król? Nie żyje? Jak to się stało, do kurwy nędzy?! A przede wszystkim, jaki skurwysyn go załatwił? Bydlak już jest trupem!

- Nikt nie wie, kto to zrobił. Gość, na którego wołają Jefe, znalazł go w jakimś gównianym mieszkaniu na mieście. Był przybity do sufitu, całkiem jak ukrzyżowany. Podziurawiony nożami jak rzeszoto. Noże w oczach, w piersi...

O w mordę! Sanchez nagle zdał sobie sprawę, że podaje stanowczo za dużo informacji. Może Rex wcale nie chciał wysłuchiwać makabrycznych szczegółów straszego losu, jaki spotkał jego serdecznego przyjaciela.

- Jasne, jasne. - Olbrzym westchnął. - Czuję klimat. - Nagle zapytał: - To Jefe go znalazł, powiadasz? Jefe, ten meksykański łowca nagród, zgadza się?

- Ano - przytaknął Sanchez, kiwając głową.

- Myślisz, że to jego robota?

- A kto go tam wie? To kawał wrednego sukinsyna.

Gdyby Rex odkrył, że to Jefe jest winny śmierci Elvise, to nawet łowca nagród powinien mieć dość rozumu, żeby czym prędzej wynieść się z miasta. Rex nie potrzebował osobistych powodów, żeby kogoś zabić, ale jeśli już miał taki powód, tego kogoś czekały niewyobrażalne cierpienia. Nawet jeśli był to ktoś tak twardy jak Jefe.

- Nikt z miejscowych nie miał dość jaj, żeby choć spojrzeć na Elvise krzywym okiem, a co dopiero przybić go do sufitu! - warknął Rex, wyraźnie wkurzony. - Są w mieście jacyś nowi, którzy mogliby mieć z tym coś wspólnego? Jak sądzisz?

- Żartujesz sobie? Teraz zjechało tu więcej obcych niż kiedykolwiek. Jak choćby ci dwaj mnisi. Ale to nie wszystko. Tu się dzieje od groma innych rzeczy, o których pewnie nic nie wiesz.

- Więc ty mi powiedz.

Sanchez przerzucił ręcznik przez lewe ramię i schylił się po moką gąbkę, pływającą w kuble wody stojącym przy dolnej linie, obok słupka w narożniku. Wycisnął ją na potężną pierś boksera, który na wieść o śmierci Elvise z wściekłości zaczął się pocić obficie.

- Widzisz, Rex, sprawy mają się tak. Mój brat i jego żona zostali zamordowani w równie obrzydliwy sposób. Któregoś dnia wpadłem do nich w odwiedzinę... i znalazłem ich na podłodze. Załatwieni na cacy, ale nie mieli lekkiej śmierci. Rozmawiałem się z bydlakiem,

który ich tak urządził, zaledwie o parę minut. Jak ich znalazłem, zobaczyłem tylko odjeżdżającego spod domu żółtego cadillaca. To jedyny trop, jaki mam w tej sprawie. Elvis szukał dla mnie kierowcy tego wozu, kiedy... kiedy zginął. Po mojemu to oznacza, że znalazł sukinsyna.

- Ktoś, kto jeździ żółtym cadillakiem, he? I załatwił Thomasa i Audrey? Kurwa, chłopie, coś mi się widzi, że zabawię tu dłużej, niż planowałem.

Pomimo tego, co właśnie musiał powiedzieć Reksowi, Sancheza ogarnęło lekkie podniecenie. Fakt, że bokser pamiętał imiona jego brata i bratowej, wywarł na nim wielkie wrażenie. A co ważniejsze, wyglądało na to, że Rex gotów jest pomścić śmierć Thomasa, brata Sancheza! Na miłość boską! To by znaczyło, że szczęście barmana ma dla boksera wielkie znaczenie. Ma się rozumieć, powodowała nim głównie chęć zemsty za śmierć Elvisa, który był jego najlepszym przyjacielem w Santa Mondega, wyglądało jednak na to, że Sancheza także uważa już za przyjaciela. A nie tylko za barmana.

Sanchez skończył wycierać boksera z potu i wrzucił gąbkę z powrotem do kubła. Rozejrzał się i uznał, że raczej nie znajdzie się więcej chętnych do walki. Tłum wyraźnie przygasł, a potencjalni rywale wykazywali coraz mniejszą ochotę do ryzykowania, że w kilka minut zostaną przerobieni na miazgę. Domyślając się, że przez jakiś czas nie będzie musiał walczyć, Rex chwycił ręcznik wiszący na ramieniu Sancheza. Wytarł się nim pod pachami i na karku, jak gdyby starania sekundanta nie spełniły jego oczekiwań.

- Czy jeszcze coś powinienem wiedzieć, Sanchez?

- No... w zasadzie tak. Widzisz, jest taka dziewczyna, Jessica, którą mój brat przechowywał na strychu. Ukrywał ją. Przez pięć lat leżała w śpiączce, ale wygląda na to, że wybudziła się tuż przed tym, jak ktoś go zabił. Wczoraj zjawiała się u mnie w barze. Twierdzi, że nie pamięta nic z tego, co tam się działo, ale wydaje się jej, że była na miejscu.

- A jesteś pewien, że to nie ona zabiła Thomasa i Audrey?

Rzecz jasna, barman rozważał już i taką możliwość, ale Jessica nie wyglądała na morderczynię. Poza tym raczej nie miała dość siły, żeby przeprowadzić tak brutalny atak.

- Nie sądzę. Ona nie z takich. To naprawdę ładniutka mała.

Rex pokręcił głową.

- Nie daj się zwieść pozorom, Sanchez. Na mój gust mało kto stawiał na tego małego łysego mnicha, kiedy pierwszy raz stanął dziś na ringu, a widziałeś, jak dobrze sobie radził. Dopóki ja nie przetrzepałem mu tyłka.

- Niby tak, ale nie sądzę, żeby to była jej robota. Ona ma w sobie coś szczególnego. Kiedyś widziałem, jak zarobiła ze sto kulek. Dlatego właśnie leżała w śpiączce.

Rex wybałuszył oczy i rozejrzał się, sprawdzając, czy kibice są dostatecznie daleko, żeby nie mogli podsłuchać ich rozmowy.

- Czyli to ona przetrzymała atak Bourbon Kida? - zapytał cicho.

- Tak, ale skąd o tym wiesz? - Barman także zniżył głos.

- Wszyscy o tym wiedzą. Więc powiadasz, że jest teraz w mieście? A twój brat ukrywał ją przez cały ten czas? Dlaczegoś mi, kurwa, nic nie powiedział?

- Nie sądziłem, że cię to zainteresuje. Poza tym zanim zapadła w śpiączkę, błagała mnie, żebym ją ukrył i trzymał to w tajemnicy, bo są tacy, którzy próbują ją zabić. Teraz w ogóle tego nie pamięta, ale ja dotrzymałem słowa. Nigdy nikomu nie powiedziałem, gdzie ją ukryłem.

Rex odetchnął bardzo, bardzo głęboko i pokręcił głową.

- A niech cię, Sanchez, ta dziewczyna może być kluczem do wszystkiego. To jedyna osoba, której Bourbon Kid nie zdołał zabić. Muszę z nią pogadać. Ona będzie mogła zidentyfikować tego, kto zabił Elvisa i twojego brata. I coś mi podszeptuje, że to nasz stary przyjaciel, Bourbon Kid. Ten kawał skurczysyna.

- Ale on przecież nie żyje, no nie?

- Nie wierz w te brednie ani przez chwilę. Stawiam ostatniego dolara, że ten drań cały czas gdzieś się tu kręci i pewnie już niedługo znów zobaczymy jego gębę.

Sancheza coraz bardziej niepokoił fakt, że Rex tak emocjonalnie podchodzi do całej sprawy. Zaczynało wyglądać na to, że olbrzym ma dalekosiężne plany, znacznie wykraczające poza pomszczenie śmierci Elvisa, Thomasa i Audrey.

- Słuchaj, Rex, nie masz mi nic do powiedzenia? - spytał barman nerwowo. - Nie szykuje się aby jakaś większa rozróżba? Bo jeśli ten chlejący bourbona zasraniec wraca do miasta, to ja zamykam swój pieprzony interes, pal licho cały ten Festiwal Księżycowy.

- Sanchez, przyjacielu, lepiej, żebyś nie wiedział, co robię w tym mieście, wierz mi... Lepiej, żebyś nie wiedział. No, idę poszukać tych dwóch mnichów. Mamy wspólny... W mordę jeża, własnym oczom nie wierzę!

Bokser spojrział nagle nad prawym ramieniem Sancheza i utkwił wzrok w czymś obok wejścia do namiotu.

- Co się stało? - Barman widział, że coś odciągnęło uwagę Reksa; cokolwiek to było, wzrok boksera stwardniał, a jego usta wygięły się w grymasie. Olbrzym wydawał się tak wściekły, jakby zaraz miał urwać komuś łeb. - On tu jest - syknął. - Ten skurwysyn!

- Kto?

Ale Rex wciąż tylko spoglądał nad ramieniem barmana.

Sanchez odwrócił się, ciekaw, na co bokser tak patrzy. Po drugiej stronie namiotu ustawiono mały przenośny bar z kawą, a za prostą ladą urzędował tylko jeden barman. Nie miał nic do roboty, bo podawano tam wyłącznie kawę, a tutaj nikt nie pił kawy, przynajmniej do tej pory. Bo teraz siedział tam jeden klient i popijał napój.

Sanchezowi zamarło serce. Nie widział Bourbon Kida od pięciu lat i spał przez ten czas spokojnie tylko dlatego, że wierzył w jego śmierć. Tymczasem oto zobaczył go, jak siedzi na stołku i popija kawę. Mężczyzna miał twarz ukrytą pod kapturem, więc w zasadzie Sanchez nie powinien się zorientować, czy to jest on, czy nie. Ale jeśli widziało się kogoś, kto wystrzelał wszystkich ludzi w zatłoczonym barze, to poznaje się go na odległość, choćby się schował za drzewem w środku nocy.

- Rany boskie! - Barman wyraził na głos swoje myśli. - Bourbon Kid.

- Co takiego? - rzucił Rex, odwracając się do Sancheza. - Gdzie?

- No... tam! - Barman wskazał palcem. - Ten facet, na którego się gapisz. To on. To właśnie Bourbon Kid.

Rex jedną ręką zarzucił biały ręcznik na szyję Sancheza, a drugą złapał za wolny koniec. Zacisnął pętlę i przyciągnął do siebie głowę barmana. Jego spokój zniknął bez śladu, zastąpiła go agresja w czystej postaci.

- Przyznaj się, Sanchez, robisz ze mnie wała? Jak tak, to już, kurwa, nie żyjesz.

Żwir, pomyślał barman, nieco zamroczony. Głos starego Reksa chrząści jak żwir.

- Człowieku, nie, przysięgam. To on. To jest Kid. - Sanchez sam nie wiedział, kogo bardziej się boi: boksera czy człowieka w kapturze, siedzącego obok wejścia.

Obaj spojrzeli znowu na bar kawowy. Przed chwilą patrzyli na tego samego człowieka, ale teraz jego stółek był pusty. Spuścili go z oczu raptem na kilka sekund, i już go nie było. Po prostu rozpląnął się w tłumie.

- Myślisz, że tamten facet to był Bourbon Kid? - spytał Rex.

- Ja to wiem.

Bokser musiał uwierzyć mu na słowo. Jeśli nawet spotkał kiedyś Bourbon Kida, to nie wiedział, z kim ma do czynienia, i znał go tylko z opowieści. Teraz jednak, oprócz wielu innych rzeczy, które powinien sobie przemyśleć, takich jak gwałtowna śmierć jego przyjaciela Elvisa, musiał także pogodzić się z faktem, że istotnie, spotkał już kiedyś Bourbon Kida, tyle że nie wiedział, kto zacz. Jasny gwint, przecież to niemożliwe! A może jednak...?

- Sukinsyn jeden. Sanchez, nie masz wątpliwości, że to on?

- Oczywiście, że nie, kurwa jego mać. Pięć lat temu widziałem na własne oczy, jak wykosił całą moją stałą klientelę. Poznałbym tego skurwiela zawsze i wszędzie. - Sanchez

przerwał na chwilę, po czym zapytał: - Zaraz, a ty myślałeś, że co to za jeden?

Rex odwrócił się i ze zwieszoną głową wyszedł na środek ringu. W tłumie zapadła cisza, jak gdyby kibice wyczuli, że coś jest nie tak i że Rex nie będzie więcej walczył. Wielu cofnęło się z dala od ringu, w obawie, że zaraz mu odbije. Rzecz jasna, nie odbiło mu, ale miał się podzielić z Sanchezem czymś, o czym mało kto wiedział. Odwrócił się twarzą do roztrzęsionego sekundanta.

- Ten facet - powiedział powoli - ten facet, który, jak twierdzisz, jest Bourbon Kidem, załatwił mi to. - Uniósł prawą dłoń. Tę obleczoną czarną rękawiczką.

- No, no - rzucił Sanchez; ta uwaga była całkiem nie na miejscu. - To prawdziwa skóra?

- Nie chodzi o rękawiczkę, idioto... Patrz! - Lewą ręką zaczął ściągać rękawiczkę, palec po palcu, aż w końcu zerwał ją jednym szybkim ruchem, pokazując dłoń, jakiej barman nigdy w życiu nie widział. Nie była to dłoń z ciała i kości, jak u każdego normalnego człowieka. Rodeo Rex miał stalową pięść, jak najbardziej dosłownie. W pełni sprawną metalową rękę. Zaprojektowaną tak misternie, że wszystkie stawy działały zupełnie jak w zwyczajnej dłoni.

- Jezu! - Sanchez wybałuszył oczy. - W życiu czegoś takiego nie widziałem. Nawet nie sądziłem, że potrafią już robić coś takiego.

- Nie robią - odparł Rex. - Zrobiłem ją sobie sam, po tym, jak ten skurwysyn połamał mi wszystkie kości w dłoni. I przez cały ten czas odliczałem dni do chwili, kiedy znów go zobaczę i będę miał okazję poczęstować go tym. - Uniósł metalową dłoń, teraz zaciśniętą w pięść.

Barman patrzył osłupiały.

- Pokonał cię w walce? - wykrztusił. Coś podobnego nie mieściło mu się w głowie.

- Nie nazwałbym tego walką. Raczej próbą sił, ale dopisało mu szczęście. Drugi raz już się to nie powtórzy. Tego możesz być pewien.

Było to zgoła niezwykle wyznanie. Sanchez nigdy nie słyszał, żeby ktokolwiek pokonał Reksa w jakiegokolwiek konkurencji, a nawet żeby był bliski zwycięstwa. Uznał jednak, że nie ma co roztrząsać porażki olbrzyma i że należy zmienić temat.

- A więc jesteś jedynym człowiekiem na świecie, który ma taką rękę? - zapytał.

- Tak. Tylko ja i Luke Skywalker.

Rozdział trzydziesty szósty

Przez całe lata służby w policji porucznik Scraggs ani razu nie został jeszcze wezwany na tajną naradę z kapitanem Rockwellem. Nie słyszał nawet, żeby kogokolwiek spotkał ten zaszczyt, lecz nic w tym dziwnego - tajne posiedzenia z kapitanem powinny pozostać tajne. Lakoniczna wiadomość od Rockwella, jaką zastał na swoim biurku, brzmiała: „SPOTKAJMY SIĘ W SZATNI O 16:00. NIE MÓW NIKOMU”.

A zatem siedział teraz w nieużywanej szatni w podziemiach budynku komendy głównej policji. Przed laty mieściła się tu sala gimnastyczna, lecz zlikwidowano ją z powodów, których nigdy do końca nie wyjaśniono. Swego czasu wydarzyło się tu coś złego, ale sprawę wyciszono. Kapitan prawie na pewno wiedział, o co wtedy chodziło, lecz poza nim zaledwie garstka ludzi mogła mieć dostęp do tak tajnej informacji. Siły policyjne Santa Mondega skrywały nie mniej tajemnic niż światek przestępczy.

Scraggs czekał niewiele ponad minutę, gdy od schodów doleciał go odgłos kroków kapitana Rockwella, który schodził do szatni. Była szesnasta zero jeden. Kapitan spóźnił się o minutę, ale porucznik nie widział powodu, żeby wrywać się z komentarzem na ten temat. Podziwiał Jessiego Rockwella, a jednocześnie żywił do niego głęboki szacunek. No a poza tym bał się go jak cholera.

Rockwell cicho otworzył drzwi i wsunął głowę do środka.

- Jesteście sami? - szepnął, rozglądając się po szatni, żeby upewnić się na własne oczy.

- Tak jest, kapitanie - odparł Scraggs, również szeptem.

- Czy ktoś wie, że tu jesteście?

- Nie.

- To dobrze. - Kapitan chyłkiem wśliznął się do pomieszczenia i zamknął za sobą drzwi tak cicho, jakby się bał, że może obudzić śpiące dziecko. - Siadajcie, Scraggs - polecił.

- Scraggs, kapitanie.

- Jak zwał, tak zwał. Siadajcie.

Porucznik usiadł na długiej drewnianej ławie, biegnącej pod ścianą. Za plecami miał szereg pustych szafek, a przed sobą kolejne szafki i jeszcze jedną ławę wzdłuż całej ściany. W pomieszczeniu panowała atmosfera zaniedbania i unosił się silny odór potu. Kapitan usiadł naprzeciwko podwładnego i nachylił się tak, że jego twarz znalazła się raptem kilka centymetrów od Scraggsa.

- Musicie coś dla mnie zrobić - ni to warknął, ni wyszeptał.
- Nie ma sprawy, kapitanie. Co pan rozkaże.
- Chodzi o detektywa Jensena. Założyłem mu podsłuch na komórkę i słuchając jego rozmów, odniosłem wrażenie, że on tu gra o znacznie większą stawkę, niż nam opowiada.
- A pytał pan Somersa, co jego zdaniem kombinuje Jensen? Podobno są w całkiem niezłej komitywie.

- Gówno prawda! - Rockwell podniósł głos. - Somers z nikim nie jest w dobrej komitywie. Sami wiecie.

- A więc pan go nie pytał?
- Nie. I wy też z nim nie gadajcie na ten temat.
- Wobec tego co mam zrobić, kapitanie?
- Odszukajcie detektywa Jensena i śledźcie każdy jego krok - wyjaśnił Rockwell, znowu zniżając głos do szeptu. - Tylko uważajcie, żeby się nie zorientował, że za nim łązicie.

Kapitan wyciągnął rękę, położył dłoń na ramieniu porucznika i spojrzał mu prosto w oczy, na znak, że sprawa jest poważna. Scraggs skinął głową, potwierdzając, że rozumie rozkaz przełożonego.

- Ma pan jakiś trop, kapitanie? Znaczy się, od czego mam zacząć?
- Zaczynjcie od kafejki Olé Au Lait.
- Dlaczego akurat tam? Co tam jest?
- Hm, jeżeli wpadniecie tam dzisiaj około ósmej wieczorem, zastaniecie i Jensena, i Somersa. Umówili się na spotkanko, na którym Jensen ma powiedzieć Somersowi, czego się dowiedział podczas wizyty w bibliotece.

Scraggs nie był pewien, czy dobrze zrozumiał.

- Ale przecież nie uda mi się zbliżyć do nich na tyle, żeby ich podsłuchać, bo mnie zauważą - zwrócił uwagę przełożonemu.

- Wcale nie chcę, żebyście się do nich zbliżali. Macie tylko śledzić Jensena, kiedy wyjdzie. I informować mnie na bieżąco, dokąd się wybiera.

- Zgoda, kapitanie. Czy to już wszystko?
- Nie. Jeżeli znudzi wam się śledzenie Jensena albo gdyby was jakoś zgubił, macie odszukać Somersa i iść za nim. Mam wrażenie, że te dwa pajace odkryły coś, czego nie powinny.

- Co takiego? A może lepiej nie pytać?

Kapitan sprawiał wrażenie, jakby się zastanawiał, czy porucznik powinien wiedzieć coś więcej, miał jednak dość rozsądku, by zdawać sobie sprawę, że podwładny musiał mu zadać

to pytanie.

- Dziś rano Jensen zajrzał do biblioteki miejskiej. Po wyjściu zadzwonił z komórki do Somersa i powiedział, że trafił na jakiś ważny trop. Cokolwiek odkrył, wygląda na to, że może znalazł klucz do tych ostatnich morderstw i tożsamości zabójcy. Muszę się dowiedzieć, co takiego znalazł, zanim ktoś się do niego dobierze. Możliwe, że wystawił życie swoje i Somersa na niebezpieczeństwo.

- Czy mówimy teraz o Bourbon Kidzie, kapitanie?

- Całkiem możliwe - przyznał Rockwell, kiwając głową. - Widzicie, Scraggs, to właśnie druga strona medalu. Różne świry na okrągło wydzwanają do nas w sprawie Bourbon Kida.

- Tak, wiem. Słyszałem, że widują go na mieście przynajmniej raz dziennie.

Kapitan wstał, zbierając się do wyjścia.

- Prawdę mówiąc, widują go częściej niż raz dziennie, Scrubbs - powiedział. - Ale dzisiaj... No, dzisiaj już ze sto razy dzwoniли do nas, że widzieli tego sukinkota.

Rozdział trzydziesty siódmy

Kyle i Peto siedzieli przy okrągłym drewnianym stole w kolosalnym namiocie z piwem i rozprawiali o tegim laniu, jakie Rodeo Rex spuścił młodszemu mnichowi. Obaj wychowywani byli w duchu pokory, a jednak bezstronny obserwator pewnie by zauważył, że nowicjusz niechętnie poruszał temat swojej ostatniej walki, za to jego mentor najwyraźniej nie chciał mówić o niczym innym. Kiedy przyszedli, w namiocie panował duży ruch, ale od pół godziny robiło się coraz luźniej. Wtedy wokół baru klienci tłoczyli się w pięciu szeregach, a teraz już tylko w dwóch.

Minęła blisko godzina, zanim Rodeo Rex wkroczył w końcu do namiotu. Zdążył się przebrać w narzuconą na T-shirt czarną skórzaną kurtkę bez rękawów (bo rękawy mogące pomieścić jego bicepsy nie weszły jak dotąd do produkcji). Kurczący się tłum ludzi oblegających bar rozstał się przed nim; bokser podszedł wprost do jednego z barmanów i zamówił naprawdę wielką butelkę piwa. Kilka sekund później podano mu ją na koszt firmy, ku niewypowiedzianemu niezadowoleniu klientów, czekających, aż zostaną obsłużeni.

Rex prawie natychmiast zauważył Kyle'a i Peta, przecisnął swe wielkie cielsko przez tłum pijanych sympatyków i kibiców i usiadł przy stole mnichów.

- I jak cię czujesz, młody? Mam nadzieję, że nie zrobiłem ci krzywdy - odezwał się do Peta, klepiąc drobnego mnicha po ramieniu, gdy siadał na krześle naprzeciwko niego.

- Nie, dzięki, już wszystko w porządku. Przez jakiś czas byłem trochę przymulony, ale chyba mi przeszło.

- To dobrze. - Rex wyglądał na szczerze zadowolonego. Ale jego następne słowa zburzyły, niestety, sielankową atmosferę. - No, starczy tego gadania o dupie Maryni. Oko Księżyca znowu zostało skradzione, mam rację?

- Tak - przyznał Kyle. Zaprzeczanie wydawało się bezcelowe, zwłaszcza wobec tego człowieka. - Zaledwie kilka dni temu. Musimy je odzyskać przed jutrzejszym zaćmieniem Słońca. Bo jeśli przedtem wpadnie w niepowołane ręce, to miasto czekają straszliwe skutki.

- Co ty powiesz, Sherlocku? Cała ta dziura na wieki pograżyłaby się w ciemnościach, dobrze mówię?

- Tak, jak najbardziej. Ale skąd ty o tym wiesz?

- Bo tak jak was, mnie też wysłano tu z misją w imieniu Wszechmogącego.

- Niemożliwe! - rzucił Kyle, zaskoczony. Trudno mu było pojąć, a właściwie w ogóle

sobie nie wyobrażał, jak to możliwe, żeby Bóg zlecił jakąś misję tak brutalnemu olbrzymowi jak Rodeo Rex. Co z tego, że wydawał się względnie sympatycznym człowiekiem, skoro zwyczajnie brakowało mu pokory i skromności, by mógł służyć Bogu.

- A owszem, możliwe - ciągnął Rex. - Widzicie, to miasteczko, Santa Mondega... no cóż, zaglądam tu raz, dwa razy w roku. Zawsze wpadam niezapowiedziany i nigdy nie zostaję na dłużej. A wiecie dlaczego?

- Nie - odparł Kyle. - Skąd mamy wiedzieć? - Zaczynał tracić cierpliwość.

- No właśnie, skąd? Zazwyczaj nie dzielę się z nikim tego typu informacjami, ale rzecz się sprowadza do tego: mam w życiu specjalny cel. Pan wyznaczył mi zadanie, któremu niewielu ludzi potrafiłoby sprostać. Ale ja, no cóż... ja zostałem stworzony specjalnie w tym celu. Jestem osobistym łowcą nagród Boga.

- Że co proszę? - wtrącił się Peto. Z uwagą słuchał tego, co Rex tłumaczył Kyle'owi, ale po tak bluźnierczym wyznaniu nie potrafił dłużej utrzymać języka za zębami. - Powiadasz, że Bóg płaci ci za zabijanie ludzi. A ja twierdzę, że to wierutne bzdury. I bluźnierstwo, rzecz jasna.

- Słuchaj no, mądralo, chcesz, żebym cię znów poturbował na oczach tych wszystkich ludzi?

- Nie.

- To weź się, kurwa, zamknij i daj mi skończyć.

- Przepraszam.

- Bo i masz za co przepraszać, kurwa mać. A teraz słuchajcie mnie, byle uważnie. Bóg zatrudnia mnie na takiej samej zasadzie, na jakiej zatrudnia księży czy egzorcystów. Ale ja jestem jedyny w swoim rodzaju. Jestem niepowtarzalny. - Nachylił się do obu mnichów, żeby nie uronili ani słowa z tego, co mówi. - Miłościwy Pan zatrudnia mnie po to, żebym oczyścił świat z żywych trupów. A jakbyście nie wiedzieli, moi kochani braciszkuje, światową stolicą żywych trupów jest Santa Mondega.

Rozparł się na krześle, pociągnął haust piwa i czekał na reakcję mnichów na to, co im przed chwilą powiedział. Zapadła niezręczna cisza, bo oni z kolei czekali, aż bokser przyzna się, że tylko żartował. W końcu Kyle zabrał głos.

- Mówisz poważnie?! - zapytał, pilnując się, żeby w jego głosie nie zabrzmiała drwina.

Rex odstawił butelkę piwa na stół i znów się pochylił.

- A żebyś wiedział, że poważnie. Pomyśl tylko. Gdyby Santa Mondega pograżyła się na wieki w ciemnościach, to kto by zyskał na tym interesie, he? Wampiry, ot co. W tej dziurze aż się od nich roi, a wśród nich jest tu gdzieś Pan Żywych Trupów. Dla was to Naczelny

Wampir, ale tak czy siak, jeżeli wasze cenne Oko wpadnie kiedyś w jego ręce, to wszyscy mamy przejebane. Przesrane, co do jednego.

- Skąd wiesz, że tutaj są wampiry? - zapytał Peto.

- Mam taki dar. Czyś ty w ogóle słuchał tego, co mówiłem? - Rex cmoknął z niezadowolaniem. - Dar od Boga. Potrafię wywachać żywe trupy lepiej, niż wy potraficie się modlić. - Przerwał i rozejrzał się po namiocie. - Weźcie, na przykład, tamtą dziewczynę. - Wskazał na wyjątkowo atrakcyjną brunetkę pod trzydziestkę, siedzącą przy stoliku kilka metrów dalej. W czarnych skórzanych spodniach, ciężkich czarnych buciorach do jazdy na motorze i koszulce bez rękawów z logo Iron Maiden, także czarnej, spod której wystawały liczne tatuaże na ramieniu, wyglądała na typową panienkę motocyklistów. Towarzyszyło jej czterech mężczyzn; wszyscy mieli po trzydzieści kilka lat. Pewnie też należeli do gangu motocyklowego. Kobieta pasowała do nich jak ulał. W zasadzie w ogóle nie wyróżniała się z tłumu w namiocie.

- Ona też jest wampirem? - zapytał Peto; niedowierzanie w jego głosie mieszało się z ciekawością.

- Patrzcie. Coś wam pokażę.

Rex wstał i spod czarnej skórzanej kurtki wyciągnął wielki srebrny rewolwer. Kobieta przy stoliku najwyraźniej obserwowała go kątem oka, bo jako pierwsza zauważyła, że bokser sięgnął po broń. Rex stanął przed nią z wyciągniętą spluwą i wycelował prosto w jej serce. Z przerażeniem wytrzeszczyła oczy, ale zanim zdążyła wykonać jakiś ruch, olbrzym wypalił do niej trzy razy z rzędu.

Huk kanonady ogłuszał, a echo każdego wystrzału nie pozwalało obecnym ocenić, ile właściwie ich padło. Zapadła cisza, jeśli nie liczyć tego, że wszystkim dzwoniło w uszach. Czterej mężczyźni siedzący przy stoliku kobiety zerwali się z miejsc, wystraszeni, gdy trzy kule z rewolweru Reksa rozerwały jej pierś. Ale pierwotny szok wkrótce okazał się niczym w porównaniu z widokiem ich znajomej, która natychmiast po trzecim i ostatnim strzale stanęła w płomieniach. Przez kilka sekund krew z jej ran tryskała dookoła. Gdy w końcu przestała cieknąć, a płomienie się dopaliły, z kobiety pozostała tylko kupka szarego popiołu w miejscu, gdzie wcześniej siedziała. Cały incydent nie trwał nawet dwudziestu sekund. I tylko garstka popiołu oraz nieprzyjemny swąd kordytu i zwęglonego ciała świadczyły o tym, że coś takiego się wydarzyło.

Kiedy już widzowie (w tym mężczyźni siedzący przy stole z zabitym kobietą) pogodzili się z tym, co się stało, wszyscy jakby nigdy nic zajęli się swoimi sprawami. Tego rodzaju wypadki nie były w Santa Mondega na porządku dziennym, ale w tych stronach nikt nie zamierzał

robić z tego powodu hałasu, głównie zresztą dlatego, że za spust pociągnął Rodeo Rex.

Rex schował broń na długo przed tym, nim ostatnie płomienie dogasły.

- Nie codziennie widuje się coś takiego - zauważył Kyle.

- Trochę to było niezwykle, prawda? - przytaknął mu Peto, kiwając głową.

Rex, zupełnie nieprzejęty tym, co właśnie zrobił, ani reakcją obecnych, usiadł z powrotem przy stole, pociągnął głęboki haust z olbrzymiej butelki piwa i wrócił do tematu.

- Ona była wilkołakiem - oznajmił i beknął, żeby wypuścić powietrze, którego się nałykał wraz z piwem. - Szczerze mówiąc, nie sprawiłaby nam kłopotu. Wilkołaki są do niczego, no chyba że akurat jest pełnia Księżyca. Wampiry... te rzeczywiście są groźne. Ale nie wyjdą jeszcze gdzieś tak przez godzinę. Dla nich na razie jest za widno. Większość tych drani nie wyłazi, dopóki nie zajdzie słońce.

- Mój Boże! - zawołał Kyle. - Czy wampiry też stają w płomieniach, kiedy do nich strzelasz?

Rex wydawał się zaskoczony i nieco poirytowany tym, że mnisi nic nie wiedzą o żywych trupach, ale za wszelką cenę starał się to ukryć.

- Jak to możliwe, żebyście wy, zakonnicy, nie mieli pojęcia o tym całym gównie? Powinniście wiedzieć na ten temat znacznie więcej niż ja. W końcu to wy przyjechaliście tu, żeby odzyskać Oko Księżyca. Czy wy w ogóle wiecie, po co te pojebańce chcą dostać Oko?

- Ojciec Taos nigdy nam o tym nie wspominał, prawda, Kyle? - wyznał Peto.

- Nie, nic nam nie mówił. Myślę, że o tym także musimy mu powiedzieć. Możliwe, że nas dwóch nie wystarczy, żeby odzyskać Oko, może powinno nas być więcej.

- Jest was tylko dwóch?! O żeż, kurwa, czy wy się nigdy niczego nie uczycie? - jęknął Rex, coraz bardziej poirytowany.

- O czym ty mówisz?

- Mówię o tym, co było ostatnim razem. Kiedy poprzednio skradziono Oko, przyjechało tu trzech mnichów. Poznałem dwóch z nich. O trzecim tylko słyszałem, nie widziałem go na oczy, ale to właśnie ten trzeci przeżył i zawiózł Oko z powrotem na Hubal, mam rację? Chyba wiecie, jak to było, co? Powiedzcie mi, że wiecie o tym wszystkim.

- Tak, tę część historii akurat znamy - odparł Kyle. - Pięć lat temu nasi bracia Milo i Hezekiah zostali wysłani z zadaniem odzyskania Oka. Ich misja się nie powiodła, ale wówczas ojciec Taos przybył tu osobiście i zdobył kamień. Sam jeden.

- Gówno prawda! - ryknął Rex, zniesmaczony do cna. Kilka osób przy sąsiednich stołach spojrzało na niego, ale roztropnie czym prędzej odwróciło wzrok. - Założę się, że to ten wasz ojczulek Taos nagadał wam tych bzdur, co?

- Przepraszam, ale to nie są bzdury.

- Gówniane pierdoły, ot co! Naprawdę było tak, że Oko miał facet zwany Bourbon Kid, ale wasi przyjaciele Milo i Hezekiah stanęli z nim do walki i odzyskali kamień. A potem przyjechał wasz pieprzony ojczulek Taos, zabił Milo i Hezekiaha, zabrał im ten pieprzony kamień i jak z tego wynika, spierdolił z nim na Hubal i zgarnął całą chwałę dla siebie. Parszywa kanalia!

- To nie może być prawda - zaprotestował Peto. - Kyle, weź mu powiedz. Ojciec Taos nigdy w życiu nie zrobiłby czegoś takiego. To najporządniejszy i najuczciwszy człowiek pod słońcem. Prawda, Kyle?

- Niewątpliwie chciałbym tak myśleć - odparł Kyle ostrożnie. - Jednakże dwie minuty temu nie wierzyłem, że postrzeleni ludzie mogą stanąć w płomieniach i obrócić się w popiół. Peto, zaczynam nabierać przekonania, że nie wiemy wszystkiego, co powinniśmy wiedzieć. Czas otworzyć umysł i przyjąć do wiadomości, że być może nie wszystko, czego nas uczono i w co kazano nam wierzyć, jest prawdą absolutną.

Młodsze mnichowi na chwilę zabrakło języka w gębie. Był zdumiony; jak Kyle w ogóle mógł zasugerować, że cokolwiek, czego się nauczyli na wyspie Hubal, może nie do końca odpowiadać prawdzie? Ale szanował go i wierzył mu bezgranicznie, dlatego też, acz niechętnie, przyjął do wiadomości słowa starszego i mądrzejszego mnicha.

- Czy to oznacza, że picie alkoholu jest w porządku? - zapytał.

- Mógłbyś się zamknąć na ten temat?

- Odwal się wreszcie od niego, dobra? - wtrącił się Rex. - Masz. Skosztuj mojego piwa. Spodoba ci się.

- Nic z tego - rzucił szybko Kyle, wyciągając rękę, żeby bokser nie mógł przekazać butelki Petowi. - Słuchaj, Rex, naprawdę jesteśmy ci bardzo wdzięczni za pomoc, ale częstowanie go trunkami nie ułatwi nam zadania. Czy wiesz jeszcze coś, co mogłoby nam się przydać?

Rex odetchnął głęboko przez nos. Nie przejął się tonem starszego z mnichów, zachował całkowity spokój. Rozparł się na krześle, z górnej kieszeni kamizelki wyciągnął paczkę papierosów i poczęstował Peta, który miał dość oleju w głowie, żeby odmówić.

- Słyszeliście coś o dziewczynie, która właśnie wybudziła się ze śpiączki? Podobno przespała ostatnie pięć lat.

- Nie. A powinniśmy? - spytał Kyle.

- Tak mi się widzi. Wybierzcie się do Tapioki, baru Sancheza. On wie wszystko na jej temat. Kto wie, może nawet ją tam zastaniecie?

- A co w niej jest tak szczególnego? - spytał Peto.

- Rusz głową, tępaku, ona właśnie wyszła ze śpiączki po pięciu latach. Czyś ty mnie w ogóle słuchał?

- Nie no, owszem. Słuchałem. Ale co to ma do rzeczy?

Wzdychając ciężko, Rex potarł małą zapalną o blat stołu i przypalił sobie papierosa. Zaciągnął się powoli, głęboko, tak że koniuszek papierosa rozjarzył się na czerwono. Potem wydmuchał dym przez nos i nachylił się, jak gdyby tajemnica, którą miał ujawnić, nie mogła dotrzeć do uszu postronnych.

- Zapadła w śpiączkę dlatego, że Bourbon Kid nijak nie potrafił jej zabić - wyjaśnił. - Z tego, co wiadomo, jest jedyną osobą, której nie zdołał pozbawić życia. A w związku z tym jest w niej chyba coś szczególnego, nie sądzicie?

- Czy to oznacza, że ona jest jednym z żywych trupów? - zapytał Kyle.

- Nie wiem, kurwa, czym ona jest - burknął Rex. - Z tego, co mówi Sanchez, wynika, że sama nie wie, kim i czym jest. Możliwe, że jest kompletnie szurnięta, ale twierdzi, że ma amnezję.

- Rozumiem. To rzeczywiście ciekawe - powiedział Kyle w zamyśleniu. - Peto, może jednak powinniśmy pójść jej poszukać?

- Na waszym miejscu zasuwałbym w trymiga - doradził Rex. - Robi się ciemno. Lada chwila wampiry zaczną na was polować. Zdaje się, że zanim się pojawiłem, Peto zrobił na ringu niezłe wrażenie. Musicie być bardziej dyskretni. No, wiecie... przecież od razu widać, że jesteście mnichami. Żywe trupy zlecą się do was jak muchy do gówna. Więc lepiej już spadajcie. A ja się z wami zobaczę jutro.

- Zgoda. Czy umówimy się w jakimś konkretnym miejscu? - spytał Kyle.

- Ehe. W barze Sancheza. Jutro. Tuż przed zaćmieniem Słońca. No chyba że do tej pory odzyskacie Oko Księżycy, bo jeśli tak, to radzę wam dobrze, wynoście się stąd, zanim będzie za późno.

Kyle i Peto cieszyli się, że Rodeo Rex jest ich sprzymierzeńcem. Jeszcze raz podziękowali mu za przekazane informacje (choć nie byli do końca przekonani co do ich prawdziwości) i wrócili do miasta, w poszukiwaniu dziewczyny, o której mówił. Tej, która właśnie wyszła ze śpiączki.

Rozdział trzydziesty ósmy

Jensen wolno popijał gorącą czekoladę z olbrzymiego kubka, czekając na Somersa w kafejce Olé Au Lait. Siedział samotnie przy kontuarze, podziwiając schludne otoczenie. Z tego, co mu mówiono, higiena w lokalach, gdzie można się napić i zjeść, w Santa Mondega nie była na porządku dziennym, dlatego też przyjemność oglądania czystych, lśniących drewnianych stołów i błyszczącego, lakierowanego kontuaru z marmuru sprawiła mu zgoła nieoczekiwaną frajdę.

Minęło blisko dwadzieścia minut, zanim Somers wreszcie się pojawił. Od wyjścia z biblioteki Jensen nieustannie próbował się z nim skontaktować i zostawił niezliczone wiadomości w skrzynce pocztowej jego komórki, tłumacząc, że zdobył istotne informacje. Partner oddzwonił do niego dopiero około wpół do czwartej i był tak zwięzły, że zakrawało to wręcz na nieuprzejmość. Powiedział tylko: „Spotkamy się o ósmej w kafejce Olé Au Lait przy Cinnamon Street” i się rozłączył.

W momencie, gdy Somers do niego zadzwonił, Miles nareszcie siedział w swoim pokoju w hotelu i odpoczywał. Był szczęśliwy, że ma powód do wyjścia na spotkanie z nowym partnerem, bo jedyną wartą obejrzenia w telewizji rzeczą była powtórka starego sitcomu *Happy Days*, skądinąd kiepskiego; z niewiadomego powodu Robin Williams grał tam postać Morka z serialu *Mork and Mindy*. Nie takich atrakcji szukał Jensen, dlatego też trzeba mu było gorącego napoju i inteligentnej rozmowy z partnerem.

Kiedy Somers wszedł do kawiarni, zwrócił na siebie uwagę już od progu. Miał na sobie długi, ciemnoszary trencz, a pod nim, jak zwykle, ciemny garnitur, szykowną białą koszulę i szary krawat. Wszyscy inni klienci Olé Au Lait byli ubrani swobodnie, nawet Miles Jensen, który na tę okazję włożył czarne spodnie z drelichu i jasnoniebieską, rozpiętą pod szyją koszulę.

- Co ci zamówić? - zapytał Miles, kiedy jego zamknięty w sobie partner dołączył do niego przy barze.

- Sarah, poproszę czarną kawę, dwie kostki cukru! - zawołał stary detektyw nad ramieniem Jensena do młodej ślicznotki za ladą.

- Muszę przyznać, że wybrałaś naprawdę klawe miejsce na spotkanko, kipi życiem! - zażartował Miles.

Kawiarnie nie były akurat siłą napędową gospodarki Santa Mondega, dlatego też nigdy nie

były zapchane od ściany do ściany. Olé Au Lait należała do najpopularniejszych z tych przybytków, a mimo to w całym lokalu przebywało może z dziesięć osób, wliczając personel.

- Wiesz, że nie przepadam za towarzystwem - burknął Somers. - No dobra, siądźmy sobie tam. - Wskazał na stół w pobliżu kontuaru. W zasięgu słuchu nie było nikogo, był to więc jedyny rozsądny wybór dla dwóch detektywów, którzy chcieli pogadać na temat śledztwa. - Sarah, podasz mi kawę do stołu?

Przeszli do małego, okrągłego drewnianego stolika i usiedli naprzeciwko siebie.

- Wydzwaniałem do ciebie przez cały dzień - rzekł Jensen. - Dlaczego nie odbierałeś?

- Czas nie gra na naszą korzyść. Udało ci się czegoś dowiedzieć o tej książce?

- Właśnie w tej sprawie próbowałem cię złapać. Sprawdziłem bibliotekę. Ktoś z personelu twierdzi, że dziś rano pytał o tę książkę człowiek, którego opis idealnie pasuje do Bourbon Kida. Zdaje się, że był tam też wcześniej. Wie, że książka jest teraz u Annabel de Frugyn, ale w bibliotece nie mają adresu nikogo o tym nazwisku, co nawiasem mówiąc, jest typowe. Udało mi się dowiedzieć tylko tyle, że ta kobieta mieszka w przyczepie i że nigdy nie nocuje dwa razy w tym samym miejscu.

- Ciekawe - skwitował Somers.

- Ale niewiele nam to daje, prawda? Skoro Bourbon Kid wie, kto ma książkę, i jeżeli wpadł na trop tej Annabel, to nie wiadomo, czy ona jeszcze żyje.

Emerytowany gliniarz westchnął.

- Zakładając, że w ogóle istnieje.

- Słuchaj, a może czas już powiedzieć kapitanowi Rockwellowi, jak się sprawy mają, i zapewnić sobie jego pomoc w szukaniu tej kobiety? - podsunął Jensen.

- Myślę, że on już o tym wie.

- Niemożliwe! Niby skąd? Sam dopiero co się dowiedziałem.

Somers zerknął w lewo, potem w prawo, a następnie nachylił się do partnera i odpowiedział, zniżając głos:

- Z tego samego powodu, z jakiego nie odbierałem, kiedy do mnie dzwoniłeś. W gabinecie założyli nam podsłuch. Znalazłem małe urządzenie nagrywające pod twoim biurkiem i jeszcze jedno w telefonie na moim.

- Co takiego?! - Miles poczuł, że przechodzą go zimne ciarki. - Myślisz, że kapitan nas szpieguje? To niedorzeczne! Postawię drania przed sądem.

- Uspokój się, na miłość boską! Od tej pory nie gadajmy w biurze o tym śledztwie, po prostu. Jeżeli wsypimy się z tym, że wiemy o podsłuchu, to stracimy ewentualną przewagę. Na przyszłość będziemy się spotykać w kafejkach, tak jak teraz.

- W porządku. Dobry pomysł. A to dranie!

- Na wszelki wypadek sprawdź też swój pokój w hotelu. Tam także mogli ci założyć podsłuch.

- W mordę! - Jensen ze złością pokręcił głową. - Jest jeszcze coś, o czym powinienem wiedzieć?

- W zasadzie tak. - Somers oparł się na krzesło. - Po południu przesłuchiwałem jednego gościa, nazywa się Jericho. To mój stary informator. Nie za bardzo można mu wierzyć, najwyżej w połowie tego, co mówi, dałoby się doszukać półprawdy, ale w sumie ujdzie.

- Mów dalej - popędził go Jensen, nie mogąc się doczekać tego, co partnerowi udało się wydusić z kapusia.

- No więc nasz człowiek, Jericho, był z Rudym wtedy, kiedy zastrzelili go ci dwaj mnisi. Ale miał fart i zarobił tylko kulkę w nogę.

- Jasne. - Miles był mocno zaniepokojony. Somers przykuł jego uwagę. Ten Jericho mógł się okazać dobrym tropem. - I co on takiego wie?

- No więc twierdzi, że dwaj mnisi szukali łowcy nagród imieniem Jefe.

- Jefe? Słyszałeś o nim?

- O tak, słyszałem. Kawał wrednego sukinsyna.

- To chyba tak jak wszyscy tutaj? - zazartował Jensen, popijając kolejny łyk gorącej czekolady.

- I owszem, ale on należy do tych najgorszych. W każdym razie Jericho siedział w Tapioce, barze Sancheza, kiedy ci dwaj mnisi go postrzelili. I ob staje przy tym, że po ich wyjściu do baru wszedł ten cały Jefe i szukał gościa zwanego El Santino.

Jensen wlepił w niego wzrok.

- Już po raz drugi słyszę dzisiaj to imię. Znasz go?

- Każdy go zna.

- No... ja nie.

- Bo ty nie jesteś każdym. Jesteś nikim.

- Co prawda, to prawda - przyznał Miles wesoło. - No więc kim jest ten El Santino i czego chciał od niego Jefe?

Somers milczał przez chwilę, gdy śliczna młoda kelnerka podeszła z olbrzymim kubkiem kawy. Wziął go bezpośrednio z jej rąk i powąchał zawartość. Wciągnął aromat głęboko do płuc, odstawił kubek na stół i wyjął z kieszeni spodni banknot pięciodolarowy.

- Reszta dla ciebie, złotko - powiedział, wtykając banknot do górnej kieszeni fartucha Sary. Dziewczyna odwróciła się i odeszła bez słowa. - Na czym to ja skończyłem? - podjął.

- Na El Santino.

- Jasne. Oczywiście. El Santino w zasadzie rządzi tym miastem. To największy gangster w okolicy. Poza Santa Mondega jest płotką, ale tutaj to gruba ryba. Od dawna chodzą słuchy, że pragnie zdobyć Oko Księżycy. Podobno kiedy ostatnim razem kamień pojawił się w mieście, gotów był zapłacić za niego ładne kilka tysięcy. Sęk w tym, że El Santino, chociaż to kawał chłopa, nie lubi ryzykować życia i rzadko kiedy można go spotkać w miasteczku. W zasadzie wychodzi na dwór tylko po nocy.

- Czyżby wampir? - podsunął Jensen.

- No, nadawali się jak mało kto - odparł Somers. - Ale słuchaj: El Santino wynajmuje innych, żeby załatwiali za niego brudną robotę. Powszechnie uważano, że pięć lat temu to właśnie on zapłacił Ringowi, żeby ukraść dla niego ten kamień.

- Ringo? Dlaczego mam wrażenie, że powinienem znać to imię?

- Dlatego, że Ringo rzeczywiście ukraść Oko Księżycy pięć lat temu, ale potem Bourbon Kid posiekał go kulami na miazgę i El Santino nie dostał kamienia. Jericho uważa, że tym razem El Santino wynajął Jefe, żeby zdobył dla niego Oko... ma mu je dostarczyć przed zaćmieniem Słońca.

- A więc to Jefe ma teraz Oko Księżycy?

- E-e. - Somers pogroził Milesowi palcem, jednocześnie kręcąc głową. - Nic z tego. Zdaje się, że Jefe, jakby już nie miał nikogo lepszego, upił się z Marcusem Gnidą w wieczór poprzedzający zabójstwo Gnidy.

Jensen otworzył szeroko oczy.

- A więc kiedy wcześniej podejrzewaliśmy, że Gnida obrobił tego Jefe, prawdopodobnie mieliśmy rację, tak?

- Bez dwóch zdań. Gnida zameldował się w Santa Mondega International, podając się za Jefe i legitymując się jego dokumentami.

- Czyli że wszystko zaczyna ładnie do siebie pasować, co nie?

- No. Gnida okrada Jefe. Recepcjonista pospołu z dziewczyną obrabiają Gnidę. Pojawia się Elvis, zabija Gnidę, ale nie znajduje Oka. Wobec tego rusza śladem recepcjonisty, żeby odzyskać Oko. I wtedy sam ginie... z ręki Bourbon Kida.

- Który być może jest, a być może nie jest naszym recepcjonistą Dantem.

- Owszem.

- Kurde, Somers, odwaliłeś kawał dobrej roboty. Miałeś czas, żeby zaplanować następny ruch?

Emerytowany detektyw upił łyk kawy, przez kilka sekund obracał ją w ustach, a dopiero

potem połknął. Idąc jego śladem, Miles także łyknął szybko stygnącą czekoladę i czekał na odpowiedź partnera.

- Hmm - rzekł tamten po chwili. - Powęszę w paru tutejszych hotelach, a nuż Dante i Kacy gdzie się zamelinowali. A ty obserwuj siedzibę El Santina. Sprawdź, kto wchodzi i kto wychodzi. Te dzieciaki mogą spróbować sprzedać mu Oko bezpośrednio.

- Po co mieliby to robić? Przecież to chyba niebezpieczne?

Somers uśmiechnął się i łyknął duży haust kawy.

- Nie, jeżeli tak, jak podejrzewasz, Bourbon Kidem jest ten mały, Dante. Może chciał zdobyć Oko właśnie po to, żeby je sprzedać El Santinowi. Pamiętaj, że El Santino jest w tym mieście jedyną osobą, która dysponuje poważnymi pieniędzmi.

- Przyhamuj trochę, Somers. Teraz sądzisz, że Bourbon Kidowi chodzi tylko o forszę, a nie o Oko Księżyca jako takie? Skoro tak, to dlaczego nie sprzedał go pięć lat temu, kiedy ten kamień wpadł mu w ręce?

- Nie, to ty przyhamuj. Nie wrywaj się przed szereg. Ja tylko robię to, co mi wciąż proponujesz, ale umysł mam otwarty. Wcale nie twierdzę, że Kid nie chce zatrzymać Oka dla siebie. Mówię tylko, że niewykluczone, że chodzi mu o forszę. A może on i El Santino pracują razem? Kto wie? Zrób dla mnie jedno, miej na oku siedzibę El Santina, dobrze? - Z kieszeni szarego trencza Somers wyciągnął złożoną kartkę i mały czarny pager. - Tu masz adres El Santina. Mieszka w olbrzymiej posiadłości, właściwie to coś w rodzaju zamku, na skraju miasta. - Podał kartkę partnerowi. - A tu masz pager. Jakbyś wpadł w tarapaty, dzwoń na mój pager, a zjawię się w jednej chwili. - Ujął dłoń Milesa, wcisnął mu pager i dorzucił: - Tylko uważaj, żeby cię nikt nie przyfilował, dobra?

- A nie lepiej, żebym zadzwonił do ciebie bezpośrednio na komórkę? - próbował przekonać go Jensen.

- E-e. Nie rób tego, bo nie odbiorę, jeżeli najpierw nie dasz mi sygnału na pager. Zostawmy to sobie jako ostatnią deskę ratunku. Na komórki kapitan też mógł nam założyć podsłuch, dlatego gdybyśmy musieli rozmawiać przez telefon, nie zdradzaj żadnych szczegółów, czego się dowiedziałeś, ani nie mów, gdzie jesteś, chyba że nie będziesz miał wyboru. Rozumiemy się?

Jensen był, łagodnie mówiąc, wkurzony ingerencją kapitana Rockwella, jeżeli to rzeczywiście on stał za podsłuchem telefonicznym.

- Zgoda, Somers. Jak sobie życzysz. Coś jeszcze? Czy jak się będę chciał wysrać, mam najpierw sprawdzić, czy nie założyli mi podsłuchu w dupie?

- Nie zaszkoźdźłoby, Jensen. Nie ryzykuj. Miej oczy wokół głowy, mów ściszym głosem

i gadaj tylko ze mną. Moim zdaniem teraz już nikomu nie możemy ufać. Ale jestem głęboko przekonany, że sprawy wkrótce się wyjaśnią. - Wstał od stołu i poprawił długi płaszcz, sprawdzając, czy nie przytrzasnął go nogą krzesła. - No nic, muszę lecieć. Jeżeli nie odezwiesz się wcześniej, zobaczymy się jutro w biurze, bladym świtem.

- Stoi. Uważaj na siebie, Somers... i pamiętaj, to działa w obie strony, jasne? Jeżeli ty wpadniesz w kłopoty, dzwoń do mnie na pager, zgoda?

Stary wyga uśmiechnął się.

- Jasna sprawa - odparł.

Rozdział trzydziesty dziewiąty

Dante i Kacy zajęli miejsca przy stole w Lelku-Kufelku - dużym i cieszącym się sporym wzięciem lokalu na skraju miasta. Wokół baru stały liczne stoły, przeważnie z czterema krzesłami, chociaż przy każdym siedziała jedna, najwyżej dwie osoby. Przy kontuarze też stało niewielu klientów i ogólnie rzecz biorąc, panował pełny luz.

Zatrzymali się tam w drodze powrotnej z jarmarku, żeby się zrelaksować po stresującym dniu i ogólnym niepokojem, jaki odczuwali w tłumie kibiców bokserskich. Po kilku piwach odprężyli się i zaczęli postrzegać swoje kłopoty w o wiele lepszym świetle. W motelu czekała na nich walizka zawierająca sto kawałków, ukradzioną z czyjegoś pokoju w hotelu Santa Mondega International, a przy sobie mieli jeszcze Oko Księżycy, zdobyte w ten sam sposób. W wyniku długiej dyskusji na temat zalet sprzedaży Oka doszli do wniosku, że nie warto ryzykować. Nie znali nikogo, komu mogliby zaufać, a skoro w torbie czekało na nich sto kawałków, jaki sens miałyby ryzykowanie życia dla kilku tysięcy więcej? W gruncie rzeczy to Kacy przekonała Dantego do takiego stanowiska. Gdy był po paru piwach, łatwiej dało się nim manipulować. Był bardziej na luzie i bardziej otwarty na jej sugestie. A poza tym nie znosił się z nią sprzeczać, kiedy próbował wyluzować się browarkiem, o czym doskonale wiedziała.

Tymczasem mniej więcej o ósmej wieczorem ich plany uległy zmianie. Radośnie wznosili czwartym piwem toast za wszelkie rozkosze, jakie życie miało dla nich w zanadrzu, gdy naraz ujrzeni, że do lokalu wchodzi dwaj mnisi, których widzieli w namiocie bokserskim. Dante zauważył ich pierwszy, kiedy jednak próbował kopnąć pod stołem dziewczynę, żeby ją ostrzec, popełnił błąd i zagapił się na nich o mgnienie oka za długo. Przeciskając się do baru, jeden z zakonników zwrócił uwagę na chłopaka, który im się przyglądał, i przygwoździł go wzrokiem dostatecznie długo, żeby tamten poczuł się niezręcznie. Jakby tego było mało, mnich trącił w bok swojego towarzysza i ruchem głowy wskazał mu Kacy. Obaj patrzyli na nich przez chwilę, mamrocząc do siebie, po czym usiedli na stołkach przy barze i zamówili coś do picia.

Dante szybko rzucił okiem na dziewczynę, sprawdzając, czy spod jej T-shirtu nie wystaje ani kawałek Oka Księżycy. Nie wystawał, co wcale nie znaczyło, że mnisi nie wiedzą, że ma go przy sobie. Musiał ją stąd wyprowadzić, w dodatku szybko i dyskretnie. Na szczęście nic jej nie trzeba było tłumaczyć, wiedziała po jego oczach, że coś jest nie tak.

- Chodźmy stąd - szepnęła do niego. Poklepała go po prawym kolanie, pod stołem, i ruchem głowy wskazała wyjście.

- Zaczekaj chwilę - powiedział Dante. - Niech to nie będzie takie oczywiste. Wstań pierwsza, jakbyś szła do ubikacji, ale po drodze postaraj się wymknąć frontowym wyjściem tak, żeby cię nie zauważyli.

- A co ty zrobisz?

- Będę siedział, jakbym czekał na twój powrót. Jeżeli wyjdą za tobą, ruszę zaraz za nimi. A jeśli nie, to jakieś pięć minut później też wyjdę. Spotkamy się w motelu. Biegnij tam jak najszybciej. Gdyby ktoś cię zaczepiał, nie zatrzymuj się. Choćby to był nie wiem kto.

- Zgoda. Kocham cię, kotku.

- Ja ciebie też. A teraz spadaj w cholere.

Kacy wstała i ruszyła do damskiej toalety. Minęła dwóch mnichów siedzących przy barze, przez cały czas zerkając na nich kątem oka. Kiedy już upewniła się, że na nią nie patrzą, zawróciła szybko za grupką podpitych balangowiczów i skierowała się do wyjścia od frontu. Wkrótce znalazła się na ulicy.

Ściemniało się już. A ona była sama.

Rozdział czterdziesty

Kyle i Peto uznali, że udanie się bezpośrednio do baru Tapioca to niekoniecznie najlepszy pomysł. Po długich dyskusjach zgodzili się, że najpierw powinni wpaść do kilku innych spelunek. Zaglądając w drodze do Tapioki do każdego napotkanego baru, zdecydowanie zwiększyliby swoje szanse na odzyskanie Oka, a w każdym razie na znalezienie kolejnych wskazówek, gdzie należy go szukać. Tak się złożyło, że ich pierwszym przystankiem okazał się Lelek-Kufelek. Peto od progu rozejrzał się za jakimś miejscem, gdzie mogliby usiąść. Ze zmartwieniem stwierdził, że wszyscy, których zobaczył, wyglądają na potencjalnych wampirów, chociaż niewątpliwie wynikało to z manii prześladowczej, w jaką popadł od spotkania z Rodeo Reksem. Odkąd olbrzym rozgromił go na ringu, czuł się bardziej bezbronny niż zwykle.

Wszystkie stoły były zajęte, a każdy z klientów wyglądał mocno podejrzanie, jak gdyby w każdej chwili miał sięgnąć po broń (albo zrobić coś jeszcze gorszego). Wyjątkiem był mały stolik w kącie, przy którym siedziała para młodych ludzi i popijała piwo z gwinta. Ci akurat wyglądali całkiem normalnie i jako jedyni w lokalu przejawiali oznaki wesołości. Peto zwrócił też uwagę, że dziewczyna jest niewiarygodnie śliczna. Tak śliczna, że prawdę mówiąc, zagapił się na nią nieco dłużej, niżby wypadało. Dał swojemu mentorowi sójkę w bok.

- Hej, Kyle, nie ma wolnych stolików, ale tam w kącie siedzi na oko całkiem sympatyczna para młodych ludzi. Może się do nich przysiadzimy?

Starszy mnich spojrział na stolik, który podopieczny wskazał mu ruchem ręki, i pokręcił głową.

- Nie, siądźmy przy barze. Nie wydaje mi się, żeby mieli ochotę na nasze towarzystwo. - Podszedł do kontuaru, podniósł głos i zawołał: - Barman, dwa razy woda, proszę.

Barman - niebudzący zaufania facet o potarganych, bujnych czarnych włosach opadających na twarz - nalał im dwie szklanki wody i policzył za nie całe cztery dolary; granda w biały dzień! Następnie poinformował ich uprzejmie, że skoro zamierzają pić tylko wodę, to nie mogą zajmować miejsca przy barze.

- No chodź, przysiadźmy się do tamtej miłej pary przy stoliku w rogu! - zaproponował Peto po raz drugi.

- Tam już nie ma żadnej pary - zauważył Kyle. - Dziewczyna właśnie wyszła.

Młodszy mnich wolał się przekonać na własne oczy. Faktycznie, zniknęła. Przeżył niemałe rozczarowanie, bo liczył na zakosztowanie rozkoszy rozmowy z atrakcyjną kobietą. Trudno, stało się, ale ten chłopak przy stoliku, którego zostawiła, sprawiał nieszkodliwe wrażenie i z pewnością się ucieszy, że będzie miał z kim posiedzieć.

- Wobec tego tym bardziej powinien ucieszyć się z naszego miłego towarzystwa. Chodź, idziemy - zaproponował wesoło.

Kyle odetchnął głęboko.

- No dobrze - zgodził się z westchnieniem. - Ale jeżeli okaże się, że to wampir i że będzie próbował nas zabić, możesz być pewny, że najpierw ja sam skrucę ci kark.

Rozdział czterdziesty pierwszy

Zapadał zmrok i niebo się ściemniało, mimo to Jensen bez trudu znalazł posiadłość El Santina. W promieniu przynajmniej półtora kilometra nie było innych zabudowań. W sponiewieranej, starej beemce telepał się i telepał wąską, krętą drogą, otoczoną gęstym lasem wysokich drzew, aż wreszcie dwadzieścia minut później ujrzał po prawej siedzibę króla zbrodni, Casa de Ville. Szybko uznał, że roztropnie będzie jechać dalej, dopóki nie znajdzie w lesie przecinki, gdzie mógłby zostawić samochód tak, żeby go nikt nie zobaczył.

Przejechał więc jeszcze niemal półtora kilometra, aż w końcu po lewej stronie drogi ujrzał piaszczyste miejsce, na którym mógł zaparkować. W tej okolicy las był szczególnie gęsty. Jensen nie wiedział, bo i skąd, że tę zatoczkę szczególnie upodobały sobie na miejsce spotkań pary w samochodach, które przyjeżdżały tu, żeby oddawać się najróżniejszym praktykom seksualnym z nieznanymi z innych samochodów. Na szczęście zjawił się za wcześnie, żeby trafić na tego rodzaju błazenadę. Zmrok dopiero co zapadł, zjazd przypadkowych samochodów miał się zacząć gdzieś za godzinę.

Uznał, że dla zachowania dyskrecji nie wystarczy zostawić wozu na poboczu, gdzie byłby widoczny z drogi. Dlatego też, z wprawą dwunastolatka, który dopiero uczy się kierować, precyzyjnie się beemką między kilkoma drzewami i kamieniami i ukrył ją pięknie za kępą gęstych krzewów, gdzie nie rzucała się w oczy.

Wysiadł i powoli zamknął za sobą drzwiczki samochodu, starając się robić jak najmniej hałasu. Przez chwilę stał bez ruchu, pogrążony w zadumie. Co powinien teraz zrobić? Czy coś mogło mu się przydać w razie niespodziewanych kłopotów? Miał pager, który dostał od Somersa, oraz swój telefon komórkowy. Czy przychodzi mu na myśl coś jeszcze, co warto by mieć przy sobie, gdyby coś poszło nie tak? A w ogóle to dlaczego tak się martwi? Normalnie nie miał zwyczaju zbytnio przejmować się swoją pracą, bez względu na towarzyszące jej ryzyko. Nagle zrozumiał - zaniepokoił go fakt, że Somers zaopatrzył go w pager; oznaczało to, że starszy detektyw wie, jak ogromne ryzyko podejmuje Jensen. A przecież nie miał do roboty nic innego, tylko z ukrycia w gęstym lesie obserwować wielką chałupę na jakimś zadupiu. Inna sprawa, że należała ona do najbardziej osławionego gangstera w Santa Mondega, który mógł się okazać współczesnym odpowiednikiem hrabiego Draculi i Vita Corleone w jednej osobie.

Brnąc przez gęsty las z powrotem w kierunku Casa de Ville, pilnował się, żeby ani na

chwilę nie spuszczać z oczu drogi. Powrót do rezydencji okazał się o wiele trudniejszym zadaniem, niż się spodziewał. W lesie roiło się od odkrytych korzeni oraz wijących się niczym węże konarów i pnączy; zdawało się, że aż się pała, żeby go przewrócić albo opleść mu ręce i nogi, kiedy przedzierał się przez gąszcz. Zachowanie ciszy również nastęrczało wyjątkowych trudności. Miał wrażenie, że każdy jego krok powoduje trzaskanie gałązek, a w panującej ciszy odgłosy te wydawały się donośne niczym grzmot pioruna.

Minęło przynajmniej dwadzieścia minut, zanim po drugiej stronie drogi pojawiła się rezydencja - ciemna sylwetka odcinająca się na tle nocnego nieba. Posiadłość ze wszystkich stron otaczał wysoki kamienny mur. Teraz, patrząc na nią z drugiej strony drogi, a nie tylko zerkając kątem oka przez szybę zza kierownicy samochodu, Jensen zaczynał doceniać jej niewątpliwy przepych. Ten El Santino posiadał całą kupę ziemi. Ze swego miejsca, dokładnie na wprost bramy wjazdowej, detektyw widział, że mur ciągnie się po obu stronach jak okiem sięgnąć. Imponujące!

Kiedy już przestał się mimowolnie - i o wiele za długo - gapić na ten bijący w oczy przepych, poszedł w końcu po rozum do głowy i ukrył się za krzakiem na wprost wjazdu. Brama była niemal dwa razy wyższa od muru - w ocenie Milesa miała jakieś dziewięć metrów wysokości. W przedziwny sposób sprawiała złowrogie wrażenie - grube, czarne żelazne pręty, oplecione bluszczem i najeżone haczykowatymi kolcami. W rezultacie po nocy budziła postrach; a i za dnia, zdaniem Jensena, raczej nie wyglądała bardziej sympatycznie. Za bramą tłuczniowy podjazd prowadził pod front głównego budynku, cofniętego trochę od drogi. Wiekowe kamienne domostwo wyglądało tak, jakby tu stało od stuleci, gdyby ktokolwiek zamieszkiwał te strony setki lat temu... w dodatku ktoś, kto potrafił budować konstrukcje z obrobionego kamienia. Całość przywodziła na myśl średniowieczny zamek i zapewne kosztowała majątek - miliony, może nawet setki milionów dolarów, w zależności od tego, w jakim stopniu została odrestaurowana. I chociaż z zewnątrz gmaszysko wyglądało na stare i odrażające, to jednak Jensen odnosił wrażenie, że tak bogaty gangster jak El Santino wyposażył je w środku w nowoczesne meble i wszelkie współcześnie dostępne wygody.

Obserwacja tego olbrzymiego budynku zapowiadała się na wcale ciekawe zadanie. W Casa de Ville było co podziwiać, więc detektyw postanowił, że gdyby zrobiło się nudno, przejdzie się drogą nieco dalej i sprawdzi, czy na terenie posiadłości nie ma innych ciekawych konstrukcji architektonicznych, warty obejrzenia.

Tymczasem nie minęło nawet dwadzieścia minut obserwacji, a już Miles dobitnie miał się okazję przekonać, że popełnił gruby błąd. Zadzwoił jego telefon komórkowy. I to jak głośno! Zaskoczony tym dźwiękiem, jakże donośnym w ciemnościach i ciszy, niemal

wyskoczył ze skóry i nie był w stanie odebrać tego draństwa dostatecznie szybko.

- Halo? To ty, Somers? - wyszeptał.

- No. I jak ci idzie? - zaskrzeczał w słuchawce głos jego partnera.

- Jestem w miejscu, o którym mówiliśmy, ale jak dotąd niczego nie zauważyłem. A co u ciebie?

- Tu też niewiele się dzieje. Sprawdziłem dwa hotele, ale wiesz, jak to jest. Kupa drani, którzy za cholere nie kwapią się do pomocy. W każdym razie dzwonię po to, żeby ci przypomnieć o wyłączeniu dzwonka w komórce. Nie wiedziałem, czy znasz zasady obowiązujące podczas prowadzenia obserwacji.

Miles skrzywił się z zażenowania.

- Oczywiście, że znam. Za kogo ty mnie bierzesz? Ale zdawało mi się, że zakazałeś nam używania telefonów, chyba że w razie absolutnej konieczności.

- Fakt, masz rację. Przepraszam. Po prostu, ostrożności nigdy za wiele. Gdybyś uznał, że grozi ci choćby najmniejsze niebezpieczeństwo, wynoś się stamtąd natychmiast, zgoda?

- Zgoda, jakby co, tak zrobię. Nic się nie martw.

- To dobrze. A teraz słuchaj, skontaktuję się z tobą, jak zejdem ze służby, więc nie gaś komórki, tylko przełącz ją na wibracje. Takie szczegóły często ratują życie, Jensen. Bądź ostrożny, tam mogą się kręcić dookoła uzbrojeni strażnicy. Jakbyś dostał pietra, to bierz dupę w troki.

- Masz to jak w banku. Ty też uważaj na siebie.

- Jasne. To na razie.

Miles przełączył ustawienia komórki na odbiór wibracyjny. Idioto jeden! - pomyślał. Szkolny błąd, stary scenariusz z dzwoniącym telefonem i wpadka gotowa. Świadomość, że o mały włos nie wpadł przez taką głupotę, tylko wzmogła niepokój, który i tak już go dręczył. Ściemniało się naprawdę błyskawicznie i widok Casa de Ville z każdą chwilą coraz bardziej przyprawiał o gęsią skórę.

Ostatecznie postanowił nie ruszać się z posterunku na wprost bramy wjazdowej. Tkwiał tam przez prawie dwie godziny, gapiąc się na rezydencję, w której nic się nie działo. Nikt nie wchodził ani nie wychodził, a co dziwniejsze, nikt nawet nie przejeżdżał drogą. Ani jednego pojazdu. Ani jednego przechodnia. Nie pojawiło się choćby jedno dzikie zwierzę. Może wszyscy wiedzieli, że po zmierzchu lepiej trzymać się z daleka? Jeśli tak, to niewątpliwie łatwo było się zorientować dlaczego. Kiedy wstał księżyc i oświetlił Casa de Ville, rezydencja wyglądała naprawdę złowrogo, wręcz upiornie. Po dwóch godzinach spędzonych w tym miejscu każdy miałby dosyć. Do diabła z tym, pomyślał detektyw. Jeżeli nocne stwory, czyli

żywe trupy, miały w ogóle wyjść na żer, to właśnie teraz. I najprawdopodobniej tutaj. Kiedy wskazówki zegarka zaczęły się zbliżać do dziesiątej trzydzieści, Jensen uznał, że czas wracać do samochodu. Droga powrotna i przedzieranie się przez gęsty las zapowiadały się jeszcze trudniej, ale dopóki nie spuści drogi z oczu, a jednocześnie nie wystawi się na czyjś widok, powinno mu się udać.

Powoli podniósł się z klęczek i wstał. Nogi zdrętwiały mu nieco z zimna i czuł, że lada chwila może go złapać skurcz. Zaledwie zrobił krok w lewo, by cofnąć się do samochodu po własnych śladach, po raz drugi tego wieczoru coś go przeraziło. Ale tym razem to nie dzwonek telefonu sprawił, że detektyw podskoczył. Teraz był to głos. Głęboki, gardłowy głos mężczyzny, dobiegający gdzieś zza jego pleców i nieco z góry.

- Już myślałem, że będziesz tu czekał do białego rana. Niewielu wytrzymało tak długo jak ty.

Jensenowi serce podeszło do gardła. Okręcił się na pięcie w kierunku głosu. W pierwszej chwili nie widział nic oprócz ciemnych konarów drzew. Nagle wypatrzył w ciemności trochę ciemniejszą sylwetkę olbrzymiego mężczyzny, stojącego na gałęzi drzewa ze trzy metry nad miejscem, w którym przed chwilą klęczał detektyw.

Rozdział czterdziesty drugi

Kacy siedziała w pokoju motelowym przy zgaszonych światłach i wyglądała przez okno, czekając na Dantego. Spodziewała się, że wróci najpóźniej pięć minut po niej, a tymczasem minęły już trzy kwadranse. Przez chwilę próbowała oglądać telewizję, ale nie mogła się skupić na żadnym z programów. Potem spacerowała po pokoju. To też jej nie pomogło, pewnie dlatego, że pokój był za mały. Podwójne łóżko na środku zajmowało ponad połowę powierzchni, a reszta podłogi niekoniecznie nadawała się do spacerów.

Przez ten czas na dworze zrobiło się całkiem ciemno; dziewczyna się bała, nie tyle o siebie, ile o Dantego. Był w gorącej wodzie kąpany i miała świadomość, że jego porywczosć pewnego dnia wpędzi go w kłopoty, z których ona nie da rady go wyciągnąć. Wiedziała, z jakimi niebezpieczeństwami wiąże się życie w Santa Moniega, czasami jednak odnosiła wrażenie, że Dante zupełnie nie zdaje sobie z tego sprawy. Bywało, że bez najmniejszego powodu wydawał się wręcz nieustraszony. Zupełnie jakby nie wiedział, co to strach. Kochała go za to, chociaż tak naprawdę robiła w majtki ze strachu.

Miała wrażenie, że wyglądanie przez rozchylone listewki żaluzji trwa już całą wieczność, gdy naraz ujrzała nadjeżdżający samochód. W pierwszej chwili dostrzegła jedynie światło reflektorów. Ale nie były to pierwsze lepsze reflektory, o nie. Kacy niespecjalnie wyznawała się na samochodach, zaryzykowałaby jednak twierdzenie, że takie światła ma na przykład cadillac. I w tym akurat wypadku miałaby świętą rację. A kiedy już się zorientowała, że faktycznie jest to cadillac, miała ochotę poklepać się po ramieniu. O ile mogła dojrzeć, jaskrawożółty cadillac. Z pokoju na parterze miała świetny widok na zbliżający się samochód. Wóz powoli podjechał przed pokój, który zajmowała; lśniący żółty lakier błyszczał w ciemnościach nocy. Nagle zatrzymał się pod samym oknem. Jasne światło reflektorów oślepiło ją, tak że nie była w stanie rozpoznać człowieka za kierownicą. Wystraszyła się jeszcze bardziej. Dlaczego ten cadillac zatrzymał się dokładnie przed ich pokojem? Miejsca do parkowania przecież nie brakowało.

Samochód hałasował tak, że w sumie odetchnęła z ulgą, kiedy kierowca zgasił silnik. Minęło jeszcze kilka sekund, nim echo warkotu ucichło na dobre. Potem reflektory przygasły, aż zgasły całkiem. Kacy jednak wciąż była oślepią i czekała, aż jej oczy znowu przywykną do ciemności. Usłyszała trzask drzwiczek, ale nie widziała, kto wysiadł z cadillaca. Potem doleciał ją odgłos kroków - na drobnym żwirze parkingu zazgrzytały buty na twardej

podeszwie. Jak gdyby wierząc, że to jej w czymś pomoże, zasunęła żaluzje i odskoczyła od okna, w nadziei, że nikt jej nie zauważy.

Przed oknem przesunęła się sylwetka mężczyzny zmierzającego do drzwi. Trochę przypominał Dantego, ale nie była pewna. Okrągła mosiężna klamka zadrżała, kiedy mężczyzna spróbował otworzyć drzwi (po powrocie do motelu Kacy zamknęła je na klucz). Dziewczyna nie zamierzała podejmować najmniejszego ryzyka. Tymczasem klamka z każdą sekundą grzechotała coraz bardziej. Czy miała zawołać i przekonać się, czy to Dante? A może lepiej się nie odzywać, w razie gdyby to nie był on? Jeżeli odczeka dostatecznie długo, to z pewnością sam krzyknie zza drzwi, żeby mu otworzyła? No tak, a jeśli nie zawoła, tylko pojedzie jej szukać? Psiakostka! Postanowiła, że jednak się odezwie.

- Dante? To ty, kotku?

Klamka przestała się trząść, ale nikt nie odpowiedział. Kacy na palcach podeszła do drzwi.

- Dante? - powtórzyła, nieco ciszej. Wciąż bez odpowiedzi. Teraz już bała się nie na żarty, ale nie przyszło jej do głowy nic innego, niż otworzyć drzwi. Człowiek na dworze najwyraźniej nie zamierzał odejść, a na samą myśl, że mógłby wykopać drzwi, by się dostać do środka, wystraszyła się tak, że mimo wszystko postanowiła otworzyć. Jakby co, będzie udawała, że jest kim innym, kimś, kto nie ma nic do ukrycia. Wyciągnęła roztrzęsioną rękę i dotknęła klucza w drzwiach. Dygotała do tego stopnia, że przypadkowo przekreśliła klucz w zamku, zanim była do tego gotowa, i drzwi natychmiast uchyliły się o kilka centymetrów. W szczelinę wsunęła się czyjaś ręka, chwyciła za krawędź drzwi i zaczęła je popychać. Kacy odskoczyła o kilka kroków i pisnęła cicho z przerażenia. Przed nią, z szerokim uśmiechem na twarzy i kluczykami do samochodu w ręku, stanął Dante.

- Och, kotku, myślałam, że narobię pod siebie ze strachu! Dlaczego nie odpowiadałeś, kiedy pytałam, czy to ty?

Uśmiech zniknął z twarzy chłopaka.

- Kacy - powiedział poważnie. - Skoro nie wiedziałaś, że to ja, nie powinnaś otwierać. Następnym razem bądź ostrożniejsza, dobrze?

- Przepraszam, skarbie, ale bałam się siedzieć tu tak sama, i w ogóle.

Dante rzucił kluczyki na łóżko i podszedł do dziewczyny. Kiedy przytulił ją i pocałował prosto w usta, od razu poczuła się lepiej. Następnie wziął ją za rękę i zaprowadził do wciąż otwartych drzwi. Wyszedł na dwór i wskazał samochód zaparkowany przed ich pokojem.

- Tylko popatrz, malutka. Jak ci się podoba moja nowa bryczka? - zapytał, podziwiając żółtego cadillaca. Dziewczyna wyjrzała zza drzwi i wytrzeszczyła oczy.

- Rety! Seksowne autko! Skąd je masz?

- Znalazłem na ulicy, zaraz po wyjściu z baru. Stało sobie z kluczykiem w stacyjce i silnikiem na chodzie. I jak miałem go nie wziąć, przecież to by było nieuprzejme! No wiesz, jeszcze by go kto ukradł...

Kacy miała wielką ochotę wściec się, że tak bezmyślnie ukradł samochód w sytuacji, kiedy nie powinni zwracać na siebie uwagi. Ale jego powrót sprawił jej taką ulgę, że nie potrafiła się na niego złościć.

- Kotku, czyś ty oszalał? - spytała, kręcąc głową. - Szuka nas połowa miasta, bo mamy to Oko Księżycy, a ty co robisz? Kradniesz cadillaca, i to jaskrawożółtego. To chyba nie jest szczyt dyskrecji, jak ci się zdaje? A w ogóle to gdzieś ty się podziewał, do cholery?! Czekam na ciebie prawie godzinę!

Dante wrócił do pokoju i zamknął za sobą drzwi. Policzki miał tak zaróżowione, jakby zbyt długo przebywał na mrozie, ale tym razem nie o to chodziło. Rumieniec zawdzięczał temu, że był w wyśmienitym humorze.

- To nie koniec wspaniałych wieści. Pamiętasz tych dwóch mnichów, co to weszli do baru? No więc podeszli do mnie i się przysiedli. Mówię ci, z początku się, kurna, wystraszyłem, ale wyszło na to, że oni nie mają o nas pojęcia. Nie wiedzą, że buchnęliśmy ten kamień.

- O Boże! Chyba im o tym nie powiedziałaś, co?

- No przecież, że nie. Za kogo ty mnie masz? Za kretyna?

Dziewczyna uniosła brew, ale powstrzymała się od odpowiedzi. Nie mogła się doczekać, kiedy chłopak opowie jej, o czym konkretnie rozmawiał z tymi mnichami. A ponieważ on też wyraźnie się palił, żeby jej to wyjaśnić, więc mu nie przeszkadzała.

- No więc tak sobie zaczęliśmy gadać i okazało się, że to całkiem porządni faceci - ciągnął.

- W końcu powiedziałem im, że ptaszki ćwierkają, że podobno chcą odzyskać Oko Księżycy...

- Ależ, Dante, chyba nie...

- A tak, maleńka, ale spoko. Powiedziałem, że chyba mógłbym je dla nich zdobyć, ale nie za friko. Zapłacą nam za nie dziesięć kawałków!

- Ależ, kochanie, nie potrzebujemy następnych dziesięciu kawałków!

- Wiem, wiem. Ale od przybytku głowa nie boli, no nie? Ci faceci w ogóle nie są brutalni. Dla nich liczy się tylko pokój, karma i całe to badziewie.

Kacy odsunęła się od niego, przysiadła na skraju łóżka i ukryła twarz w dłoniach.

- No i co teraz? Czy oni tu przyjadą? - zapytała, z góry bojąc się odpowiedzi.

- Jezus, nie. Przecież nie jestem głupi. Umówiłem się z nimi w tym samym barze na jutro rano, jak tylko otworzą.

Kacy bynajmniej nie była przekonana co do zalet jego planu. Dante najwyraźniej nie przemyślał tego do końca i teraz udawał tylko, że się z nią naradza, chociaż tak naprawdę podjął już decyzję co do dalszych kroków.

- Moim zdaniem lepiej, żebyśmy nie mieli tego kamienia przy sobie jutro, kiedy nadejdzie zaćmienie Słońca. Chcę, żebyśmy się go pozbyli zaraz i spadali stąd - powiedziała błagalnym tonem.

- Kacy, wrzuc luz i zaufaj mi, dobrze? Czy ja cię kiedykolwiek zawiodłem?

- A bo to raz? Pamiętasz, jak nie mieliśmy co jeść, a tyś wydał wszystkie nasze pieniądze na płyty DVD z *Kapitanem Hookiem*?

- No, tak, ale... Daj spokój, ktoś mi powiedział, że na handelku pirackimi nagraniami wideo można zarobić kupę kasy. Czy to moja wina, że słowo „pirackie” ma więcej niż jedno znaczenie?

Na twarzy miał ten swój zawadiacki uśmieszek, któremu Kacy, chociaż naprawdę była na niego zła, nie potrafiła się oprzeć.

- Jesteś głupi fiut! - skwitowała, ale w jej głosie zabrakło przekonania.

- Wiem. - Uśmiechnął się do niej. - Ale tym razem dobrze wiem, co robię. Przysięgam, że cię nie zawiodę. - Usiadł obok niej na skraju łóżka, objął ją ramieniem i przyciągnął do siebie.

- Wszystko sobie przemyślałem. Jutro wypada zaćmienie Słońca, jest to też końcówka festiwalu. Tego dnia wszyscy się przebierają w kostiumy. Pójdę tam w jakimś odjazdowym stroju, żeby nikt mnie nie rozpoznał, nawet ci dwaj mnisi. Dzięki temu gdyby coś poszło nie tak albo gdyby coś mi się wydało podejrzane, po prostu zerwę się stamtąd, i już. Jak chcesz, to weź, wywal ten kamień w cholere, ale dla dziesięciu kawałków chyba warto zaryzykować, co nie?

Kacy myślała na pełnych obrotach. Dante nigdy nie wypadł przekonująco, kiedy próbował namówić ją na coś, co budziło jej wątpliwości. A w tej akurat sprawie miała wątpliwości, i to poważne. Ale kochała go i wiedziała, że tak czy inaczej zgodzi się na jego plan. On także o tym wiedział.

- Kocham cię, kotku - powiedziała tylko.

Zamiast przyznawać otwarcie, że się z nim zgadza, wołała mówić po prostu: „Kocham cię”, a wtedy on wiedział, że postąpi zgodnie z jego życzeniem.

- Ja też cię kocham - odparł z uśmiechem. - Wszystko będzie dobrze, maleńka. Zaufaj mi, nareszcie nam się pofarci. Jutro wydarzy się coś niesamowitego, czuję to. Jak już sprzedam mnichom ten niebieski kamień, zaczniemy nowe życie i spędzimy je razem, ty i ja, na wydawaniu kasy. Naharowaliśmy się na to solidnie i należy nam się to jak psu zupa.

W takich chwilach Kacy uwielbiała Dantego. Jego entuzjazm i niewzruszona pewność, że wszystko pójdzie jak z płatka, rajcowały ją jak mało co. Zdawała sobie sprawę, że chłopak czyta w niej jak w otwartej książce, wiedziała więc, że widzi, jaka jest na niego napalona. Nie musiała się już nawet odzywać, nie musiała nic mówić, bo chwycił ją i pchnął na łóżko. Przez następne czterdzieści pięć minut bzykali się tak, jakby się nie widzieli od miesięcy.

Po wszystkim, kiedy już leżeli pod kołdrą, Dante obsypywał pocałunkami kark Kacy i powtarzał, jak bardzo ją kocha. Zasnęła w jego objęciach, modląc się, żeby nie był to ostatni raz, kiedy czuje ciepło jego wtulonego w nią ciała. Najbardziej obawiała się, że tym razem postawił ich w sytuacji, która ich przerasta. Czasami jego niebywała odwaga zakrawała na zwykłą lekkomyślność. A przecież teraz stawką było ich życie.

Rozdział czterdziesty trzeci

Gdy Dante wstał i ruszył do drzwi, Kyle i Peto pomachali mu rękami na pożegnanie. Odpowiedział im skinieniem głowy i wyszedł. Teraz nareszcie mogli wymienić poglądy na jego temat, a poza tym mieli stolik tylko dla siebie. Żaden z nich nie zauważył, że gdy rozmawiali z miłym młodym człowiekiem, który przedstawił im się jako Dante, w Lelku-Kufelku zrobiło się znacznie gwarniej.

- Jak myślisz, czy on mówił prawdę? - zapytał Peto przyjaciela, licząc na pozytywną odpowiedź.

- Wiesz co? - odparł Kyle. - Prawdę mówiąc, tak właśnie sędzę. Wiem, że pewnie jesteśmy nazbyt ufni, ale naprawdę wierzę, że chłopak jest uczciwy i chętny do pomocy.

- Zgadzasz się z tobą. To co, może zamówimy coś z alkoholem, żeby to uczcić?

Kyle zastanowił się nad tą propozycją. Peto najwyraźniej aż się palił, żeby wreszcie napić się alkoholu, a jeśli miał być szczerzy wobec samego siebie, musiał przyznać, że też miał ochotę go skosztować. W końcu co to komu szkodzi, no nie?

- No dobrze. Ale tylko jedną kolejkę i nigdy nikomu się do tego nie przyznamy. To będzie nasza tajemnica.

- Świetnie! To co zamówimy? Piwo, whisky... a może bourbona?

- Nie będziemy pić bourbona. Bóg jeden wie, czym mogłoby się to dla nas skończyć. Jeżeli w ostatnich dniach udało nam się czegoś dowiedzieć, to tego, że bourbon jest napitkiem Szatana. Weźmy piwo. Właśnie to pił Rodeo Rex, a to przecież taki miły gość.

- Zdaje się, że nasz nowy przyjaciel Dante też pił to samo.

- A zatem piwo. Pójdę po nie do baru, Peto, a ty siedź tutaj i pilnuj mi krzesła.

- Jasne.

Młody mnich nie posiadał się z przejęcia. Napatrzył się na wielu takich, którzy napiwszy się, wpadali - ogólnie rzecz biorąc - w wesolutki nastrój, i nie mógł się doczekać, kiedy doświadczy tego na własnej skórze. Nie zdawał sobie jednak sprawy, że już za kilka minut będzie potrzebował czegoś mocniejszego. Bo i skąd mógł o tym wiedzieć? Inna sprawa, że on akurat był niezrównany, jeśli chodzi o odkrywanie w ostatniej chwili rewelacji na temat swojego (jak dotąd) życia pod kloszem.

W Lelku-Kufelku nie brakowało cichych kącików i wnęk, w których różne szemrane typki mogły przycupnąć i z ukrycia filować, jak piją inni klienci. Pomijając obcych, których

nienawidzono w zasadzie powszechnie, wszyscy nowi w mieście, tacy jak Kyle i Peto, bezwiednie zwracali na siebie uwagę. Rodeo Rex ostrzegął ich przed tym, ale nie zdawali sobie sprawy, jak poważna jest jego przestroga.

Zaledwie Kyle ruszył do baru, liczne typy spod ciemnej gwiazdy zaczęły zerkać na z pozoru naiwnego młodego człowieka, który siedział samotnie przy stoliku i czekał na powrót towarzysza z napitkiem. Dwaj z tych obserwatorów, wyprzedzając o krok pozostałych, przestali się czaić i wkrótce wychynęli z cienia. Bez słowa odsunęli krzesła przy stoliku Peta i usiedli po jego bokach. Obaj mieli na sobie długie czarne płaszcze z nasuniętymi na głowy kapturami. Obaj też nosili niezwykle naszyjniki, z nawleczonymi zębami, które sprawiały wrażenie, jakby pochodziły od jakiegoś dzikiego i niewątpliwie krwiożerczego zwierza. Pierwszy z tych ludzi - tłusty, nieogolony oprych o długich, zlepionych w strąki ciemnych włosach - nachylił się nad stołem do Peta. Miał przeszywające zielone oczy, które wpił głęboko w piwne oczy młodego mnicha.

- No, no, no! - rzucił. - Popatrz, co my tu mamy, Milo. Jeśli się nie mylę, to chyba nasz młody Peto.

Jego kompan też pochylił się lekko, jakby chciał zajrzeć w twarz zakonnika.

- Co ty powiesz, Hezekiah? - odparł z drwiną w głosie.

Milo miał długie i tłuste jasne włosy; budową ciała przypominał Hezekiaha, ale jego oczy były zaskakująco czerwone. Kiedy nachylił się i uśmiechnął szeroko do Peta, młody mnich miał okazję przyjrzeć się jego koszmarnie wielkim, żółtym zębom i poczuć straszliwy odór nieświeżego oddechu. Na Pecie ich brudne twarze oraz stosownie niechlujne odzienie nie wywarło najmniejszego wrażenia. Ani chybi ci dwaj zmuszeni są do ciężkiego życia na ulicy, pomyślał. Byli brudni nie do opisanego i śmierdzieli potwornie. Rzecz jasna, Peto nie miał w zwyczaju oceniać ludzi, których nie znał, a poza tym wyglądało na to, że oni go znają, nie miał więc powodu nie traktować ich przyjaźnie... a może jednak?

- Skąd wiecie, kim jestem? - zapytał tego o zielonych oczach, który zwrócił się do niego po imieniu.

- Nie pamiętasz nas, co? - odparł Hezekiah ze szczerym uśmiechem.

- Nie. Przykro mi, ale nie pamiętam.

- Nic się nie martw, synu. Twój przyjaciel Kyle nas pozna.

- O, fajnie. Jesteście jego przyjaciółmi, tak?

- Tak. Jakbyś zgadł. Prawda, Milo? Jesteśmy przyjaciółmi Kyle'a, no nie?

- Jasne, Hezekiah. Jesteśmy przyjaciółmi Kyle'a. Serdeczny mi przyjaciółmi.

W tym momencie młodego mnicha olśniło, że skądś zna te imiona.

- Zaraz, chwileczkę! - rzucił. - Wy jesteście Milo i Hezekiah? - Spojrzał na nich z niedowierzaniem.

Krótko potem Kyle wrócił z dwiema butelkami piwa i zajął miejsce przy stole, nie mając zielonego pojęcia, kim są nowi towarzysze Peta. Niedługo jednak pozostawał w nieświadomości. Gdy tylko usłyszał głos Hezekiaha, rozpoznał go natychmiast. Swego czasu łączyła ich serdeczna przyjaźń, zanim Hezekiah wyjechał z Hubala. Tyle tylko, że oto miał przed oczami dziwadło w niczym nieprzypominające młodego mnicha o świeżej twarzy, który pięć lat temu opuścił wyspę.

- Dobry Boże! Hezekiah! - wyrwało mu się. - Ty żyjesz! A czy to jest Milo? Nie wierzę własnym oczom! Ale wam urosły włosy! Ech, ileż to już czasu! I wyglądacie jakoś całkiem inaczej. Co porabialiście od tamtej pory?

Hezekiah wziął butelkę piwa, którą Kyle postawił przed sobą na stole, pociągnął z niej głęboki haust, po czym ostrożnie odstawił z powrotem. W jego odpowiedzi nie było cienia szyderstwa.

- Chlaliśmy, cudzołożyliśmy, kradliśmy, zabijaliśmy... Ogólnie rzecz biorąc, robiliśmy wszystko to, czego zabraniał nam ojciec Taos.

W jego głosie brzmiało coś złowieszczonego i Kyle nie bardzo wiedział, jak ma to rozumieć. To nie był ten sam Hezekiah, z którym się wychowywał. Jako młodzi zakonnicy, dopiero uczący się, na czym polega życie, przyjaźnili się serdecznie. Hezekiah był o rok starszy od Kyle'a i we wszystkim zawsze wyprzedzał go o krok. Zdarzało się więc, że Kyle bywał o niego zazdrosny, ale też był to główny powód, dla którego zawsze żywił w stosunku do starszego przyjaciela głęboki szacunek. Za młodu uważał Hezekiaha za wzorzec, do którego odnosił własne postępy jako mnicha. Teraz, widząc przed sobą dawnego kolegę, czuł, że powinna rozpierać go radość, ale ta obdarta, pełna szyderstwa parodia zakonnika wyglądała jak wszyscy inni mieszkańcy Santa Mondega. Instynkt ostrzegał go, że Hezekiah jest nieprzewidywalny i że nie wolno mu ufać, a akurat tych dwóch cech charakteru wyjątkowo nie znosił. No ale był to dawny przyjaciel, a Kyle nie miał w zwyczaju osądzać ludzi pochopnie, zwłaszcza tych, których znał w czasach, kiedy jeszcze nie umiał chodzić.

- A dlaczego nie wróciliście na Hubal? - zapytał. - Wszyscy uważają, że nie żyjecie.

Kąciki ust Hezekiaha drgnęły w paskudnym, odsłaniającym zęby uśmiechu.

- Bo w zasadzie nie żyję, tak samo jak Milo. Ojciec Taos nas wyzwolił... a co, nie mówił wam o tym?

- Eee, nie. Nie, nic o tym nie wspominał.

- A to ci niespodzianka! - mruknął Milo pod nosem, ale na tyle głośno, żeby wszyscy przy

stoliku go usłyszeli. Kyle i Peto natychmiast przypomnieli sobie, przed czym ostrzegał ich Rodeo Rex. Zaczynało wyglądać na to, że chyba rzeczywiście miał rację. Może ojciec Taos zataił przed nimi część prawdy? A właściwie to o żadnym „może” nie było tu mowy. Powiedział im, że dwaj mnisi, których pięć lat wcześniej wysłał z wyspy Hubal z misją, nie żyją.

Tymczasem Hezekiah nie zamierzał czekać, aż Kyle i Peto sami z siebie dodadzą dwa do dwóch.

- Posłuchaj - powiedział, wbijając długi, brudny paznokieć w prawe ramię Kyle'a. - Nie jesteście mile widziani w tym mieście. Zjeżdżajcie stąd, i to zaraz. Wiemy, po co tu jesteście, ale dajcie sobie siana. Oko jest poza waszym zasięgiem, ale nawet gdyby było inaczej, wasze życie skończyłoby się raz na zawsze, gdyby udało się wam je odzyskać.

W tego typu sytuacjach Peto dziękował Bogu, że to Kyle jest starszy stażem i z tej racji to na nim spoczywa odpowiedzialność za zadawanie pytań. Nowicjusz mógł rozsiać się wygodnie i próbować ogarnąć wszystko rozumem, pozostawiając myślenie bratu.

- O czym ty mówisz? - spytał Kyle. - Hezekiah, co się z wami stało?

- Milo i ja poznaliśmy ciemną stronę, Kyle. Dla nas już nie ma odwrotu. Ale wy nadal macie szansę. Wyjedźcie z Santa Mondega jeszcze tej nocy i nigdy tu nie wracajcie. Bo jutro Pan Ciemności powróci i zażąda zwrotu miasta dla żywych trupów. Jeżeli wciąż tu będziecie, staniecie się tacy jak oni. A wolelibyście tego uniknąć, możesz mi wierzyć.

- Ależ Hezekiah, mając ciebie i Milo po swojej stronie, damy radę każdemu - zaprotestował Kyle. - Czekalby was prawdziwie bohaterski powrót na wyspę Hubal... razem z nami i z Okiem.

Hezekiah pokręcił głową, szybko puścił ramię dawnego kolegi i przytrzymał nią Milo, jak gdyby obawiał się, że ten rzuci się na Kyle'a. Jeszcze raz wbił przeszywające spojrzenie zielonych oczu w byłego przyjaciela.

- Posłuchaj mnie, Kyle. Nie utrudniaj sprawy bardziej niż to konieczne. My nie możemy powrócić na Hubal, nigdy. Już ojciec Taos się o to zatroszczył. Wiesz, on też ma swoją ciemną stronę, a kiedy Milo i ja poznaliśmy jego plugawą tajemnicę, zniszczył nas i zostawił na pożarcie sępom. Nie powątpiewaj w moje słowa, Kyle. Przechytrzył nas i osobiście zawiózł Oko Księżyca na wyspę. Tyle tylko, że to my je odzyskaliśmy. To my mieliśmy wrócić na Hubal w glorii chwały, ale on miał inny pomysł. Z tobą zrobi to samo, Kyle... i z tobą, Peto. Odetnie się od was. Po opuszczeniu Hubala nie ma powrotu na wyspę. - Zamilkł na chwilę, po czym zapytał: - Znasz jakichś mnichów, którzy wyjechali kiedyś z Hubal, a potem wrócili?

Za życia Kyle'a tylko jeden mnich opuścił na dłużej niż dzień bezpieczną oazę spokoju, jaką była wyspa Hubal, a potem wrócił zdrowy i cały.

- Tylko jednego - odparł. - Ojca Taosa. Nikt inny nie poradził sobie z zagrożeniami świata zewnętrznego. Właśnie dlatego nie wrócili.

- Myślisz, że Milo i ja też nie wróciliśmy z tego powodu?

- No, nie... To znaczy... Bo ja wiem?

- Spójrz prawdzie w oczy, Kyle, wy nic nie wiecie. Tak samo jak Milo i ja nie wiedzieliśmy o niczym, kiedy wyjeżdżaliśmy z Hubal. Nie mieliśmy pojęcia, jak się sprawy mają, aż do czasu, kiedy poznaliśmy człowieka zwanego... Bourbon Kid.

Wymawiając to imię, Hezekiah zniżył głos do szeptu. W Lelku-Kufelku tych dwóch słów nigdy nie wymawiano na głos, przez szacunek dla zmarłego.

- Bourbon Kid? - powtórzył Kyle na cały głos. - A co on ma z tym wspólnego?

PIF!

Huk wystrzału na chwilę ogłuszył niemal wszystkich obecnych w barze. A potem wybuchła powszechna panika. Wśród klientów, którzy do tej pory popijali spokojnie przy stolikach i zajmowali się swoimi sprawami, znieacka się zakotłowało. Pierwszy zareagował Hezekiah. Zerwał się na równe nogi, odwrócił i stanął twarzą w twarz ze strzelcem, który właśnie wpakował kulkę w pierś jego kompana.

Milo stał teraz niczym zamroczony po ciosie bokser; wrzeszcząc z bólu, zatoczył się do tyłu, na krzesło, które przewróciło się na bok, niemal pociągając go za sobą. Próbował utrzymać równowagę, zarazem ze wszystkich sił przyciskając jedną rękę do olbrzymiej dziury w piersi. Kyle i Peto zamarli w bezruchu i tylko wytrzeszczali oczy, skamieniali niczym posągi.

Milo usiłował złapać dech. Z jego piersi i ust tryskała krew, obryzgując mu długi czarny płaszcz, a także wszystkich, którzy mieli pecha i znaleźli się w pobliżu. Co gorsza, jego ślepie nagle stały się czarne, a twarz zaczęła się zmieniać. Na oczach obecnych w barze zamieniał się w nocnego potwora... w wampira. Ale w wampira konającego, w rozkładzie, obracającego się w proch i pędzącego na złamanie karku do bram piekła.

Dla kontrastu Hezekiah niemal natychmiast zamienił się w krwio pijęc co się zowie. Teraz wydawał się o wiele bardziej przerażający niż powłóczący nogami, utyłany kloszard, który zaledwie kilka sekund temu patrzył na obu mnichów wilkiem. Wyprostowany w ramionach stał, szczerząc kły i szykując się do walki ze strzelcem. Przed sobą miał dwunożną, pękającą od mięśni górę cielska w czarnych skórzanych spodniach, kurtce i czarnym T-shircie bez rękawów, z logo „Halloween”. Kyle i Peto nie bez trudu rozpoznali w nim Rodeo Rekxa.

Rex uniósł broń i wycelował prosto w pierś Hezekiaha. W odpowiedzi wampir warknął z wściekłością na napastnika, od którego dzieliło go niecałe półtora metra. Nie zamierzał się poddać bez walki. Świetnie wiedział, kim jest Rodeo Rex i jakie ma wobec niego zamiary. W mgnieniu oka, zanim Rex zdążył pociągnąć za spust i posłać mu kulkę w pierś, Hezekiah wyskoczył pod sam sufit. Poruszał się z tak nieprawdopodobną szybkością, że ani Kyle, ani Peto nigdy nie widzieli szybszego stworzenia. Pół sekundy później wampir stał za plecami Rekxa, wyciągając ku napastnikowi długie ręce o kościstych dłoniach, gotów skrócić mu kark. Jego paznokcie wydłużyły się, teraz miał szpony niemal tak długie jak palce, co stwarzało złudne wrażenie chudych, sękatych korzeni drzewa. Rzucając się na swoją ofiarę, rozdziawił szeroko usta, obnażając ostre jak brzytwa zęby, które jakby urosły i były dwa razy większe niż zwykle; najwyraźniej chciał nimi rozszarpać człowieka, który bez ostrzeżenia i bez litości zastrzelił jego kompana. Jednakże Rex (o czym najlepiej mógłby zaświadczyć Peto) nie był łatwą zdobyczą. W ten sposób zarabiał na życie i najwidoczniej znał wszelkie przewidywalne posunięcia wampirów. W ostatniej chwili, kiedy Hezekiah sięgnął oburącz do jego szyi, olbrzym padł na podłogę, okręcił się na plecach, jakby tańczył break-dance, i wystrzelił, a wszystko to jednym płynnym ruchem. Ze spragnionych krwi ust Hezekiaha wyrwał się niehumaniczny wrzask. Wampir odchylił głowę i zaczął wyć do sufitu. Z rany nad jego sercem, które w agonii wykonało kilka ostatnich uderzeń, sikała krew. Wrzask przeszywał uszy wszystkich w promieniu piętnastu metrów i kilka sekund później klienci Lelka-Kufelka niemal w komplecie pędzili do drzwi. Inna sprawa, że nie mieli po co się śpieszyć. W gruncie rzeczy walka dobiegła końca. Po kilku sekundach wycia coś, co niedawno było Hezekiahem, stanęło w płomieniach i szybko obróciło się w popiół, tak jak nieco wcześniej jego przyjaciel Milo.

W całym tym chaosie, gdy ludzie przepychali się i tratowali w drodze do drzwi, Rodeo Rex dźwignął się z podłogi i podszedł do stołu, przy którym siedzieli Kyle i Peto. Zakonnicy nie ruszyli się z miejsc; wciąż siedzieli na krzesłach i tępo gapili się w miejsce, gdzie jeszcze przed niecałą minutą Hezekiah odstawił pełen wrzasku i tańca pokaz, jak zmienić się z człowieka w wampira, a zaraz potem w popiół.

- Czyście, tępaki jedne, nie słuchali ani słowa z tego, co wam, kurwa, mówiłem? - zapytał ostro.

Żaden z mnichów nie był w stanie mu odpowiedzieć. Niczym nauczyciel, który przyłapał swoich uczniów na paleniu papierosów za salą gimnastyczną, Rex wyciągnął obie ręce nad stołem, chwycił ich z przodu za tuniki i wywłókł z krzesel.

- Zabierajcie stąd swoje żałosne dupska i żebym was więcej nie widział przed wschodem

słońca! Zrozumiano? - Wyglądało na to, że jest z nich bardzo niezadowolony, a oni nie zamierzali dyskutować.

- Tak, Rex, zrozumieliśmy - rzekł Peto, który po raz pierwszy wydawał się bardziej opanowany niż jego mentor. - Chodź, Kyle, spadajmy stąd. - Wziął ze stołu butelki piwa i ruszył do wyjścia; Kyle deptał mu po piętach, nie odrywając wzroku od miejsca, gdzie jego przyjaciel Hezekiah stanął w płomieniach i obrócił się w proch.

- Hej, wy tam! - zawołał za nimi barman. - Nie macie prawa wynosić stąd butelek!

Zamiast odpowiedzi mnichów, usłyszał ryk Rodeo Reksa:

- Mają prawo robić, co im się, kurwa, podoba! Spierdalaj na zaplecze i obciągnij sobie fiuta, palancie!

Barman posłusznie zniknął z widoku. Nie życzył sobie dalszych kłopotów i miał dość rozumu, by wiedzieć, że w swoim dobrze pojętym interesie powinien trzymać się z dala od tej maszyny do zabijania i miejscowej żywej legendy, jaką był Rodeo Rex.

Skoro lokal całkiem opustoszał i nikt już nie urzędował za barem, Rex sam wziął zza kontuaru butelkę whisky oraz cygaro i usiadł na stołku. Nadszedł czas na chwilę refleksji nad kolejnym zwyczajnym, przeciętnym dniem.

Rozdział czterdziesty czwarty

Detektyw Miles Jensen wiedział, że wpadł w poważne tarapaty. Gdy odzyskał przytomność, poczuł pulsujący ból z tyłu głowy, któremu towarzyszyło niemiłe wrażenie świadczące o tym, że jego kark jest pokryty skorupą krwi. Zakrzepłej krwi, co oznaczało, że był nieprzytomny od dłuższego czasu. Niestety, nie mógł sprawdzić, czy to naprawdę krew, bo ręce miał ciasno skrępowane na plecach taśmą. W usta wetknięto mu knebel i zawiązano z tyłu głowy, co jeszcze bardziej potęgowało pulsujący ból. Detektyw leżał na boku, z podkulonymi pod brodę nogami; nie wiadomo dlaczego zdawało mu się, że podskakuje i opada w ciemności. Nagle zaskoczył. Zapakowano go do bagażnika samochodu i wieziono Bóg wie dokąd. Nie widział nic a nic, a kiedy w pełni zdał sobie sprawę ze swojego kłopotliwego położenia, potrafił myśleć jedynie o licznych filmach gangsterskich, w których pakowano jakiegoś nieszczęśnika do kufra i wywożono na spotkanie ze śmiercią. Myśl, że miałby skończyć tak przedwcześnie i tak niemiło, sprawiała mu jeszcze większy ból niż rana w głowie i nieustające dudnienie w uszach.

Oprócz grzmotu z rury wydechowej i szumu opon na drodze nie słyszał żadnych głosów, nie miał więc pojęcia, ile osób jedzie samochodem. Niewiele pamiętał, poza tym, że zaatakowała go niewyraźna postać, stojąca na drzewie za jego plecami. Był to olbrzymi facet, ale w ciemnościach wyglądał raczej jak trójwymiarowy cień. Zanim Jensen zdążył zareagować, tamten zeskoczył z drzewa i wylądował przed nim. A potem... momencik!... potem Miles zarobił czymś w tył głowy. Czyli że musiał tam być jeszcze ktoś inny. Tak, to miało sens. Przecież ani na chwilę nie odwrócił się tyłem do tego, który zeskoczył z drzewa, a zatem był tam drugi człowiek. To zresztą wkrótce miało się okazać. Tymczasem musiał jakoś nawiązać kontakt z Somersem. Partner był jego jedyną nadzieją. Czuł, jak pager, który od niego dostał, wpija mu się w bok, ale czy uda mu się wcisnąć klawisz, by zawiadomić kolegę o swoim położeniu? A nawet jeśli mu się uda, to w jaki sposób odbierze komórkę, gdyby Somers do niego oddzwonił?

Niewątpliwie rzeczą podstawową było uwolnienie skrępowanych za plecami rąk. Tyle że musi zachowywać się przy tym jak najciszej. Ostrzeżenie prześladowców, że odzyskał przytomność, mogłoby się dla niego skończyć na przykład potencjalnie śmiertelnym ciosem noża. Lepiej nie prowokować takiej sytuacji.

Ręce miał skrępowane jakąś grubą taśmą klejącą. Oplatała jego nadgarstki od podstawy

kciuków, ciasno związując zaciśnięte pięści. Uwolnienie się z tych więzów nie było proste, ale - zakładając, że będzie miał na to dostatecznie dużo czasu - całkowicie wykonalne.

W końcu, po - jak mu się zdawało - dziesięciu minutach, choć na pewno trwało to znacznie krócej, udało mu się nieco oswobodzić lewy kciuk. Nie na tyle, żeby się całkiem uwolnić, ale dostatecznie, by przekręcić rękę i - Bogu dzięki! - wcisnąć kciukiem klawisz pagera, który miał w lewej kieszeni. A niech cię cholera, Somers! - pomyślał. Obyś tylko nie spał!

Wcisnąwszy klawisz pagera, następne dziesięć minut spędził na dalszych próbach oswobodzenia rąk. Bez skutku. Samochód zatrzymał się kilka razy; zwykle następował po tym gwałtowny skręt w lewo czy w prawo, który wytrącał detektywa z równowagi. Ale po upływie tych kolejnych dziesięciu minut samochód zatrzymał się znowu i tym razem silnik zgasł. Po kilku sekundach ciszy rozległ się dźwięk otwieranych i zatraskiwanych co najmniej dwojga drzwi. Jensen usłyszał stłumione głosy, po czym ktoś otworzył bagażnik i w ciemności detektyw zobaczył nad sobą dwie postaci bez twarzy. Miał rację. Zaatakowało go dwóch mężczyzn. Olbrzymich mężczyzn, niestety w ciemnościach nie był w stanie ich rozpoznać.

- Detektyw Miles Jensen - rozległ się śmiertelnie lodowaty głos, który wcześniej odezwał się do niego z drzewa. - Witamy w ostatnich chwilach twojego życia.

Rozdział czterdziesty piąty

Mistyczna Dama miała skłonność do popadania w paranoję. Na tym, między innymi, polegał jej urok i z tego też powodu ludzie czasami traktowali ją choć trochę poważnie. Niewątpliwie zwiększało to jej mistyczność i wiarygodność, a w rezultacie także stan jej konta. W tych rzadkich sytuacjach, kiedy oddalała się od drzwi wejściowych, zawsze rozglądała się i upewniała, czy nikt jej nie śledzi. Miejscowe dzieciaki bez wyjątku uważały ją za wariatkę, podobnie jak większość dorosłych. Przeważnie tylko starsi nastolatki i ludzie nieco po dwudziestce nie sądzili, że jest stuknięta, a to głównie dlatego, że w tym wieku eksperymentowali z narkotykami i w związku z tym byli bardziej otwarci na jej wiarę w zjawiska nadprzyrodzone.

Nigdy nie wychodziła po zmroku, ze strachu przed wampirami (czy, ogólnie rzecz biorąc, przed wszelkiego rodzaju żywymi trupami; moce piekielne, duchy i zombie, a także wilkołaki i cała reszta też jej specjalnie nie bawiły). A już podczas Festiwalu Księżycowego tylko z najwyższym niepokojem ośmielała się wyjść z domu. Wszelkie biesy, które przyciągał ten festiwal, w normalnej sytuacji byłyby aż nadto wystarczającym powodem, żeby zaopatrzyła się w jedzenie na cały miesiąc i nie opuszczała domowego azylu. Jednakże tym razem ciekawość wzięła górę. Od czasu niedawnej wizyty Dantego i Kacy myślała gorączkowo. Gdy tylko wyszli, zaczęła wyteżać umysł w poszukiwaniu wszystkiego, co zdoła sobie przypomnieć na temat magicznego niebieskiego kamienia znanego jako Oko Księżyca. I choć większość opowieści o tym kamieniu należało zapewne między bajki włożyć, to jednak bez dwóch zdań tworzyły miejscową legendę, tak więc wczesnym popołudniem wyruszyła na drugą stronę miasteczka, do biblioteki miejskiej. Instytucja ta dysponowała całkiem przyzwoitym działem poświęconym lokalnej mitologii i legendom, Mistyczna Dama miała więc nadzieję, że trafi na coś ciekawego.

Odszukanie książki zawierającej informacje na temat Oka Księżyca okazało się trudniejsze, niż się spodziewała. Gdyby nie jej intuicja, ów szósty zmysł, możliwe, że niczego by nie znalazła. Ale udało się. Trafiła na książkę bez tytułu, anonimowego autora. Wygrzebanie takiego tomu na półkach olbrzymiej biblioteki nie było łatwe i zajęło jej sporo czasu. W rezultacie zanim dotarła z tą książką do domu, umierała z głodu i padała ze zmęczenia.

Przygotowała sobie lekki lunch i zdrzemnęła się, a wczesnym wieczorem zajrzała w końcu

do książki. Wyprawa okazała się ze wszech miar warta zachodu, tak więc zasiadła przy stole do lektury grubaśnej księgi, w twardej oprawie z wytartej brązowej skóry. Księga była niebywale stara i Mistyczna Dama nie posiadała się ze zdumienia, że bibliotekarka w ogóle się zgadzała, żeby klienci brali ją do domu. Z drugiej strony, czy ktoś, kto jej specjalnie nie szukał, mógłby na nią trafić przypadkiem?

Z ulgą przekonała się, że księga napisana jest po angielsku; większość wykaligrafowano starannie czarnym atramentem, chociaż widać było też ślady ingerencji innych osób oraz liczne poprawki i marginalia. Tekst zaczynał się od ręcznie wypisanego ostrzeżenia na pierwszej stronie. Autor wstawił coś, co wyglądało na swoistą notkę od siebie:

Szanowny Czytelniku,

Tylko ludzie o czystym sercu mogą zajrzeć na karty tej księgi.

Każda przeczytana strona, każdy kolejny rozdział przybliży Cię do końca.

Nie wszystkim uda się przebrnąć przez całość. Zawilóści akcji oraz bogactwo stylów mogą oszołomić i zamącić w głowie.

Próbując dociec prawdy, będziesz ją miał pod samym nosem.

Zapadnie ciemność, a z nią nadejdzie wielkie zło.

Ci zaś, którzy doczytają tę księgę do końca, być może nigdy już nie ujrzą światła.

Księga nie miała, niestety, spisu treści, tytułów rozdziałów ani indeksu, tak więc informacje na temat Oka mogły być rozproszone po całym tekście. Przeczytanie manuskryptu od deski do deski zajęłoby Mistycznej Damie około trzech dni, a i to przy założeniu, że wcale lub prawie wcale by nie spała. Za długo - Festiwal Księżycowy był za pasem, z pewnością więc nie miała tyle czasu. Doskonale zdając sobie z tego sprawę, zaczęła przerzucać ręcznie zapisane strony, szukając czegoś na temat Oka. Na pierwszą wzmiankę o nim trafiła dopiero po godzinie, niemal o dziesiątej wieczorem.

Ponieważ wertowała księgę pod kątem informacji na temat Oka Księżycy, nawet z grubsza nie zorientowała się, o co w niej chodzi. Udało się jej odkryć tylko tyle, że autor kilku pierwszych rozdziałów napomykał, iż jest jednym z dwunastu apostołów Jezusa i że zaczął pisać tę księgę jako dziennik, zaraz po ukrzyżowaniu. To, co inni spisali na temat życia i czasów Chrystusa, zostało zebrane w Nowym Testamencie, autor tej księgi natomiast pisał wyłącznie o zdarzeniach, które nastąpiły bezpośrednio po ukrzyżowaniu. Mistyczna Dama uświadomiła sobie wkrótce, że jej oczy i umysł przywykły do ręcznego pisma oraz że kartki

wykonane są z grubego, żółtawego pergaminu, co poniekąd wyjaśniało znakomity stan księgi, pomimo jej wieku.

Na jakimś etapie dziejów dziennik wpadł w ręce kogoś, kto przetłumaczył go na angielski, a późniejsze dopiski zrobiono już w tym języku. Mniej więcej po jednej piątej objętości książki charakter pisma się zmienił i rozpoczęła się opowieść o niejakim Xavierze, który podróżował po Egipcie w poszukiwaniu świętego Graala - zaskakująca zmiana tematyki, bo pierwsza część książki utrzymana była w stylu dziennika, natomiast przeżycia Xaviera przypominały raczej kiepski scenariusz do kolejnego filmu z cyklu przygód Indiany Jonesa. Ale Mistyczna Dama znalazła tu wreszcie odniesienie do tego, czego szukała.

Opowieść była o tym, jak to Xavier zatrzymał się w świątyni, w której natknął się na obraz przedstawiający wspaniały niebieski kamień znany jako Oko Księżycy. Dowiedział się, że miejsce, w którym znajduje się ów kamień, okryte jest ścisłą tajemnicą; mnisi ze świątyni nie chcieli się nią z nim podzielić. Anonimowy autor nadzwyczaj zapalił się do tej części opowieści i poświęcił kilka stron na podkreślanie tego, jak bardzo Xavier pragnął się dowiedzieć, gdzie jest i jakie tajemnice skrywa ten klejnot. Wyglądało na to, że złożone przez mnichów śluby zabraniały im posiadania czegokolwiek, a już z całą pewnością rzeczy o znacznej wartości materialnej, dlatego też Xaviera fascynował fakt, że zatrzymali coś tak niewątpliwie cennego i że w dodatku tak starannie to ukrywają. Sam wpadł na wizerunek kamienia zupełnie przypadkowo, kiedy pewnego dnia szukał ojca Gaiusa, przełożonego zakonników. Gaius wściekł się na Xaviera i posunął się nawet do tego, że zniszczył obraz - mianowicie kazał go zdjąć i spalić.

Koniec końców, poszukiwania informacji na temat świętego Graala zawiodły Xaviera na inną ścieżkę życia i przez dłuższy czas na kartach księgi nie było dalszych wzmianek na temat Oka. Mistyczną Damę tak wciągnęły przygody Xaviera, że kusiło ją, by dalej czytać o jego poszukiwaniach świętego Graala, wiedziała jednak, że na lekturę przyjdzie czas później. Na razie musiała dowiedzieć się jak najwięcej o Oku. To była sprawa pierwszoplanowa.

Zanim znalazła dalsze informacje, dochodziła jedenasta w nocy. Narracja nadal koncentrowała się na Xavierze i dotyczyła zimy roku tysiąc pięćset trzydziestego siódmego. Podróżując po Ameryce Środkowej, Xavier spotkał przypadkiem jednego z mnichów z egipskiej świątyni. Kiedy widzieli się po raz pierwszy, zakonnik był młodym nowicjuszem, a teraz wyrósł już na prawdziwego mężczyznę. Xaviera jednak o wiele bardziej interesował fakt, że ów mnich, Ishmael, został wygnany ze świątyni po tym, jak zadarł z ojcem Gaiusem. I chociaż księga w irytujący sposób unikała podawania konkretnych powodów zatargu, było jasne, że Ishmael złamał któryś ze świętych ślubów zakonnych, w wyniku czego ujawnił

tajemne miejsce przechowywania Oka Księżyca. Potem następował rozwlekły opis tego, jak to Ishmael i Xavier stali się nierozłączni i razem przemierzali świat w poszukiwaniu świętego Graala. Mistyczna Dama zreflektowała się, że znowu się rozprasza i zapomina o celu, bo z każdą stroną stawało się coraz bardziej jasne, że Xavier i jego nowy przyjaciel lada chwila mogą odnaleźć coś, co zowią „kielichem Chrystusa”. Nagle, kiedy już wydawało się, że są o krok od sukcesu, autor znów zmienił temat, i to dosłownie w pół zdania. Dalszy ciąg spisany był innym charakterem pisma i ani słowem nie wspominał już o świętym Graalu.

Nowy autor nie podał, jak się nazywa, ale z całą pewnością był mężczyzną. Mistyczna Dama poznała to po sposobie, w jaki opisywał walkę z siłami zła i pogoń za Okiem Księżyca, by zdobyć je, zanim wpadnie w ręce „Pana Ciemności”. Do tej pory nie było wzmianki o żadnym Panu Ciemności, a przynajmniej nic takiego nie zauważyła. Nowy autor opisywał fascynujące przygody na morzach i oceanach oraz wyprawy na pustynie. Rzetelna, bohaterska akcja toczyła się aż do chwili, kiedy autor ni w pięć, ni w dziewięć się zakochał. Mistyczna Dama, znudzona nieznośnym sentymentalizmem, próbowała przeskoczyć tę część. Autor bez końca głądził o tym, jak to zadurzył się w dziewczynie imieniem Maria i w rezultacie, ponieważ jego miłość do niej była zakazana, pozbawił się prawa powrotu do domu.

Monotonia rozwlekłego romansidła podziałała na Mistyczną Damę jak środek nasenny, więc tuż przed północą zaparzyła sobie kubek kawy. Zastryk kofeiny niespecjalnie jednak pobudził jej mózg, wobec tego postanowiła przespać się kilka godzin. Z szuflady w stole wyciągnęła cienką zakładkę z czarnej skóry i umieściła ją na stronie, na której skończyła lekturę. Kiedy jednak chciała zamknąć księgę, ta otworzyła się na stronie z jakimś rysunkiem. Do tej pory Mistyczna Dama natknęła się na mapy, wykresy oraz ryciny rozmaitych przedmiotów i budowli, tu i tam występujące w tekście. Wszystkich autorów cechowała wyjątkowa staranność w przedstawianiu takich szczegółów, ale ten rysunek w istotny sposób różnił się od pozostałych. Przedstawiał szczęśliwą parę. Poniżej widniał podpis, wykaligrafowany piękną kursywą. I choć Mistycznej Damie oczy same się zamykały, zamrugwała, pochyliła się nad książką i przeczytała:

Pan Ciemności Xavier w dniu swojego ślubu.

Rozległo się pukanie do drzwi. A raczej donośne łomotanie. Mistyczna Dama, zaskoczona, poderwała się niczym przerażona łania. W pierwszej chwili pomyślała, żeby wstać, otworzyć i zwymyślać od ostatnich idiotę, który ośmiela się pukać do kogoś w środku nocy. Tak późno

dobijali się do niej tylko pijani nastolatki albo przejezdni, którzy chcieli, żeby przepowiedziała im przyszłość. Rzecz jasna, postąpiłaby tak w normalnych warunkach, skoro jednak trwał Festiwal Księżycowy, uznała, że należy zachować nieco ostrożności, zanim otworzy drzwi i przekona się, kto za nimi stoi.

- Kto tam? - zawołała.

Nie doczekała się odpowiedzi. Prawdę mówiąc, nie było w tym nic niezwykłego. Często zdarzało się, że wesółkowie, którzy wpadali do niej z wizytą, nie odpowiadali na pytanie: „Kto tam?”. Ot, niektórzy co bardziej ograniczeni umyślowo goście mieli zwyczaj płać jej takie niezbyt wyszukane psikusy. „Myślałem, że wiesz, że to ja” - mówili, kiedy już im otworzyła. „Co z ciebie za wróżka, skoro nie wiedziałaś, że to ja?”, i tak dalej... Z biegiem lat nasłuchiwała się tysięcy tego rodzaju kiepskich żartów.

Nieco zaniepokojona i mocno poirytowana, wstała od stołu i podeszła do drzwi. Ostrożnie, jak najciszej, przekręciła klucz w zamku i wyjrzała na dwór, gotowa naubliżyć stojącemu tam idiotcie. Ale na widok gościa przeżyła drugie zaskoczenie w ciągu ostatnich kilku minut.

Za progiem, w tę zimną noc, stała młoda kobieta, cała ubrana na czarno. W panujących ciemnościach Mistyczna Dama ledwie ją dojrzała. Gdyby nie ta niezwykła bladeść twarzy, w nocy dziewczyna byłaby wręcz niewidzialna.

- Czy wiesz, która godzina? - burknęła Mistyczna Dama ze złością.

- Przepraszam - odparła dziewczyna. - Chodzi o to, że potrzebna mi pani pomoc w pewnej sprawie.

- Jak masz na imię?

- Jessica.

- No cóż, Jessico, czy mogę ci zaproponować, żebyś wróciła jutro za dnia? O tej porze już nie przyjmuję, właśnie miałam się położyć.

- Bardzo panią proszę, nie zajmę pani więcej niż pięć minut - powiedziało dziewczę błagalnym tonem.

Widać było, że jest przemarznięta na kość i pada ze zmęczenia; no i że jest w desperacji. Co jednak ważniejsze, była trzeźwa i miała tak błagalny wyraz oczu, że Mistycznej Damie zrobiło się jej żal. Przecież ta śliczna i na pozór niewinna dziewczyna na pewno nie jest jakimś kawalarzem?

- Miałam nadzieję, że powie mi pani, kim jestem - ciągnęła Jessica. - Widzi pani, ostatnie pięć lat przeleżałam w śpiączce i wygląda na to, że mam amnezję.

Hmm, pomyślała stara kobieta. A może jednak ta mała szykuje mi jakiś dowcip?

- Bzdura - odparła lakonicznie. - Przyznaj się, nic lepszego nie przyszło ci do głowy?

- Proszę pani, musi mi pani uwierzyć! Proszę! Ciągle mam wizje... no, wie pani... coś mi się przypomina. Wydaje mi się, że niejaki Bourbon Kid chce mnie zabić. A wszystko z powodu jakiegoś Oka Księżyca.

Oko Księżyca! Czy to możliwe?! Wzmianka o Bourbon Kidzie i Oku Księżyca była chyba jedynym wyobraźnym powodem, dla którego Mistyczna Dama wpuściłaby kogoś do siebie o tak późnej porze. Pragnęła uzyskać na temat Oka wszelkie możliwe informacje, uznała więc, że odprawienie tej młodej kobiety, której mogłaby już nigdy więcej nie zobaczyć, to za duże ryzyko.

- No dobrze - ustąpiła. - Wejdz. Ale pamiętaj, masz tylko pięć minut.

- Och, dziękuję. Pani jest taka miła.

Mistyczna Dama wprowadziła dziewczynę do wąskiego pokoju i wskazała jej jedno z krzeseł przy stole. Jessica posłusznie usiadła.

- Co to za książka, którą pani czyta? - zainteresowała się.

- Nieważne.

Wróżka obrzuciła ją gniewnym spojrzeniem. Woląla nie mieć nic wspólnego z losami ludzi, którzy poszukiwali kamienia. Jessica mogła się okazać oszustką - albo kimś jeszcze gorszym - dlatego też wróżka nie chciała się przed nią zdradzić z tym, że sama nadmiernie interesuje się Okiem Księżyca. Zamknęła księgę i odłożyła ją na podłogę pod stołem, po czym usiadła, jak zwykle, na drewnianym krześle z wysokim oparciem, naprzeciwko Jessiki.

- No dobrze, Jessico. Czy w ogóle wiesz coś o sobie?

- Niewiele. Za bardzo się bałam, żeby się rozpytywać... znając moje słabe strony, ktoś mógłby mnie wykorzystać. Rozumie pani, na widok młodej kobiety, która nie zna nikogo i której nikt nie zna, niektórym mogłyby przyjść do głowy głupie pomysły.

- To prawda - przyznała Mistyczna Dama. - A zatem zupełnie nic nie wiesz?

- Coś tam wiem. Na przykład, że mniej więcej pięć lat temu ktoś, kogo nazywają Bourbon Kid, próbował mnie zabić i dlatego wpadłam w śpiączkę. A teraz podejrzewam, że znowu mnie ściga, tylko nie wiem dlaczego. Nie wiem, co takiego zrobiłam, żeby aż tak go zdenerwować. Sądzi pani, że może mi pani pomóc? Mój przyjaciel Jefe doradził mi, żebym zwróciła się o pomoc właśnie do pani.

- Jefe, powiadasz? - mruknęła Mistyczna Dama; wiedziała, że chodzi o siejącego postrach łowcę nagród.

- Tak. Zna go pani?

- Jako tako. Zajrzał do mnie raz czy dwa.

- A więc... czy miał rację? Potrafi mi pani pomóc?

- Być może. Popatrzmy na moją kryształową kulę, zobaczymy, co uda nam się znaleźć.

Mistyczna Dama nachyliła się, zdjęła czarny kawałek jedwabiu z kryształowej kuli i upuściła go na książkę, leżącą na podłodze u jej stóp. Następnie zaczęła powoli pocierać dłońmi kulę, jak gdyby chciała ją ogrzać. Przez chwilę pod powierzchnią krążyła dziwna mgielka, która stopniowo rozproszyła się i w sercu szklanej kuli ukazała się sylwetka mężczyzny.

- Ooo... Widzę człowieka w kapturze... to Bourbon Kid - wykrztusiła wróżka. - Chyba masz rację. Wygląda na to, że on cię ściga. - Oderwała wzrok od kuli i spojrzała dziewczynie głęboko w oczy, sprawdzając jej reakcję. - Ten człowiek oznacza złe wieści. Poważne kłopoty. Pięć lat temu zabił w tym mieście mnóstwo ludzi. Jeżeli faktycznie cię ściga, to proponuję, żebyś wyjechała jak najdalej od Santa Mondega.

Jessica wydawała się przerażona i głęboko zmartwiona. Takiej reakcji nie sposób udawać. A zatem nie jest oszustką, pomyślała wróżka.

- Czy pani wie, dlaczego chce mnie zabić? - odezwała się dziewczyna. - Czy pani kula mówi coś na ten temat? A może powie coś o mnie? Skąd pochodzę? Jak to się stało, że przeżyłam ostatnim razem?

- Proszę cię, kochanie, po jednym pytaniu na raz - skarciła ją Mistyczna Dama, spoglądając w zamgloną kulę w poszukiwaniu odpowiedzi. - Ten człowiek, ten Bourbon Kid, ma z tobą niezalutnione porachunki - rzekła powoli, z całych sił koncentrując się na wirujących obrazach wewnątrz kuli. - Jego pragnienie, żeby cię zabić, jest niezwykle silne. Nic go przed tym nie powstrzyma, a przygotował się na twój powrót. Mój Boże, ten człowiek naprawdę ma wobec ciebie jak najgorsze zamiary. Tyle tylko, że nie widzę powodu... Nie, zaczekaj chwilę... Zaczynam coś widzieć...

Znienacka wróżka odskoczyła do tyłu, jak gdyby coś wystraszyło ją na śmierć.

- Co jest? Co się stało? - krzyknęła Jessica. - Co pani tam zobaczyła?

Stara kobieta najwyraźniej była śmiertelnie przerażona. Jej twarz powlekła upiorna bladość, zaczęła dygotać.

- Powiadasz, że naprawdę nie masz pojęcia, kim jesteś? - zapytała w końcu łamiącym się głosem.

- Tak. Dlaczego pani pyta? Co takiego pani zobaczyła? Kim ja jestem?

- N... nie wiem... Przykro mi. Powinnaś już iść. - Wyglądało na to, że wróżka nagle nie może się doczekać, by jak najszybciej pozbyć się gościa.

- Dlaczego? Co pani tam zobaczyła?

- Nic. Mówię ci, nic nie widziałam. A teraz idź już sobie.

Mistyczna Dama kłamała jak z nut i wiedziała, że dziewczyna zdaje sobie z tego sprawę. W normalnej sytuacji ukryłaby kłamstwo równie przekonująco jak każda inna wróżka, ale tym razem nie zdołała. Jej reakcja jasno dowodziła, że coś wie, a Jessica nie miała zamiaru poddać się bez walki.

- Gówno prawda! Pani coś widziała. Dobrze radzę, żeby mi pani powiedziała, o co chodzi. Bo jakby co, potrafię być naprawdę wredna! WIĘC GADAJ, COŚ TAKIEGO ZOBACZYŁA?!

Kiedy dziewczyna wykrzyczała ostatnie słowa, Mistyczna Dama aż podskoczyła. Czuła, że jej serce łomocze w zatrważająco szybkim tempie. Miała wrażenie, że tłucze się o mostek tak, jakby chciało wyrwać się z piersi.

- W... widziałam Bourbon Kida. On tu idzie. Idzie tutaj w tej chwili. Dlatego musisz uciekać. Może nas dopaść lada moment.

- Naprawdę? - Jessica wydawała się zaskoczona. - Czy ty mnie aby nie okłamujesz? - Obserwowała bacznie reakcję Mistycznej Damy, sprawdzając, czy nie kłamie.

- Nie. Mówię szczerze. To wszystko, co zobaczyłam. Nie chcę tu widzieć tego człowieka. Proszę, idź już sobie.

- Ale dlaczego chce mnie zabić?

- Nie wiem. A teraz wyноś się, dla własnego dobra!

Jessica wstała z krzesła. Ta szurnięta stara Cyganka nie kryła, że za wszelką cenę chce się jej pozbyć, mimo to zaryzykowała ostatnie pytanie.

- Jesteś pewna, że nie widziałas nic więcej? - rzekła spokojnie. - No wiesz... o mnie?

- Nie. Przykro mi. Nie jestem w stanie ci pomóc. Idź już, proszę!

W głosie wróżki zabrzmiała nieodwołalna nuta; z ulgą zobaczyła, że Jessica rusza do wyjścia. Dziewczyna nie wydawała się szczególnie wystraszona tym, czego się właśnie dowiedziała. Raczej miała mętlik w głowie.

- Żegnaj, Jessico! - zawołała za nią Mistyczna Dama. - Baw się dobrze w czasie Festiwalu Księżycowego, dopóki jeszcze trwa.

- A, dzięki. Ty też żegnaj... Annabel.

- Słucham?! Jak mnie nazwałaś?!

- Annabel. Przecież tak masz na imię, prawda? Annabel de Frugyn?

Wróżka wyjątkowo niechętnie zdradzała swoje nazwisko. Przede wszystkim łatwo mógłby ją wytropić na przykład poborca podatkowy, dlatego też poza jej najbliższymi mało kto wiedział, jak naprawdę się nazywa.

- Tak. Rzeczywiście, tak się nazywam, ale skąd ty o tym wiesz?

Jessica zmierzyła Mistyczną Damę wzrokiem, który świadczył, że ona także potrafi zatrzymywać informacje dla siebie, kiedy tak jej wygodniej. Mimo to postanowiła odpowiedzieć.

- Od Jefe.

Rzuciła to na odchodnym, jakby chciała mieć ostatnie słowo w dyskusji, po czym odsunęła na bok zasłonę z paciorków, otworzyła drzwi frontowe i wymaszerowała z wściekłością. Ku irytacji wróżki, nie zamknęła za sobą drzwi jak należy. Zostawiła je przymknięte, co nie znaczy, że domknięte. Ktoś obcy, kto nie znał tych drzwi, nic by nie zauważył, jednak Annabel de Frugyn znała je dobrze i wiedziała, że nie są zatrzaśnięte tak, jak by sobie życzyła. Niektórzy, zwłaszcza młodzi ludzie, mieli zwyczaj niedomykania drzwi, co w środku nocy było ze wszech miar niepożądane. Wprawdzie nie ciągnęło jeszcze chłodem, ale to była tylko kwestia czasu. A zresztą i tak musiała zamknąć je na klucz. Jeżeli Bourbon Kid rzeczywiście nadchodził, to najprawdopodobniej ruszy śladem Jessiki, mijając maleńki domek Mistycznej Damy. Mimo to niezamknięcie drzwi na klucz byłoby zwyczajną głupotą.

Normalnie wstałaby i zamknęła je od razu, najpierw jednak chciała szybko przypomnieć sobie rysunek, który zobaczyła w księdze. Sięgnęła pod stół, podniosła czarny kwadrat jedwabiu leżący na tomisku i z powrotem zakryła nim kryształową kulę. Co uczyniwszy, znów sięgnęła pod blat i podniosła księgę. Otworzyła ją na stole i zaczęła szukać strony z rysunkiem przedstawiającym Xaviera. Wertując liczne strony z rycinami w poszukiwaniu tej właściwej, poczuła spodziewany powiew powietrza z dworu, który przerzucił za nią wiele kartek. Nie miała ani czasu, ani cierpliwości, żeby znosić takie utrapienie, wstała więc, żeby zamknąć drzwi, które tymczasem były już niemal otwarte na oścież.

Wyszła za próg, sprawdzając, czy Jessica jest jeszcze w polu widzenia, bo chciała pogrozić jej wściekle za plecami, ale zapóźniony nocny gość przepadł bez śladu. Nie zauważyła innych obcych i z ogromną ulgą przekonała się, że ulica, jak sięgnąć wzrokiem, jest wyludniona.

Wiatr hulał w najlepsze i zamknięcie drzwi wymagało od niej nie lada wysiłku. Kiedy już się z tym uporała, zasunęła wielki, zardzewiały metalowy rygiel i przekręciła w zamku mały srebrny kluczyk tyle razy, aż poczuła opór; teraz już była pewna, że drzwi są zabezpieczone. Ziewnęła, przeciągnęła się, prostując zmęczone ręce, i wróciła do książki.

I nagle, co za okropna chwila, uświadomiła sobie, że nie jest w domu sama. Ktoś stał na wprost niej na środku pokoju, pomiędzy nią a księgą. Ze strachu i z zaskoczenia podskoczyła i dopiero po kilku sekundach uspokoiła się na tyle, by znów zacząć oddychać.

- A ty jakżeś tu wszedł? - spytała imponującą postać, która zagradzała jej drogę.

Intruz nie odpowiedział na to słowami. Przez następne dwadzieścia minut jedynymi

dźwiękami dobiegającymi z domu były tylko wrzaski Mistycznej Damy, lecz zagłuszało je wycie wiatru, który osiągnął siłę huraganu.

W końcu wrzaski Annabel de Frugyn ucichły, kiedy intruz wyrwał jej język z gardła.

Rozdział czterdziesty szósty

Porywacze bezceremonialnie rzucili Jensena na zasypaną słomą, brudną kamienną podłogę; wcześniej ostrożnie przemycili go do stodoły, w której się właśnie znajdował. Detektyw nie miał zielonego pojęcia, gdzie jest, poza tym, że w stodole. O ile się orientował, równie dobrze mogła stać w ogrodzie na tyłach domu w samym centrum miasta, jak i gdzieś pośrodku pustyni. Była wręcz olbrzymia; pod tylną ścianą piętrzyły się aż po sufit bele słomy. Nie miała elektryczności, a że zapalenie świec w tak starej drewnianej konstrukcji zakrawałoby na jawną głupotę, za całe oświetlenie służył blask księżyca, wpadający przez otwarte drzwi.

Gdy Jensen leżał na podłodze, dwaj potężni mężczyźni kopnęli go kilka razy, raczej po to, żeby go zdenerwować, niż sprawić mu ból. Po krótkiej, nie aż tak dokuczliwej kopaninie podnieśli go, cisnęli na stos słomy i posadzili, opartego plecami o następne bele. Potem jeden z nich wyrwał mu na siłę knebel z ust. Teraz przynajmniej mógł odetchnąć głęboko, żeby choć trochę uspokoić nerwy.

Korzystając z tego, że do środka wpadało nieco światła i że w końcu łatwiej mu było oddychać, nareszcie miał szansę przyjrzeć się porywaczom. Mimo że ich twarze wciąż były częściowo ukryte w cieniu, rozpoznał obu ze zdjęć, które miał w swoich ściśle tajnych rządowych aktach. Byli to siepacze El Santina: Carlito i Miguel. Obaj nosili czarne garnitury i czarne koszule pod marynarką, niczym służbowe mundury. W tych stronach wszyscy wiedzieli, że ci dwaj zawsze pracują razem. Krążyły pogłoski, że to homoseksualiści, którzy nie znoszą rozstań i są bezwzględnie lojalni wobec siebie. Bardziej lojalni byli jedynie wobec swojego szefa El Santina, który podobno traktował ich jak ojciec. Szczerze mówiąc, istniała realna możliwość, że rzeczywiście był ich ojcem. Ta para zajmowała wysokie miejsce na liście potencjalnych wampirów Jensena. Jeśli zaś El Santino był królem wampirów, to ci dwaj byli jego najwyższymi kapłanami, którzy odwalali dla niego brudną robotę. Obecnie ich brudna robota polegała na przesłuchaniu Milesa Jensena, pozbyciu się jego zwłok, albo na jednym i drugim.

- No dobra - odezwał się Carlito; jego mowa ciała i agresywna postawa świadczyły, że to on dominuje w tym tandemie. - Coś ty, kurwa, robił, schowany w krzakach przed posiadłością El Santina?

Jensen wiedział, że najpierw musi spróbować wcisnąć im kit. Pewnie się zorientują, że

kłamie, gdyby jednak zdołał ich przekonać, że nie obserwował rezydencji El Santina, miałby chociaż niewielką szansę, że ujdzie z życiem, a przynajmniej będzie mógł grać na czas, dopóki Somers nie wykombinuje, gdzie go szukać.

- Wysiadł mi samochód, więc siedziałem w krzakach i czekałem, a nuż ktoś będzie przejeżdżał i mi pomoże - odparł ze spokojem, który zaskoczył nawet jego samego. - Ale nikt się nie trafił. Nie przejeżdżał ani jeden pojazd. Właśnie miałem się położyć i przespać w tych zaroślach, kiedy się nawinęliście.

Przez kilka długich, bolesnych sekund żaden z nich nie kwapił się z odpowiedzią. Obaj długo wpatrywali się twardym wzrokiem w jego twarz, szukając najmniejszych oznak świadczących o tym, że kłamie. Ze związanymi na plecach rękami trudno mu było usiedzieć w pozycji, w jakiej go posadzili, skwapliwie skorzystał więc z tej okazji, żeby - niby przypadkowo - przewrócić się na bok, odsuwając na chwilę presję przesłuchania. Miguel szybko wysunął się zza prawego barku Carlita, posadził Milesa z powrotem na belach słomy i na dokładkę trzasnął go na odlew w twarz. Carlito zrobił krok w przód, nakrył dłonią usta więźnia, po czym mocno ścisnął jego policzki.

- Słuchaj no, ty skretyniały czarny skurwielu - powiedział. - Wiemy, kim jesteś. Jesteś jebanym gliniarzem i nazywasz się Miles Jensen. - Puścił jego policzki i pchnął go do tyłu. Głowa detektywa uderzyła o stertę słomy za jego plecami.

- Tak, jasne - odparł niezłe wkurzony Jensen. Słowa o „czarnym skurwielu” doprowadziły go do białej gorączki. W żadnym wypadku nie tolerował obelg na tle rasistowskim, a zwłaszcza gdy pochodziły od jakiejś cholernej cioty. - Ja też wiem, kim jesteście - ostrzegł ich.

- Tak?

- A tak. Ty jesteś jebany Carlito i z tego, co wiem, jebiesz też swojego kumpla Miguela. W każdym razie tak stoi w waszych aktach.

Ani Carlito, ani Miguel w najmniejszym stopniu nie speszyli się bezczelną ripostą detektywa. Gorzej, Carlito nawet uśmiechnął się do niego.

- Uważaj, bo za chwilę to Carlito i Miguel będą jebać Milesa Jensena - odciął się. - A teraz nawijaj mi tu, czarny bracie, dlaczegoś miał oko na dom El Santina? Co miałeś nadzieję znaleźć? Tylko mi nie kłam. Potrafię poznać, kiedy ktoś mnie okłamuje, więc zanim odpowiesz, dobrze się zastanów. Bo po każdym kłamstwie urznę ci jednego pieprzonego palucha.

Nie takich słów Jensen oczekiwał, nie to spodziewał się usłyszeć. Dotychczas nie miał do czynienia z torturami fizycznymi polegającymi na amputacji palców i z całą pewnością nie

miał ochoty zapoznać się z tym obecnie. W rezultacie następne słowa dobierał nadzwyczaj starannie.

- Nic. Dokładnie to znalazłem. Nic. To jak, mogę już iść? Proszę.

- Nic z tego. - Carlito pchnął Miguela w kierunku detektywa. - Przeszukaj mu kieszenie. Zobacz, czy nie ma przy sobie aparatów fotograficznych albo jakichś urządzeń podsłuchowych.

Miles został poddany przez Miguela brutalnej rewizji osobistej; bandyta szybko znalazł jego telefon komórkowy, legitymację służbową i pager, który rzucił na podłogę; telefon i odznakę przekazał Carlitowi.

- I co o tym myślisz? - zapytał kompana.

- Chyba nie pracujesz sam, co, detektywie Jensen? - rzekł Carlito, patrząc na telefon, który trzymał w ręku. Otworzył klapkę, przejrzał książkę adresową i westchnął z zadowoleniem. - Proszę, proszę, a więc twoim partnerem jest detektyw Archibald Somers, hę? No, to dopiero jest ciekawostka. Mówił ci już o swojej teorii na temat Bourbon Kida?

- Parę razy.

Carlito wybuchnął śmiechem.

- Taaak, stary Somers to niezły model, co nie? Wszystkiemu zawsze winien jest Bourbon Kid. Wiesz, że przez niego omal sam w to nie uwierzyłem. Ma na tym punkcie niezłego bzika, co?

- Owszem - przytaknął spokojnie Jensen. - Ale powiem ci coś jeszcze. To znakomity fachowiec. I wie, że tu jestem. Lada chwila zaroi się tu od glin.

Blefował i miał wrażenie, że Carlito zdaje sobie z tego sprawę.

- Oczywiście. - Bandyta uśmiechnął się. - Miguel, dotrzyмай towarzystwa naszemu Axelowi Foleyowi, a ja skoczę zadzwonić do szefa.

- Sie robi. Z miłą chęcią.

Carlito wyszedł ze stodoły, po drodze wystukując jakiś numer na komórce detektywa. Przez kilka minut Miles siedział niewygodnie, bo Miguel pochylał się nad nim i gapił niczym jaskiniowiec, który po raz pierwszy zobaczył czarnego człowieka.

W końcu, po jakichś pięciu minutach, Carlito wrócił do stodoły, pchając przed sobą taczki, na których stał podparty strach na wróble. Straszdyło odziane było w czarną szatę i niski, spiczasty kapelusz, także czarny, ale głowę stanowiła kula ze słomy, bez rysów twarzy. Carlito podjechał z taczkami do Jensena i zatrzymał je parę kroków od coraz bardziej zaniepokojonego detektywa.

- No i cóż pan detektyw Miles Jensen nam powie? Słyszałeś kiedyś o kłątwie stracha na

wróble w Santa Mondega? - zapytał.

Miguel zachichotał, jak gdyby w słowach Carlita kryło się coś zabawnego.

- Nie. Nie powiem, żebym o niej słyszał - odparował Jensen. - I wcale mi się nie pali, żeby dowiadywać się o tym teraz.

Carlito znów pchnął Miguela w kierunku jeńca.

- Przywiąż go mocno do tej wiązki słomy, na której siedzi. Tylko tak, żeby nie mógł się ruszyć.

Miguel bez zwłoki wziął się do dzieła i przywiązał skrepowane na plecach ręce Jensena do beli słomy. Starał się robić to jak najbrutalniej - najwyraźniej czerpał z tego wielką przyjemność. Kiedy z zadowoleniem ukończył robotę, odsunął się, by w całej krasie podziwiać swoje dzieło.

- Opowiedz mu historię o strachu na wróble - powiedział, uśmiechając się szeroko do Carlita.

Ten zbliżył się do Jensena i pochylił się nad nim, żeby detektyw słyszał go wyraźnie, a i miał okazję poczuć ciepło jego oddechu.

- Detektywie Jensen, jak sami dobrze wiecie, mamy tu w Santa Mondega pewien problem z żywymi trupami.

- Tak?

- Tak. A ty obszczekujesz drzewo starego wampira, może nie?

Miles uznał, że lepiej nie odpowiadać. Spodiewając się tego, Carlito ciągnął, jakby nigdy nic:

- Widzisz, przyjacielu, żywe trupy w Santa Mondega to nie tylko wampiry. Codziennie, o północy, ozywają na godzinę słomiane straszdyła... i muszą się czymś posilić! A nic im nie smakuje tak jak czarnuchy. Właśnie dlatego w Santa Mondega prawie nie ma twoich czarnych braci. Strachy na wróble za nimi przepadają, kapujesz? - Przytrzymał telefon komórkowy Jensena przed jego twarzą, a potem upuścił mu go na kolana. - Nastawiłem budzik na pierwszą w nocy, kiedy kończy się godzina duchów. Jeżeli go usłyszysz, to znaczy, że wciąż żyjesz i że strachy na wróble cię polubiły. A jeśli nie... no cóż, to znaczy, że wtedy już będziesz martwy. - Odwracając się do wyjścia, dorzucił: - Więc jeśli pan Strach na Wróble się obudzi, przekaż mu od nas pozdrowienia.

Opuszczając stodołę, Carlito i Miguel zanosili się śmiechem. Patrząc na pustą słomianą twarz stracha na wróble, który gapił się na niego bez wyrazu, Miles słyszał, jak w drodze do samochodu, zadowoleni z siebie, gratulują sobie nawzajem.

A to ci para wesołków, jeden w drugiego, pomyślał. Strachy na wróble, które ozywają o

pólnocy i pożerają mieszkańców miasteczka? Przecież to śmieszne!

Rozdział czterdziesty siódmy

Jessica umówiła się z Jefe w Lelku-Kufelku, lecz kiedy tam dotarła, wcale nie była pewna, czy ma ochotę wejść do środka. Lokal był otwarty, a jakże, o czym świadczyły zapalone w środku i na zewnątrz lampy, ale nie dostrzegła w nim żywej duszy. Jefe zapewniał ją, że bar będzie tętnił życiem aż do świtu, tymczasem nic na to nie wskazywało. Z zewnątrz Lelek-Kufelek sprawiał wrażenie kompletnie wymarłego. Nie grała muzyka, nie dolatywały żadne głosy. Na ulicy nie zataczał się ani jeden zamroczony alkoholem pijak, czego należało się spodziewać o tej porze. W głowie Jessiki wciąż telepało się pytanie: „Dlaczego?”. Musiała się dowiedzieć, co spowodowało, że lokal jest wyludniony, skoro powinien być teraz pełen tęgich pijaków.

Podeszła, żeby zajrzeć do baru przez jedno z wysokich, wąskich okien z przyciemnionego szkła. Żeby cokolwiek zobaczyć, musiała przycisnąć twarz do szyby. Przez ciemne szkło ujrzała tylko jednego mężczyznę, popijającego samotnie przy kontuarze. Ani śladu barmana czy innych klientów. A przede wszystkim ani śladu Jefe.

Przez chwilę rozważała dostępne opcje. Mogła pójść w dalszą drogę, do Tapioki, i sprawdzić, czy nie ma tam Jefe, albo rzucić się na głęboką wodę, wejść do Lelka-Kufelka i zapytać człowieka przy barze, czy przypadkiem nie widział gdzieś łowcy nagród. Właśnie miała podjąć decyzję, gdy naraz zobaczyła, że cała podłoga złana jest krwią. W dodatku zauważyła plamy krwi na gołych, wytatuowanych ramionach mężczyzny przy kontuarze.

Jak gdyby wyczuwając, że ktoś go obserwuje przez okno, mężczyzna odwrócił się i spojrzał prosto na nią. Nie uśmiechnął się, nie łypnął na nią wilkiem - po prostu. Jessica doszła do wniosku, że czas zniknąć mu z oczu, więc cofnęła się w ciemność, żeby jej nie widział. Pomyślała, że widocznie Jefe poszedł do Tapioki. O tej porze był to jedyny wciąż otwarty lokal, gdzie można się było napić. A jeżeli go tam nie znajdzie, mogła spokojnie założyć, że wrócił do hotelu i czeka na nią w pokoju, który teraz już z nim dzieliła.

Rodeo Rex popijał samotnie mniej więcej od godziny. Od czasu incydentu z masakrą wampirów nikt nie ośmielił się wejść do Lelka-Kufelka. Nawet ci, którzy nie wiedzieli, co tam się stało, mieli dość rozumu, by zajrzeć do środka przez okno, a potem ruszyć w dalszą drogę, do Tapioki. Barman nie pojawił się ani razu, odkąd Rex, w niewyszukany sposób,

kazał mu spadać. Pozostał na zapleczu, a może nawet poszedł spać.

Rex niespecjalnie przejmował się nieobecnością barmana. Dopiero co zabił dwóch byłych hubalan - mnichów, którzy zamienili się w wampiry - a w dodatku zrobił to w barze pełnym klientów, na oczach wszystkich. Nie da się ukryć, że według wszelkiego prawdopodobieństwa ponad połowę klienteli Lelka-Kufelka stanowiły wampiry. Widok tego, jak zabijał Mila i Hezekiaha, wystarczyłby aż nadto, żeby wystraszyć pozostałe żywe trupy, nie mówiąc już o zwykłych śmiertelnikach. Z drugiej strony, gwarantowało to jedną rzecz - zwiększało szanse, że w barze pojawi się więcej żywych trupów. Nie ulegało wątpliwości, że stawia się o wiele liczniej, całą gromadą.

Rex nie miał jednak pewności, czy zjawi się sam Władca Żywych Trupów (choć bardzo by sobie tego życzył). Zabijając Pana Ciemności, w zasadzie zakończyłby swoje dzieło za jednym zamachem. Pozostałe żywe trupy najprawdopodobniej zwałyby do jakiegoś innego miasteczka. Te kreatury były podszyte strachem, sztuka w sztukę. Wiedząc, że Rex zabił ich przywódcę, nie siedzieliby w Santa Mondega ani chwili dłużej. W ciągu jednej nocy liczba ludności miasta wyraźnie by się zmniejszyła.

Olbrzym wychylał kolejkę za kolejką, a mimo to nie mógł się pozbyć uczucia niepokoju. Od czasu, gdy kilka godzin wcześniej w barze kawowym w namiocie boksterskim zobaczył faceta, o którym dowiedział się, że to Bourbon Kid, czuł się zdecydowanie nieswojo. Cofnął się wspomnieniami do dnia sprzed kilku lat, kiedy po raz pierwszy zobaczył Kida. Wtedy nie miał pojęcia, że człowiekiem, którego wyzwał, żeby spróbował się z nim na rękę, jest właśnie Bourbon Kid. W tamtych czasach znano go pod innym nazwiskiem. Jakże mu było, do kurwy nędzy? Rex myślał nad tym przez dobre kilka minut, ale nie mógł sobie przypomnieć. A zresztą, co za różnica? Teraz Kid i on znowu znaleźli się w tym samym mieście, więc nadarzała się okazja, żeby wziąć odwet za tamtą porażkę.

Poprzednim razem Rex wpadł na Kida w nędznym, zadymionym starym barze mieszczącym się w tak zwanej dzielnicy czerwonych świateł w Plainview, w stanie Teksas. Kid gotów był zmierzyć się na rękę z każdym ochotnikiem i bez problemu wygrywał wszystkie pojedynki, przy okazji zarabiając na tym niezłą kasę. Rex ochoczo rzucił na stół jakąś sumę i przyjął wyzwanie. Spodziewał się łatwej wygranej, bo już od dziecka, aż do tej pory, ze wszystkich zmagani siłowych wychodził zwycięsko. Tyle że cały ten plan wziął w łeb. Jego przeciwnik (który, o czym dowiedział się dopiero dzisiaj, był najbardziej poszukiwanym człowiekiem w Santa Mondega) przez niemal czterdzieści minut stawiał wręcz nadludzki opór w pojedynku, który zdążył już obrosnąć legendą. Ich zmagania zwały się dosłownie setki widzów. Im dłużej trwał ten bój, tym bardziej przybywało kibiców i tym

większe sumy przechodziły z rąk do rąk, gdy ludzie stawiali ciężko zarobione pieniądze na zwycięzcę.

Wyglądało na to, że pojedynek będzie się toczył przez całą noc, bo żaden z zawodników nie chciał ustąpić ani o włos. W pewnej chwili, jak gdyby znudzony całą tą sytuacją, Bourbon Kid rozluźnił rękę i Rex walnął jego dłonią o stół, odnosząc najbardziej pamiętne w swojej karierze zwycięstwo.

W tym momencie sprawy przybrały naprawdę kiepski obrót. Ten facet, który w trakcie całej walki nie odezwał się ani słowem, nie puścił dłoni Rekxa. Przeciwnie - ścisnął ją mocniej. Coraz bardziej. A potem jeszcze docisnął. Spoglądając na swoją metalową dłoń, Rex za każdym razem przypominał sobie tamten ból. Uścisk Kida był tak mocny, że zmiążdżył wszystkie kości dłoni Rekxa, który odchodził od zmysłów z bólu. A potem, ani nie gratulując mu wygranej, ani nie przepaszając za to, co zrobił po zakończeniu pojedynku, Kid wstał i jakby nigdy nic, opuścił bar. Rex sprawną ręką zgarnął wygraną i pojechał do szpitala, gdzie, gwałtownie protestując, patrzył przerażony, jak amputują mu zmiążdżoną dłoń, żeby uratować pozostałą część ręki. Tego dnia poprzysiągł zemstę swojemu przeciwnikowi, gdyby jeszcze kiedyś miał okazję go spotkać.

Przez kilka miesięcy po tym incydencie konstruował dla siebie metalową dłoń, bo chciał mieć pewność, że gdy ich ścieżki skrzyżują się ponownie, to Kid wyląduje ze zmiążdżoną dłonią. Zazwyczaj, kiedy po kilku kieliszkach wracał pamięcią do tamtego dnia, przepełniała go wściekłość i gorycz, dziś jednak zwiększało to tylko jego niepokój. W Santa Mondega szykowała się jakaś większa draka, taka, jakiej jeszcze nie było. Co do tego nie miał wątpliwości.

Zabicie kilku wampirów zdecydowanie powinno poprawić mu nastrój. Załatwienie ich poszło całkiem gładko, ale czegoś mu brakowało. Mało tego, szósty zmysł podpowiadał, że nie były to ostatnie zabójstwa tego wieczoru. A co najgorsze, dręczyło go to potworne wrażenie, że ktoś go obserwuje. W pewnej chwili obejrzał się i zobaczył, że jakaś kobieta patrzy na niego przez okno. Jej twarz wkrótce rozmyła się w mroku nocy, a jednak było w niej coś, co trąciło jakąś strunę w jego pamięci. Ta kobieta wydawała się znajoma. Był pewien, że kiedyś już ją widział. Ale gdzie? Bourbon Kida poznał natychmiast, ale ta dziewczyna...? Nie mógł skojarzyć jej twarzy. W swoim czasie poznał setki ślicznych młodych dziewcząt, a sądząc z tego krótkiego rzutu oka przez szybę, ta była jedną z najładniejszych. Niestety, wlał w siebie już tyle whisky, że nie potrafił sobie przypomnieć, skąd ją zna. Świącie wierzył, że rano poskłada, co i jak, a to, że w tej chwili nie potrafi tego rozwikłać, uznał za najlepszy dowód, że nie powinien pić dalej.

Berkley, barman w Lelku-Kufelku, wciąż był wkurzony tym, jak go potraktował Rodeo Rex, ale miał dość rozumu, żeby nie podskakiwać komuś, kto potrafi zabijać wampiry tak bezwzględnie i skutecznie jak siedzący przy kontuarze olbrzym.

Przez dwie godziny tkwił więc na zapleczu i oglądał telewizję, a tymczasem przy barze Rex racył się trunkiem za darmo. Co jakiś czas dolatywały go krzyki i trzask ciskanych krzesel. Berkley wykombinował, że Rex albo odstrasza potencjalnych klientów, albo coraz bardziej zalewa ryło i demoluje mu lokal ot tak, dla zabawy.

Szczególnie głośny i gromki rozgardiasz nastąpił jakieś pół godziny temu; brzmiało to tak, jak gdyby Rex dawał popalić następnemu wampirowi. Ale od tej pory panowała kompletna cisza. Nie pisnął nawet żaden ze szcurów, które jakże często grasowały wokół kontuaru. Pół godziny ciszy i spokoju wystarczyło, by barman uznał, że Rex postanowił wreszcie zakończyć ubaw i wrócić do domu. Dlatego też zdecydował się zaryzykować i sprawdzić, czy może już bezpiecznie wrócić i zamknąć lokal.

Wysunął więc głowę za drzwi i zerknął na salę. Jak przedtem, tak i teraz przy barze siedział jeden człowiek, tyle że nie był to już Rodeo Rex. To był ktoś gorszy, znaczenia gorszy.

O wiele, wiele gorszy!

Berkley poczuł, że włosy jeżą mu się na karku. Na stołku przy kontuarze usadowił się człowiek w kapturze. Barman rozpoznał go natychmiast, chociaż widział tylko raz w życiu. Pięć lat wcześniej ten człowiek wszedł do lokalu i wystrzelał wszystkich klientów, oszczędzając tylko przerażonego Berkleya. Od tej pory plotkowano, że podobno dawno już go zabili, ale jak widać, te plotki to były jedynie pobożne życzenia. Przy barze w Lelku-Kufelku siedział Bourbon Kid. To nie ulegało wątpliwości.

- Coś kiepska ta obsługa dziś wieczór - odezwał się Kid, zsunął kaptur i odsłonił twarz.

Niewiele się zmienił od czasu, gdy Berkley widział go ostatnio. Włosy mu nieco pociemniały, a skóra na twarzy stwardniała, może od częstego przebywania na słońcu. Ale pomyłka nie wchodziła w rachubę, to z całą pewnością był Bourbon Kid. Berkley doszedł do wniosku, że to raczej kiepsko. Zapadła niezręczna cisza, bo barman nie bardzo wiedział, jak odpowiedzieć Kidowi na uwagę o opieszałości obsługi. W pierwszej chwili pomyślał nawet, że byłoby uprzejmie z jego strony podziękować, że Bourbon Kid nie zastrzelił go pięć lat temu, w końcu jednak uznał, że lepiej nie podsuwać takich pomysłów temu cokolwiek nieprzewidywalnemu osobnikowi.

Spojrzał nad ramieniem Kida na zdemolowany lokal. Wszędzie walały się połamane i porzucane krzesła i stoły. Wszystko ociekało krwią. Kurde, co za bajzel, rano będę to

musiał posprzątać, pomyślał. Zakładając, rzecz jasna, że szczęście mu dopisze i rano będzie jeszcze wśród żywych, bo na razie miał przed sobą największego masowego mordercę w historii tej okolicy. Temu klientowi nie powinien kazać czekać.

- A, tak, przepraszam. Czego pan się napije? Dzisiaj wszyscy piją na koszt firmy.

- To miło. Skoro tak, napiję się bourbona. Tylko lej pan do pełna.

O żeż kurwa! Ostatnim razem też się od tego zaczęło! Berkley sięgnął pamięcią pięć lat wstecz, kiedy to Bourbon Kid pojawił się w jego barze. Podał mu wtedy bourbona, w ogóle się nad tym nie zastanawiając. W końcu skąd miał wiedzieć, że facet ma problem z alkoholem? Tymczasem gdy tylko Kid wychylił szklanekę, kompletnie mu odbiło i wykosił wszystkich z wyjątkiem Berkleya, któremu kazał polewać dalej, przez następną godzinę czy coś koło tego. Nawet przybycie ciężarówek wyładowanych uzbrojonymi policjantami nie zrobiło na nim najmniejszego wrażenia. Przestał tankować na chwilę, żeby się z nimi rozprawić, aż w końcu zabrakło gliniarzy, bo żaden nie miał odwagi wyściubić nosa. Przez ten czas Berkley głównie nurkował pod ladę, żeby nie trafiła go zbłąkana kula, i tylko czasami wychylał się, by uzupełnić zawartość szklanki Kida.

Było, minęło; teraz, pięć lat później, Berkley nie mógł przecież kazać czekać Kidowi, podał mu więc najlepszy bourbon, jaki miał na składzie, z dwiema kostkami lodu.

- I co pan porabiał przez ten czas? - zapytał z nadzieją, że w ten sposób chociaż na chwilę powstrzyma Kida przed wychyleniem trunku.

Jedyny klient w barze podniósł szklanekę i wpatrzył się w jej zawartość ostrym wzrokiem. Był to najprzedniejszy bourbon, jaki mieli w lokalu, więc taki koneser z pewnością musiał to docenić.

- Nie tykałem gorzałki - odparł.

- No i dobrze. Ile to już czasu?

- Pięć lat.

O Chryste Panie! - pomyślał Berkley. Ostatnim razem facetowi odbiło po jednej kolejce. Skoro więc od pięciu lat nie łyknął ani kropelki, na pewno od razu pójdzie mu do głowy. Lepiej go od tego odwieść.

- No, no! - rzucił z podziwem. - Wie pan, jakbym ja nie pił przez pięć lat, to pewnie nie chciałbym zaczynać od nowa. Nigdy więcej. Ani bym nie powąchał. Na pewno chce pan tego bourbona? Może lepiej na początek weźmie pan coś lżejszego... bo ja wiem, lemoniadę?

Kid przestał się wpatrywać w zawartość szklanki i spojrzał na barmana. Był wyraźnie poirytowany, co Berkley przyjął z wielkim niepokojem.

- Posłuchaj no, przyjacielu - zazgrzytał ochryply głos. - Wpadłem tu, żeby spokojnie się

napić. I nie mam ochoty zawracać sobie głowy pogaduszkami o niczym. Po raz pierwszy od pięciu lat walnę sobie coś mocniejszego. Wybrałem twój bar dlatego, że jest pusty, ale skoro już tu jestem, nie podobają mi się dwie rzeczy.

- Jakże? - spytał Berkley z nadzieją, że obie usterki łatwo da się naprawić.

- Po pierwsze, wkurza mnie tutejsza obsługa. Nigdzie na świecie nie musiałem w barze czekać tyle czasu na drinka. Powinieneś nad tym popracować.

- Nie no, jasne. J... ja... naprawdę bardzo przepraszam.

- Na początek dobre i to. A druga rzecz, która mi tu przeszkadza, to kapanie. Mógłbyś coś z tym zrobić?

Berkley nie słyszał żadnego kapania, więc nastawił uszu. Mniej więcej po pięciu sekundach doleciał go łagodny plusk. Dobiegał gdzieś zza Bourbon Kida. Barman spojrzał nad ladą i zobaczył na środku podłogi kałużę krwi. Zapewne była to pozostałość po jednym z dwóch wampirów, którzy tego wieczoru zakończyli swój trupi żywot. A jednak, kiedy na nią patrzył, kolejna kropla krwi spadła z rozbryzgiem na kałużę, wydając cichy plusk. A to skąd się wzięło? - pomyślał Berkley, spojrzał na sufit i znalazł odpowiedź. Natychmiast zresztą tego pożałował. Dokładnie nad rozlaną na podłodze krwią wisiał na suficie wentylator. Typowy, przemysłowy wentylator z metalu, jakie wisiały w większości barów w Santa Mondega. Obracał się powolutku, częściowo dlatego, że zawsze wirował powoli, a częściowo dlatego, że oplatały go zwłoki Rodeo Reksa. To jego krew kapiała na podłogę. I to nie z jednej rany, bynajmniej. Rex miał puste oczodoły, a język wyrwany z gardła. Z jego rąk i nóg zwisały strzępy ciała. Klatka piersiowa olbrzyma stanowiła jedną krwawą miazgę, tu i tam zakrytą resztkami poszarpanego ubrania. Nie był to miły dla oka widok, a na myśl, że lada chwila sam może skończyć tak samo, barmanowi nogi zmieniły się w galarete. Zanim się obejrzał, stracił równowagę i upadł za barem, przy okazji waląc głową o jedną z drewnianych półek za plecami. Średni pomysł, zważywszy na okoliczności. Odetchnął głęboko kilka razy i dźwignął się na nogi.

Kiedy już doszedł do siebie, postanowił nie patrzeć więcej na sufit i zwłoki. Obserwował za to, jak Bourbon Kid wychyla duszkiem bourbona i z trzaskiem odstawia pustą szklanekę na blat.

- Eee, może jeszcze jednego? Co pan na to? - zapytał Berkley.

Bourbon Kid pokręcił głową. Nagle sięgnął pod płaszcz i wyjął pistolet. Kurewsko wielki pistolet. Berkley widywał już większe, ale żaden z nich nie wyglądał tak prawdziwie, tak zajebiście groźnie. Kid wycelował w głowę nieszczęsnego barmana. Berkley czuł, że każdy, nawet najmniejszy mięsień w jego ciele dygocze. Gdyby spróbował błagać o litość, i tak z

przerażenia wydałby co najwyżej mysi pisk. Sparaliżowany strachem, zajął wylot lufy i patrzył, jak Kid celuje i pociąga za spust.

PIF!

Reperkusje tego strzału odbijały się echem w promieniu wielu kilometrów i przez całe długie lata. Bourbon Kid powrócił. I chciał się napić.

Rozdział czterdziesty ósmy

Atmosfera w Tapiocce była nieco napięta, i to od dobrych dwóch godzin. Odkąd pojawił się Jefe i zaczął tankować samotnie, Sanchez czuł, że coś paskudnego wisi w powietrzu. Jeszcze zanim pociągnął pierwszy łyk piwa, łowca nagród był w wyjątkowo podłym nastroju, a każdy następny haust tylko pogarszał jego paskudne samopoczucie. Sanchez składał to na karb tego, że nadal nie udało mu się odzyskać Oka Księżyca i że będzie musiał przyznać się do tego przed El Santinem albo czym prędzej wynosić się z miasta. Jefe siedział sam przy końcu kontuaru, wlewając w gardło piwsko za piwkiem i obrzucając obelgami każdego, kto ośmielił się zbliżyć na kilka kroków. Poza tym otoczył się chmurą dymu, bez przerwy paląc cygara lub cygaretki, jakie tylko mu wpadły w łapy.

Kontuar w Tapiocce był długi na dobre trzydzieści metrów, z czego przynajmniej połowę po lewej Jefe miał tylko dla siebie. Po drugiej stronie lady siedziało na stołkach sześciu wyjątkowo niesympatycznych drabów - wielkich, włochatych Aniołów Piekieł, którzy niewątpliwie zjechali do miasta na pojedynki bokserskie, żeby kibicować swojemu idolowi, Rodeo Reksowi. Każdy z nich świetnie sobie radził w bijatykach, ale żaden nie był aż tak głupi, żeby ryzykować zapuszczenie się na stronę baru zajętą przez Jefe. Otaczające go napięcie było równie gęste jak dym i wszyscy w barze wyczuwali to wyraźnie. Klienci podchodzący do lady, żeby zamówić kolejkę, stawali po stronie zajętej przez Aniołów Piekieł, ze strachu, by Jefe nie odebrał innego zachowania jako braku szacunku.

Łowca nagród mniej więcej od dwóch godzin topił smutki w kieliszku, gdy do baru weszły kłopoty, w postaci dwóch potężnych, ubranych na czarno mężczyzn. Sanchez natychmiast rozpoznał Carlita i Miguela. Na widok zgarbionego przy kontuarze Jefe Carlito ruszył wprost do niego; Miguel, jak zawsze, trzymał się o krok z tyłu. Usiedli na stołkach po bokach łowcy nagród.

- Miło cię widzieć, Jefe - rzucił Carlito.
- Walcie się.
- A skąd taka wrogość? Co ty na to, Miguel?
- No, na mój gust nasz przyjaciel Jefe nie cieszy się na nasz widok. Ciekawe dlaczego?
- Nie wiem, Miguel. Może już nie ma tego kamienia? Może gdzieś go zgubił?
- A może ukradł mu go niejaki Marcus Gnida?

Obaj wybuchnęli krótkim śmiechem. Nie był to dźwięk miły dla ucha.

Jefe złapał dłońmi za krawędź lady, podparł się i usiadł prosto.

- A wy skąd wiecie o Marcusie? - warknął.

- Słyszysz się to i owo - odparł Carlito. - Na przykład o tym, jak to szlajasz się z jakąś młodą laską, zamiast wziąć się do roboty i odzyskać to, co straciłeś.

Jefe doskonale potrafił kontrolować stan upojenia alkoholowego. Mimo że zaledwie kilka sekund wcześniej wyglądał na bełkoczącą kupkę nieszczęścia, pierwszy przejaw potencjalnego niebezpieczeństwa wyzwolił w nim zastrzyk adrenaliny, który natychmiast wyrwał go z odrętwienia.

- Posłuchajcie no mnie, buraki. Ja cały czas szukam Oka. Dziewczyna mi w tym pomaga. Jakbyście nie wiedzieli, ma parę dobrych pomysłów. Nie mówiąc o tym, że potrafiłaby skopać wam dupę.

Carlito nie mógł się pohamować i na jego twarzy rozlał się szeroki uśmiech. Bez najmniejszego trudu udało mu się sprowokować Jefe.

- Wiesz co, Miguel? - rzucił drwiąco. - Coś mi się widzi, że nasz Jefe się zabujał. Milusie, no nie?

- Sie wie, Carlito. Szkoda, że to nie potrwa długo. Trudno się w kimś kochać, jeśli się nie ma serca.

- Słuchaj no, mądralo. Zdobędę ten pieprzony kamień - rzekł Jefe, pokazując Sanchezowi gestem, żeby nalał mu następny kufel piwa. - Potrzeba mi na to paru dni, i tyle.

Carlito pokręcił głową.

- Parę dni? Całe dwa dni... Kiepska sprawa, Jefe. Zostało ci mniej więcej dziesięć godzin. El Santino chce mieć ten kamień przed jutrzejszym zaćmieniem Słońca. A wiesz co? Zaćmienie nastąpi jutro w południe. I do tej pory musisz odzyskać kamień.

- Kurwa, a skąd ten pośpiech?

Miguel chwycił Jefe za włosy i odciągnął jego głowę do tyłu.

- Nie twój zasrany interes - powiedział złowróżbnym tonem. - Rób, co do ciebie należy, albo do jutra wieczorem przerobimy cię na siekanę. - Puścił włosy łowcy nagród i z niesmakiem spojrzał na swoją dłoń.

- Na siekanę? Wal się! - Jefe był gotów do draki. Gotów do wywołania rozróby. Nigdy nie pozwalał poniżać się publicznie, nikomu. Nawet takim drabom jak Carlito i Miguel. Pomimo strasznych ilości alkoholu, które w siebie wlał, wciąż jeszcze był ostry. Chwycił dłoń Miguela, ścisnął ją mocno, po czym wstał i stanął twarzą w twarz z nieco wyższym prześladowcą.

- Sam się wal! - prychnął Miguel, którego z każdą sekundą coraz bardziej bolała dłoń.

- Nie, to ty się wal - odburknął Jefe. Puścił Miguela i przysunął twarz do jego twarzy tak blisko, że niemal otarli się szczecinami.

- Zamknijcie się, obaj! - przerwał im Carlito. W ich tandemie to on był mózgiem i to on zawsze decydował, jak daleko się posunąć. - Chodź, Miguel. Chyba wyraziliśmy się jasno. Albo Jefe pojawi się tu jutro przed południem z kamieniem, albo będzie miał dość rozumu, żeby się wynieść z tej planety.

Załatwiwszy z łowcą nagród, co mieli do załatwienia, Carlito i Miguel wyszli szybko frontowymi drzwiami, za co Sanchez był im niezmiernie wdzięczny. Przez pewien czas nikt w barze się nie odzywał. Klienci wiedzieli, że lepiej nie zwracać na siebie uwagi takiego twardziela jak Jefe, zwłaszcza tuż po tym, jak został publicznie zbesztany. Sanchez starał się nawet nie patrzeć na łowcę nagród, który usiadł z powrotem na stołku przy barze i przetrwał to, co właśnie usłyszał od Carlita i Miguela. W każdej chwili groziło, że pod byle pretekstem wyładuje swój gniew na kim innym. Dlatego Sanchez z wyraźną ulgą powitał Jessicę, która weszła do baru niecałe pięć minut po wyjściu obu zbirów.

- Hej, wielkoludzie - odezwała się, dźgając Jefe w plecy. - Co się stało w Lelku-Kufelku? Kiedy tam przyszłam, nikogo nie zastałam. To znaczy nie było tam nikogo oprócz dziwnie wyglądającego faceta i mnóstwa krwi.

- A tak, maleńka - odparł Jefe ze znużeniem, ale w jego głosie zabrzmiała o wiele łagodniejsza nuta. - Wydarzył się tam mały incydent. Rodeo Rex wrócił do miasta i zdaje się, że sprzątnął dwa wampiry.

- Co takiego?

- Zabił dwa wampiry w Lelku-Kufelku. Natychmiast wszystkich stamtąd wymiotło.

Sanchez nie mógł się powstrzymać, żeby nie włączyć się do rozmowy, skoro już trafiła mu się okazja posłuchania negatywnych rzeczy o konkurencyjnym barze.

- Zawsze mówiłem, że Lelek-Kufelek to podła knajpa. Wampiry przesiadują w tej mordowni od lat. Po mojemu, właściciel też jest jednym z nich. Ja ich do mojego baru nie wpuszczam. Krwiożercze szumowiny! A skąpe jak skurwysyn... normalne kutwy!

- Żarty sobie ze mnie robicie? - spytała Jessica z jawnym niedowierzaniem.

- Nie, maleńka, jesteśmy śmiertelnie poważni - odparł Jefe. - Lelek-Kufelek to naprawdę paskudna spelunka.

- Pieprzyć Lelka - fuknęła. - Mówię o wampirach! Czy w tym mieście rzeczywiście mieszkają wampiry?

- Jeszcze jak - przytaknął Sanchez. - To miasto ma problem z wampirami, odkąd sięgam pamięcią. Najstarsi ludzie nie pamiętają, żeby ich tu nie było. Dlatego zawsze miło wiedzieć,

że Rodeo Rex zjechał do miasta. To największy z żyjących zabójców wampirów. Większy nawet niż Buffy.

- A ten Buffy to co za jeden, do kurwy nędzy?

Sanchez i Jefe porozumieli się wzrokiem i pokręcili głowami z niedowierzaniem, zaskoczeni ignorancją dziewczyny.

- Kurde, kobieto, czy ty naprawdę o niczym nie masz pojęcia? - spytał barman.

- Jak widać, nie. Jak to się stało, że do tej pory nikt mi nie powiedział o wampirach?

- Przepraszam, maleńka - rzucił Jefe. - Jakoś się nie złożyło. A szczerze mówiąc, teraz też nie chce mi się o tym gadać. Wracajmy do mnie, co ty na to?

- A nie chcesz się jeszcze napić? Dopiero co przyszłam.

- E, wydudliłem już tyle piwa, że więcej nie zmieszczę. Teraz chcę tylko ciebie, Jess, więc jak będzie? Chodź, wracajmy do hotelu, walniemy się do wyrka, co? - Przy tych słowach puścił do niej oko.

Jessica odplaciła mu szelmowskim uśmiechem i też puściła do niego oko.

- Nie ma sprawy, misiu - odparła. - Hej, Sanchez, dasz nam flaszkę wódki na wynos? Proszę.

Twierdzenie, że barman był deczko zazdrosny o uwagę, jaką Jessica obdarzała Jefe, byłoby grubym niedopowiedzeniem. Wyglądali i zachowywali się coraz bardziej jak regularna para. Ba, gdybym tak wystartował do niej pierwszy! - zadumał się barman. Pieprzony Jefe! Normalny kawał drania. Podał jednak Jessice butelkę wódki na koszt firmy i robił dobrą minę do złej gry. Nie chciał, żeby Jefe zorientował się, że czuje coś do jego kobiety. To by nie było mądre. Patrzył z zazdrością, jak opuszczają bar. Jessica uprzejmie podtrzymywała pijanego Jefe, który wspierał się na jej ramieniu. Cała adrenalina już z niego zeszła i ledwo się trzymał na nogach. Gdyby nie pomoc dziewczyny, z pewnością by się przewrócił.

Kiedy dotarli do drzwi, Sanchez zawołał za nimi:

- Do zobaczenia jutro! I pamiętajcie o paradzie przebierańców!

Jessica odwróciła się i puściła do niego oko.

- Nic się nie martw, Sanchez, już ja się przebiorę. Coś mi się widzi, że spodoba ci się moje wdzianko.

Rozdział czterdziesty dziewiąty

Miles Jensen siedział w niemal grobowych ciemnościach, odkąd Carlito i Miguel zostawili go samego w stodole. Zamknęli za sobą wielkie drewniane drzwi, odcinając i tak mizerny dopływ światła księżyca. Z trudem dostrzegał zarys stracha na wróble, siedzącego przed nim na taczkach. Dochodziła pierwsza w nocy i wkrótce miał się odezwać budzik w jego telefonie.

Detektywa nie zdziwiło, że strach na wróble ani drgnął, a mimo to pragnął, żeby godzina duchów już się skończyła. Niedorzeczna historia Carlita o tym, jak to strach na wróble ożywa, była śmiechu warta, a jednak Jensen czuł, że z każdą upływającą minutą jest coraz bardziej zdenerwowany. W panujących ciemnościach nie był w stanie dojrzeć godziny na telefonie komórkowym, nadal leżącym na jego kolanach, i zaczął powątpiewać w to, czy budzik rzeczywiście jest nastawiony. Sugerując, że nastawił budzik na pierwszą, chociaż wcale tego nie zrobił, Carlito chciał może w ten sposób przedłużyć cierpienia Jensena.

Detektywa wciąż jeszcze bolała głowa po ciosie, jaki zarobił wieczorem, przez co trudniej mu było mieć się na baczności. O niczym tak nie marzył, jak o tym, żeby zamknąć oczy i zdrzemnąć się kilka godzin. Prawdę mówiąc, niemal już przysypiał, kiedy sprzed stodoły doleciało skrzypienie. Instynktownie wciągnął głęboko powietrze przez nos i zatrzymał je w płucach, żeby nie hałasować. Patrząc przed siebie, rozpaczliwie wyteżał wzrok, chcąc sprawdzić, jakie jest źródło tego dźwięku.

Było to skrzypienie drzwi stodoły, które otwierały się bardzo, bardzo powoli. Poznał to po tym, że nagle błysnął promyczek światła księżyca, oświetlając stracha na wróble. Słomiana głowa wyglądała teraz, jak gdyby miała oczy, chociaż wcześniej była pozbawiona rysów twarzy. W tej chwili jednak to nie strach na wróble był głównym zmartwieniem Jensena - detektyw musiał się dowiedzieć, kim jest stojący w progu mężczyzna, spowity mgłą i odcinający się na tle księżycowej poświaty. Facet był wysoki, ubrany, zdaje się, w garnitur i panamę, zawadiacko przekrzywioną na głowie. W prawej ręce trzymał wycelowaną w ziemię broń.

- Somers! To ty? - zawołał Jensen.

Mężczyzna nie odpowiedział. Bez słowa wszedł do stodoły i przymknął za sobą drzwi, zostawiając wąską szczelinę, przez którą wpadało nieco światła księżyca. W sam raz, by detektyw zobaczył, że facet zbliża się ku niemu powoli, unosząc rękę i celując w taczki, na

których siedział bezwładnie strach na wróble. Kiedy znalazł się kilka kroków od Milesa, wycelował pistolet w głowę stracha na wróble.

W tym momencie nastąpiło coś, co mogło kosztować detektywa życie. Rozległ się budzik w jego telefonie komórkowym. Była to melodia z filmu *Superman*, w dodatku przeraźliwie głośna. Trudno powiedzieć, czy to Carlito podkreślił dźwięk w komórce Jensena na cały regulator, czy też sygnał zabrzmiał tak zaskakująco, bo panująca wcześniej cisza była niemal absolutna. Niespodziewany hałas zaskoczył człowieka w panamie, który okręcił się na pięcie i wycelował w detektywa; jego palec na spuście wyraźnie drżał. Facet był wystraszony.

- Jensen, jesteś sam? - wyszeptał ochryple.

- Chryste Przenajświętszy! To ty, Scraggs?

- Tak. Sam jesteś?

- Tak mi się zdaje, jeśli nie liczyć tego pieprzonego stracha na wróble. - Słyszając znajomy głos porucznika Paola Scraggsa, poczuł niewypowiedzianą ulgę.

- Stracha na wróble? Czy to ten tutaj? - spytał zdumiony porucznik.

- No. Słomiany Człowiek we własnej osobie. Proszę cię, mógłbyś mnie rozwiązać?

- Jasne.

Scraggs podszedł i wskoczył na stertę beli słomy, na których siedział Miles. Usadził się za związanym detektywem i tak długo macał dookoła, aż wreszcie dotknął taśmy krepującej dłonie jeńca. A jednak nie próbował jej rozplatać ani przeciąć; najwyraźniej zwąchał okazję do przepytania pojmanego na temat tego, czego się dowiedział.

- A właściwie dlaczego tamci dwaj cię tu przywieźli, Jensen? I dlaczego cię nie zabili? - zapytał.

- Proszę cię, mógłbyś mnie rozwiązać? - jęknął detektyw. Był zbyt zmęczony, żeby poddawać się przesłuchaniu przez kolegę po fachu.

- Dobra, dobra. Uratowałem ci dupsko, więc chyba należy mi się informacja, o co w tym wszystkim chodzi. Prawdę mówiąc, w tych okolicznościach raczej nie masz wyboru. Wiesz, zawsze mogę cię tu zostawić. - Porucznik nawet w najlepszej formie bywał upierdliwy i Jensen nareszcie zrozumiał, dlaczego Somers go nie tolerował.

- Posłuchaj, Scraggs, zostawili mnie tu, żebym umarł. Mówili, że ten strach na wróble ożyje i będzie chciał mnie zabić. W ogóle mi nie wyjaśnili, czego właściwie ode mnie chcą, nic z tych rzeczy.

- Musisz się bardziej postarać, Jensen - odparł Scraggs, zerkając przez ramię na stracha na wróble. - Chyba nie sądzisz, że uwierzę, że cię tu zawlekli bez powodu? Ty coś odkryłeś i moim zdaniem najwyższy czas, żebyś podzielił się swoimi informacjami z nami wszystkimi.

Gdybyś tu zginął, gdyby te dwa zbiry postanowiły cię sprzątnąć, to wszystko, czego się dowiedziałeś o naszym seryjnym mordercy, szlag by trafił razem z tobą. Więc może mi powiesz, na co wpadłeś, zanim stracę cierpliwość?

Próby gliniarza, który usiłował go zastraszyć, nie wywarły na Jensenie najmniejszego wrażenia. Zobaczył coś, coś, co przykuło jego uwagę bardziej niż rozpaczliwe usiłowania porucznika...

- Scraggs...

- Co jest, Jensen?

- Uważaj!

- Co? AAAARGH!

Scraggs był zbyt wolny, żeby zareagować w porę na ostrzeżenie detektywa. Strach na wróble rzucił się na niego w mgnieniu oka. Zerwał się z taczek, na których dotychczas siedział bezwładnie, i wyrzucił go przezartą przez robaki słomianą głową w twarz. Zarzucił mu ręce na kark, pozbawiając gliniarza równowagi. Ten, przykucnięty na stercie słomy za plecami Jensena, poleciał na ziemię, a wczepiony w niego strach na wróble okrywał go niczym tandetny garnitur. Scraggs darł się wniebogłosy, usiłując walczyć z wymachującymi jak cepy kończynami napastnika, którego twarz wpijała mu się w szyję, drapiąc go potwornie w miękką skórę pod brodą.

Zdjęty przerażeniem, Scraggs upuścił broń. Po kilku sekundach wściekłego miotania się i turlania na boki, żeby to paskudne słomiane straszdyło nie ugryzło go ani nie podrapało, w końcu zdołał odepchnąć je na bok i odtoczyć się w prawo, tyle że rąbnął w stertę słomy. Bele zachwiały się, po czym spadły na niego; jedna, szczególnie ciężka, boleśnie wyrznęła go w czoło. Ale najbardziej bolesny moment nastąpił po chwili, gdy rozległ się obłąkańczy rechot. Porucznik rozpoznał go natychmiast. Somers! To on zaśmiewał się w ten irytujący sposób, a teraz zanosił się donośnym śmiechem.

Scraggs stracił bełę słomy z głowy i usiadł. Strach na wróble leżał plecami do góry, tak jak upadł po samotaniu. Jensen tkwił tam gdzie przedtem - siedział związany na stercie słomy. A przed nim, w świetle księżyca, wpadającego teraz przez otwarte na oścież drzwi, stał detektyw Archibald Somers.

- Scraggs, z ciebie naprawdę jest rzadki palant! - rzucił kpiąco. - Mojego partnera związali i zostawili tu na pewną śmierć, a ty go, kutasie jeden, przesłuchujesz. Czyś ty się z głupim na rozum zamienił?

- Somers, ty skończony pojebie! - ryknął Scraggs, gramoląc się na nogi. Doznane przed chwilą upokorzenie sprawiło, że kipiał z wściekłości. Widocznie emerytowany gliniarz

wśliznął się za nim do stodoły i cisnął w niego strachem na wróble, podczas gdy on niczego się nie spodziewał. A to kawał skurwysyna!

- Sam jesteś pojeb, Scraggs - odciął się Somers, wyraźnie zadowolony z siebie. - To, co ci zrobiłem, to nic w porównaniu z tym, co ty zrobiłeś Jensenowi. A teraz rozwiąż go, zanim znów cisnę w ciebie tym uciekinierem z *Czarownika z Oz*.

Przybity i zażenowany porucznik Paolo Scraggs niechętnie wykonał polecenie. Nie śpieszył się bynajmniej, za to z nieskrywaną przyjemnością zdierał taśmę klejącą, wiedząc, jak to boli.

- Dzięki, Somers - odezwał się z ulgą Jensen. - Skąd wiedziałeś, że tu jestem? - Rozmasował nadgarstki, po czym kilkakrotnie otworzył i zacisnął dłonie, żeby pozbyć się sztywności i bólu palców.

- Przyznam ci się, partnerze, że było ciężko, aż wreszcie ten bałwan - wskazał ręką Scraggsa - ten pokopany frajer, zadzwonił na częstotliwości policyjnej do kapitana z pytaniem, czy skoro już jest przed stodołą, to ma wejść i cię przycisnąć.

- Naprawdę? - Miles odwrócił się do porucznika. - Długoś tam czekał na dworze, zanim zdobyłeś się na odwagę, żeby wejść i mnie przycisnąć, co, kretynie skończony?

Scraggs cofnął się i rozejrzał, szukając upuszczonego pistoletu.

- Hej, ja tylko wykonywałem rozkazy, rozumiesz? - odpowiedział z zakłopotaniem. - Skąd mogłem wiedzieć, że masz kłopoty?

- Jesteś kupa gówna, nie detektyw - mruknął Somers. - Chodź, Jensen, zjeżdżajmy stąd. Chyba obaj powinniśmy się przespać. Jutro czeka nas ciężki dzień, zwłaszcza że podobno widziano Bourbon Kida w barze Lelek-Kufelek.

- Tak? I co, znowu kogoś zabił?

- Kilka osób. Opowiem ci o tym po drodze.

- A co z Annabel de Frugyn? - zainteresował się Jensen, wstając i masując obolałe nadgarstki.

- Zabawne, że o to pytasz. Ja też miałem gówniany wieczór, ale jedyne, co mi się udało załatwić, to zdobyć jej pseudonim. W mieście znana jest jako Mistyczna Dama.

- Mistyczna Dama? To kim ona jest, wróżką czy coś w tym guście?

- Ano.

- Dobra jest?

- Gdzie tam, beznadziejna. Gdyby się obudziła obok świętego Mikołaja, nie zorientowałyby się, że to Gwiazdka.

Rozdział pięćdziesiąty

Dante spędził niespokojną noc, na przemian drzemiąc i martwiąc się nadchodzącym dniem, ale przy okazji wykonał kawał roboty umysłowej. Po pierwsze postanowił, że spotka się z Kacy dopiero po ubiciu interesu z mnichami. Nie spodziewał się wprawdzie, żeby go chcieli oszukać, ale na wszelki wypadek wolał nie ryzykować.

Przewidując spotkanie z nimi, wybrał sobie stosowne przebranie na Festiwal Księżycowy - kostium Terminatora, żeby wyglądać na większego twardziela. Facet z wypożyczalni kostiumów namolnie namawiał go na zakup, twierdząc, że jest to jeden z oryginalnych strojów, jakie Schwarzenegger nosił w pierwszej części cyklu. Dante był głęboko przekonany, że gość robi go w konia, ale chciał mu wierzyć, więc wybrał ten ubiór. I faktycznie podziałał, dzięki niemu chłopak nabrał dodatkowej pewności siebie. Paradując w czarnym skórzanym stroju i szpanerskich okularach przeciwsłonecznych, rzeczywiście czuł się jak prawdziwy twardziel. Pod kurtką miał też pistolet, na wypadek gdyby coś poszło nie tak. Wolał nie podejmować niepotrzebnego ryzyka. Mógł przecież wpaść na jakiegoś świra, który zechce zapisać się w historii, wdając się w walkę z Terminatorem.

Kacy zgodziła się zaczekać na niego w motelu, ale swój kostium trzymała w ścisłej tajemnicy. Chciała go zaskoczyć, miał więc nadzieję, że będzie to coś bardzo, ale to bardzo seksownego.

Słońce stało wysoko nad głową, kiedy Dante wyruszył do miasta świeżo zdobytym cadillakiem. Poranne niebo było przejrzyste, niebieskie i nic nie wskazywało na to, że wkrótce mają zapanować ciemności. Chłopak włączył radio i z przyjemnością usłyszał piosenkę *My Sharona* zespołu The Knack. Jazda przy dźwiękach jednego z ulubionych utworów jeszcze bardziej poprawiła mu i tak już świetny nastrój. Kurde, a poza tym wyglądam odjazdowo! Nie pamiętał, czy choć raz w życiu czuł się tak zajebiście. Przejeżdżając przez miasto, zwracał na siebie powszechną uwagę. W końcu nie co dzień widzi się Terminatora, mijającego cię w żółtym cadillacu.

Wszyscy bez wyjątku, których spotkał tego ranka, przebrani byli w karnawałowe kostiumy. Na jakimś rogu stał zabójca z filmów z serii *Halloween* i straszył ludzi, nagabując ich o pieniądze. Sto metrów dalej Dante zobaczył dwóch facetów przebranych za zakonnice, którzy spuszczaali wpierdol gościowi w obszernej, gąbczastej kurtce, czerwonych szortach i czerwonym kapeluszu. Ten świat już całkiem zwariował, skoro nawet Papa Smerf nie może

się wybrać na spacer, żeby nie napadły go dwie wściekłe zakonnice!

Była dopiero jedenasta rano, a po ulicach już taczali się pijani. Festiwal niewątpliwie wydobywał z ludzi wszystko, co najgorsze. Dantego uprzedzano, że wielu miejscowych rzezimieszków, korzystając z przebrania, postrzegało festiwal jako okazję do popełniania przestępstw. Tego tylko brakowało, żeby ktoś zaatakował go, kiedy ma przy sobie Oko Księżycy. Poza tym niepokoił się o Kacy, która pilnowała walizki ze skradzionymi stoma tysiącami dolarów. Siedziała w motelu całkiem sama. Na pewno czuła się zagrożona i wystraszona.

Zwolnił, zatrzymał się na czerwonym świetle na kompletnie pustym skrzyżowaniu i zrobił kilka głębokich wdechów, żeby się uspokoić. Jeszcze dwadzieścia minut i będzie po zawodach. Pozbędzie się przekłętą niebieskiego kamienia, a co ważniejsze, dostanie kolejne dziesięć kawałków, które wraz ze stoma tysiącami z walizki zamierzali z Kacy beztrąsko roztrwonić w ciągu najbliższych kilku miesięcy. Zaplanował, że zwiedzą całą Europę i obejrzą wszystko, co jest do obejrzenia. Wiedział, że Kacy będzie zachwycona tym pomysłem, bo kiedy związała się z nim przed kilku laty, zrezygnowała z podróży po Europie. Teraz będzie miał okazję odplacić jej za wierność i poświęcenie. Zakładając, że uda mu się przeżyć ten ostatni dzień w Santa Mondega.

Czekając na zmianę świateł, rozglądał się po ulicy. Zobaczył olśniewającą blondynkę przebraną za Marilyn Monroe, stojącą w błyszczącej różowej sukience na rogu przecznicy po drugiej stronie skrzyżowania. Wyraźnie interesowali się nią dwaj faceci przebrani za Blues Brothers. Na przeciwległym rogu kręcił się wielki, Elvisopodobny przebieraniec, zrobiony na Króla z późnych lat sześćdziesiątych albo z początku siedemdziesiątych. Ubrany był w błyszczącą czerwoną koszulę ze zdobionymi frędzlami rękawami oraz czerwone „dzwony” z szerokimi żółtymi lampasami po bokach nogawek. Jego oczy skrywały wielkie, charakterystyczne dla Króla okulary przeciwsłoneczne. Sądząc z tego, jak raptownie obracał głową w lewo i w prawo, obserwował ulice, niecierpliwie czekając na kogoś, kto miał po niego podjechać.

Na widok Dantego w żółtym cadillacu Elvis zamarł. W pierwszej chwili Dante pomyślał, że wywarł na nim takie wrażenie swoim strojem, wobec czego posłał mu zza ciemnych okularów surowe spojrzenie, takie, jakie Schwarzenegger stosował w filmach o Terminatorze. Nagle jednak ogarnęła go mania prześladowcza spowodowana tym, że wozi się z cennym kamieniem kradzionym samochodem. A jeśli ten wielbiciel Elvisa poznał samochód? Może to jego wóz? I dlaczego teraz nagle tak pędzi w moją stronę? W mordę, trzeba przeskoczyć na czerwonym świetle. Nie ma co czekać, aż ten wielki, wyraźnie wkurzony Elvis dopadnie go i

narobi kłopotów.

Odjechał z piskiem tylnych opon, zwracając na siebie jeszcze większą uwagę, niżby sobie życzył. Miał wrażenie, że połowa mieszkańców Santa Mondega patrzy, jak przejeżdża na czerwonym świetle, omal nie powodując wypadku, kiedy gówniane, stare kombi w sraczkowatym kolorze zajęchało mu drogę na skrzyżowaniu. Dante za wolno myślał i nie miał cierpliwości, żeby ustępować pierwszeństwa przejazdu, zostawił to więc kierowcy kombi, który jakoś sobie poradził. Kierowca ten (przebrany za egipską mumię i od stóp do głów spowity białym bandażem) ze złością pogroził mu pięścią, gdy jego pojazd omal nie przewrócił się na bok, skręcając gwałtownie, żeby nie zderzyć się z jaskrawożółtym cadillakiem. Dante nie musiał się oglądać, by wiedzieć, że wkurzył tamtego nie na żarty. Jeszcze jeden facet, który chciałby mi się dobrać do dupy, pomyślał, przyspieszając.

Najważniejszą dla niego sprawą było teraz jak najszybciej dostać się do Lelka-Kufelka, na spotkanie z mnichami. Koniec ze szlajaniem się po mieście najbardziej rzucającym się w oczy pojazdem w historii kradzieży samochodów.

Rozdział pięćdziesiąty pierwszy

Jefe uznał, że w zasadzie jedyną szansą na odzyskanie Oka, jaka mu jeszcze została, jest osobista wizyta u Mistycznej Damy. Za chuja nie miał pojęcia, gdzie go szukać, a do zaćmienia Słońca została mu raptem godzina. Musiał nakłonić tę starą wariatkę, żeby zrobiła, co do niej należy, no i żeby się przy tym postarała. Gdyby pomogła mu odszukać Oko Księżyca, mógłby je sprzedać El Santinowi, tak jak uzgodnili. Dzięki temu nie musiałyby do końca życia oglądać się za siebie i czekać, kiedy Carlito albo Miguel pošlą mu kulkę w plecy. Niemal równie ważny był fakt, że dzięki temu mógłby wreszcie zapłacić za serwis nowego porsche, którym teraz jeździł.

Zostawił Jessicę w pokoju hotelowym, żeby się wyszykowała. Nie miał czasu czekać, aż wciśnie się w niewątpliwie seksowny strój Kobiety-Kota z wypożyczalni. Wprawdzie niezbyt pasował do kostiumu Freddy'ego Kruegera, w który sam się przebrał, lecz nie narzekał. Jako kotka wyglądała tak seksownie, że nie mógł się doczekać, kiedy spotka się z nią później na małe bara-bara. Musiał jedynie przeżyć ten ranek. Potrzebny mu był kolosalny fart i miał nadzieję, że Mistyczna Dama mu go zapewni.

Zaparkował przed dziwnie wyglądającym domem Mistycznej Damy i z zaskoczeniem spostrzegł, że drzwi od frontu stoją otworem. Odwiedził ją dwa tygodnie temu i wciąż pamiętał jej utyskiwania, żeby starannie zamknął za sobą drzwi, zarówno wchodząc, jak wychodząc. Twierdziła, że nie znosi, kiedy są otwarte, bo mogłyby wejść przez nie złe duchy.

Jefe liczył na to, że udowodni, iż wróżka naprawdę ma talent, po tym jak Jessica rozczarowała się informacjami, jakie uzyskała od niej poprzedniej nocy. On akurat głęboko wierzył w to, co Mistyczna Dama ma do powiedzenia. Odkąd na własne oczy zobaczył żywego trupa, otworzył się na wszelkie zjawiska nadprzyrodzone, czarną magię, no i oczywiście na przepowiadanie przyszłości. Podczas pierwszej wizyty przekonał się, że Mistyczna Dama jest bardzo akuraterna.

Tym razem, niestety, na niewiele mogła mu się przydać. Gdy tylko wszedł do domu, zorientował się, że zaszło coś strasznego. I to nawet nie z powodu potwornego bałaganu czy przewracanych krzeseł walających się na podłodze. Nie, najlepiej o tym świadczył widok Mistycznej Damy. Siedziała, jak zwykle, na swoim stałym miejscu za stołem, ale wyglądała zupełnie inaczej. Przede wszystkim dlatego, że nie miała głowy. I bynajmniej nic nie wskazywało na to, żeby ktoś odciął ją jakimś ostrym narzędziem. Nie, sądząc po szczątkach,

które jakimś cudem nadal siedziały na krześle z wysokim oparciem, wyglądało to tak, jakby głowę urwał jej ktoś o nadludzkiej sile. Poza tym wszystkie ściany i książka na blacie stołu były zbryzgane krwią.

Jefe nie dostrzegł nigdzie jej głowy, dopóki nie zatrzasnął za sobą drzwi - wisiała właśnie na tych drzwiach, od wewnątrz. Oczy były wyłupione, a język, jeśli dobrze widział, wyrwany z gardła. Dolną część twarzy pokrywała skorupa zakrzepłej krwi, jak gdyby trysnęła z jej ust i przez większą część nocy powoli kapała z podbródka na podłogę.

Jefe nie myślał bynajmniej o sekcji zwłok, mimo to przyjrzał się baczniej głowie wróżki. Odkrył, że była nabita na kołek do wieszania płaszczy, który tkwił w mózgu staruchy. Zdawał sobie sprawę, że w przebraniu Freddy'ego Kruegera lepiej nie kręcić się w pobliżu zwłok. Zwłaszcza że miał przy sobie niesamowicie ostry nóż o długości sześćdziesięciu centymetrów, nie mówiąc już o dwóch ukrytych pistoletach i amunicji w ilości wystarczającej do dokonania zamachu stanu.

Opuszczał dom Mistycznej Damy w przekonaniu, że jest to znak, iż czeka go kiepski dzień. A jednak nagle, w mgnieniu oka, dopisało mu szczęście. Zanim doszedł do swojego lśniącego srebrnego porsche, zobaczył przejeżdżającego obok żółtego cadillaca. Za kierownicą siedział młody chłopak w kostiumie Terminatora i najwyraźniej bardzo się gdzieś śpieszył. A zaledwie kilka sekund wcześniej Jefe uważał, że nie ma już żadnych tropów. Nie zapomniał jednak jakże ważnej informacji, którą zasłyszał od Sancheza. Barman wspomniał, że ktoś poruszający się żółtym cadillakiem sprzątnął jego brata i może mieć coś wspólnego ze śmiercią Elvisa, płatnego zabójcy. Jefe miał świadomość, że to raczej ślad tropu, uznał jednak, że warto nim pójść. A zresztą, był gotów na wszystko. Popędził do porsche, wskoczył za kierownicę, odpalił silnik i jak mógł najdyskretniej, wystartował w drogę, ścigając wielki żółty samochód.

Serce łomotało mu w piersi tak, że zagłuszało nawet warkot silnika. Musiał postawić wszystko na jedną kartę. Tylko nie zgub tego żółtego cadillaca, pomyślał. Nie zgub go, żeby się nie wiem co działo!

Jechał za nim mniej więcej przez półtora kilometra, aż kierowca zatrzymał się w końcu przed Lelkiem-Kufelkiem, jakby już nie miał gdzie! Jefe zaparkował za nim. Zaszło mu w ustach, a serce biło jeszcze głośniejsze niż do tej pory. Szansa była mizerna - trudno w ogóle nazwać to szansą - a jednak może uda mu się dowiedzieć czegoś od tego gościa. Chociaż sam nie wiedział czego.

Terminator wysiadł z samochodu i podszedł do wejścia do baru. Jefe bez chwili namysłu wyskoczył z porsche i ruszył w ślad za nim chodnikiem.

- Nie dostaniesz się tam, mój drogi! - zawołał tak przyjaznym głosem, na jaki potrafił się zdobyć. - Zamknęli interes. W nocy dwaj mnisi zamienili się w wampiry i Rodeo Rex ich skosił.

- Co takiego? - Terminator był wyraźnie wstrząśnięty, czemu trudno się dziwić, zwłaszcza że nie wierzył w wampiry.

- Tak tylko słyszałem, chłopie. To pewnie nieprawda - rzucił Jefe żartem, podchodząc do zaskoczonego młodego człowieka, odzianego w czarną skórę. Gdy zbliżył się na tyle, że przypadkowi gapie i tak nie zobaczyliby, co się dzieje, wyciągnął zza paska z tyłu spodni jeden z pistoletów i wbił go chłopakowi w żebra. - Jak się nazywasz, synu? - warknął.

- Dante.

- Powiedz mi, Dante, chciałbyś pożyczyć trochę dłużej niż kilka sekund?

Młody człowiek spojrzał w dół, na broń w ręku łowcy nagród. Nie co dzień facet przebrany za Freddy'ego Kruegera celuje do ciebie z pistoletu, no ale też nie był to pierwszy lepszy dzień.

- Czego pan chce? - zapytał.

- Ciekaw jestem, jakim prawem rozbijasz się po okolicy moim starym żółtym cadillakiem - odparł Jefe.

- Aha. Eee... Kupiłem go rano od takiego jednego facia. - W głos chłopaka wkradła się nuta strachu. Arnie nie byłby z niego dumny.

- Gówno prawda. Wracaj do samochodu. Wybierzemy się na przejażdżkę. Paru facetów bardzo chciałoby cię poznać.

Dante zrobił krok w kierunku samochodu, ale zatrzymał się, gdy Jefe znów dźgnął go lufą w żebra.

- Nie tak prędko. Odwróć się. Załóż ręce za głowę.

Dante wykonał polecenie. Jefe pchnął go na drzwi Lelka-Kufelka i zrewidował. Najpierw znalazł ukryty pistolet, potem jednak trafił na coś, czego pożądał jak niczego innego na świecie, wliczając w to Jessicę. Oko Księżyca! Wyciągnął je z wewnętrznej kieszeni skórzanej kurtki Dantego, zacisnął w pięści i popatrzył na nie niczym matka, która po raz pierwszy ogląda nowo narodzone dziecko.

- O żeż... Ja pierdołę, trafiłem główny los na loterii! - krzyknął. W jego głosie brzmiał nieskrywany podziw. - Będziesz mi musiał sporo wyjaśnić, Terminatorku. - Zachichotał i dorzucił: - A niech cię, chłopie, aleś mi sprawił frajdę!

Rozdział pięćdziesiąty drugi

Sanchez był zachwycony kostiumem, na jaki się zdecydował. Wyglądał absolutnie odjazdowo, a przynajmniej tak mu się zdawało. Postanowił przebrać się za swojego bohatera wszech czasów (zaraz po Rodeo Reksie), czyli za Batmana. Uparł się także, żeby Mukka wziął kostium Robina, dzięki czemu mogli odstawić za barem podwójny show. Wiedział, że kucharz nie jest zachwycony jego pomysłem, w czym kostium odgrywał swą rolę. (Sprawy nie ułatwiał fakt, że Mukka był o głowę wyższy i znacznie szerszy od swojego szefa. Taki ze mnie Boy Wonder, jak z koziej dupy trąba, pomyślał). Otóż Sanchez miał na sobie taki strój Batmana jak ten, który Michael Keaton nosił w filmie Tima Burtona, kucharzowi zaś trafił się kostium Robina z pedziowatego serialu telewizyjnego z lat sześćdziesiątych. Każdy miał na ten temat coś do powiedzenia, a chociaż te uwagi były przeważnie mało zabawne, to jednak fruwały w powietrzu. Biorąc pod uwagę, że dopiero dochodziło południe, niewątpliwie pod jego adresem padnie jeszcze niejeden szyderczy komentarz.

Na razie Tapioca była na wpół pusta, ale już wkrótce miał tu zapanować tłok, tak więc Sanchez i Mukka znaleźli sobie inny powód do zmartwienia, kiedy pojawili się pierwsi dwaj z niemile widzianych gości. Zmaterializowali się w postaci dwóch zbirów, Carlita i Miguela. Przebrani za kowbojów, wkroczyli do lokalu dostojnym krokiem, jakby był ich własnością.

- A wy niby za kogo robicie? - spytał Sanchez.

- Jesteśmy Samotnymi Strażnikami - odparł Miguel, który choć raz odezwał się przed Carlitem.

- Samotnymi Strażnikami? - powtórzył zbity z tropu Mukka, stojący za plecami Sancheza.

- Żarty z nas sobie robicie, tak?

- Nie. A bo co? - Miguel był lekko zdezorientowany.

- No... - bąknął Mukka. - Przecież idea Samotnego Strażnika opierała się na tym, że był tylko jeden. Stąd „samotny”.

Miguel wciąż był zmieszany. Z kolei Carlito rozglądał się po sali, nie interesując się rozmową.

- Słuchaj, głąbie - odciął się Miguel. - W serialu telewizyjnym Samotny Strażnik miał ze sobą Tonto, czyli że na zdrowy rozum nie był „samotny”, no nie?

- Przecież Tonto nie był strażnikiem, tylko Indianinem, zgadza się? - odparował Mukka.

Zapadła krótka cisza.

- No... tak - mruknął Miguel, nareszcie chwytając, o co chodzi kucharzowi. - Pewnie tak. Jasne. Masz rację.

Zdobywszy pierwszy punkt, Mukka pozwolił sobie na lekkomyślność.

- A jasne, kurwa, że mam rację! - zapiał.

Miguel nie przywykł, żeby ktoś zwracał się do niego w ten sposób. A już zwłaszcza takie zero jak ten kucharz. Przez kilka boleśnie długich sekund sprawiał wrażenie, jakby zastanawiał się nad stosowną reakcją. Stał jak głaz; tylko jego oczy się poruszały. Zupełnie jak gdyby słyszał w głowie głos, który mu coś podpowiadał, i rozglądał się za właścicielem tego głosu.

Sanchezowi żołądek podszedł do gardła. Obawiał się, że Miguel nie najlepiej zareaguje na uwagę kucharza. Takie przekomarzanie się w normalnej sytuacji ożywiłoby atmosferę w lokalu, teraz jednak miał szczerą nadzieję, że Carlito i Miguel nie wkurzą się i nie zaczną zabijać wszystkich, którzy pokpiwają sobie z ich kostiumów. Cały pic zależał od tego, czy Jefe pojawi się i da im Oko Księżyca. Bo jeśli nie, to groziło, że wpadną w szal zabijania, a czyż Batman i Robin nie są najlepszymi kandydatami do odstrzelenia w pierwszej kolejności?

Na całe szczęście Miguel puścił ten komentarz mimo uszu i zamówił kolejkę.

- Batman, dwa piwa! - zawołał, pochylając się nad barem i oglądając kostiumy Sancheza i Mukki. - Ej, Robin, masz klawe portki - dorzucił czule.

Na wspomnienie spodni Robina wśród bywalców baru rozległy się śmichy-chichy. I to wcale nie dlatego, że uwaga była zabawna, po prostu Miguel był dziesiątym klientem z rzędu, który skomentował te portki w ciągu ostatnich trzydziestu minut.

- No dobra, Batmanie. Widziałeś już naszego przyjaciela Jefe? - zapytał Miguel, kiedy barman nalewał im piwo.

- E-e. Od rana nie pokazał tu gęby.

- Kurwa w dupę mać! Jest za dziesięć dwunasta. Gdzie się ten kutas podziewa?

Carlito postanowił wziąć dalsze przesłuchanie na siebie, więc uciszył Miguela, po prostu klepiąc go w ramię.

- Mam dla ciebie zagadkę, Batmanie - zwrócił się do Sancheza. - Jak myślisz, co tu się będzie działo, jeżeli Jefe nie pojawi się w ciągu najbliższych dziesięciu minut?

- Nie wiem... Co? - Groźny ton przesłuchującego działał barmanowi na nerwy.

- Rozpęta się piekło, ot co. Zaraz tu przyjdzie El Santino i będzie chciał znaleźć winnego. Zdaje się, że proponował ci niezgorszą sumkę za odszukanie kamienia, a tyś go nie znalazł.

- No... nie. Ale ja nigdy nic nie obiecywałem. W ramach przysługi rozpytywałem się tylko to tu, to tam. Nie umawialiśmy się, że na pewno go znajdzie. A poza tym mój człowiek, Elvis,

który go szukał, został zabity.

- Jasne. - Carlito groźnie puścił oko do Sancheza. Potem on i Miguel wzięli kufle i podeszli do stołu na samym środku sali. Obaj wybrali krzesła z tej samej strony, żeby mieć na widoku wejście do lokalu.

A potem usiedli i czekali, kto pojawi się pierwszy - Jefe czy El Santino. Według wszelkich znaków na niebie i ziemi nie powinni czekać zbyt długo.

Rozdział pięćdziesiąty trzeci

Dante wymyślał sobie od ostatnich. Wariat w masce Freddy'ego Kruegera i swetrze w czerwono-czarne pasy zmusił go pod groźbą użycia broni, żeby pojechał świeżo zdobytym żółtym cadillakiem do baru Tapioca. I chociaż był przerażony tym, co go czeka, martwił się także o Kacy. Siedziała w motelu, a on w żaden sposób nie mógł się z nią skontaktować. Nie tylko dlatego, że ten stuknięty Freddy Krueger celował do niego z pistoletu, lecz także dlatego, że zabrał mu telefon komórkowy.

Kiedy dojechali w końcu do Tapioki, z głębokim rozczarowaniem zobaczył, że na ulicy przed barem miejsca do parkowania jest pod dostatkiem. Tego dnia mało kto siadał za kierownicę, i trudno się było dziwić. Większość świętowała koniec Festiwalu Księżycowego i tylko czekała, żeby napić się czegoś mocniejszego. Albo na dwunastą. Gdy tylko Dante zgasił silnik, Freddy warknął na niego:

- Wyskakuj z wozu, Terminatorku. Skoczmy na jednego głębszego.

Chłopak wykonał polecenie i ostrożnie ruszył do wejścia; Jefe, który szedł za nim, nawet nie musiał już wbijać mu lufy pistoletu w plecy. Doskonale wiedział, że młody złodziejasek jest zbyt przerażony, żeby próbować ucieczki.

Przerażenie nie przeszkodziło mu jednak zorientować się od razu, że atmosfera w lokalu jest wyraźnie napięta. Klientów było już całkiem sporo, ale nikt nie rozmawiał. Wszyscy patrzyli na wchodzącą parę. Dante odniósł wrażenie, że czekają na przybycie kogoś ważnego. Ale że był przebrany za Terminatora, a jego towarzysz za Freddy'ego Kruegera, z początku nikt ich nie rozpoznał. Wprawdzie nie trwało to długo, bo ledwie dotarli do kontuaru, Jefe od razu się zdradził.

- Hej, Batmanie! - wrzasnął na Sancheza. - Dawaj mi tu browar. Mam dla ciebie dobre wieści.

- To ty, Jefe? - zapytał Sanchez, przyglądając się uważnie oczom patrzącym na niego zza maski Freddy'ego Kruegera.

- Jasne, że ja, a kto? Właśnie złapałem tego gnojka, jak jeździł żółtym cadillakiem po Elm Street.

- Żartujesz?! - powiedział barman lodowatym tonem.

Dante nie bardzo wiedział, co to wszystko znaczy, czuł jednak, że nie wróży nic dobrego. A sprawy przybrały jeszcze gorszy obrót, kiedy zobaczył, że od sąsiedniego stolika wstają

dwaj kowboje w maskach. Wyglądało na to, że usłyszeli słowa Jefe i że są tym żywotnie zainteresowani. Kiedy podeszli do baru, chłopak zauważył, że obaj trzymają broń wycelowaną w niego i w jego porywacza w kostiumie rodem z horroru.

- No proszę, Freddy Krueger. Masz coś dla nas? Czy wolisz, żeby się zrobiło nieprzyjemnie? - zwrócił się do Jefe jeden ze strażników.

Łowca nagród odwrócił się od lady i stanął twarzą w twarz z nadchodzącymi. Wydawał się spokojny i pewny siebie, bo chociaż twarz miał ukrytą pod maską, świadczyła o tym mowa jego ciała. Ten człowiek nie miał się czego obawiać.

- A, Oko. Mam. Ten wielbiciel Terminatora miał je przy sobie w kieszeni i woził się z nim po całym mieście. Pomyślałem, że się spikniemy i przepytamy gnojka, co on z nim, kurwa, robił. Poza tym zdaje mi się, że to on zabił brata Sancheza i próbował załatwić moją dziewczynę Jessicę.

- Nie może być!

Dantemu przyszło na myśl, że stał się obiektem zainteresowania wszystkich obecnych. I wcale nie wyglądało na to, żeby to jego kostium wywarł na nich takie wrażenie.

- No to gadaj pan, panie Terminator, coś ty za jeden i coś chciał, kurwa, zrobić z naszym cennym kamieniem? - spytał pierwszy strażnik.

- Nic - odparł Dante, siląc się na pewność siebie. - Dostałem go od klienta hotelu, w którym pracuję. Zdaje się, że miał na imię Jefe. Tak, Jefe.

Nie był pewien, jak poważne są jego kłopoty w tym momencie, czuł jednak, że w takich opałach nigdy jeszcze nie był. Zdecydowanie nadszedł więc czas na wyjawienie chociaż półprawdy. Przy pewnej dozie szczęścia może upiecze mu się na sucho, kto wie?

Ale niekoniecznie.

- Gówno prawda! - ryknął Jefe. - To ja jestem Jefe i nic ci, kurwa, nie dawałem! Siadaj i zacznij gadać do rzeczy, zanim całkiem wyjdę z siebie!

Nagle Dante poczuł, że wloką go na siłę do wielkiego drewnianego stołu zajmowanego przez dwóch Samotnych Strażników. Jefe zmusił go, by usiadł na jednym z krzeseł zwróconych oparciami do wejścia. Sanchez wyszedł zza baru, strącając z lady szklankę długą, czarną peleryną Batmana. Usiadł obok chłopaka. Dwaj Samotni Strażnicy i Jefe zajęli miejsca po drugiej stronie stołu.

Sanchez chwycił mocno chłopaka za ramię dłonią w czarnej rękawicy i zaczął przesłuchanie. Dla Dantego składanie zeznań przed groźnym Batmanem było całkiem nowym, acz zdecydowanie niemiłym doświadczeniem.

- Dlaczego zabiłeś mojego brata i jego żonę? I co masz do Jessiki?

- Co? Nie wiem, kurwa, o czym pan mówi. I nie znam żadnej Jessiki.

Następne pytanie zadał starszy z Samotnych Strażników, czyli Carlito. Właśnie przypalił sobie papierosa i schował lśniąca srebrną zapalniczkę do górnej kieszeni koszuli. Zaciągnął się i nie wyjmując wiszącego w kąciku ust papierosa, zapytał:

- Co robiłeś z tym kamieniem? I skąd go miałeś? A przede wszystkim - dorzucił, rozglądając się - gdzie on jest, do kurwy nędzy?

- Teraz ja go mam - wtrącił się Jefe.

- No to dawaj.

- Nie. Zatrzymam go, dopóki nie przyjdzie El Santino. Sam mu oddam. Taki był układ i nie zamierzam tego zmieniać.

- Jak sobie chcesz. Możesz mu oddać już teraz. Właśnie idzie - powiedział Carlito, spoglądając nad ramieniem Dantego w stronę wejścia. - Barman, możesz już spływać. To ciebie nie dotyczy.

Dante w kompletnym osłupieniu obserwował rozwój wypadków. Facet w kostiumie Batmana wstał i wrócił za kontuar. Ale kim jest ten El Santino, który podobno właśnie wszedł? Bogiem a prawdą, nie trzeba było geniusza, żeby się tego domyślić, ale może to i dobrze, bo Dante geniuszem z pewnością nie był. Przy barze, z twarzą pokrytą czarno-białym makijażem, stanął El Santino. Przebrał się za Gene'a Simmons'a z kapeli rockowej Kiss. Dla El Santina nie był to szczególny odskok od normalności. Prawdę mówiąc, niewiele różnił się od tego, jak wyglądał na co dzień. Ot, nałożył tylko nieco więcej makijażu niż zwykle. Długie, ciemne włosy były jak najbardziej naturalne, podobnie jak jego mięśnie. A umięśniony był, kurdebalans, jak jasna cholera! Dante nigdy w życiu nie widział tak ogromnego faceta, a ostatnimi czasy spotkał kilku olbrzymów.

- Hej, Batmanie! Dla mnie browar i butelka najlepszej whisky - warknął El Santino na Sancheza.

Odwrócił się od lady i spojrzał na stół, przy którym tyle się działo.

- No dobra, żalosne gnojki, który z was ma moje Oko? - ryknął.

Rozdział pięćdziesiąty czwarty

Scraggs odebrał telefon od kapitana Rockwella i zareagował natychmiast. Instrukcje przełożonego były precyzyjne i kapitan nie ukrywał, że mają być wypełnione co do joty. Jego ostatnie słowa na trwałe wryły się w pamięć porucznika: „Jedź tam w te pędy i przejmij dowództwo. Ale niczego nie dotykaj, żeby nie wiem co. NICZEGO, rozumiemy się, dopóki najpierw ze mną nie pogadasz”.

Po dramatycznym dwudziestominutowym rajdzie, przeskakując skrzyżowania na czerwonym świetle, zajechał wozem patrolowym pod dom Mistycznej Damy i natychmiast zdał sobie sprawę, że jeśli chce ściśle wypełnić rozkazy Rockwella, musi działać niezwłocznie. Przed domem stały już cztery inne radiowozy, a kilku mundurowych łąziło dookoła, odgradzając miejsce zbrodni pomarańczową taśmą policyjną. Scraggs wyskoczył z samochodu i podbiegł truchtem do najbliższego gliniarza - przysadzistego faceta, który stał oparty o radiowóz i gadał przez komórkę. Od razu rozpoznał Diesla Borthwicka - leniwego, wypadającego poniżej oczekiwań funkcjonariusza z pieszego patrolu.

- Hej, Diesel, przejmuję sprawę! - warknął, podchodząc do brzuchatego policjanta w średnim wieku. - Jak wygląda sytuacja?

Borthwick sprawiał wrażenie niezłe zirytowanego pojawieniem się Scraggsa, ale może tylko dlatego, że porucznik przeszkodził mu w rozmowie.

- Oddzwonię - mruknął do telefonu, rozłączył się i poświęcił całą uwagę Scraggsowi. - No cóż, poruczniku, mamy jednego trupa. Kobieta, sześćdziesiąt lat czy coś koło tego. Jej głowa wisi na wieszaku za drzwiami, a reszta ciała siedzi na krześle przy stole, z wyjątkiem oczu i języka, których nie możemy znaleźć.

- Są jakieś tropy?

Borthwick odkleił się od radiowozu i stanął prosto.

- Tak - przytaknął zmęczonym głosem. - Mamy świadka, który twierdzi, że rano widział Freddy'ego Kruegera. Podobno uciekał stąd w pośpiechu i odjechał srebrnym porsche. Niestety, samochód był bez tablic rejestracyjnych.

- Freddy'ego Kruegera?! - powtórzył Scraggs ze zdziwieniem.

- Był przebrany w taki kostium, poruczniku. Proszę pamiętać, że mamy Festiwal Księżycowy... detektywie?

Od drzwi frontowych domu doleciał głośny stuk. Porucznik odwrócił się, sprawdzając

źródło tego dźwięku. Tymczasem to tylko drzwi kołysały się na wietrze.

- Coś jeszcze? - zapytał, krzywiąc się na widok głowy, nadzianej na kołek od wewnętrznej strony drzwi.

- Tak, poruczniku, mam pewną teorię.

Scraggs odwrócił się i spojrzał na Diesla Borthwicka z zaskoczeniem. Ten funkcjonariusz, który nigdy nie przejmował się pracą, powszechnie uchodził za półgłówka, dlatego jakiegokolwiek opinie czy sugestie z jego strony były czymś zgoła niezwykłym.

- Naprawdę? No to słucham.

- Podejrzewam samobójstwo - odpowiedział Borthwick i uśmiechnął się z wyższością.

- Jesteś skończony kretyn!

Zniesmaczony Scraggs pomaszerował do domu. U stóp schodów prowadzących do drzwi frontowych dwaj inni mundurowi pilnowali wejścia. Żaden z nich się nie ruszył, żeby zrobić mu przejście, wobec czego porucznik roztrącił ich i przepchnął się do środka. Przeszedł przez próg, zerkając szybko na zniekształconą głowę wiszącą na kołku wieszaka. W domu zastał bałagan z poprzedniej nocy. Wszędzie krew, poprzewracane krzesła, no i tułów Mistycznej Damy na krześle przy stole, dokładnie na wprost niego. Funkcjonariusz Adam Quaid przeglądał wielką księgę w twardej oprawie, leżącą na stole.

- Hej, Quaid! Co ty, kurwa, wyrabiasz? - warknął na niego.

Quaid podniósł wzrok, zaskoczony, bo nie usłyszał wchodzącego porucznika. Niemal odruchowo zasalutował przełożonemu, chociaż nie było takiej konieczności. W Santa Mondega salutowanie wyszło z mody i zdarzało się właściwie wyłącznie młodszym funkcjonariuszom, kiedy przełożony przyłapał ich na jakimś niestosownym zachowaniu.

- Znalazłem tę książkę na stole, poruczniku. Uważam, że stanowczo powinien pan rzucić na nią okiem - wymamrotał Quaid nerwowo.

- Zostaw ją, wyjdź i zaczekaj na dalsze rozkazy na dworze - polecił Scraggs. - Kapitan już jest w drodze i wścieknie się jak cholera, jeśli przyłapie cię na przeglądaniu dowodów rzeczowych. Przykazał wyraźnie, żeby absolutnie niczego nie ruszać.

- Ale, poruczniku - odparł Quaid, wskazując leżącą na stole otwartą księgę. - Naprawdę uważam, że powinien pan na to spojrzeć.

- JAZDA STĄD! - ryknął Scraggs. - Zostaw tę przeklętą książkę i zaczekaj na zewnątrz!

- Tak jest - bąknął policjant ze skruchą.

Porucznik zmierzył Quaida wzrokiem, próbując go onieśmielić, gdy ten przygruby, obżerający się pączkami posterunkowy z zakłopotaniem mijał go w drodze do wyjścia. Nie mógł mu jednak spojrzeć w oczy, bo Quaid wpatrywał się w swoje stopy, niczym skarcony

uczniak. Scraggs odprowadził go wzrokiem do drzwi, kręcąc głową, gdy mamroczący coś dureń próbował z daleka ominąć nadzianą na kołek głowę Mistycznej Damy.

To co, mam nic nie robić, tylko czekać? - pomyślał Scraggs. Kapitan powinien się zjawić w ciągu dwudziestu minut. Czy mam mu powiedzieć, że jeden z funkcjonariuszy wertował tę książkę na stole? Hmm, chyba lepiej nie. Tylko by się wkurzył.

Przez pięć minut deliberował, czy gapić się na głowę Mistycznej Damy, czy na jej tułów, ale potem zaczęło go nosić - nie mógł się doczekać przyjazdu kapitana. Ciekawe, co jest w tej przeklętej książce? - pomyślał. Chyba nie stanie się nic złego, jeżeli rzucę okiem na otwarte strony, bez dotykania?

Ostrożnie podszedł bokiem do stołu, przez cały czas wyglądając przez drzwi frontowe, żeby kapitan Rockwell nie przyłapał go na myszkowaniu. Dotknął biodrem krawędzi stołu i spojrzał na książkę, leżącą tak, że tekst miał do góry nogami. Coś na otwartej stronie natychmiast przykuło jego wzrok. Odwrócił się, żeby mieć lepszy widok.

Czyżby to... Przecież to niemożliwe!

Jednym palcem odwrócił książkę na stole o sto osiemdziesiąt stopni. I rzeczywiście, oczy go nie myliły. Właśnie zobaczył to, na co wcześniej gapił się posterunkowy Quaid.

O w mordę jeża!

Rozdział pięćdziesiąty piąty

Peto nie do końca rozumiał, o co chodzi z tym przebieraniem się, ale Kyle przekonał go, że powinni wziąć udział w uroczystościach. Poprzedniego dnia z samego rana wypożyczyli dwa kostiumy. I chociaż nie wiedzieli, kim byli Cobra Kai, to jednak od razu spodobały im się te stroje. Właściciel wypożyczalni kostiumów poinformował ich, że Cobra Kai byli gangiem mistrzów sztuk walki z filmu *Karate Kid*. Przebrania uszyto z szorstkiego, grubego czarnego materiału. Szerokie spodnie były bardzo wygodne, a kimona bez rękawów miały wyhaftowane na plecach wysoce artystyczne wizerunki żółtej kobry. Po raz pierwszy w życiu Kyle i Peto poczuli, co znaczy zadawać szyku wyglądem.

Czekali przed wejściem do Lelka-Kufelka ze dwadzieścia minut, zanim zmuszeni byli pogodzić się z faktem, że Dante raczej się nie zjawi. Peto przyjął to z rozczarowaniem, bo serdecznie polubił młodego człowieka i uważał go za jednego z najmiłszych ludzi, jakich spotkali w Santa Mondega. Wyglądało na to, że zdarzyło się jedno z dwojga: albo Dante w ogóle nie miał zamiaru się pojawić, albo też był tu wcześniej, zobaczył, że Lelek-Kufelek jest zamknięty, i pojechał gdzie indziej. Ta druga możliwość sprawiła, że Kyle i Peto postanowili spróbować szczęścia w Tapiocce. Musieli się jednak pośpieszyć, bo czas naglił. Rzut oka na niebo powiedział im, że drogi Księżycyca i Słońca wkrótce się zejdą.

Biegając dziarskim krokiem ulicami w kierunku Tapioki, szybko zdali sobie sprawę, że tak na dobrą sprawę, ścigają się z Księżycem. Przez cały czas wyprzedzali go o krok, chociaż przysuwał się coraz bliżej Słońca, które stało już niemal dokładnie nad centrum Santa Mondega.

Przedarłszy się przez coraz gęściejsze tłumy ludzi na ulicach, dotarli w końcu do Tapioki, ale czasu zostało im niewiele. Truchtając do wejścia, wiedzieli, że nie zdołają już obmyślić żadnego planu, wobec tego skierowali się wprost do frontowych drzwi. Kiedy znaleźli się w środku, Peto od razu zorientował się, że przy jednym ze stołów doszło do awantury. Jacyś przedziwnie ubrani faceci pospołu tłukli gościa w czarnym skórzanym stroju i w ciemnych okularach. Wyglądało to, jakby go torturowali, chociaż Peto nie był tego całkiem pewien, bo usilnie starał się nie gapić.

Mnisi podeszli do kontuaru. Sanchez jak zwykle stał za ladą, tyle że dzisiaj ubrany w dziwaczny obcisły kostium, z czarnym kapturem zakrywającym większą część twarzy. Obaj byli nieco wytrąceni z równowagi przez te wszystkie karnawałowe przebrania, głównie

dlatego, że wyglądały tak realistycznie i że prawie nigdy nie potrafili rozpoznać, kto się pod nimi kryje. Peto, jak zawsze w potencjalnie delikatnych sytuacjach, mądrze zdał się na Kyle'a, żeby to on zagał rozmowę.

- Sanchez, poprosimy dwie szklanki wody - zamówił Kyle.

- Hej, Robin, podaj tym mnichom dwa browarki... na koszt firmy - zwrócił się Sanchez do kucharza i odwrócił się do zakonników. - A jakbyście nie wiedzieli, to dzisiaj nie jestem Sanchez, tylko Batman.

- Bat... man? - powtórzył Kyle, doceniając to, jak zgrabnie barman połączył te dwa słowa w jedno. - Podoba mi się. Kostium też fajny - ciągnął. - A za kogo są przebrani ci pozostali?

- Hmm - mruknął barman cicho, nachylił się ku nim i wskazał ręką na stół, przy którym spuszczano komuś łomot.

- Słuchajcie mnie uważnie, bo to ważna sprawa. Widzicie tych dwóch, przebranych za kowbojów? To Carlito i Miguel, dwa wredne sukinsyny pracujące dla El Santina. Facet w swetrze w czerwono-czarne pasy i w masce to Jefe, łowca nagród, którego szukaliście. A ten wielgachny facet z twarzą pomalowaną na biało-czarno to On, Santino we własnej osobie. Ale was pewnie najbardziej zainteresuje ten gość w czarnej skórzanej kurtce i w ciemnych okularach. Przyszedł tu jako Terminator i miał przy sobie wasz niebieski kamień.

- Miał? Znaczy się, ma go? - Kyle ni to zapytał, ni stwierdził fakt.

- Miał, a jakże, ale teraz ma go Jefe, ten w pasiastym swetrze i w masce.

Peto wiedział, że jest to sygnał dla nich. Nie mieli czasu na picie czy pogaduszki. Przybyli tu z jednego tylko powodu - żeby odzyskać Oko Księżyca przed zaćmieniem Słońca, od którego dzieliły ich już minuty, jeżeli nie sekundy. Z lekkim niepokojem podeszli do stołu - Kyle szedł przodem, a Peto, jak zwykle, u jego boku. El Santino, ten olbrzym z długimi czarnymi włosami i pomalowaną na biało-czarno twarzą, przesłuchiwał Terminatora. Miguel stał nieco z boku Terminatora, z wzniesioną do ciosu pięścią, w każdej chwili gotów wymierzyć mu należytą karę, gdyby odpowiedzi młodego człowieka na pytania olbrzyma nie były zadowolające.

- Hej, Kyle - szepnął Peto. - Ten przebrany za Terminatora... czy to aby nie Dante?

- Tak, chyba masz rację. Mam wrażenie, że jednak nas nie zawiódł.

Wyglądało na to, że Dante nie zna prawidłowych odpowiedzi na większość pytań, bo twarz miał spuchniętą i krwawił z nosa, co wskazywało, że dostał niezłe lanie. Mnisi wiedzieli, że teraz albo nigdy. Kyle ruszył się pierwszy i stanął tak, by zasłonić chłopaka i skupić na sobie całą uwagę jego prześladowców. Wszyscy przy stole przerwali to, czym się akurat zajmowali, i ze zdziwieniem spojrzeli na tego członka Cobra Kai, który ośmielił się

przerwać im jakże ważne przesłuchanie.

- Najmocniej przepraszam - odezwał się Kyle uprzejmie, zwracając się do wszystkich przy stole, ale celując palcem w Jefe. - O ile mi wiadomo, ten dżentelmen jest w posiadaniu czegoś, co należy do nas. Będzie pan łaskaw nam to oddać, proszę. - Mówił cicho, spokojnie, lecz w jego głosie brzmiała stalowa nuta.

Przy stole zapadła cisza; wszyscy spojrzeli na mnicha, jakby postradał zmysły. Nawet Peto nie był pewien, czy jego towarzysz postąpił rozsądnie.

- Kurwa, a to co za pajace, ci dwaj? - zapytał El Santino; wstał z krzesła i kopnął je gwałtownie, aż poleciało na drugą stronę sali.

- Moim zdaniem przebrali się za Cobra Kai - powiedział Carlito, który siedział bez ruchu obok szefa.

- Kurde, klawo! - Miguel aż jęknął, niczym podniecone dziecko. - *Z Karate Kida*, dobrze mówię? - Na chwilę oderwał się od tłuczenia Dantego i zlustrował obu mnichów wzrokiem od stóp do głów. Jego mina zdradzała, że jest pod wrażeniem kostiumów, co zirytowało jego szefa. El Santino walnął pięścią w stół, niemal rozbijając go w drzazgi, tak wielka była siła jego ciosu, mimo że prawie się nie zamachnął. Jego nozdrza rozszerzyły się, a na czole nie wiadomo skąd pojawiła się pulsująca żyła, która sprawiała wrażenie, że w każdej chwili może pęknąć.

- Pieprzę Karate Kida i pieprzę Cobra Kai! - warknął. - Mam to głęboko w dupie. Chcę tylko, kurwa, wiedzieć, dlaczego oni interesują się Okiem Księżyca.

- Przyjrzyj im się dobrze, El Santino - odezwał się Jefe oziębło. - Jeżeli przecucie mnie nie zawodzi, ci faceci to mnisi z wyspy Hubal.

Rozdział pięćdziesiąty szósty

W normalnych warunkach Sanchez zwracałby baczna uwagę na to, co dzieje się przy stole El Santina. Zważywszy na to, że przy nim właśnie siedziało kilku najbardziej brutalnych ludzi w mieście (a może także morderca jego brata Thomasa), nie powinien spuszczać oka z rozgrywających się tam wypadków, tak się jednak złożyło, że co innego przykuło jego wzrok. A to dlatego, że zauważył kręcącego się na dworze faceta. Podwójne drzwi frontowe Tapioki były otwarte na oścież i facet szwendał się przed nimi na chodniku. Uwagę barmana zwrócił fakt, że gość miał na sobie czerwony garnitur z żółtymi lampasami na nogawkach i rękawach. Poza tym gęstą czarną czuprynę, zaczesaną w stylu lat pięćdziesiątych dwudziestego wieku, a do kompletu wielkie okulary przeciwsłoneczne w złotej oprawie.

Przez chwilę Sanchez gotów byłby przysiąc, że oto jego stary przyjaciel Elvis wstał z grobu i wrócił między żywych. Nedorzeczny pomysł, prawda? Barman nie rozumiał, jak coś takiego w ogóle mogło mu przyjść do głowy, więc pogapił się na niego przez dobre trzydzieści sekund i przestał się tym zajmować. Tego dnia w mieście przebywało pewnie ze stu naśladowców Elvise, więc przyglądanie się im wszystkim w poszukiwaniu kogoś, kto zaledwie kilka dni temu umarł, byłoby czystą stratą czasu. A poza tym do baru zbliżała się właśnie kobieta w czarnym stroju z PCW i w masce na twarzy, wyglądająca na niezłą sztukę. Czyżby to Kobieta-Kot?

Kiedy już weszła do Tapioki, Sanchez z powrotem zainteresował się tym, co dzieje się przy stole El Santina. Jeden z dwóch mnichów donośnie domagał się zwrotu ich niebieskiego kamienia, tyle że teraz już mieli przeciwko sobie El Santina w jego makijażu niczym z zespołu Kiss, dwóch Samotnych Strażników, czyli Carlita i Miguela, oraz Jefe w kostiumie Freddy'ego Kruegera. Każdy z tych nieprzyjemnych gości celował właśnie w obu mnichów. Nie zapowiadało to niczego dobrego. Każdy z nich potrafił niezłe skopać dupę.

Sanchez widział, jak mnisi walczyli i pokonywali przeciwników o wiele większych i lepiej uzbrojonych od siebie, wielokrotnie widział też jednak, jak El Santino i jego siepacze zabijali ludzi, dlatego uważał, że nikt nie powinien z nimi zadzierać, nawet dwaj hubalanie. No i znał reputację Jefe jako dzielnego zabijaki. Jediną osobą przy stole, o której nic nie wiedział, był ten młody człowiek w przebraniu Terminatora. I to głównie jemu teraz się przyglądał. Kiedy dwaj mnisi skupili na sobie uwagę jego prześladowców, Terminator dostrzegł dla siebie szansę ucieczki. Dlatego kiedy nikt na niego nie patrzył, powoli i ostrożnie dźwignął się na

nogi, jednocześnie delikatnie odsuwając od stołu krzesło. Robił to dyskretnie i przez chwilę wyglądało to nawet obiecująco, niestety zdradziło go krzesło, które zaszurało głośno po podłodze. Dwaj zamaskowani strażnicy, Carlito i Miguel, zareagowali natychmiast, przesunęli broń i wycelowali w jego głowę.

- Siad! - warknął Miguel.

Dante wykonał polecenie i usiadł, chociaż Sanchez zwrócił uwagę, że chłopak nie przysunął krzesła do stołu. Dante uświadomił sobie, że raczej nie wyjdzie stąd żywy, co nagle doprowadziło go do wściekłości. Zawsze przyrzekał sobie jedno - że nie opuści tego świata jak ostatni mięczak. Skoro gra toczyła się o jego życie, zamierzał odejść z hukiem, a nie skamłając; a że nie miał broni, musiał się wydrzeć i wkurzyć parę osób, zanim kopnie w kalendarz. Kacy przeważnie była w pobliżu i potrafiła okiełznać tę agresywną i zmierzającą do konfrontacji cechę jego charakteru, niestety, tu jej nie było. Prawdopodobnie siedziała w hotelu i z niepokojem czekała na jego powrót. No cóż, w żadnym razie nie pozwoli, żeby ktoś kiedyś doniósł jej, że zginął jak tchórz. Gdyby przypadkiem dowiedziała się, jak umarł, chciał być pewny, że usłyszy, iż zginął jak mężczyzna... mężczyzna, w którym się zakochała. I który był nieznanym strachu kretynem. Czas udowodnić to po raz ostatni.

- Wiecie co? Jesteście ostatnie cipy, sztuka w sztukę - oświadczył, zwracając się do wszystkich przy stole. - Stoicie tu i wywijacie bronią niczym fujarami na konkursie sikania, ale nikt, ani jeden z was, nie ma jaj, żeby pociągnąć za spust. Ledwo przyszedli ci mnisi, leciecie w kulki, bo wiecie, że wystarczy jeden strzał i rozpęta się piekło. Błefujecie, i tyle. Więc skoro nikt nie zamierza strzelać, wstanę i wyjdę stąd w cholere. A potem skombinuję spluwę, wrócę i skoszę was wszystkich, piździelce.

Dla El Santina tego już było za wiele. Wycelowwał w głowę chłopaka. Nawet gruba warstwa makijażu na twarzy nie potrafiła ukryć jego furii spowodowanej tym, że jakiś gnojek zarzuca jemu i jego ludziom, że trzęsą portkami.

- Słuchaj no, mały! - warknął. - Jeszcze nawet nie wiem, co ty tu właściwie robisz. Ale już teraz mam ochotę odstrzelić ci łeb. Chcesz pożyć jeszcze trochę, to lepiej przekonaj mnie, że twój udział w naszej rozmowie ma jakiś sens, bo na razie wydaje mi się, że jesteś zbędny. Policzę do trzech i jeżeli przez ten czas nie przekonasz mnie, że warto zostawić cię przy życiu, to zarobisz dwie kulki w twarz. A potem urządzę sobie z ciebie jatkę. - Zrobił krok w przód, wbijając lufę broni w twarz Dantego i pochylając się nad stołem. - JEDEN... DWA...

Chłopak wybuchnął śmiechem, unosząc lewą rękę na znak, żeby El Santino nie fatygował się z dalszym odliczaniem. Klienci w całym barze rozglądali się nerwowo, z obawą czekając na huk pierwszego wystrzału.

- Poznałem się na tobie - powiedział Dante z uśmiechem, celując palcem w El Santina. - I powiem ci, gościu, że ty jeden tu nie pasujesz. Widzisz tych mnichów w strojach karateków? Oni są bardzo stosownie ubrani, bo i wyglądają spoko, i potrafią spuścić wpierdol. Ci twoi kolesie w kostiumach kowbojów też są z tej samej parafii. Wyglądają mi na parę bandytów, i chociaż pewnie są głównianymi bandziorami, to jednak bandziorami. A ten twój przyjaciel przebrany za Freddy'ego Kruegera wygląda jak ze *Strasznego filmu*, no i git, bo pasuje do niego jak ulał. Dlatego nosi tę maskę, żeby nie było widać, jaki jest, kurwa, szpetny. Ale ty, ty tutaj nie pasujesz. Stoisz sobie, liczysz do trzech, a nosisz się jak gwiazda rocka. No to pozwól, że coś ci powiem. Masz się do rock and rolla jak widły do dupy. Kiedy tak sobie liczysz do trzech i wyglądasz, jak wyglądasz, przypominasz mi tego gościa z *Ulicy Sezamkowej*. Wiesz, Hrabiego. Z tą tylko różnicą, że on potrafi liczyć więcej niż do trzech, a dzieciaki się go boją. Krótko mówiąc, ważniaku, chcę powiedzieć tyle, że z ciebie jest jakiś pieprzony muppet.

- Że co? - El Santino kipiał z wściekłości. Od lat nikt nie ważył się odezwać do niego w ten sposób. A ściślej, nikt nigdy chyba nie ośmielił się zwrócić do niego takimi słowami. Teraz już strzelenie Dantemu w twarz nie wystarczało. Najpierw sam musiał go znieważać. Przez kilka sekund zastanawiał się, po czym odparł niskim, jadowitym, ociekającym sarkazmem głosem:

- Wiesz co, synu? Tobie za to ten kostium pasuje w sam raz, bo jeśli się nie mylę, Terminator zawsze uważał się za niezniszczalnego, a jakbyś nie wiedział, w każdej części *Terminatora*, jaką widziałem, na koniec ginie. *Hasta la vista*, dupku.

Jeżeli Dante w ogóle miał szansę ucieczki, to teraz przepadła bezpowrotnie.

Sanchez, który obserwował rozwój wypadków zza baru, już miał się schować pod ladę, żeby uniknąć krwi i mózgu, nie wspominając o kulach, które lada chwila miały tryskać i świstać dookoła, gdy nagle dojrzał coś kątem oka.

Zza stolika w cieniu wstała jakaś postać, żeby przyłączyć się do zabawy. Ubrana była w biały kombinezon przypominający śpioszki dla niemowlaka, zapinany z przodu na wielkie czarne guziki. Twarz miała pomalowaną na białą, a oczy grubo podkreślone czarnym ołówkiem. Pod lewym okiem widniała wymalowana wielka czarna lza. Przebrania dopełniały spiczaste czarne kapcie i czarno-biały stożkowy kapelusz. Był to klaun. Ale nie taki z cyrku, lecz smutny mim z gatunku tych, którzy często produkują się w Europie na rogach ulic. Nagle zjawą wysunęła z długich rękawów dwa obrzyny, chwyciła je i wycelowała oba w głowę El Santina.

- Przestań, kurwa, celować w mojego przyjaciela albo odstrzelę ci ten pieprzony łeb! -

rozkazał klaun wysokim, dziewczęcym głosem.

Kochana Kacy! Sanchez nie miał pojęcia, kto kryje się pod kostiumem klauna, ale Dante natychmiast rozpoznał głos swojej dziewczyny.

Wszyscy zgromadzeni wokół stołu El Santina wycelowali broń w klauna. Sancheza raczej to nie cieszyło; nic a nic. Widywał już takie sytuacje i zawsze kończyły się krwawą jatką. Powinien przezornie i uważnie śledzić rozwój akcji, na wypadek gdyby ktoś przypadkiem wycelował w jego kierunku.

- Barman, poproszę Krwawą Mary - usłyszał głos stojącej w pobliżu kobiety.

Działając jak automat, wyciągnął spod lady wysoką, wąską szklanę, nalał klientce Krwawą Mary, mieszając składniki z trzech butelek, a nawet wrzucił kilka kostek lodu i plasterek cytryny, chociaż w ogóle nie patrzył na to, co robi. Ani na chwilę nie spuszczał oka ze stołu El Santina.

- Uwielbiam twój kostium, Sanchez - powiedziała kobieta, próbując zwrócić na siebie jego uwagę. On jednak nadal gapił się na stół na środku sali.

- Dzięki - rzekł i w tym momencie uświadomił sobie, że zna ten głos. Na chwilę oderwał wzrok od facetów ze soplami w garści. Przed nim, po drugiej stronie lady, stała Jessica, przebrana za Kobietę-Kota, i - kurde! - wyglądała jak marzenie!

- Jessico, wyglądasz bosko, ale... eee... widzisz swojego Jefe, tego w kostiumie Freddy'ego Kruegera? Zdaje się, że ma kłopoty.

Jessica spojrzała na scenkę przy stole. Tymczasem w barze zapadła cisza jak makiem zasiał. W Tapiocce było ze czterdziestu innych klientów, którzy zamarli w bezruchu, obserwując wypadki przy stole; nikt z nich nie śmiał wykonać żadnego gwałtownego ruchu, ale wszyscy gotowi byli paść plackiem albo rzucić się do wyjścia na dźwięk pierwszego strzału.

- O w dupę! - powiedziała Jessica głośno.

Poznając jej głos, Jefe zerknął w stronę baru i w tym samym momencie uświadomił sobie swój błąd. Był zawodowcem i powinien wiedzieć, że nie wolno mu spuszczać z oka tego, co dzieje się przy stole El Santina. Jego pomyłkę wykorzystał Kyle. Od dziecka oddany całym sercem trenowaniu sztuk walki, dostrzegł swoją szansę. Jego lewa ręka wystrzeliła w mgnieniu oka, trafiając w pistolet w dłoni Jefe. Był tak niesamowicie sprawny, że wytrącił łowcy nagród broń z ręki, jakby to była kostka mydła. Chwycił ją natychmiast i wycelował w niego. A zatem teraz mnisi też byli uzbrojeni.

- Oddaj mi Oko Księżycy i już nas tu nie ma - rozkazał Kyle.

Korzystnie usytuowany i względnie bezpieczny za kontuarem Sanchez nie był już pewien,

kto w tej chwili jest górą. Carlito i Miguel celowali z pistoletów w przygnębionego klauna. Ten zaś mierzył z dwóch obrzynów w El Santina, który z kolei wziął na muszkę Dantego, a Kyle - Jefe. Barman napatrzył się w życiu na niejedno, ale ta sytuacja przerastała wszystko, co widział do tej pory. W dodatku robiło się coraz gorzej. Przebrana za Kobiętę-Kota Jessica podkradała się ostrożnie do stołu, niewątpliwie po to, żeby uratować Freddy'ego Kruegera czy Jefe, zależy jak na to spojrzeć.

Krępujące napięcie, które sięgnęło zenitu, gdy Kyle rozbroił Jefe, przerwał w końcu El Santino. Jego cierpliwość się kończyła, a palec nerwowo drgał na spuście.

- Jefe, daj mi ten kamień - polecił. - Zaćmienie Słońca właśnie się zaczyna. Rzuć mi kamień, a przysięgam, że wieczorem dostaniesz za niego sto kawałków.

- Ani się waż! - wtrącił spokojnie Kyle i przystawił łowcy nagród lufę do czoła. - Jeśli dasz kamień mnie, zostawię cię przy życiu. Jeśli dasz jemu, umrzesz na miejscu. Pozwól, że powtórzę ci raz jeszcze. Dasz mu ten kamień... i już po tobie.

- Gadaj zdrów! To ty rzuć broń albo zginiesz pierwszy - odezwał się czyjś głos za plecami Kyle'a. Powiedziała to Jessica, która mierzyła do niego ze swojego pistoletu. Ścisłe rzecz biorąc, celowała w tył głowy mnicha. Lufa broni oddalona była zaledwie kilka centymetrów od jego czaszki.

Sanchez wiedział, że sprawy zabrnęły za daleko. Strzelanina zapoczątkowana przez jedną ze zwaśnionych stron wisiała w powietrzu. Zaczął zbierać z kontuaru puste szklanki i chować je na półkę pod ladę, ani na chwilę nie spuszczać wzroku z awantury. Kiedy w powietrzu zaczynają fruwać kule, im mniej szkła jest pod ręką, tym lepiej. Ale kto wystrzelił pierwszy? Sanchez podejrzewał, że będzie to El Santino. To jemu najbardziej zależało na niebieskim kamieniu i to on z nich wszystkich był najbardziej nieustraszony. W ogóle nie wiedział, co to strach. Kule się go nie imały. Krążyły pogłoski, że w przeszłości był celem niezliczonych ataków skrytobójców i nie raz został postrzelony, a jednak ten facet, ten olbrzym, za nic nie chciał umrzeć. Był twardy jak stal. Rzecz jasna, to samo można było powiedzieć o Jefe. Jeżeli w krążących na jego temat plotkach było choć źdźbło prawdy, brał udział w strzelaninach częściej niż John Wayne. No a co mogło powstrzymać Carlita i Miguela przed oddaniem pierwszego strzału w imieniu szefa? Bogiem a prawdą, każdy przy tym stole mógł rozpocząć strzelaninę, z wyjątkiem Jefe, Terminatora i Peta, jedynych, którzy nie mieli broni. Peto najwyraźniej nie przejmował się sytuacją, ale Terminator w każdej chwili gotów był uskoczyć i szukać schronienia.

Nagle z ulicy przed barem doleciał okrzyk, który gwarantował, że masakra zacznie się raczej prędzej niż później.

- HEJ, LUDZISKA! PATRZCIE! ZAĆMIENIE SŁOŃCA. WŁAŚNIE SIĘ ZACZEŁO!

Ten, kto to krzyknął, wiedział, co mówi. Żeby nie uronić niczego z zaćmienia, Sanchez nie zapalił w lokalu ani jednego światła i teraz rzeczywiście zrobiło się wyraźnie ciemniej. Jeżeli kamień miał zmienić właściciela, zanim zapadnie całkowita ciemność, ktoś musiał zadziałać szybko. A jednak przy stole nikt nawet nie drgnął. Prawdę mówiąc, Sanchez też zamarł w miejscu, gdy jego bar zaczął tonąć w mroku. Kątem oka zauważył, że Mukka stawia na ladzie szklankę dla kogoś. A kiedy zaćmienie Słońca osiągnęło pełnię i Santa Mondega pograżyła się w nocy, Sanchez usłyszał, jak obsługiwany przez kucharza klient wypowiada nieśmiertelne słowa:

- Lej pan do pełna.

Była to szklanka bourbona. W pierwszej chwili Sanchez nie zarejestrował tego, zaprzątnięty zbyt wieloma sprawami. Ale gdy tylko usłyszał te cztery słowa i ten głos, poczuł się tak, jakby się znalazł w epicentrum trzęsienia ziemi. Znał ten głos, aż za dobrze. Pochłonięty tym, co dzieje się przy stole El Santina, nie zwrócił uwagi na postać w kapturze, której Mukka właśnie podał szklankę bourbona. O ile dotychczas sytuacja wyglądała nieszczęśliwie, o tyle teraz mogło być już tylko gorzej. Do baru przyszedł Bourbon Kid. I został obsłużony!

Rozdział pięćdziesiąty siódmy

Iskrą, która podpałiła lont, było pograżenie się Tapioki w kompletnym mroku. Światło ulotniło się z lokalu, wyrugowane przez poczucie nadciągającej katastrofy. Zarówno siedzący, jak i stojący, uzbrojeni i bezbronni - wszyscy w barze w milczeniu czekali, aż ich oczy przyzwyczają się do ciemności, wiedząc, że nadeszła chwila prawdy.

Sanchez nie potrafił powiedzieć, kto wypalił pierwszy, ale ciszę rzeczywiście rozdarł pojedynczy strzał. A już pół sekundy później rozpętało się prawdziwe piekło. Kanonada była ogłuszająca. Strzały padały ze wszystkich możliwych stron, a kule świstały we wszystkich kierunkach. Sanchez, jak zawsze w takiej sytuacji, skulił się za barem. W ciemnościach słyszał jedynie palbę, wrzaski, przekleństwa, a od czasu do czasu łomot padającego na podłogę ciała, w tym niewątpliwie Mukki. Poczul, że kucharz leży obok niego, i nie miał wątpliwości, że nie żyje. Jego pracownik nie krzyknął, nie wołał o pomoc, po prostu upadł z głuchym odgłosem. Prawdopodobnie zarobił kulkę w głowę albo w serce. Biedny skurczybyk.

Zdawało się, że zaćmienie Słońca trwało dłużej niż dwie minuty, a strzelanina mniej więcej tyle samo. Przez cały ten czas Sanchez kulił się za barem, zatykając uszy rękami, w daremnej nadziei, że w ten sposób odgrodzi się od ogłuszającego huku kanonady i brzęku tłuczonego szkła, od wrzasków i przekleństw. I od śmierci.

W miarę jak strzały padały coraz rzadziej, a zaćmienie dobiegało końca, do Tapioki zaczęło powracać światło. Na Sali ruszali się jeszcze jacyś ludzie, ale wsłuchując się w odgłosy, Sanchez odnosił wrażenie, że trzymają się na ostatnich nogach. Czasami rozlegały się jęki czy kaszel, przemieszane z łomotem przewracanych stołów, brzękiem tłuczonego szkła i kapaniem na podłogę.

W końcu, gdy minęło jakieś dwadzieścia sekund bez wystrzału, Sanchez uznał, że jest względnie bezpiecznie, i przykucnął nie bez trudu. Sprawdził, czy nie trafiła go jakaś kula, a kiedy z zadowoleniem przekonał się, że nie został nawet draśnięty, uniósł się nieco, żeby wyrzeć ponad kontuarem. Powietrze było gęste od dymu. Tak gęste, że prawie nic nie widział. W dodatku dym szczypał w oczy, które zaszyły mu łzami, zupełnie jakby barman miał zamiar się rozplakać.

Gdy przeciąg wiejący od otwartych drzwi na ulicę rozproszył nieco dym, Sanchezowi przypomniał się dzień sprzed pięciu lat, kiedy to Bourbon Kid wystrzelał całą jego stałą

klientelę. Obecnie Tapioca wyglądała dokładnie tak jak wtedy.

Pierwszym trupem, którego rozpoznał, był Carlito. Koszulę miał przesiąkniętą krwią, z jego ran unosiły się cienkie smużki dymu. Niedaleko leżał jego partner, który nie odstępował go tak za życia, jak i po śmierci. A przynajmniej powinien to być Miguel, skoro był ubrany w kostium Samotnego Strażnika, tak samo jak Carlito. Inaczej nie sposób byłoby go rozpoznać. Brakowało mu pół głowy, a każda ręka i noga była podziurawiona co najmniej dziesięcioma kulami.

Sanchez przeniósł wzrok na kolejną pozbawioną życia postać. Był to jeden z mnichów, ale trudno orzec, który. Leżał twarzą w dół na środku sali, a ponieważ Kyle i Peto byli do siebie tak bardzo podobni, nawet w normalnych warunkach odróżnienie ich sprawiało trudności. Tak czy owak, ten mnich zarobił kulkę w tył głowy i zapewne był jedną z pierwszych ofiar. Musiał wcześniej paść na podłogę, bo wyglądało na to, że poza tą śmiertelną raną głowy nie odniósł innych obrażeń. Żółta kobra z tyłu jego kurtki stanowiła jaskrawą barwną plamę w morzu krwi.

Sanchez nadal lustrował wzrokiem jatkę ludzkich zwłok, walających się dookoła, gotów w każdej chwili znów paść na ziemię w razie najmniejszych oznak zagrożenia. Najbardziej interesowało go to, czy Jessica przeżyła masakrę, a także - chociaż brzmiało to nieco śmiesznie i, co tu mówić, egoistycznie - chciał wiedzieć, co się stało z Jefe. Jeżeli łowca nagród zginął, a Jessica nie, może miałby teraz szansę ją pocieszyć.

I rzeczywiście, jedna z jego modlitw została wysłuchana. Na stole pośrodku sali, z rozrzuconymi na boki rękami i nogami i od stóp do głów utyłany własną krwią i wnętrznościami, leżał Jefe. Trudno orzec, czy teraz, gdy spadła mu maska Freddy'ego Kruegera, wyglądał lepiej niż przedtem. Jego twarz była tak zmasakrowana, że w masce, którą nosił zaledwie kilka minut temu, sprawiał takie samo wrażenie.

No dobrze, ale co z Jessicą? Nigdzie nie było jej widać. Sancheza niekoniecznie obchodzili jego klienci, ale los pięknej dziewczyny, którą uratował pięć lat temu, bardzo mu leżał na sercu.

Następnie rozpoznał zwłoki kogoś, kogo miał nadzieję już nigdy nie zobaczyć: El Santina, człowieka, o którym powiadano, że nie da się go zabić. Przebieraniec udający Gene'a Simmonsa został... no cóż... przerobiony na krwawą miazgę, i to jak! Jego głowa i twarz wały się po całej podłodze, jakby rozjechał go walec drogowy. Wyglądało też na to, że stracił jedną rękę i nogę. Ktoś rzeczywiście solidnie się nad nim napracował.

Barmanowi zrzęda mina, gdy jego wzrok padł w końcu na zalane krwią ciało Jessiki. Nie pojmował, jak mógł nie zauważyć tego wcześniej. Dziewczyna leżała pod zwłokami mnicha,

na którego patrzył zaledwie przed chwilą. Nadal żyła i choć niewiele jej brakowało, usiłowała zaczerpnąć powietrza. Niestety, nie ułatwiał tego ciężar zwłok zakonnika, przyciskających jej pierś. Gdy nieco uniosła jego ciało, Sanchez poznał, że zabitym mnichem jest Kyle. Drugi mnich przepadł bez śladu. Ale gdzie jest Bourbon Kid? - pomyślał Sanchez i w tym momencie uzyskał odpowiedź, zupełnie jakby zadał to pytanie na głos.

- Ja wciąż tu jestem! Jeśli chcesz pomóc Kobiecie-Kotu, wybij to sobie z głowy - rozległ się czyjś głos z głębokiego cienia po lewej.

Z kłębow dymu i z ciemności wyszedł Bourbon Kid. Ściskając w obu rękach dymiące pistolety, powoli przechodził nad zwłokami w kierunku Jessiki, która rozpaczliwie usiłowała zepchnąć z siebie martwego Kyle'a i wstać, zanim następne kule zaczną świstać wokół jej głowy.

Sanchez żałował, że brak mu odwagi, zdawał sobie jednak sprawę, że gdyby ruszył teraz dziewczynie na pomoc, oznaczałoby to dla niego pewną śmierć. A zresztą wiedział, że ona potrafi przyjąć niejedną kulkę. Widział, jak Bourbon Kid próbował ją zabić pięć lat temu. Wówczas przeżyła, więc obiecał sobie, że jeśli i tym razem przeżyje, to jeszcze raz znajdzie dla niej bezpieczną kryjówkę i się nią zaopiekuje.

Gdy Kid zbliżył się do kobiety na jakieś pięć metrów, nareszcie udało jej się uwolnić od zwłok Kyle'a. Już miała się dźwignąć na nogi, ale jej niedoszły kat uniósł prawą rękę, w której ścisnął pistolet, i dwa razy wypalił w jej pierś. Jessica upadła do tyłu, na przewrócony drewniany stół; z jej ust bluznęła krew. Jej pierś unosiła się i opadała gwałtownie i zdawało się, że dziewczyna zadławi się na śmierć krwią, która wypełniała jej usta. Sanchez wzdrygnął się na ten przerażający widok i odwrócił wzrok. Żadne tego-tam-tego, tym razem czas tej dziewczyny dobiegał końca.

- Ty skurwysynu. Skurwysynu jebany! - krzyknęła do Kida, a z jej ust chlusnęło więcej krwi.

- Jestem skurwysynem, to prawda. Tu akurat masz rację. Jestem wrednym skurwysynem i przyszedłem cię zabić. Czas dokończyć robotę, którą zacząłem pięć lat temu. A teraz, kurwiszonie, dawaj mój niebieski kamień!

- Wal się. Ja go nie mam - odparła, krztusząc się. - Pewnie ma go któryś z tych umarlaków.

Jessica za wszelką cenę musiała zyskać na czasie, ale widocznie uświadomiła sobie, że wrogi stosunek do Bourbon Kida nic jej nie da, bo nagle zmieniła taktykę.

- A może poszukamy go razem? - zaproponowała pojednawczym tonem.

Sanchez widział, że na Kidzie nie zrobiło to wrażenia. Wypalił jeszcze dwa razy, tym razem z pistoletu w lewej ręce. Jedna kula przeszła lewe kolano dziewczyny, druga prawe;

na czarny kostium kotki trysnęło jeszcze więcej krwi. Jej odporność na ból została wystawiona na najcięższą próbę. Sanchez znów się wzdrygnął i odwrócił, zdając sobie sprawę z cierpienia Jessiki. Gdyby udało jej się pożyć jeszcze trochę, może Kidowi skończą się kule i nadjedzie policja.

- Nic nie będziemy robić razem - odparła ochryple ciemna postać. Kid długim susem przeskoczył nad zwłokami Carlita i jeszcze bardziej zbliżył się do kobiety. - Żaden z tych truposzy nie ma kamienia i świetnie o tym wiesz. WIĘC GADAJ, GDZIE ON JEST!

- Mówiłam ci już, że nie wiem. Przysięgam.

- Następną kulą roztrzaska ci twarz. Gdzie jest?

- Przecież mówię. Ma go jeden z tych facetów. - Wskazała na najbliższe ciała. - Moim zdaniem ostatnio miał go chyba Jefe.

Kid zatrzymał się i spojrzał w dół, na zwłoki, które wskazywała Jessica. Nie sposób było poznać, czy w ogóle wie, który to Jefe. Jedno tylko nie ulegało wątpliwości - Oka Księżyca nigdzie nie dostrzegł.

- Ale jak widać, teraz już go nie ma - warknął Kid, odwracając się do dziewczyny. - Bo gdyby je miał, nie byłby teraz martwy. Kamień pozwoliłby mu ujść z życiem. Czyli spokojnie można założyć, że nie ma go żaden z tych, którzy zginęli. A w tym lokalu tylko ty, ja i barman zostaliśmy przy życiu. Ja go nie mam, a barman... jemu brakuje jaj, żeby go dotknąć, wobec tego zostajesz tylko ty.

Głośny trzask spowodował, że Jessica i Kid błyskawicznie obejrzel się na drugą stronę baru, koło tylnych drzwi. Wysunęła się zza nich olbrzymia lufa, a za nią ukazał się Peto, w kostiumie Cobra Kai, tyle że teraz poplamionym krwią. W lewej ręce ścisnął Oko Księżyca, a w prawej, co ciekawe, obrzyna.

- Jest jeszcze ktoś, kto nie zginął - powiedział, podchodząc do Kida i dziewczyny. Sancheza zaskoczyła zmiana w jego głosie; teraz zgrzytał jak piasek w zębach.

Mnich, który przeżył, kulał po draśnięciu pociskiem w lewą łydkę. Poza tym z ust ciekło mu nieco krwi.

- Nie wzięłeś pod uwagę zdolności przetrwania hubalan, co? - zaskrzeczał. - A teraz rzuć pan te pieprzone pistolety i cofnij no się od tej miłej damy, albo tak cię nafaszeruję ołowiem, że będziesz nim srał do końca swojego żałośnie krótkiego życia.

Bourbon Kid sprawiał wrażenie, jakby był z lekka oszołomiony.

- A całuj ty mnie w dupę! - odparł w końcu.

W jego poprzednim, mnisim życiu taka uwaga zbiłaby Peta z tropu. Ale po tym wszystkim, co przeszedł podczas krótkiego pobytu w Santa Mondega, opryskliwe odzywki,

taka jak ta ostatnia Kida, nie robiły na nim najmniejszego wrażenia.

- Daję ci trzy sekundy na rzucenie pistoletów albo cię odstrzelę - powiedział. W jego głosie brzmiało niewzruszone przekonanie. Sanchez naprawdę wierzył, że Peto sprzątnie Bourbon Kida za trzy sekundy. Prawdę mówiąc, modlił się o to.

- Trzy... - warknął Peto.

- Dwa - odciął się Kid, bez cienia strachu w głosie.

Sanchez miał ochotę zamknąć oczy, ale nie był to czas po temu. Wyglądało na to, że jeżeli mnich nie dokończy odliczania, Kid zrobi to za niego. A jednak Peto, na którym groźna postawa Kida nie wywarła wrażenia, sam dokończył odliczanie.

- Jeden.

TRZASK!

Drzwi do ubikacji po lewej ręce mnicha otworzyły się z hukiem, niemal wypadając z zawiasów, i do baru wkroczył Dante, nadal ubrany w pełny strój Terminatora. Wycelował lufę obrzyna w tył głowy zakonnika.

- Peto, nie rób tego - odezwał się.

- Dante, ta sprawa cię nie dotyczy.

- Owszem, dotyczy. Zabieraj to swoje Oko Księżyca i zjeżdżaj stąd w pizdu. Już ja się zajmę tym gościem.

- Ale on zabił Kyle'a.

- Peto, jesteś mnichem. Mnisi nie zabijają ludzi. Żeby nie wiem co. Pod żadnym pozorem. Więc spadaj stąd. Zabieraj swój cenny kamień i wracaj, skąd przybyłeś. Jazda. Wyjdź przez tylne drzwi i spływasz. - Dante skinął kciukiem przez ramię, wskazując tylne drzwi, czyli najszybszą drogę ucieczki.

Sanchez obserwował to wszystko z rozdziawionymi ze zdumienia ustami i czekał, jaką decyzję podejmie Peto. Po chwili, która zdawała się wiecznością, mnich opuścił broń i cofnął się ciężkim krokiem. Wbił wzrok w ciemne okulary Dantego, sprawdzając, czy zdoła z oczu młodego człowieka wyczytać jego zamiary. Niestety, nic nie wyczytał. Te cholerne szkła były po prostu za ciemne.

Peto wyglądał, jakby ktoś go zdradził. Wprawdzie nie znał Dantego zbyt dobrze, ale ufał mu bardziej niż większości ludzi, których spotkał po opuszczeniu wyspy Hubal. Za wszelką cenę chciał pomścić śmierć Kyle'a. Mimo to Dante miał rację. Mnisi nie zabijają ludzi. Przygnębiony, powoli minął chłopaka i wyszedł od tyłu przez wyjście awaryjne, ani na chwilę nie spuszczać wzroku ani lufy broni z Bourbon Kida, dopóki nie dotarł bezpiecznie do drzwi. Po chwili zniknął, wraz z Okiem Księżyca.

W Tapiocce zostali Bourbon Kid, który wciąż celował z pistoletów w Jessicę, oraz Dante, który teraz również wziął ją na muszkę. Obserwując to z względnie bezpiecznego miejsca za barem, Sanchez nie posiadał się ze zdumienia. Z jakiego powodu ten chłopak, ten beznadziejny gnojek przebrany za Terminatora, który zaledwie kilka minut temu wyglądał, jakby zaraz miał trafić do piachu, ni stąd, ni zowąd wyskoczył z ukrycia i stanął w obronie Bourbon Kida? Kim on właściwie był? I czyżby wiedział coś, o czym Sanchez nie miał zielonego pojęcia?

Rozdział pięćdziesiąty ósmy

Gdy rozpoczęło się zaćmienie i Księżyc przesłonił Słońce, Dante uznał, że mimo wszystko ma szansę. Ktoś trzymał jego stronę, może nawet sam Wszechmogący; tak czy owak, ów ktoś rzucił mu koło ratunkowe. Dante dostał jedyną w swoim rodzaju okazję, by wraz z Kacy ująć z życiem i wynieść się z Tapioki.

Kiedy zniknęło światło, wszystkich innych przy stole ogarnął niepokój, a nawet obezwładniający strach. Nikt nie wiedział, kto do kogo celuje. Z wyjątkiem Dantego. On widział wszystko. Zobaczył, jak po jego lewej ręce Bourbon Kid trzaska pustą szklanką o ladę i z wewnętrznych kieszeni długiego trencza wyciąga parę pistoletów maszynowych marki Skorpion. Przed sobą ujrzał Kacy, El Santina, Carlita, Miguela, Jefe, Jessicę i dwóch mnichów; wszyscy wyglądali na wystraszonych nagłym brakiem światła. Ci z nich, którzy mieli broń, sprawiali wrażenie wyjątkowo roztrzęsionych.

Tu nie chodziło o największy fart, jaki się trafia raz w życiu; tym razem musiała to być boska interwencja. Panu niech będą dzięki, a także wypożyczalni kostiumów, w której dostał strój Terminatora, bo było w nim coś wyjątkowego. Kiedy wybierał przebranie, właściciel wypożyczalni nic na ten temat nie wspomniał. A może facet przegapił pewien drobny szczegół? Z pewnością nie, bo wcale nie był to drobny szczegół, a już z pewnością nie w obecnej sytuacji Dantego. Była to wielka sprawa. Dodatek w postaci koła ratunkowego, rzuconego mu przez miłego gościa z wypożyczalni kostiumów Domino. I to gratis.

Filmowy Terminator widział w podczerwieni. Teraz, gdy z Tapioki zniknęły resztki światła, Dante ze zdumieniem przekonał się, że tania imitacja okularów przeciwsłonecznych, którą dostał z kostiumem, także działa na podczerwień. W rezultacie widział wszystko, co działo się od chwili, gdy zapadła ciemność i Bourbon Kid oddał pierwszy strzał. Po prawdzie szczegóły były nieco zamazane i zabarwione na czerwono, ale to nie problem.

Wyglądało na to, że wszyscy sięgnęli po broń, z wyjątkiem obu barmanów. Sanchez, który znał się na rzeczy, czym prędzej czmychnął pod ladę. Mukka był ciut wolniejszy i jako jeden z pierwszych zapłacił za swój brak doświadczenia, gdy po całym lokalu ze wszystkich stron zaczęły świstać kule. Strzelał każdy, kto miał z czego strzelać. Większość zapewne nie wiedziała, do czego i kogo wali, ale to nie miało znaczenia. W takich scenariuszach przede wszystkim liczy się instynkt samozachowawczy. Górze biorą najprostsze odruchy. Dante niczym nie różnił się od innych, tyle tylko, że dla niego ważna też była ochrona Kacy.

Dziewczyna przybyła mu na pomoc. Nadszedł czas, żeby teraz to on ją uratował.

Sięgnął po jej workowaty strój klauna, złapał garść materiału i pociągnął dziewczynę na podłogę; zaskoczona Kacy wypuściła z ręki jeden z obrzynów. Była wyraźnie wystraszona, ale nie miał czasu zapewniać jej, że wszystko skończy się dobrze. Chwycił ją za rękę i przykucnięty, pociągnął za sobą do ubikacji po drugiej stronie baru. Ogłuszająca kanonada uniemożliwiała mu jakąkolwiek rozmowę z dziewczyną. Miał tylko nadzieję, że pozna po dotyku, że to on ją wlecze. W takich chwilach żałował, że częściej nie trzymał jej za rękę publicznie, ale mimo to powinna chyba poznać, że to on? Prawda? Dla Kacy takie drobiazgi bardzo się liczyły. Instynktownie pozna, że to jego dłoń. Oczywiście, że tak.

Kiedy dotarli do damskiej ubikacji, Dante barkiem pchnął drzwi i wciągnął Kacy do środka. Wszędzie świstały kule; poczuł, jak kilka z nich przelatuje obok niego i wbija się w wykładane glazurą ściany. Nie usłyszał krzyku Kacy, więc miał nadzieję, że nic jej nie jest.

Gdy już znaleźli względnie bezpieczne schronienie za drzwiami, dziewczyna padła jak długa na podłogę. Oddychała głęboko, nierówno, jak gdyby zaraz miała dostać ataku paniki.

- Dante, czy to ty? - zawołała, ale jej głos niemal utonął w huku strzelaniny po drugiej stronie ściany. W ubikacji też nie paliły się światła, więc chociaż chłopak widział Kacy w podczerwieni przez swoje okulary, ona wciąż tkwiła w kompletnych ciemnościach. Dante nie odezwał się, pogłaskał tylko jej policzek na znak, że to on. Gest ten wywarł pożądany efekt i dziewczyna uspokoiła się na tyle, że jej oddech niemal wrócił do normy. Dante wołał jednak nie ryzykować. Zostawił drzwi łazienki lekko uchylone, by móc obserwować przebieg wypadków na głównej sali.

Pierwszą osobą, która zginęła przy stoliku El Santina, był Carlito. Został nafaszerowany kulami przez Bourbon Kida, który, jak się zdawało, siał ze swoich dwóch pistoletów maszynowych więcej pocisków niż reszta sali razem wzięta. Ale nie strzelał na oślep - każda kula trafiała celu, a pierwsze dziesięć, czy coś koło tego, wpakował w Carlita. Potem przyszła kolej na Kyle'a, a następnie na El Santina. Tyle że mnicha zabił akurat kolosalny gangster. Po prostu dlatego, że strzelał, gdzie popadnie, a Kyle pierwszy nawinął mu się pod lufę. Starszy z mnichów padł na podłogę z tyłem głowy odstrzelonym przez jeden z pocisków El Santina. W chwili, gdy jego ciało uderzyło w podłogę, Dante zobaczył, że Bourbon Kid specjalnie kieruje jednego ze swoich skorpionów na Jefe. Podobnie jak El Santino, łowca nagród strzelał na oślep po całej sali, z nadzieją, że skosi kogokolwiek, czy to przyjaciela, czy wroga.

W tym momencie Dante zorientował się, że nie on jeden potrafi widzieć w ciemności. Najwyraźniej Kid też widział doskonale. Starannie wycelował pistolet maszynowy w lewej ręce i posłał serię w otwory na oczy w masce Freddy'ego Kruegera, którą nosił Jefe,

wysyłając łowcę nagród na wieczny spoczynek. Maskę, z odstrzeloną gumką, upadła na podłogę wierzchem do góry, niczym ponury żart z jatki, jaka tu się odbywała. Padając, Jefe wypuścił z prawej ręki pistolet, ale co ważniejsze, Oko Księżyca, które odczepił od srebrnego łańcucha (pewnie dlatego, że chciał go sprzedać osobno), wypadło z jego lewej dłoni i potoczyło się po podłodze, lawirując między padającymi ciałami, jakby kierowało się własnym rozumem. Turlało się tak przez całą salę, aż w końcu trafiło do ręki Peta, który schował się pod jednym z większych stołów. Mnich, który od razu rozpoznał dotykiem kamień, bez wahania chwycił go i wytoczył się ze swojej kryjówki. Przemknął przez cały lokal, czasami wpadając na jakieś krzesło czy potykając się o zwłoki, aż w końcu znalazł względnie bezpieczne schronienie za wielką drewnianą beczką; chwilę wcześniej kula drasnęła go w łydkę.

Teraz już w całym barze trup ścielił się gęsto, w przerażającym wręcz tempie. Z tych, których Dante potrafił rozpoznać, następny padł Miguel - ofiara kolejnego śmiertelnego strzału Bourbon Kida. Widok strzelca, który zabija na raz tylu ludzi, w normalnych okolicznościach spowodowałby, że Dante zwracałby uwagę tylko na Bourbon Kida, ale nie tutaj, nie tego dnia. Owacje dla Kida skradła dziewczyna przebrana za Kobietę-Kota.

Nie ulegało wątpliwości, że ona także doskonale widzi w ciemnościach. Poruszała się szybciej niż jakikolwiek przedstawiciel rodziny kotów, uskakując przed kulami, przeskakując przez martwych i umierających, nurkując pod stoły i za wszelką cenę usiłując dostać się do zwłok jej zabitego kochanka, Jefe. Zadanie okazało się dla niej wyjątkowo niebezpieczne. Gdy tylko zbliżała się do ciała łowcy nagród, Bourbon Kid za każdym razem celował w jej kierunku i walił serią za serią jak opętany, zmuszając ją do odwrotu. Z początku Dante uważał, że dziewczyna tylko szczęściu zawdzięcza, że unika kul, i w skrytości ducha kibicował jej, żeby przeżyła. Nagle wydarzyło się coś, co sprawiło, że zmienił zdanie.

Kobieta-Kot - czyli Jessica, tyle że Dante nie znał jej imienia - najwyraźniej miała już dość chowania się przed kulami. Przeskoczyła zniemacka nad wielkim stołem, przy którym toczyły się negocjacje, i wylądowała lekko po drugiej stronie, obok zakrwawionych szczątków Jefe. Najwyraźniej miała potwornie silne ręce, bo bez wysiłku chwyciła za ramiona ogromnego łowcę nagród i podniosła bezwładne ciało. Gdy spojrzała znad niego, jej oczy stały się jasnoczerwone; gorączkowo zaczęła rozrywać najpierw jego ubranie, a potem skórę. W jej ustach pojawiły się nagle kły, jakich nie powstydzilby się tygrys bengalski, a paznokcie zamieniły się w szpony, które z pewnością nie należały do jej kostiumu. No i dobra, nie jest kotką, pomyślał Dante. Ale człowiekiem też z pewnością nie jest. Była tak pochłonięta tym, co robi, że przestała zwracać uwagę na Bourbon Kida. A już zupełnie nie zainteresował jej

facet na tyle głupi, że ośmielił się wejść do Tapioki w trakcie tej bezładnej strzelaniny. Człowiek ten przebrany był za Elvisa.

Natomiast Bourbon Kid zauważył wejście Elvisopodobnego; pojawienie się tego olbrzymiego, zwalistego faceta na chwilę go rozproszyło. Żółte lampasy po bokach czerwonego garnituru niemal jaśniały w ciemnościach, ale nie to przykuło uwagę Kida. Olbrzymi wielbiciel Elvisa dzierżył ciężką dubeltówkę, wycelowaną w jego kierunku. Trudno powiedzieć, czy zdawał sobie sprawę, w kogo celuje, czy tylko przypadkiem skierował broń na zabijakę, który skosił prawie wszystkich w tym barze.

Ten facet chyba postradał zmysły! - pomyślał Dante. Przecież tylko kompletny świr wchodziłby do ciemnego baru w samym środku strzelaniny! Z kolei Bourbon Kid nie zamierzał najpierw pytać, a dopiero potem brać się do strzelania. Na widok przybysza upuścił oba skorpiony i bez ostrzeżenia wysunął z rękawów płaszcza dwa mniejsze pistolety. Spluwy wyskoczyły spod mankietów wprost do jego rąk. Zanim przebrany za Króla facet zdążył wypalić z dubeltówki, dwie kule strzaskały jego okulary przeciwsłoneczne, a każda z nich trafiła go prosto w oko. Olbrzym powoli przechylił się do tyłu i zwałił na ziemię z impetem, od którego zadrżała podłoga. Nawet Dante, przykucnięty w łazience, poczuł pod stopami siłę tego uderzenia.

Mając świadomość, że spuścił Jessicę z oczu, Kid błyskawicznie okręcił się na pięcie i znów zaczął strzelać w jej kierunku. Ona zaś wciąż rozszarpywała to, co pozostało z Jefe, niepomna tego, co dzieje się dookoła. W ten sposób wystawiła się na łatwy cel, co Bourbon Kid wykorzystał bezlitośnie, pakując w nią kulkę za kulką.

Dante, który tymczasem przyzwyczał się już do tego dziwnego świata w podczerwieni, doskonale widział, kto do kogo strzela. Prawie wszyscy w barze albo nie żyli, albo umierali i Kobieta-Kot z pewnością też już powinna być w tym samym stanie. Kid bez przerwy zasypywał ją gradem kul, a mimo to chłopak ze zdumieniem patrzył, że zamiast paść we krwi, jak niemal wszyscy inni, zrobiła coś niewiarygodnego. Poderwała się w górę. W pokazie niewyobrażalnej siły skoczyła pod sam sufit, ciągnąc za sobą ciężkie, bezwładne ciało Jefe. Łowca nagród ważył pewnie dwa razy tyle co ona, a jednak podniosła go jak piórko, walnęła jego zwłokami o sufit i unosząc się pod nim w powietrzu, zdarła z niego resztkę ubrania i skóry. Najwyraźniej czegoś szukała i nie trzeba było jasnowidza, by zorientować się, że chodzi jej o Oko Księżyca, ale jak Dante mógł się przekonać, Jefe nie miał go już przy sobie. Teraz kamień miał Peto, chowający się za beczką, poza zasięgiem wzroku Kobiety-Kota.

Kiedy do Jessiki nareszcie dotarło, że Jefe stracił niebieski kamień, wbiła zakończoną szponami rękę głęboko w jego pierś i wyrwała mu serce. Zupełnie jak gdyby chciała mu

zajrzeć do środka i sprawdzić, czy aby nie połknął cennego niebieskiego klejnotu. Była do tego stopnia gotowa na wszystko. Krew i wnętrzności z tułowia Jefe poleciały na podłogę niczym żarcie wrzucane do świńskiego koryta, spadając na stoły, krzesła i zwłoki. Nie godzi się tak traktować po śmierci człowieka otaczanego powszechnym strachem, pomyślał Dante nielogicznie.

Widząc, co robi dziewczyna, Bourbon Kid wycelował pistolety w górę. Teraz, kiedy zdawało się, że nie pozostał przy życiu nikt, do kogo można by strzelać, mógł się skupić tylko na waleniu do Jessiki. Trafiło ją tyle pocisków, że nic dziwnego, iż w końcu gruchnęła na ziemię. Już dawno straciła swoją broń, mogła więc tylko zasłaniać twarz rękami, chroniąc się przed nieustającym gradem kul. Jeszcze przez dwadzieścia sekund Bourbon Kid szpikował ją pociskami, aż wreszcie skończyła mu się amunicja i opuścił pistolety. W tej jakże pożądanej chwili wytchnienia, kiedy macał się po ubraniu, szukając zapasowej amunicji, Jessica znalazła jakieś zwłoki i wczołgała się pod nie, by korzystając z tego schronienia, obmyślić następny ruch. W nagłej ciszy Kid przetrząsał wszystkie kieszenie i zarękawki trencza z kapturem, szybko jednak pojął, że amunicja mu się skończyła i że nic już nie znajdzie. Rozejrzał się po podłodze, szukając jakiegokolwiek broni, i jego oczy rozbłyły na widok faceta przebranego za Elvisa, leżącego w wejściu. Ruszył do niego, wyjął dubeltówkę z martwych rąk i przetrząsnął kieszenie czerwonego garnituru w poszukiwaniu naboju, którymi mógłby naładować strzelbę.

I właśnie wtedy, gdy Kid plądrował zwłoki Króla, zaćmienie Słońca zaczęło ustępować, a do Tapioki powoli wracało światło dnia. Dante, chociaż uważał, że właściwie o niczym nie ma pojęcia, uznał, że nie podoba mu się ta dziewczyna w przebraniu Kobiety-Kota. Nie była do końca człowiekiem. Gorzej, zdecydowanie niosła ze sobą kłopoty. Nie można jej było zabić, bez względu na to, ile kul w nią wpakowano, i najwyraźniej miała zdolności nadprzyrodzone (na przykład, potrafiła latać). Jeżeli naprawdę istniał Pan Żywych Trupów, który przybył, by zdobyć Oko Księżycy, to niewątpliwie była nim ona. Nie ulegało wątpliwości, że ten kurwizjon to kawał wrednej suki.

Dante domknął drzwi łazienki i przez kilka sekund zastanawiał się nad sytuacją. Kacy, wyraźnie przerażona, siedziała na podłodze i wyciągała do niego broń. W końcu puściły jej nerwy. Była dzielna i przysłała mu z pomocą, ale teraz nadeszła pora, żeby to on wykazał się rycerskością i obronił kobietę, którą kocha. Pstryknął kontakt obok drzwi i w jasności, jaka nagle zapanowała, obrzucił przeciągłym, ostrym spojrzeniem piękną, acz wystraszoną twarz Kacy. Podejrzewając, że może widzi ją po raz ostatni, chciał się nacieszyć tą chwilą. Kiedy już wyraz jej twarzy na zawsze wrył mu się w pamięć, wyciągnął rękę i odebrał jej obrzyną.

Czas, żeby wreszcie on zrobił coś dla ludzkości. No i, przede wszystkim, dla Kacy.

- Kace, masz jeszcze jakieś naboje? - zapytał cicho.

- Dante, nie wychodź tam! - powiedziała błagalnie. - Zaczekajmy, aż przyjadą gliniarze.

Z uśmiechem pokręcił głową. Sięgnął do kieszeni jej kostiumu klauna i wyciągnął garść nabojów kaliber 12.

Choć chętnie poszedłby za jej radą, wiedział, że będzie musiał pomóc Bourbon Kidowi. Nie kierował nim zwyczajny instynkt, lecz świadomość, że los wolnego świata prawdopodobnie spoczywa w rękach szybkostrzelnego Kida, który potrafił przejrzeć na wylot tę drapieżną sukę, przebraną za Kobietę-Kota. Ten Kid musi być jednak w porządku, no nie? A zresztą, może tak, może nie, ale przynajmniej wydawało się, że jest człowiekiem. Dante słyszał opowieści o morderstwach popełnionych przez niego w czasie ostatniego Festiwalu Księżycowego, teraz jednak, gdyby miał się opowiedzieć po którejś ze stron, prędzej wybrałby seryjnego mordercę niż latającą przedstawicielkę świata żywych trupów w kostiumie Kobiety-Kota. Tak czy owak, świadomość, że on i Kacy bez dwóch zdań zginą, jeżeli nie zrobi nic, żeby pomóc im wyjść z tej opresji, dodała mu aż nadto animuszu. Biedna Kacy była wyraźnie zbita z tropu. Patrzyła na niego, modląc się, żeby z nią został.

- Nic się nie martw, skarbie - zwrócił się do niej. - Ja tu jeszcze wrócę!

Wyglądało na to, że strzelanina ustała, a od strony baru doleciał ich pomruk głosów. Dante odwrócił się, otworzył drzwi łazienki tak gwałtownie, że niemal wyleciały z zawiasów, po czym odetchnął głęboko i wpadł przez nie na salę. A tam, dokładnie na wprost niego, stał Peto z bronią wycelowaną w Bourbon Kida i wyglądał tak, jakby zaraz miał go zastrzelić. Dante wycelował obrzyna w tył głowy mnicha.

- Peto, nie rób tego.

- Dante, ta sprawa cię nie dotyczy.

- Owszem, dotyczy. Zabieraj to swoje Oko Księżycyca i zjeżdżaj stąd. Już ja się zajmę tym gościem.

- Ale on zabił Kyle'a.

- Peto, jesteś mnichem. Mnisi nie zabijają ludzi. Żeby nie wiem co. Pod żadnym pozorem. Więc spadaj stąd. Zabieraj swój cenny kamień i wracaj, skąd przybyłeś. Jazda. Wyjdź przez tylne drzwi i spływaj.

Przez chwilę Peto rozważał, czy pójść za radą Dantego, czy nie. Wydawał się rozdarty wewnątrz; nagle, jak gdyby nie mógł podjąć decyzji, po prostu wycofał się w kierunku tylnego wyjścia, jak to zasugerował Dante, ani na chwilę nie spuszczał wzroku z Bourbon Kida. Gdy dotarł do drzwi, wykopał je lewą piętą i zniknął za nimi.

Zostało ich troje. Jessica leżała, wsparta plecami o przewrócony na bok stół. Twarz pod maską Kobiety-Kota wróciła do normalnego stanu. Dante wycelował broń i wypalił, trafiając ją w sam środek czoła. Krew i mózg obryzgały wszystko dookoła. Na ten znak Bourbon Kid wpakował w nią wszystkie naboje, jakie mu jeszcze zostały - te, które zabrał facetowi przebranemu za Elvisa. Przez blisko minutę chłopak i Kid strzelali do niej non stop; pociski z wielkiej strzelby wyrządzały straszliwe szkody, aż w końcu z dziewczyny nie zostało ani trochę ciała, tylko krew, kości i chrząstki. Kiedy skończyła im się amunicja i obaj opuścili broń, Dante przyjrzał się jatce, jaką urządzili. I chociaż wiedział, że dziewczyna była wcieleniem zła i gdyby tylko miała okazję, bez wahania zabiłaby jego i Kacy, to jednak nie mógł się pozbyć wyrzutów sumienia. To, co właśnie zrobił, przypomniało mu zdarzenie sprzed kilku miesięcy, kiedy przypadkiem potrafił samochodem swojego psa Hectora. Nie była to jego wina, a jednak patrząc, jak jego ukochany pies wydaje ostatnie tchnienie, czuł pustkę w środku. Cóż może być gorszego niż odebranie komuś życia, obojętne - przypadkiem czy celowo. Jakkolwiek by to tłumaczyć, było to paskudne uczucie.

Bourbon Kidem najwyraźniej nie targały takie rozterki duchowe jak Dantem. Wypuścił broń z lewej ręki i z wewnętrznej kieszeni płaszcza od niechcenia wyjął paczkę papierosów. Palcem wskazującym pstryknął w jej dno i jeden pet wysunął się z pudełka. Uniósł paczkę do ust, wyciągnął papierosa zębami i przesunął go językiem tak, że zwisał z lewego kącika ust. Zaciągnął się i papieros zapalił się sam. Widocznie wiszące w barze kłęby dymu zadziały jak płomień. Tak czy owak, była to zajebista sztuczka. Kid zaciągnął się jeszcze raz i spojrzał na Dantego.

- Dzięki, chłopie. Jestem ci krewny. Wrzuć luz.

Co rzekłszy, odwrócił się i wyszedł z Tapioki. Po drodze przeszedł nad wieloma zwłokami, ale ani nie spojrzał w dół, ani się nie obejrzał. Bourbon Kid zniknął. Zostawił po sobie tylko rozkładające się szczątki swojego rękodziela - rozerwane, zalane krwią zwłoki, niektóre wciąż jeszcze dymiące z ran po kulach. Po stołach i krzesłach spływała krew i wały się strzępy ciała szumowin i niewinnych gapiów, którzy weszli mu w drogę. A pośrodku tego wszystkiego stał Dante, jedyny widoczny człowiek, który przeżył. Chłopak wrócił do damskiej toalety i przeszedł przez drzwi, które wisiały na zawiasach, wyłamane, jakby w każdej chwili mogły się oderwać. W środku spojrzał na Kacy, która leżała na podłodze przed jedną z kabin, zakrywając głowę rękami. Ostatnia, gorączkowa kanonada przeraziła ją tak, że nie miała odwagi wyjrzeć i sprawdzić, czy jej chłopak pozostał przy życiu.

Dante uśmiechnął się do niej szeroko.

- Jeśli chcesz jeszcze pożyć, chodź ze mną - powiedział, starając się jak najlepiej

naśladować głos Schwarzeneggera.

Kacy zrewanżowała mu się takim uśmiechem, jak gdyby była najszcześniejszą dziewczyną na świecie.

- Kocham cię.

- Wiem. - Błysnął do niej uśmiechem.

Kiedy wychodzili z baru, przechodząc nad walającymi się wszędzie zwłokami, połamanymi meblami i kałużami posoki, Kacy zatrzymała się nagle i pociągnęła Dantego za rękaw.

- Hej, jeden z nich może mieć nasze dziesięć kawałków. Chcesz ich przeszukać?

Z uśmiechem pokręcił głową.

- Skarbie, jeżeli ta historia czegokolwiek mnie nauczyła, to tego, że nie potrzebuję forsy. Mam ciebie, małeńka. I nic więcej mi nie potrzeba.

- Jesteś pewien, kocie?

- Jasne, że tak. Tylko ciebie i te sto patyków, które czekają na nas w motelu, dobrze mówię?

- Ja myślę!

Dante oparł dłoń na karku Kacy, przyciągnął ją do siebie i namiętnie pocałował w usta.

- Jesteś najwspanialszą dziewczyną na świecie, Kace - oznajmił, puszczając do niej oko spoza okularów przeciwsłonecznych.

Zrewanżowała mu się tym samym.

- Wiem.

Rozdział pięćdziesiąty dziewiąty

Sanchez musiał się napić. Po strzelaninie jedyną ocalałą flaszką za kontuarem była ta z najlepszym bourbonem. Nawet butelka na szczytny był roztrzaskana i Sanchez miał wrażenie, że jej zawartość wylała się na niego. Niewątpliwie była to sprawka Bourbon Kida.

Poza Sanchezem w barze nie było już nikogo żywego. Przeklęty Kid znowu wykosił mu całą klientelę, a potem ten facet przebrany za Terminatora pomógł mu wykończyć Jessicę. Tym razem była martwa, bez dwóch zdań. Zastanawiał się nad sytuacją, wracając pamięcią do wydarzeń sprzed pięciu lat. W ciągu następnych kilku miesięcy czekał go kawał ciężkiej roboty, żeby odbudować interes, co do tego nie było wątpliwości.

Już miał pociągnąć z gwinta solidny łyk bourbona, kiedy na ladzie dostrzegł jedyną szklanekę do whisky, która jakimś cudem pozostała nietknięta i przetrwała kanonadę. To pewnie ta, z której popijał Kid. Sanchez uśmiechnął się pod nosem, nalewając sobie słuszną miarę. Może jeżeli napije się ze szklanki Kida, wyrze to na nim jakiś skutek? Miał tylko nadzieję, że pomyślny.

Wychylił szklanekę jednym haustem i nalał sobie kolejną porcję. Czas wziąć się do sprzątnięcia lokalu. Wiedział, że wkrótce zjawią się gliniarze z tradycyjnymi pytaniami. Uznał więc, że najlepiej będzie przetrząsnąć kieszenie zabitych, zanim przybędzie policja i go uprzedzi. Bez sensu byłoby stracić okazję do zwinięcia szmalu z przeznaczeniem na fundusz odbudowy. Popijając drugą szklaneczkę bourbona, przystąpił do dzieła.

Zanim policyjne radiowozy zajechały na sygnale pod jego bar, znalazł około dwudziestu tysięcy dolarów w używanych banknotach, schowanych po kieszeniach zabitych. Wielu z nich nie można było rozpoznać, co w pewnym sensie łagodziło wyrzuty sumienia. Gdy dotarł do Jessiki, miał opory przed zrewidowaniem jej. Przecież od pięciu lat sekretnie podkochiwał się w tej dziewczynie. Cały ten czas spędziła w śpiączce, on zaś z nadzieją modlił się, żeby się wybudziła i podziękowała mu za uratowanie życia. Kto wie, może zakochałaby się w nim tak, jak on zakochał się w niej? Ale tym razem naprawdę nie żyła. Zbadał jej tętno na nadgarstku i na szyi. Nic. Na podłodze znalazł jedyną względnie mało zakrwawioną żółtą ściereczkę barową i zakrył nią to, co zostało z jej twarzy. Co za strata! Straszliwa, kurewsko potworna strata!

- Masz tam kogoś, kto przeżył? - usłyszał czyjś głos za plecami.

Odwrócił się i natychmiast poznał mężczyznę w szarym trenczu, który opierał się o

kontuar. Był to detektyw Archibald Somers - wypalony były gliniarz, który bez powodzenia poświęcił życie na łapanie Bourbon Kida. Obecny stan Tapioki najlepiej świadczył o tym, jak dalece mu się to nie udało.

- Nie, ona nie żyje.

- Jesteś pewny?

- No cóż, brak tętna i nie oddycha. Myślę, że wykończyła ją ta sto pięćdziesiąta trzecia kula.

Somers oderwał się od lady i podszedł do Sancheza, z trzaskiem miażdżąc odłamki szkła pod stopami.

- Darujmy sobie ten sarkazm, co? Będzie nam potrzebne pańskie zeznanie. Czy to znowu był Bourbon Kid?

Sanchez wstał i przeszedł za kontuar, uważając, żeby detektyw Somers nie zauważył pliku banknotów, który schował w tylnej kieszeni spodni.

- Tak, to znowu on - potwierdził ze znużeniem. - Ale tym razem pomagał mu jakiś chłopak, facet przebrany za Terminatora. Myślę, że to ci dwaj zabili mi brata i jego żonę. A pewnie także Elvisa.

- Tego tu? - spytał Somers, wskazując na zwłoki przebranego za Elvisa gościa, leżące przy wejściu.

- Nie, ten to jakiś palant, który napatoczył się w niewłaściwym czasie.

- Miał facet pecha.

- No, on i jeszcze setka innych. To jak, detektywie, walnie pan jednego głębszego?

- Jasne. Co pan masz?

- Bourbona.

Somers westchnął głęboko. Kid zniknął, ale bourbon lał się nadal, jak zwykle.

- A co tam, kurwa. Lej pan.

Zirytowany detektyw podszedł do miejsca, gdzie wcześniej stał Sanchez, i spojrzał na zwłoki Jessiki. Uniósł to, co zostało z jej ręki, żeby zbadać puls.

- Już mówiłem. Człowieku, ona nie żyje - zawołał Sanchez zza kontuaru. Nalewał bourbona do jedynej ocalałej szklanki, tej, z której dopiero co sam popijał.

W tym momencie do Tapioki wszedł drugi glina, w błyszczącym srebrnym garniturze, i przechodząc nad zwłokami faceta w przebraniu Elvisa, niezdarnie zaczepił o nie nogą. Był to Miles Jensen, czarny detektyw spoza miasta. Sanchez poznał go kilka dni wcześniej, kiedy ten wpadł do jego lokalu z jakimiś nic niewnoszącymi pytaniami na temat zabójstwa Thomasa i Audrey. Wówczas barman nic mu nie powiedział, a i teraz nie zamierzał mówić. Z zasady

nie przepadał za glinami, a już za tymi wścibskimi, którzy nosili blachy... o nie, tych nie tolerował zupełnie.

- Jezu, ale bajzel - odezwał się Jensen, prostując się po tym, jak się potknął. - Hej, następny sztywny Elvis! Co jest, nikt już nie ma za grosz szacunku dla Króla, czy co?

- Pan też walnie sobie bourbona? - zapytał Sanchez.

- A jest coś innego?

- Nie.

- W takim razie dzięki, odpuszczę sobie.

Jensen podszedł do Somersa, który kuczał właśnie przy zwłokach Jessiki. Zmierzając do partnera, po drodze rozpoznał szczątki Carlita i Miguela, leżące pośród szkła, krwi i łusek po nabojach. Przeszedł nad nimi z pocieszającą świadomością, że po tym, w co wpakowali go ubiegłej nocy, już nie żyją. Ale nie miał czasu rozpamiętywać tego, bo wyglądało na to, że w tej żalostnej jatce ucierpiało też wiele niewinnych osób. Jedną z nich była młoda dziewczyna, której twarz jego partner zakrywał właśnie poplamioną barową ścierką.

- Żyje? - zapytał Miles.

- Nie, zeszła. Poza Sanchezem nie ma tu nikogo żywego - odparł Somers, wstając. - Ściągnijmy lepiej techników. Może uda się nagłośnić sprawę i złapać Bourbon Kida, zanim ucieknie. Sanchez twierdzi, że miał współnika, przebranego za Terminatora.

Jensen zaczynał pojmować, dlaczego Somers spędził ostatnie pięć lat na ściganiu Bourbon Kida. Niektórzy z zabitych mieli rodziny, które nie powinny ich oglądać w takim stanie tylko dlatego, że jakiś psychol nie potrafi pić.

- Idę, powiem załodze karetki, że mogą już wejść.

- Nie, zostań - rzekł Somers, spoglądając na zwłoki mnicha i z niezadowoleniem cmokając pod nosem. - Ja to załatwię. Ty zostań i zbierz zeznania od Sancheza.

Podszedł do kontuaru, gdzie barman postawił jego szklankę bourbona. Zerknął na nią i skrzywił się.

- Po namyśle rezygnuję z tej lufy - oświadczył. - W świetle tego, co tu się stało, picie gorzałki byłoby chyba nie na miejscu. Niektórzy pewnie by uznali, że serwować jej też nie wypada. A tak swoją drogą, załatuje od ciebie szczynami.

Somers wyszedł, cmokając z dezaprobatą za każdym razem, gdy przechodził nad zwłokami. Był wyraźnie zniesmaczony potworną stratą życia niewinnych ludzi, z jaką miał tu do czynienia.

Jensen źle się czuł z tym, że nie dotarli do Tapioki szybciej. Być może odkupi swoje grzechy i zaskoczy partnera, jeżeli jako pierwszy człowiek w historii wyciągnie z Sancheza

jakieś przydatne zeznania. Wziął z podłogi jeden z drewnianych stołków, strząsnął odłamki szkła, podszedł z nim do kontuaru i usiadł.

- Słuchaj, Sanchez - zagaił - czy mi się zdaje, czy tu śmierdzi szczynami?

- Fakt. - Barman wzruszył ramionami. - Naprawdę akurat teraz muszę składać to zeznanie?

- Nie. - Miles uśmiechnął się. Może rzeczywiście nie był to odpowiedni moment. - Jeśli wolisz, przyjdź jutro na komendę, wtedy cię przesłucham.

- Dzięki, chłopie.

- Nie ma za co.

Jensen wziął szklankę bourbona, z którego zrezygnował Somers, i pociągnął łyk. Napój był ciepły i smakował, jakby zawierał piasek. W rezultacie nie miał w sobie nic odświeżającego.

- Chryste! Człowieku, przecież to rzadkie świństwo. Nic dziwnego, że Kidowi odbija, kiedy się tego napije.

Zaledwie wypowiedział te słowa, aż się skurczył. Czy to możliwe, że pozwolił sobie na tak nieczułą uwagę? Nawet w lokalu takim jak ten, gdzie nietaktowne odzywki stanowiły chleb powszedni, wyrwanie się z czymś takim było wręcz podłe. Zerknął na twarz Sancheza, ale na barmanie nie zrobiło to najmniejszego wrażenia.

- Przepraszam, stary. Kiepski dowcip.

- Nie ma o czym mówić.

Jensen nie chciał przeciągać pobytu w barze dłużej niż to konieczne, zwłaszcza że wrywał się z uwagami w dość kiepskim guście. Wstał ze stołka i sięgnął do kieszeni. Barman z niepokojem odsunął się od kontuaru.

- Nie bój się, Sanchez, ja tylko chcę wyjąć portfel - uspokoił go Miles z uśmiechem.

- Nie ma sprawy, chłopie. Nie musisz nic płacić - usłyszał w odpowiedzi.

Detektyw wyciągnął portfel, otworzył go i wyjął małą czerwoną wizytówkę służbową.

- Weź to. Masz tu mój numer na komórkę. Dzwoń, gdybyś sobie coś przypomniał, no wiesz... coś ważnego... na temat Bourbon Kida. - Położył kartonik na wierzchu szklanki z nadpitym bourbonem. Barman wziął go i schował do tylnej kieszeni spodni.

- Jasne. Dzięki, detektywie. Będę pamiętał.

- To dobrze. Nie przejmuj się, Sanchez.

Jensen ruszył do drzwi frontowych, po raz drugi przypadkowo zahaczając stopą o martwego faceta w przebraniu Elvisa. Obejrzał się, sprawdzając, czy barman to zauważył. Chyba tak, bo kręcił głową. Miles uśmiechnął się do niego przez zaciśnięte zęby. Cóż za żenada! Sanchez pewnie uważa go za czarną wersję inspektora Clouseau.

Tymczasem barman nie myślał niczego w tym rodzaju. Prawdę mówiąc, żał mu się zrobiło niezdarne detektywa, więc postanowił wyciągnąć do niego pomocną dłoń.

- Hej, detektywie, właśnie coś mi się przypomniało! - zawołał. - Ten facet w kostiumie Terminatora porusza się żółtym cadillakiem.

Miles Jensen stanął jak wryty.

- Poważnie? Żółtym cadillakiem?

- No.

- Kurde, niech tylko Somers się o tym dowie - rzucił Jensen, uśmiechając się pod nosem.

- Co w tym takiego śmiesznego? - zainteresował się Sanchez.

- W sumie to nic - odparł Miles. - Tyle tylko, że ubiegłej nocy Somersowi ukradli żółtego cadillaca. Wkurwił się równo, chłopie! Żałuj, żeś tego nie widział.

Kiedy detektyw wyszedł do swojego samochodu, Sanchez stał za kontuarem, pogrążony w myślach. Somers był właścicielem żółtego cadillaca? Właściwie co z tego wynikało? Że to on zabił Thomasa i Audrey? A jeśli tak, czy oznaczało to również, że zabił także Elvisa? Zanim zdążył się nad tym głębiej zastanowić, dojrzał coś kątem oka. A potem usłyszał kaszel. To kaszlała Jessica! Wybiegł zza lady, pochylił się naci nią i szybko ściągnął ścierkę z jej twarzy. Dziewczyna znów oddychała. Żyła, choć prawdę mówiąc, jej życie dosłownie wisiało na włosku. Wyglądało na to, że jej twarz z powrotem obrośla ciałem, jakby się zregenerowała. Ani chybi jakiś cud! Zaledwie kilka minut temu sprawdzał jej puls i przecież była martwa. Potem badał ją jeszcze ten stary detektyw Somers, i potwierdził to samo. A teraz ni stąd, ni zowąd ożyła! A co tam! Sancheza nie obchodziło, jak do tego doszło. Wiedział tylko, że teraz to on musi się nią zaopiekować. To był znak. Znak od Boga. Widocznie pisana im była wspólna przyszłość. Tym razem sam będzie ją pielęgnował, dopóki nie wyzdrowieje.

Niosąc jej bezwładne ciało na zaplecze, usłyszał zajeżdżającą pod bar karetkę. Znów będzie musiał ukryć gdzieś Jessicę, tak jak ostatnio. Nikomu nie wolno ufać. Gdyby rozeszło się, że ona żyje, Bourbon Kid by po nią wrócił. Być może trwałoby to następne pięć lat, a może mniej albo więcej, kto wie? Ale pod opieką Sancheza dziewczyna powróci do zdrowia.

I tym razem może mu za to podziękuje?

Rozdział sześćdziesiąty

Kapitan Rockwell wszedł do domu Mistycznej Damy i zastał porucznika Scraggsa siedzącego przy stole; na sąsiednim krześle spoczywało pozbawione głowy ciało starej kobiety. Jego podwładny przerzucał strony grubej księgi w twardej oprawie.

Na widok wchodzącego kapitana Scraggs omal nie wyskoczył ze skóry.

- Jasna cholera, Scrubbs, chyba mówiłem wyraźnie, żebyście tu niczego nie dotykali? - warknął Rockwell ze złością.

- Tak, kapitanie, mówił pan, ale musi pan to zobaczyć. Ta księga wszystko tłumaczy.

- Oby tak, kurwa, było!

Scraggs cofnął się o kilka kartek i podsunął otwartą księgę przełożonemu, który podszedł do stołu, nie spuszczać lodowatego wzroku z podwładnego, by ten wiedział, jak bardzo jest niezadowolony z jego niesubordynacji.

- No dobra, co mi tu pokazujecie?

Scraggs wskazał na stronę po lewej. Widniał na niej kolorowy rysunek przedstawiający dwóch mężczyzn, stojących obok siebie i obejmujących się. Obaj ubrani byli w długie szaty, co mogło świadczyć o tym, że żyli setki lat temu; fakt ten zdawał się potwierdzać pomarszczony żółty pergamin, na którym spisana była księga. Jeden z mężczyzn w długiej szacie trzymał złoty kielich, z którego wylewał się czerwony płyn. Obaj sprawiali wrażenie tak pogodnych i szczęśliwych, jakby byli niemal w ekstazie.

- Kapitanie, niech pan przeczyta podpis pod tym rysunkiem - rzekł Scraggs.

Rockwell źle znosił sytuację, gdy podwładny wydawał mu polecenia, ale przeczytał po cichu skreślony czarnym piśmem tekst.

Armand Xavier i Ishmael Taos odnaleźli Kielich Chrystusowy i pili z niego w Roku Pańskim 526.

- To wszystko? - spytał Rockwell. - Co to ma, kurwa, być? Nic nie kapuję.

- Niech pan jeszcze raz spojrzy na tych dwóch mężczyzn, kapitanie. Nie poznaje pan jednego z nich?

Kapitan Rockwell jeszcze raz uważnie przyjrzał się rysunkowi, tym razem skupiając się na

twarzach obu mężczyzn. Już po kilku sekundach uniósł brew i spojrzał na porucznika.

- Ten po lewej wygląda całkiem jak ten palant Somers.

- To Armand Xavier.

- Czy jest jeszcze na jakichś innych rysunkach?

- Tak. Niech pan obejrzy to. - Scraggs przerzucił więcej kartek i w końcu zatrzymał się na kolejnej ilustracji. Tym razem rysunek przedstawiał grupkę ludzi. - Tutaj powinien pan rozpoznać kilku innych, kapitanie.

I znów Rockwell wpatrzył się w obrazek, na którym widniało czterech mężczyzn i jedna kobieta. Podpis głosił:

Pan Ciemności Xavier z rodziną - podobno zamieszkują w mieście Santa Mondega, w Nowym Świecie.

- Pan Ciemności Xavier - powiedział Rockwell; sądząc z głosu, był kompletnie zbity z tropu. - Ale przecież to Somers, z całą pewnością, a tamci trzeci faceci... to El Santino i te dwa pedały, jego przydupasy. Kurwa, to jakiś kawał, czy co?

Scraggs pokręcił głową.

- Poczytałem trochę tego badziewia, kapitanie. Przeważnie tylko strony z obrazkami, ale z tego, co się zorientowałem, chodzi o to, że ten cały Armand Xavier i jego serdeczny przyjaciel Ishmael Taos wypili krew Chrystusa i stali się nieśmiertelni.

- To absurd.

- Tak, wiem. Ale niech pan posłucha tego. Pokłócili się o kobietę i moim zdaniem chodzi o tę z ilustracji.

- Co to za jedna, do kurwy nędzy?

- Zdaje się, że ma na imię Jessica. Widzi pan, według tej książki Xaviera dręczyło to, że jest nieśmiertelny i nie ma kogoś, z kim mógłby dzielić życie na wieki wieków. Aż spotkał tę kobietę i okazało się, że ona jest wampirem czy czymś w tym rodzaju. No więc jak go ugryzła, został nie tylko nieśmiertelny. W jego żyłach płynie krew Chrystusa i krew wampira, więc podejrzewam, że technicznie rzecz biorąc, jest naczelnym krwiopijcą, czy jeśli pan woli, Panem Ciemności.

W swej długiej, choć może pozbawionej fajerwerków karierze Rockwell nigdy nie słyszał czegoś tak naciąganego. Choć z drugiej strony może dzięki temu pewne rzeczy zaczynały nabierać sensu. Odetchnął głęboko, wydał policzki i wydał przeciągłe westchnienie.

- Kurde, to nie może być prawda. - Skrzywił się i podrapał po głowie. - Ale to chyba wyjaśnia, dlaczego przysłali nam tu specy od spraw nadprzyrodzonych. Ciekawe, czy Jensen wie coś na ten temat?

- Próbowałem się do niego dodzwonić. Ma wyłączoną komórkę, ale zostawiłem mu wiadomość.

- Dobra robota, Scrubbs. I coście mu powiedzieli?

- Niewiele. Tylko tyle, żeby się trzymał z dala od Somersa i odezwał przy najbliższej okazji.

- Dobrze pomyślane, poruczniku. No i co jeszcze żeście znaleźli w tej przeklętej księdze? Jest tam coś o tym drugim, Taosie?

- No... - bąknął Scraggs, przysuwając księgę do siebie. - Właśnie do tego zmierzałem. Zdaje się, że znalazł Oko Księżyca i ulotnił się z nim w takie miejsce, że Xavier nie mógł się do niego dostać.

- Coś jeszcze?

- Nie za bardzo, kapitanie, w każdym razie jak dotąd nie, ale ja zaledwie liżnąłem ten tekst. Przeczytanie całości zajmie pewnie kilka dni, a ja przecież dopiero co zacząłem.

- Jest coś na temat Bourbon Kida?

- Nie, nic. Przynajmniej na razie.

PIF!

Obaj gliniarze podskoczyli i spojrzeli w kierunku drzwi frontowych, jednocześnie sięgając po broń. Scraggs zerwał się z krzesła niczym potraktowany elektrowstrząsami. To był wystrzał. Na dworze. Posterunkowy Quaid nie trzymał już warty przy drzwiach, ale z ulicy dobiegał jego głos.

- O w dupę, to on! Strzelać! Strzelać, kurwa jego mać!

Po chwili wybuchła straszliwa kanonada. Sądząc z odgłosów, strzelano z siedmiu czy ośmiu rodzajów broni naraz. Trwało to nie dłużej niż dziesięć sekund. A potem zapadła cisza. Rockwell i Scraggs wymienili złowróżbne spojrzenia.

- Miło było pana poznać, kapitanie - odezwał się porucznik, za wszelką cenę próbując utrzymać pistolet. Na szkoleniach nie uczyli, w jaki sposób radzić sobie w sytuacji, kiedy jednocześnie trzęsą ci się ręce i oblewa cię zimny pot.

- Jeszcze nie umarliśmy, Scrubbs. Weźcie się w garść, może uda nam się wyjść z tego cało.

- E-e, kapitanie. Zaglądaliśmy do tej księgi. Mamy przejebane. A w ogóle to nazywam się Scraggs.

- Przymknijcie się. Ktoś tu idzie.

Obaj wycelowali broń w światło drzwi, czekając, kto też stanie w progu. Słyszeli czyjeś kroki, zbliżające się powoli do wejścia. Napięcie było nie do wytrzymania. Im bardziej kroki się zbliżały, tym bardziej zaciskali palce na spuście. W drzwiach najpierw pojawił się cień, a zaraz za nim chwiejący się na nogach, zlany krwią posterunkowy Quaid.

PAF!

Odruchowo, powodowany jedynie napadem paniki, Scraggs posłał Quaidowi kulkę prosto w pierś. Na i tak już zakrwawionej twarzy mundurowego po raz ostatni pojawił się wyraz rozpacz i zdziwienia, że to porucznik do niego strzelił. A potem Quaid przewrócił się do przodu i padł plackiem na podłogę.

- Po coście to zrobili, do kurwy nędzy? - ryknął Rockwell, kiedy obejrzał się i zobaczył Scraggsa z dymiącym pistoletem w ręku. - Szlag by to, on był jednym z moich najlepszych ludzi!

- Przepraszam, kapitanie. Wziąłem go za kogoś innego. Wpadłem w panikę.

- O żeż kurwa mać! To idź sobie panikować gdzie indziej, matole jeden!

Mina Scraggsa zmieniła się nagle. Jego twarz obwisła, jak gdyby każdy jej mięsień spakował się i poszedł do domu.

- Za późno - powiedział spokojnie.

Kapitan Rockwell znowu spojrzał na wejście. W progu stał mężczyzna w trenczu, z kapturem na głowie. Bourbon Kid. W obu rękach trzymał po obrzynie.

Jednym miał zabić kapitana, a drugim porucznika.

Rozdział sześćdziesiąty pierwszy

Dante i Kacy popędzili do motelu Dowcipnego; wielki cadillac mknął ulicami, biorąc zakręty z piskiem opon. Na pierwszym miejscu priorytetów mieli ujść z życiem z Santa Mondega. Kacy oceniała, że mają najwyżej dziesięć minut na przebranie się i wymeldowanie z motelu, zanim policja zacznie blokować główne drogi w mieście i poza nim. Za wszelką cenę chciała już mieć to przerażające miejsce za sobą i wrócić do cywilizowanego świata, zanim ich zapas szczęścia się wyczerpie.

Zaparkowali żółty samochód przed swoim pokojem i wpadli do środka. Dante zamknął drzwi na łańcuch i opuścił żaluzje, przedtem jednak rzucając okiem na zewnątrz, by sprawdzić, czy nie ma jeszcze radiowozów. Kiedy się odwrócił, zobaczył, że kostium klauna leży już na podłodze, obok zaś Kacy, na czworakach, sięga pod łóżko. Jej zgrabniutki, wysoko wypięty tyłeczek wiercił się z boku na bok, gdy próbowała wydostać z ukrycia pełną pieniędzy walizkę. Skromność pozwalały jej zachować jedynie cienkie czarne stringi i taki sam stanik, które wkładała na specjalne okazje, by sprawić Dantemu przyjemność.

Gdy wreszcie udało jej się wyciągnąć walizkę spod łóżka i przesunąć ją ku niemu po podłodze, zobaczyła, że stoi jak wryty i jak głupi wytrzeszcza na nią ślepia.

- Kochanie, nie mamy na to czasu - burknęła. - Na miłość boską, ściągaj te ciuchy i przebierz się w coś czystego!

Dante wiedział, że Kacy ma rację, a mimo to zdejmując ubranie, przez cały czas kombinował, jak by tu przekonać ją, że mają czas na jeden szybki numer.

Dziewczyna sprawdziła, że walizka nadal jest wypchana forszą i zamknęła ją. Następnie wdrapała się na łóżko i chwyciła inną, znacznie cięższą, stojącą na podłodze po drugiej stronie. Resztkami sił wciągnęła ją do siebie na łóżko i otworzyła. W środku znajdowały się wszystkie ich ubrania, cały ich dobytek. Wyjęła dla Dantego parę dzinsów.

- Masz, wkładaj.

Chwytając dzinsy, które mu rzuciła, chłopak stał w samych tylko czarnych bokserkach. Gdyby włożył teraz te spodnie, szansa na szybkie dmuchanko przepadłaby bezpowrotnie.

- Kace, daj mi jeszcze nowe bokserki - poprosił poważnym tonem.

- Nie potrzebujesz czystych bokserek. Zostań w tych, które masz na sobie.

- E tam, Kace, lepiej pozbadźmy się wszystkiego, co mieliśmy na sobie. Gliniarze wszędzie porobią testy na DNA. Nie wolno ryzykować.

Kacy przestała grzebać w walizce.

- Co? Dlaczego ktoś miałby sprawdzać twoje bokserki?

- A bo ja wiem? Ale takie ryzyko wydaje mi się głupie. Musimy zdjąć wszystko, co mieliśmy na sobie, żebyśmy mogli to potem spalić, ot tak, na wszelki wypadek.

- Naprawdę? - Dziewczyna nie wydawała się przekonana.

Dante skinął głową. Sprawiał wrażenie mocno rozczarowanego, gdy ściągał bokserki i rzucał je na stertę zakrwawionych ciuchów na podłodze.

- Tak trzeba, Kace. Chociaż szkoda. To były moje ulubione bokserki. No już, malutka, dawaj tu swoją bieliznę.

Wciąż była niepewna, ale on miał niezwykle poważną minę. Wyglądał na takiego, co wie, o czym mówi, bo ona nie miała o takich rzeczach pojęcia.

- Kace, rusz się, myślisz, że mamy cholera wie ile czasu?!

Kacy uznała, że skoro najwidoczniej tak mu się śpieszy, to nie chodzi mu o szybki numer, wobec tego zręcznie rozpięła stanik i rzuciła mu go. Piersi miała jędrne jak zawsze, sterczące sutki celowały w niego kusząco. Nagle z pozycji klęczącej na łóżku przetoczyła się na plecy i ściągnęła maleńkie czarne stringi. Nie potrafiłaby wyjaśnić dlaczego, ale rzuciła je Dantemu uwodzicielsko, puściła do niego oko i uśmiechnęła się promiennie.

Być może to widok jego sterczącego kutasa sprawił, że chciała się z nim trochę podroczyć. Tak czy owak, takie zachowanie wywołało jakże przewidywalny efekt. Na widok jej nagiego ciała Dantemu oczy niemal wyszły z orbit. Bez względu na to, jak często widywał ją naga, za każdym razem było równie cudownie jak za pierwszym. Opadł na nią szybciej niż wystrzelona kula, obmacując ją, badając jej ciało niczym dotychczas nieodkryte terytorium.

- Dante, nie! Nie powinniśmy. Nie ma czasu - protestowała Kacy potulnie, choć jednocześnie głaskała go po plecach.

- Tak, wiem - szepnął, wsuwając w nią fiuta.

Rozdział sześćdziesiąty drugi

Somers i Jensen siedzieli w nowo nabytym wozie patrolowym starszego detektywa i pędzili główną ulicą przez centrum Santa Mondega, kiedy w policyjnym radiu zaskrzeczał czyjś głos. Właśnie na tę informację czekali.

- Żółtego cadillaca, którego szukacie, zauważono zaparkowanego przed motelem Dowcipnym na Gordon Street.

- Dzięki, już tam jedziemy - odparł Somers do mikrofonu, który trzymał jedną ręką, a drugą prowadził samochód. Nigdy nie zawracał sobie głowy bzdurami typu: „Przyjąłem, udaję się”.

- Myślisz, że Kid wciąż jeszcze tam jest? - zapytał Jensen z fotela obok kierowcy.

- Kto go tam wie? Ale bardzo możliwe, że jest tam Oko Księżycy, a nawet jeśli nie, to przynajmniej odzyskam samochód. I może dorwę skubańca, który mi go zwinął.

Raptownie szarpnął kierownicą i przekręcił ją w lewo, w ogóle nie zwalniając. Zjechali z głównego traktu w przecznicę, po obu stronach której parkowały samochody. Somers wcisnął gaz do dechy i pędził środkiem ulicy, nie przejmując się, że ktoś mógłby być na tyle głupi, żeby mu wejść pod koła.

Dowiózł ich do motelu Dowcipnego w niewiele ponad dziesięć minut. Po drodze zapuszczał się w niezliczone alejki i boczne uliczki, przez cały czas lawirując wściekle, żeby nie zderzyć się z innymi pojazdami ani nie rozjechać kilku nieuważnych przechodniów.

Motel Dowcipny był zapuszczonym, nieoferującym żadnych ekstrawygód przybytkiem dysponującym trzydziestoma pokojami, przy głównej autostradzie prowadzącej z Santa Mondega na zachód. Dla przyjezdnych było to wygodne miejsce na spędzenie pierwszej nocy w mieście. Nie dość, że tanio, to jeszcze bezpłatny parking.

Kiedy tam dojechali, parking nie był zapełniony nawet w połowie. Wśród stojących tam pojazdów przeważały pikapy bądź kombi. Nigdzie nie było widać żadnego cadillaca, w żadnym kolorze, a już na pewno nie jaskrawożółtego. Somers zaparkował radiowóz na środkowym z trzech sąsiadujących ze sobą wolnych miejsc, na lewo od głównego wejścia, nad którym widniał uszkodzony neon, obwieszczający:

„WITAMY W MOTELU DO CIPY”.

Pod neonem jeden betonowy stopień prowadził do podwójnych szklanych drzwi osadzonych w szkaradnych futrynach o barwie limonki.

- Zajrzę do recepcji - powiedział Somers, otwierając drzwiczki po stronie kierowcy. - A ty zaczekaj tutaj i jakby co, naciśnij klakson.

- Nie ma sprawy - odparł Jensen, wyciągając z kieszeni telefon komórkowy, podczas gdy jego partner wysiadał z samochodu.

Somers szybkim krokiem ruszył do podwójnych drzwi, a Jensen włączył komórkę. Nie włączał jej, odkąd Somers uratował go w stodole poprzedniej nocy, być może przed strachem na wróble. Kilka sekund po włączeniu telefon zabipkał kilka razy i na ekranie pojawił się krótki komunikat:

„Masz jedną nową wiadomość”.

Po gwałtownej i niezwykle namiętej sesji łóżkowej, w wyniku której poczuli się cudownie odprężeni, Dante i Kacy przystąpili do wyprowadzki z motelu. Odkąd dziewczyna dała się przekonać do zdjęcia bielizny, żadne z nich nie potrafiło sobie przypomnieć, dlaczego właściwie tak im zależało, żeby wynieść się z miasta jak najszybciej. Mogli ich szukać gliniarze, to jasne, ale zważywszy na liczbę trupów, z jaką mieli do czynienia tego dnia, teoretycznie musieliby zbadać setki tropów, zanim udałoby im się złapać parę młodych kochanków.

Spakowali resztę dobytku i przebrali się bez śladu niepokoju, jaki towarzyszył im przed rypaniem. Dante miał teraz na sobie dzinsy, które rzuciła mu Kacy, a do tego nienaganną, czerwoną hawajską koszulę z krótkimi rękawami, narzuconą na czysty biały podkoszulek. Kacy wskoczyła w jasnyniebieską spódniczkę mini i niebieskie szpilki. Jej stroju dopełniał głęboko wycięty biały T-shirt, ozdobiony wizerunkiem niebieskiego thunderbirda, rocznik 1966, spadającego ze skały w głąb Wielkiego Kanionu.

Przestawili żółtego cadillaca na parking na tyłach motelu, po czym przeszli pod budynek od frontu. Dante obejmował Kacy mocno jedną ręką. Po tym, co przeszli razem w ciągu ostatnich kilku dni, czuł się za nią bardziej odpowiedzialny niż kiedykolwiek. Nic na świecie nie liczyło się dla niego tak jak ona, dlatego chciał ją mieć jak najbliżej w ostatnich chwilach spędzonych w Santa Mondega.

Wykochani młodzi ludzie w wyśmienitym nastroju zeszli do recepcji, żeby uregulować rachunek. Próbując zachować maksimum dyskrecji, oboje włożyli okulary przeciwsłoneczne, żeby przynajmniej częściowo ukryć rysy twarzy. Kacy wzięła okulary Terminatora z kostiumu Dantego, a on parę gogli, które zabrał jednemu z zabitych w Tapiocce. Zrobił to bez najmniejszych wyrzutów sumienia. Było, nie było, facet przecież nie żył.

Carlos, kierownik motelu, siedział w recepcji z nogami na ladzie i czytał magazyn „Empire”. Z niezadowoleniem przyjął fakt, że chłopak i dziewczyna przerywają mu lekturę, mimo że chcieli przecież zapłacić za pobyt, czyli dać mu zarobić. Był to niski Latynos w średnim wieku, z kępkami gęstych czarnych włosów na wysokości uszu, za to niemal łysy na czubku głowy. W ramach rekompensaty nosił niebywale gęste czarne wąsy, wyrastające spod wielkich nozdrzy i zwisające wokół kącików ust.

W holu unosił się lekki, acz nieprzyjemny zapach stęchlizny. Trudno powiedzieć, czy wydobywał się z brudnej kasztanowej wykładziny podłogowej, z odłóżającej od ścian brązowej tapety, z Carlosa, czy może ze wszystkich tych trzech źródeł jednocześnie. Sala była duszna i mała, niewiele większa od pokoju, który zajmowali Dante i Kacy. Było tam tylko jedno okno, blisko rogu naprzeciwko recepcji. Małe i wąskie, miało urwaną klamkę, żeby przypadkiem nikomu nie przyszło do głowy go otworzyć.

- Jo, Carlos! Chcemy wyskoczyć z kasiory, ziomalu - rzekł Dante wesoło, rzucając kierownikowi klucze ponad ladą. Uderzyły w okładkę czasopisma Carlosa i spadły na podłogę. Latynos niechętnie odłożył pismo, zdjął nogi z lady, schylił się i podniósł klucze.

- Co to jest? - zapytał podejrzliwie, trzymając je przed nosem.

Na kółku wisiał klucz do pokoju motelowego, lecz także kluczyk do samochodu, który nic mu nie mówił. Kierownik odczepił go więc od kółka i ciężkiej metalowej przywieszki.

- Prezent w podziękę za to, że mogliśmy się tu zatrzymać - wyjaśnił Dante z uśmiechem.

- Co to ma niby być?

- Wyjrzyj przez okno - odparł chłopak, ruchem głowy wskazując okienko w rogu po drugiej stronie sali.

Carlos wstał z fotela, zmierzył Dantego paskudnym wzrokiem, po czym uśmiechnął się do Kacy i puścił do niej oko. Podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. W odległości dwudziestu metrów, na prywatnym parkingu na tyłach motelu, stał żółty cadillac, którego ubiegłej nocy widział przed jednym z pokoi. Wtedy był to jedyny pojazd na placu.

- Dajesz mi swoją furę?

- No.

- O co tu biega? Kradziona?

- Ależ skąd, nic podobnego - wtrąciła Kacy, uśmiechając się szeroko.

- Chociaż może warto by go przemaalować na inny kolor - rzekł Dante.

Przez kilka sekund Carlos rozważał propozycję.

- I tablice rejestracyjne pewnie też warto by zmienić?

- Może i warto - przyznał chłopak.

Carlos wrócił za ladę recepcji i usiadł. Zaczął wertować księgę gości, aż zatrzymał się na jakiejś pełnej nazwisk stronie. W połowie listy widniały podpisy Dantego i Kacy oraz szczegóły dotyczące ich pobytu.

- Za pokój należy się sto pięćdziesiąt dolarów - oświadczył, patrząc ostrym wzrokiem w okulary przeciwsłoneczne chłopaka.

- Wiesz co? - odparł Dante, nachylając się przez ladę do twarzy Carlosa. - A może odpaliłbyś nam pokój gratis, w podzięce za brykę, którą właśnie ci dałem?

Carlos zamknął księgę gości, wziął czasopismo i wrócił do artykułu, który wcześniej czytał.

- Jasne - powiedział. - A nie chcecie też strony z księgi gości z waszymi nazwiskami i podpisanymi? Wiesz, na pamiątkę waszego pobytu u nas.

- Eee... no, właściwie to niezła myśl - przyznał Dante. - Dzięki.

- Wobec tego należy się sto pięćdziesiąt dolarów.

Chłopak stracił cierpliwość.

- Słuchaj no, ty bezczelny, pieprzony Meksykańcu! - syknął złośliwie. - Właśnie ci dałem samochód, kurwa twoja mać. Więc nie nadużywaj swojego pieprzonego szczęścia.

- Należy się półtorej stówki. Nie pasuje, to sam wiesz, co robić.

Kacy uznała, że musi interweniować, zanim Dante wpakuje ich w większe kłopoty niż to konieczne. Z promiennym uśmiechem na twarzy podskoczyła i oparła dłonie na ladzie przed Carlosem, pochylając się lekko i ściskając ramionami piersi, żeby miał widok na rowek między nimi. Jej uwodzicielska mina zdawała się mówić: „Oto moje cycki. Mogłyby być twoje... na jakiś czas”.

- Wiesz co, Carlos? A może zamówisz nam taksówkę, a my przez ten czas odliczymy pieniądze dla ciebie?

- Jasne - rzekł Carlos, przez cały czas gapiąc się na wycięcie w T-shircie dziewczyny, z wymuszonym uśmiechem na twarzy. - Ale za telefon należy się pięć zielonych ekstra.

- Wal się, kutasie! - warknął Dante. - Sam se, kurwa, zadzwonię po taryfę. Chodź, Kacy, spadamy stąd.

- Dante, zapłać mu, proszę cię. Po prostu mu zapłać. Zrób to dla mnie, od razu będę spokojniejsza.

Chłopak już miał na ustach odpowiedź, gdy nagle wszedł siwy mężczyzna w szarym trenczu. Carlos poznał go od razu i przywitał się czym prędzej.

- Dzień dobry, detektywie Somers! - zawołał radośnie, jak gdyby widok policjanta sprawił mu przyjemność.

- Witaj, Carlos - odparł Somers uroczyście.

Podszedł do recepcji, stanął obok Kacy i uśmiechnął się do niej przelotnie.

- Witam, panienko. Pozwoli pani, że wcisnę się bez kolejki? To sprawa policyjna. - Pokazał jej swoją blachę.

- Ależ nie... To znaczy, oczywiście - odparła nerwowo. Modliła się, żeby Dante trzymał język za zębami. Chociaż i tak już mogło być za późno. Wkurzył Carlosa, a teraz pojawił się detektyw i stał obok nich.

- Carlos - zagaił Somers, prezentując sztuczny uśmiech i kładąc na ladzie banknot dwudziestodolarowy, który kierownik motelu porwał skwapliwie. - Obiło mi się o uszy, że zatrzymał się tu ktoś, kto jeździ żółtym cadillakiem. Ten cadillac jest kradziony, a jego właściciel, stróż prawa... tak się składa, że to ja!... bardzo chce go odzyskać. Poza tym chciałby poznać nazwisko kierowcy, jeśli masz je pod ręką. Byłoby dobrze, gdybyś mi w tym pomógł. Dzięki.

Kacy patrzyła, jak Carlos rozważa sytuację. Dlaczego, no żeż dlaczego ten Dante musiał się wychylić i go wkurzyć? Teraz znowu mamy kłopoty, pomyślała. Cofnęła się o krok od lady, żeby podchwycić wzrok swojego chłopaka. Ale przez te jego ciemne gogle trudno było powiedzieć, czy w ogóle na nią patrzył. A nawet jeśli, to i tak nic nie mogła wyczytać z wyrazu jego oczu. Trzeba było uciec się do jakiegoś podstępu. Bo jeśli Carlos zdradzi ich nazwiska, wylądują w więzieniu. Walizka pełna pieniędzy, kradziony samochód, a zapewne i naocni świadkowie z Tapioki wystarczą, żeby trafili do paki i znowu byli bez grosza przy duszy. Nie mówiąc już o niebezpieczeństwie. Kacy nie ufała nikomu w tym mieście, nawet policjantom. Zwłaszcza policji, chociaż akurat ten starszy gość jej zdaniem był w porządku.

Carlos potarł podbródek, jak gdyby zastanawiał się nad odpowiedzią na pytanie Somersa, a jednocześnie schował do kieszeni dwadzieścia dolców.

- Tak, zatrzymali się tu tacy z żółtym cadillakiem. Pamiętam kierowcę. Prawdziwy kawał dupka! Zobaczę, czy mam jego nazwisko w rejestrze - powiedział, znowu odłożył czasopismo na bok i spojrzał na otwartą księgę gości.

Dante też cofnął się o krok.

- Wiesz co, Carlos - odezwał się uprzejmie i przeciągnął się, jakby był zmęczony. - Wrócimy za jakiś czas. Dzięki.

- Nigdzie nie odchodźcie - rzekł Somers, mocno chwytając chłopaka za ramię. - To zajmie nam tylko chwilkę. Ty i ta piękna panna możecie chyba zaczekać, co?

- Jasne - wtrącił Carlos z uśmiechem, wciąż przeglądając rejestr. - Zaczekajcie. To nie potrwa długo. Podam tylko panu detektywowi informacje, o które prosi, i zaraz się wami

zajmę. Nic się nie martwcie.

Znowu przerzucił kartki księgi gości i zatrzymał się na stronie z nazwiskami Dantego i Kacy. Przesuwając palec w dół listy, zauważył kątem oka, że dziewczyna odsuwa się powoli od lady. Rozparł się w fotelu, podniósł wzrok i spojrzał najpierw na Somersa, a potem, jakby się nad czymś głęboko zastanawiał, na Kacy. Zaczął bębnić palcami po otwartej księdze.

- O co chodzi? - zapytał detektyw.

- Próbuję sobie coś przypomnieć - wyjaśnił Carlos, unosząc rękę na znak, że prosi policjanta o jeszcze chwilę cierpliwości. Wzrok miał nieobecny, jak gdyby przeglądał pokłady pamięci w poszukiwaniu jakiegoś szczegółu.

A tymczasem gapił się na Kacy. Ze swego miejsca przy ladzie ani Somers, ani Dante nie mogli zobaczyć tego co on. Dziewczyna zeszła im z pola widzenia i zadarła T-shirt, potwierdzając jego wcześniejsze podejrzenie, że nie nosi stanika. Carlos z ukontentowaniem podziwiał jej wspaniałe piersi i sterczące różowe sutki, udając, że głęboko się nad czymś zastanawia. W końcu, po dostatecznie długim czasie, Kacy opuściła T-shirt, a Carlos otrząsnął się z transu.

- Przypomniałem sobie - oświadczył, wracając spojrzeniem do detektywa. - Ten facet od cadillaca nazywał się Pedro Valente. - Wskazał nazwisko w księdze gości. - Wymeldował się ze dwadzieścia minut temu. Może go jeszcze dorwiecie, mówił, że wyjeżdża z miasta.

- Zostawił jakiś adres? - zapytał policjant.

- Niestety, nie. Facet był z tych, co to nie mają adresu, zresztą takich jak on z pewnością lepiej o to nie pytać.

- W porządku - rzekł Somers, cofnął się i spojrzał na Kacy. - Możliwe, że jeszcze tu wrócę, jeśli nie znajdę tego gościa. Dzięki za pomoc, Carlos. A panienkę przepraszam, że wpadłem tak nagle i wam przeszkodziłem.

Po kilku sekundach podziwiania Kacy - jest wręcz niesamowicie śliczna, pomyślał - odwrócił się do Dantego, żeby mu pogratulować.

- Szczęściarz z ciebie - powiedział. - Opiekuj się nią jak należy.

- Stale to robię.

- To dobrze.

Mijając Kacy, detektyw puścił do niej oko i wyszedł z holu, do Milesa Jensena, który czekał na niego w radiowozie.

Dante sięgnął do tylnej kieszeni spodni, wyciągnął coś ponad dwieście dolarów i rzucił je nad ladą Carlosowi.

- Dzięki, stary, jestem ci dłużny.

Latynos pokręcił głową.

- Zatrzymaj pieniądze - odparł z uśmiechem. - Taksówkę wezwę wam za friko, a tę kartkę z książki gości też lepiej weźcie, na wypadek gdyby policja jeszcze tu wróciła. Przedtem tylko żartowałem.

- No to dzięki, chłopie - rzekł Dante, biorąc pieniądze, które Carlos wyciągnął do niego. Odwrócił się do Kacy i wzruszył ramionami na znak, że nie rozumie, dlaczego ten upierdliwy kierownik motelu ni stąd, ni zowąd tak radykalnie zmienił zdanie.

Dziewczyna też wzruszyła ramionami na znak, że i ona jest tym zaskoczona. Rzecz jasna, doskonale wiedziała, skąd wzięła się ta nagła hojność Carlosa, ale zachowała to dla siebie. Dante był niezwykle dzielny i tylko szukał okazji, żeby móc się za nią ująć. Gdyby wiedział, jak się sprawy mają, musiałaby go chronić przed nim samym.

W chwili gdy Somers zniknął w motelu, Jensen wciskał kciukiem klawisz ENTER w swojej komórce, żeby odtworzyć nową wiadomość. Przyłożył telefon do ucha. Z zaskoczeniem usłyszał, że wiadomość zostawił mu porucznik Paolo Scraggs.

„Hej, Jensen, tu porucznik Scraggs. Słuchaj uważnie, znalazłem tę książkę, której szukałeś. Jeżeli Somers jest gdzieś w pobliżu, spadaj w cholere, byle dalej od niego. Moim zdaniem to on jest tym mordercą, którego ścigasz. Cała ta historia z Bourbon Kidem miała nam tylko zamydlić oczy... albo co... nie jestem pewny. Oddzwonź do mnie albo do kapitana, ale nie mów ani słowa Somersowi. W tej księdze jest jego portret. Podobno jest Panem Ciemności czy kimś takim. Odezwij się”.

Miles siedział przez kilka sekund i ze zmarszczonym czołem powtarzał wiadomość w pamięci. Somers? Zabójcą? Przecież to... a może? W jakim celu Scraggs miałby kłamać? Wprawdzie nie lubił Somersa, no ale Somers też nie lubił Scraggsa. Zaraz, chwila, przecież to właśnie Somers przyszedł Jensenowi z pomocą poprzedniej nocy, kiedy Scraggs pojawił się w stodole. Ale... chwileczkę... Somers się spóźnił, bo ktoś ukradł mu żółtego cadillaca. A co by było, gdyby dotarł do niego wcześniej niż porucznik? Jak się nad tym dobrze zastanowić, to kiedy Jensen leżał związany w stodole, Carlito zabrał mu telefon komórkowy i wyszedł z nim na chwilę na dwór, no nie? A jeśli zrobił to po to, żeby z niego zadzwonić?

Miles przewinął menu w swojej komórce. No i proszę: SPIS POŁĄCZEŃ - WYBIERANE NUMERY - WCZORAJ - SOMERS - GODZINA 23:52 - CZAS POŁĄCZENIA 1:47

Carlito zostawił związanego Jensena w stodole, pod opieką Miguela, a sam wyszedł, żeby z komórki detektywa zadzwonić do Somersa. Po rozmowie wrócił do stodoły ze strachem na

wróble na taczkach. A Somers ani słowem nie wspomniał o telefonie od Carlita. O w mordę!

Klawiatura komórki jeszcze nigdy nie wydawała się Jensenowi tak malutka. Przynajmniej trzy razy nacisnął zły klawisz, gorączkowo usiłując połączyć się z porucznikiem Scraggsem. Musiał się z nim rozmówić, zanim Somers załatwi w motelu to, co ma do załatwienia, i wróci.

„Przepraszamy, numer, pod który pan dzwoni, jest obecnie niedostępny. Proszę spróbować później”.

Nie ma w tym nic śmiesznego, pomyślał Jensen. Czyżby Scraggs chciał mnie wyrolować? Nie. To nie dowcip. Nie tłumaczyłoby to, dlaczego Carlito zadzwonił z mojego telefonu do Somersa. A... e... o wilku mowa, Somers właśnie tu idzie!

Emerytowany gliniarz wydawał się nieco rozdrażniony, kiedy przechodził przed radiowozem na stronę kierowcy. Miles miał ochotę wyciągnąć rękę i zablokować drzwi od środka.

Nie ma po co, pomyślał. Somers nie wie, że jestem prawie pewny, że to on jest mordercą. Ma czas, żeby się zastanowić. Więc myśl... myśl, DO KURWY NĘDZY!

Somers otworzył drzwiczki i wgramolił się za kierownicę.

- Czy coś się stało? - zapytał, patrząc, jak jego partner usiłuje zachować spokój.

- Nie, nic. A jak u ciebie?

- Wszystko w porządku. Chociaż niewiele się tam dowiedziałem. - Kątem oka zerknął na partnera i dorzucił: - Na pewno nic ci nie jest?

- Nie, nic - powtórzył Miles niecierpliwie. - Ale wiesz co, jestem wkurzony. Coś mi się zdaje, że przegapiliśmy okazję. Powinniśmy chyba skontaktować się z kapitanem. Może on czegoś się dowiedział?

Somers zerknął na prawą dłoń Jensena, w której ten kurczowo ścisnął telefon komórkowy. A potem spojrzał mu w oczy. Miles nie był w stanie ukryć czającego się w nich przerażenia.

- Ty już wiesz, prawda? - powiedział Somers cicho, prawie nie poruszając ustami.

- O czym?

Zapadła przerażająca cisza. W tym momencie Jensen wiedział już, że Scraggs miał rację. Zabójcą był Somers. A z kolei Somers wiedział, że on wie. Ich przyjaźń przestała mieć jakiegokolwiek znaczenie. Nadeszła chwila prawdy.

Somers zmusił się do przepaszającego uśmiechu.

- Przykro mi, Jensen. Nie ma w tym nic osobistego, po prostu muszę mieć Oko Księżyca.

- Przecież zaćmienie Słońca już się skończyło. Przegapiłeś je.

- Wiem. Ale ten kamień potrafi działać o wiele więcej, niż tylko zatrzymać Słońce. Może oddać mi moich chłopców. I żonę. Ten kamień w jednej chwili może przywrócić ją do jej

dawnej postaci. Gdyby ten parszywy Bourbon Kid ich nie zastrzelił, nie musiałbym tego robić. Przykro mi.

KLIK. Centralny zamek radiowozu w jednej chwili zrobił z Jensena więźnia. Inna sprawa, że w tej sytuacji i tak nie miał żadnej drogi ucieczki. Uratować go mógł tylko cud.

Miles spojrział na palce Somersa, spoczywające na kierownicy. Wydłużały się powoli. Tak samo jak jego paznokcie. Stawały się coraz grubsze, dłuższe i ostrzejsze. Ze skrajnym przerażeniem zauważył, że twarz jego partnera także się zmienia. Wystąpiły mu niebieskie żyły, najpierw na szyi, a potem na policzkach; pulsowały okropnie. Potrzeba im było krwi. Krwi Milesa Jensena. Somers odwrócił głowę do partnera i odsłonił zęby, a raczej olbrzymie żółte kły; trudno sobie wyobrazić, w jaki sposób wcześniej zmieściły mu się w ustach. Kły były ząbkowane i ostre jak brzytwa. Wnętrze samochodu wypełnił odrażający odór. Miles sięgnął po broń... za późno.

- Radziłbym ci zamknąć oczy, przyjacielu - wysyczał Somers głosem wydobywającym się z najgłębszych czeluści Piekła. - To będzie bolało...

Rozdział sześćdziesiąty trzeci

Policyjne radio ożyło nagle i z głośnika popłynął głos Amy Webster.

- Detektywie Somers, jest pan tam?

- Jestem - odparł, prawą ręką sięgając po mikrofon.

- Powinien pan wrócić na posterunek.

- Jestem dosyć zajęty.

- Detektywie, na pewno chciałby pan to zobaczyć. Somers zdjął nieco nogę z gazu, w wyniku czego ciało Milesa Jensena poleciało do przodu i wyrznęło w tablicę rozdzielczą. Od chwili gdy niecałe pięć minut temu zabił swojego partnera, pędził autostradą prowadzącą z miasta. Zamierzał dorwać kierowcę żółtego cadillaca, który - jeżeli miał za grosz rozumu w głowie - powinien jechać tą szosą, by opuścić Santa Mondega raz na zawsze. W zasięgu wzroku nie było widać żadnych pojazdów, ani przed, ani za nim.

- A co takiego się stało, Amy? - odpowiedział znajomemu głosowi telefonistki w centrali komendy głównej policji.

- Mam przed sobą ten wielki niebieski brylant. Ktoś nam go właśnie dostarczył.

Somers depnął po hamulcu i kiedy radiowóz zatrzymał się z piskiem protestujących opon, zawrócił „na trzy” na środku pustej autostrady.

- A skąd się wziął ten wielki brylant! - ryknął do mikrofonu.

- Podrzucił nam go jakiś facet. Powiedział, że to dla detektywa Jensena. Ale Jensen nie odbiera komórki, więc pomyślałam, że zadzwonię do pana.

- I bardzo dobrze pomyślałaś, Amy. Załatwię ci za to awans. Tylko schowaj dobrze ten kamień do czasu mojego przyjazdu. Będę za dwadzieścia minut.

- Tak jest, proszę pana.

Somers wyciągnął rękę, żeby wsadzić mikrofon w uchwyt na tablicy rozdzielczej. Już miał go wyłączyć, gdy nagle coś mu przyszło do głowy.

- Amy, czy ktoś już o tym wie?

Nastąpiła chwila ciszy. Nieco dłuższa niż to konieczne, pomyślał.

- Nie, detektywie. Jest pan jedyną osobą, z którą rozmawiałam na ten temat.

- Świetnie. I niech tak zostanie.

- Tak jest.

- Aha, Amy... Czy facet, który przyniósł ten kamień, podał jakieś nazwisko?

I znów ta niepotrzebna pauza.

- Nie, proszę pana, nie podał nazwiska. Bardzo się śpieszył.

- Rozumiem. - Somers był zaintrygowany i chociaż nigdy nie miał powodu powątpiewać w szczerłość Amy Webster, która zawsze była uczciwym pracownikiem (co w siłach policyjnych Santa Mondega samo w sobie było już rzadkością), to jednak nic nie mógł poradzić na swoją wrodzoną podejrzliwość.

- A jak wyglądał?

I znowu lekkie, niezdrowe wahanie.

- Eee... właściwie to nie wiem. Taki przeciętny. Krótkie włosy, niebieskie oczy. Wcześniej nigdy go nie widziałam.

- W porządku, Amy. To wszystko. Wkrótce się zobaczymy.

Dodał gazu i na wyjąłym sygnale popędził do miasta. Nie zwrócił uwagi na taksówkę, która minęła go, jadąc w przeciwnym kierunku - to Dante i Kacy wyjeżdżali z Santa Mondega do miejsca, gdzie wreszcie mieli znaleźć razem tak wytęsknione szczęście. Pan Żywych Trupów miał na głowie ważniejsze sprawy niż kontrolowanie pasażerów miejscowych firm taksówkarskich. Musiał błyskawicznie zdobyć Oko Księżyca, jeżeli nie chciał stracić szansy na szybki powrót Jessiki do życia.

A może nawet będzie nadzieja dla jego synów - El Santina, Carlita i Miguela.

Amy Webster odłożyła na biurko mikrofon, przez który właśnie rozmawiała. Jej ręce wciąż jeszcze drżały. Stojący przed nią mężczyzna w kapturze, który celował ze strzelby w jej czoło, dyktował jej, co ma mówić w odpowiedzi na pytania detektywa Somersa. Powtórzyła wszystko słowo w słowo. Ale nie wyglądało na to, żeby był z tego powodu zadowolony. Wciąż sprawiał wrażenie, jakby zamierzał ją zabić, a sądząc z jego reputacji, zapewne tak było. Inna sprawa, że nigdzie w pobliżu nie było bourbona, więc pomyślała, że może jednak jej się upiecze.

- Dobrze się spisałaś - pochwalił ją.

- Dziękuję - odparła Amy drżącym ze strachu głosem. - Ale Archie Somers mnie zabije, jeżeli się dowie, że go okłamałam.

- Na twoim miejscu nie martwiłbym się o niego. Nie zobaczysz już tego sukinsyna.

- Ale... przecież on tu zaraz będzie, prawda?

- Tak... ale ty już go nie zobaczysz.

Amy zamknęła oczy. Może on tylko żartuje. Może po prostu zniknie.

PIF!

A może nie.

Rozdział sześćdziesiąty czwarty

Somers wszedł do recepcji komendy głównej policji. Przechodził tędy już z milion razy, a jednak nigdy nie widział tu czegoś podobnego. Na stołach i podłodze walały się zakrwawione zwłoki funkcjonariuszy i sekretarek. Wyglądało na to, że zastrzelono także kilku przestępców, nadal zakutych w kajdanki. Totalna masakra! Tylko w holu leżało co najmniej czterdzieści ciał. Somers zauważył zalane krwią zwłoki Amy Webster, która wciąż siedziała przy swoim biurku, tyle że brakowało jej ponad pół głowy. Poznał też, czyje to dzieło. To była robota jednego człowieka. Pytanie tylko, gdzie teraz jest ten człowiek?

Na parterze, po przeciwnej stronie od wejścia, znajdowały się obok siebie trzy windy. Somers zauważył, że nad środkową mruga czerwone światelko - strzałka wskazująca w dół, a zatem ktoś zjeżdżał na parter. Z kabury pod szarą marynarką wyciągnął pistolet, przeszedł nad zwłokami jakiegoś cywila i zajął pozycję prawie dziesięć metrów od wind. Był gotowy na rozprawę z tym kimś albo czymś, co wysiadzie z kabiny.

PING! Winda zatrzymała się na parterze i drzwi rozsunęły się powoli. A tam, na środku kabiny, stała zakapturzona postać Bourbon Kida. Ręce miał zwieszony po bokach. Wyglądało na to, że nie ma przy sobie broni, ale pozory mylą. Somers wiedział o tym najlepiej.

- A dokąd to się wybieramy? - zapytał. Nie doczekawszy się odpowiedzi, powoli zrobił krok w kierunku windy, lecz wciąż jeszcze dzieliła go od niej spora odległość. Ten jeden krok wystarczył, żeby wydobyć odpowiedź jedyne w swoim rodzaju, chrapliwego głosu spod kaptura.

- Rozglądam się za jakimś miłszym miejscem, gdzie można by umrzeć - oznajmił Kid.

- To miejsce jest równie dobre jak każde inne - warknął Somers. - Nie dasz rady zabić mnie swoimi srebrnymi kulami. Możesz je sobie moczyć w wodzie święconej i nacierać czosnkiem, mnie tam za jedno. Możesz mnie przebić krucyfiksem, to nie ma znaczenia. Jestem odporny na te wszystkie rzeczy, o których czytałeś albo słyszałeś. Lustra, kołki, krzyże, światło słoneczne, bieżąca woda... nic z tego nie wyrządzi mi krzywdy. Zadrzyj ze mną, a zwycięzca będzie tylko jeden. W moich żyłach płynie krew Chrystusa i krew wampira. Nikt nie jest w stanie mnie zabić, nawet ty.

- Wiem o tym.

- Czyżby? Naprawdę o tym wiesz? Bo ja jakoś wątpię. Przybyłeś tu, żeby odstawić wielkiego bohatera. Chcesz mi pokazać, że nie boisz się stanąć ze mną twarzą w twarz. Nie

zabiłeś Jessiki i moich synów ot tak sobie, bez żadnego powodu, i pewne jak cholera, że nie kazałeś Amy Webster powiedzieć mi, że ma Oko Księżycy, bo chciałeś się tu ze mną spotkać na kawę i domowe ciasteczka.

Na chwilę przestał mówić, czując w sobie moc i dreszcz rozkoszy wynikający z faktu, że w jego żyłach krążyła świeża krew Jensena. Po chwili podjął ociekającym jadem głosem:

- Nie, tobie się zdaje, że możesz stawić mi czoło i mnie zabić. A zatem wiedz o tym, że jestem niezwycięzony. Powal mnie, a podniosę się natychmiast. Pokaż, co potrafisz, ale zapewniam cię, że kiedy już skończysz, rozerwę cię na strzępy. Lepiej zabij się sam, zanim ja się do ciebie dobiore. Przyłóż tę fuzję do głowy i odstrzel sobie ten pieprzony mózg. Tylko zrób to, jak należy... kurde, jeśli chcesz, walnij najpierw lufę bourbona, no i załatw to oficjalnie, żebyś trafił na czołówki gazet. Przecież uwielbiasz to robić, tak czy nie? TAK CZY NIE?

Somers czekał na odpowiedź. Tymczasem Kid wysiadł z windy i ruszył ku niemu. Zatrzymał się dopiero wtedy, gdy dzieliło ich nie więcej niż kilkanaście kroków.

- Mówiłem ci, przyszedłem tu, żeby umrzeć - powiedział.

- Świetnie, wobec tego daję ci trzy sekundy na wyciągnięcie jednego z twoich ukrytych pistoletów. Zastrzel się sam, bo inaczej ja cię zabiję, tylko że wtedy umrzesz śmiercią tak straszną, jaką żaden człowiek nigdy jeszcze nie umarł.

- Dobrze. Chcę, żebyś to zrobił. Chcę się przekonać, czy masz jaja, żeby mnie zabić. Udowodnij, że się mnie nie boisz, tak jak ten mięczak El Santino. Albo te dwa pedały, jego bracia. Czy, skoro już o tym mowa, ten szpetny jak noc kurwiszon, którego nazywasz swoją żoną.

Oczy Somersa zrobiły się czerwone z wściekłości.

- Znakomicie. To załatwia sprawę - parsknął. - Skoro chcesz zdychać w męczarniach, już ja się o to postaram.

- Świetnie. Zasłużyłem sobie na to.

Pan Ciemności nie potrzebował dalszej zachęty. Odrzucił głowę do tyłu i zaczęła się jego transformacja do postaci żywego trupa. Z paznokci wyrosły mu długie szpony, zęby zamieniły się w wielkie kły, a twarz wychudła, ukazując żyły pod skórą. Żyły, które nie wypełniły się jeszcze dziennym zapotrzebowaniem na świeżą krew.

- Masz rację. Śmierć jest to, na co zasługujesz, ale ja cię nie zabiję. Uczynię cię jednym z nas. Do końca świata będziesz żył jako żywy trup, członek rasy, którą tak pogardzasz.

Rozległ się metaliczny szczęk, gdy Bourbon Kid wyrzucił ukryte w płaszczu dwie strzelby. Spadły na podłogę i potoczyły się z dala od niego. Z rękawów wysunęły się jego dwa

skorpiony. Zbliżył się ku rozrośniętej, wyglądającej jak z sennego koszmaru postaci przed sobą i ściągnął kaptur, odsłaniając obryzganą twarz, niewątpliwie krwią tych licznych ofiar, które wymordował tego dnia.

- Pokaż, co potrafisz - powiedział.

Somers odrzucił głowę do tyłu i wydał przeraźliwy ryk, któremu towarzyszył fetor rodem z grobowca, wydobywający się z jego wnętrza. Od dawna czekał na tę chwilę. Na okazję pozbycia się groźby, jaką stanowił dla niego Bourbon Kid. Z wyciągniętymi przed siebie szponami pofrunął do przodu, unosząc się tuż nad podłogą. Jego przeciwnik ze stoickim spokojem stał w miejscu. Wciąż lecąc nad ziemią, Somers chwycił oburącz głowę swojej ofiary i głęboko wbił kły w lewą stronę jego szyi. W odpowiedzi Bourbon Kid objął tułów Somersa ramionami i ścisnął mocno, jak gdyby witał dawno utraconego brata, który powrócił do żywych.

Somers odessał się od szyi Kida i spojrzał mu prosto w oczy. W małej szczelinie między ich twarzami uniósł się obłoczek dymu. Somers spojrzał w dół. Miał wrażenie, że pali go w piersiach. Coś roznieciło płomień pomiędzy nim a Kidem. Próbował odepchnąć się od niego, lecz siła uścisku Kida była tak wielka, że po raz pierwszy w życiu okazał się bezradny. Uczucie palenia narastało, ból stawał się nie do zniesienia. Zawył w udęce.

- Arghh! Puszczaj, zasrany pojechańcu!

Ku jego zdziwieniu, Bourbon Kid go posłuchał. Rozluźnił uścisk i puścił detektywa, który jednak przekonał się, że i tak nie może się od niego oderwać. Mimo że Kid już go nie trzymał, byli szczeni ze sobą, jak gdyby połączono ich jakimś superklejem. Korzystając z tego, że ma wolne ręce, Kid nieco bardziej rozchylił poły płaszcza.

Somers natychmiast zdał sobie sprawę z powagi swego położenia. Bourbon Kid miał przywiązaną na piersi, lecz dotychczas starannie ukrytą pod płaszczem *Księgę bez tytułu*. Teraz księga przylegała ściśle do piersi detektywa, przez co jego skóra pokrywała się bąblami, łuszczyła, a następnie paliła, obracając się w popiół i dym.

- Nie można cię zabić krzyżami, co? - odezwał się Bourbon Kid, uśmiechając się. - Chyba tak mówiłeś, czy mi się tylko zdawało?

Somers nie wierzył własnym oczom. Jego ciało spowite było teraz płomieniami, a chociaż otaczały także Kida, on wydawał się na nie uodporniony.

- Aargh! Ty draniu! Skurwysynu ostatni! - wrzasnął Somers. Zatoczył się do tyłu, ale księga oderwała się od Kida i poleciała wraz z nim, jakby wtapiała mu się w pierś.

- *Księga bez tytułu* - wyjaśnił Kid. - Okładka i strony zostały wykonane z krzyża, na którym ukrzyżowano Chrystusa. No więc powiedz mi jeszcze raz, jesteś pewien, że nie da się

ciebie zabić za pomocą krzyża?

Mina Somersa była mieszaniną furii, bólu i przerażenia. Oto stał tutaj, w obliczu jedynej rzeczy na ziemi, która mogła go zabić. To była ta tajemnica, której strzegł za wszelką cenę. Zabił wszystkich, którzy czytali tę księgę, ale jej samej nie mógł zniszczyć, ponieważ dotknięcie jej byłoby dla niego równoznaczne ze śmiercią. Jednakże wampiry nie poddają się bez walki i Somers nie zamierzał stawać przed obliczem Szatana samemu, jeżeli tylko mógł coś z tym zrobić.

- Pójdiesz ze mną, ty w dupę jebany! Zabiorę cię wprost do piekła!

- Być może.

Bourbon Kid odsunął się z dala od płomieni, które spowijały już całe ciało Somersa, pozerając je. Przez dziesięć sekund, a może i dłużej, stał i obserwował, jak ten stwór przed nim zmienia się z Pana Ciemności i najpotężniejszej istoty na ziemi w dym i kupkę popiołu, nic więcej. I odchodząc, wyje jak potępiona dusza.

W końcu zniknął. Płomienie zmniejszyły się, aż wreszcie zgasły, dym się rozwiął i nie zostało nic.

A może nie?

Przez dłuższą chwilę Kid stał i omiatał wzrokiem jatkę dookoła. Podłoga była usłana zwłokami. I wszystko to jego robota. Ale grunt, że detektyw Archibald Somers odszedł z tego świata. Na zawsze. Jedyным dziedzictwem, jakie pozostawił po sobie Pan Ciemności, było irytujące zadrapanie na szyi jego zabójcy. Kid uniósł lewą rękę, sprawdzając, jak głęboka jest rana. Przesunął palcami po niewielkim draśnięciu, jakie mu zadał Somers. Nie wyglądało to najgorzej.

Spojrzał na czubki palców. Hmm, krew, pomyślał. To może być problem.

Rozdział sześćdziesiąty piąty

Peto nareszcie mógł oddychać swobodnie. Gdy jego noga stanęła z powrotem na ukochanej ziemi wyspy Hubal, poczuł się, jakby go zaproszono go do samego nieba. Tydzień spędzony poza domem był najdłuższym tygodniem w jego życiu. Było to także niezwykle pouczające doświadczenie, chociaż gorąco pragnął, żeby już nigdy nie musiał przechodzić przez coś takiego. Stracił najlepszego przyjaciela Kyle'a, dawał się okłamywać wszystkim, których spotkał, pozwolił sobie ukraść walizkę pełną pieniędzy, zabił jednego człowieka, a drugiego zranił, no i na własne oczy zobaczył, jak dwaj byli mnisi zamienili się w wampiry. Oprócz tego widział i robił wiele innych rzeczy i przepelniała go niewymowna radość z powodu tego, że udało mu się przeżyć i triumfalnie powrócić do domu.

Pod jego nieobecność wyspę przywrócono do dawnej świetności i uroku, jak gdyby do niedawnej masakry w ogóle nie doszło. Ale blizny psychiczne po śmiertelnym pobycie Jefe na Hubalu miały się goić o wiele dłużej. Peto w pierwszej kolejności zameldował się u ojca Taosa. Jego rany się zagoiły, przynajmniej te fizyczne. Jeśli chodzi o innych mnichów, którzy przeżyli, prawdopodobnie nadal cierpieli na duszy, lecz Taos dobrze się z tym ukrywał.

Naczelnny mnich nie posiadał się z radości na widok Peta, który wszedł do świątyni, trzymając wysoko podniesione Oko Księżyca. Siedział tam, gdzie Peto widział go po raz ostatni, czyli na ołtarzu, tyle że teraz wydawał się zdrow i cały. Wstał i ruszył szybko główną nawą między rzędami ław, rozkładając ręce, żeby uściskać powracającego bohatera. Peto, który z utęsknieniem oczekiwał tego uścisku, podbiegł i przytulił się do Taosa, może nieco za mocno, zważywszy, na to że przecież niedawno staruszek został postrzelony w brzuch.

- Peto, tak się cieszę, że żyjesz! Jakże miło cię widzieć. A gdzie jest Kyle?

- Jemu się nie udało, ojciec.

- Cóż za straszliwa szkoda! Był jednym z najlepszych.

- Tak, ojciec, z pewnością. Był najlepszy z nas wszystkich.

Dwaj mężczyźni opuścili ręce i cofnęli się o krok. Ściskanie się w trakcie rozmowy o śmierci serdecznego przyjaciela wydawało się niestosowne.

- A co z tobą? Nic ci się nie stało, mój synu?

- Nie, ojciec, nic. - A później już słowa popłynęły potokiem. - Kyle i ja przeżyliśmy niesamowite przygody. Ja zostałem sławnym mistrzem walki, dopóki nie pokonał mnie

niejaki Rodeo Rex. Potem spotkaliśmy dwóch naszych byłych braci, którzy stali się wampirami. Później Kyle'a zabił seryjny morderca zwany Bourbon Kidem, a ja uciekłem z Okiem Księżycy i wróciłem z nim na wyspę.

- Wszystko to brzmi imponująco, mój synu. Odpocznij teraz, resztę opowiesz mi podczas wieczery.

- Tak, ojcze. - Peto wyciągnął Oko Księżycy; Taos skwapliwie uwolnił go od klejnotu, wsunął kamień do małej kieszonki z przodu brązowego habitu, po czym odwrócił się i ruszył do ołtarza.

- Jednego tylko muszę się dowiedzieć, Peto - powiedział, odchodząc. - Co stało się z Bourbon Kidem?

- Nie wiem, ojcze. Uciekając, zostawiłem go. Zabijał wtedy kogo popadło, dysponując olbrzymim arsenałem broni.

- Rozumiem.

- A dlaczego pytasz, ojcze? Czyżbyś słyszał coś wcześniej o tym człowieku? Brat Hezekiah sugerował, że mogliście się znać.

- Brat Hezekiah?

- Tak, ojcze.

Taos odwrócił się do Peta. Jego twarz nie wyrażała już ulgi z powrotu młodego przyjaciela. Przeciwnie, był głęboko przejęty, wręcz zatroskany.

- Ależ brat Hezekiah nie żyje - powiedział cicho.

- Nie, ojcze... to znaczy tak, teraz już nie żyje, ale był jednym z tych mnichów, których spotkaliśmy z Kyle'em, a którzy zamienili się w wampiry. Myślę, że uraczył nas wieloma kłamstwami, zanim... zanim umarł.

- Peto, drogi przyjacielu, z wiekiem się dowiesz, że nie wszystko jest białe lub czarne, prawdą albo kłamstwem. To, co opowiadał wam brat Hezekiah, niekoniecznie musiało być kłamstwem. Kiedy mnich opuszcza wyspę Hubal i udaje się do miasta tak pełnego zła jak Santa Mondega, zachowanie czystości jest dla niego w zasadzie niemożliwe. Tyle już chyba sam wiesz. Dotyczy to brata Hezekiaha i jestem pewien, że także ciebie i biednego Kyle'a, a już, do jasnej cholery, z całą pewnością dotyczy mnie.

Peto osłupiał. Pomijając wszystko, nigdy w życiu nie słyszał przekleństwa w ustach starego mnicha. Wydukał więc pytanie, które chodziło mu po głowie, odkąd tylko Hezekiah zasiał ziarno wątpliwości w umyśle jego i Kyle'a:

- Ojcze, ale ty z pewnością nie złamałeś świętych praw Hubala, kiedy pojechałeś do tego wstrętnego miasta?

Taos oddalił się nieco i przysiadł na schodach prowadzących do ołtarza. Znowu sprawiał wrażenie zmęczonego, mniej więcej tak jak przed tygodniem. Młody mnich zbliżył się do niego.

- Niestety, Peto, obawiam się, że je zламаłem. Spłodziłem dziecko... syna, w którego żyłach płynie ta sama krew, co w moich.

Wyznanie ojca Taosa niemal zbiło Peta z nóg.

- Ojczye Taosie, jak mogłeś? To znaczy, jak mogłeś ukrywać to w tajemnicy przez tyle lat? I co się stało z twoim synem? A kim była matka?

Ishmael Taos od dawien dawna czekał na okazję, by wyznać swoje grzechy, ale w najśmielszych snach nie wyobrażał sobie, że jego spowiednikiem będzie nie kto inny jak Peto.

- Jego matka była kurwą. To znaczy, prostytutką.

- Kurwą?! - Powiedzieć, że Peto był wstrząśnięty, byłoby grubym niedopowiedzeniem; to mniej więcej tak, jakby rzec, że Bourbon Kid może i zabił parę osób. Teraz wyszedł z niego cały bywalec Santa Mondega. - Co to, kurwa, znaczy? Czy ona jeszcze żyje? I... chromość, momencik... chcesz powiedzieć, że mogłem tam zerznąć jakąś kurew i mimo to wrócić?

- Nie, Peto, ty nie mógłbyś wrócić.

- To o co tu biega? Kochałeś się w niej?

Taos pokręcił głową.

- To całkiem inna historia, Peto. - Jeżeli nawet nie pochwalał słownictwa nowicjusza, to nie dał tego po sobie poznać. - W skrócie wygląda to tak, że wiele lat po naszym rozstaniu została ugryziona przez wampira.

Słyszając to, młody mnich natychmiast okazał skruchę.

- Coś takiego! Tak mi przykro, ojczye - powiedział łagodniejszym tonem. - Przypuszczam, że to nie moja sprawa. - Na sekundę zwiesił głowę, lecz poderwał ją nagle. - Czyli że jak, została jedną z nich?

Taos znowu pokręcił głową i odetchnął głęboko. To było znacznie trudniejsze, niż się spodziewał.

- Niestety, nie. Oczywiście nikomu nie życzyłbym takiego losu. Ale jej syn... a także mój syn... był świadkiem tego zdarzenia i wpadł w szal. Poza matką nie miał na świecie nikogo, bo ja opuściłem go, kiedy był jeszcze dzieckiem. Zaślepiiony furją, zabił tego wampira, a potem, na jej wyraźne życzenie, zabił własną matkę, żeby uchronić ją przed życiem pośród żywych trupów.

Peto, oszołomiony, zakrył ręką usta.

- Ależ to potworne, ojczye. Dziecko nie powinno być zmuszone do czegoś takiego.

- Nie był już takim znowu dzieckiem, Peto. Miał wtedy szesnaście lat.

- Z całym szacunkiem, ojcze, a w jaki sposób szesnastolatek zabija własną matkę?

Taos odetchnął głęboko, by wyjawić jękającemu się z przejęcia nowicjuszowi ostateczną, straszliwą prawdę.

- Z początku nie potrafił tego zrobić, dlatego wypił butelkę bourbona. Calutką. A potem przestrzelił matce serce na wylot.

- Bourbona? - wydukał Peto; w jednej chwili uświadomił sobie, kim jest syn Taosa.

- Tak, mój synu. Jak można się spodziewać, doznał przez to głębokiego psychicznego wstrząsu. Ale domyślam się, że o tym już wiesz.

- Mój Boże! To wszystko ma sens. Ale wciąż... wciąż trudno mi w to uwierzyć... Czy utrzymujesz z synem jakiś kontakt?

Taos był coraz bardziej zmęczony. Już samo opowiadanie o tym epizodzie jego życia i wynikających stąd konsekwencjach było wyczerpujące.

- To był długi dzień, Peto. Wrócimy do tej rozmowy jutro. Musisz wypocząć, a wtedy obaj będziemy mogli wyznać swoje grzechy. Nie dołączę do ciebie podczas wieczery, spotkamy się jutro rano.

- Dobrze, ojcze. - Peto skłonił głowę na znak, że nadal darzy Taosa najwyższym szacunkiem, po czym wycofał się ze świątyni do swojej kwatery. Taos wziął Oko Księżyca i odłożył je na jego prawowite miejsce. Nieco uspokojony faktem, że na świecie znów zapanował ład i porządek, wrócił do swojej prywatnej komnaty i położył się do łóżka. Jak na niego była to wczesna pora, wiedział jednak, że musi wypocząć.

Ojciec Taos spał głęboko i spokojnie przez trzy, cztery godziny, aż nagle coś wyrwało go ze snu. Nie był to dźwięk ani dotyk. Obudził się z błokiego snu tknięty przeczuciem, że coś jest nie w porządku.

W sypialni panowały egipskie ciemności, sięgnął więc do stolika nocnego, na którym trzymał świecę w małym dzbanku, na wypadek gdyby musiał wstać po nocy. Obok świecy leżała taca z zapalkami oraz cegła. Pogmerał w zapalkach, jednocześnie siadając na swojej twardej mnisiej pryczy. Kiedy ujął wreszcie jedną zapalkę i upewnił się, że trzyma ją właściwym końcem w górę, potarł nią o cegłę. Zapalka zapaliła się z niemiłym świstem. Zamrugał kilka razy, żeby jego oczy przywykły do blasku płomienia, po czym przytknął zapalkę do knota świecy i patrzył z zadowoleniem, jak świeca się zapala. Zgasił zapalkę dmuchnięciem, położył ją na wierzchu cegły, następnie ujął dzbanek ze świecą i uniósł go

przed siebie.

- Aaaa! - Jego serce zamarło na dłuższą chwilę. U stóp łóżka rysowała się sylwetka człowieka w kapturze, który stał nad starym mnichem, jak gdyby obserwował go we śnie.

- Witaj, ojczy.

Taos zakrył usta wolną ręką, żeby zdusić jęk. W końcu zaczął oddychać normalnie, doszedł nieco do siebie i zadał intruzowi pytanie:

- Co ty tu robisz? To moja prywatna komnata. Nie wolno ci tu wchodzić.

Człowiek w kapturze podszedł bliżej; w blasku świecy widać było jego twarz, lecz nie na tyle wyraźnie, żeby go rozpoznać.

- Szukałem najlepszego miejsca, gdzie można umrzeć. Chyba trudno o lepsze niż to, nie sądzisz?

- Nie sądzę, żebyś chciał tu umrzeć, mój synu - próbował mu perswadować Taos. Mówił tak, jakby usiłował przekonać kogoś, żeby nie skakał z dachu wieżowca.

Mężczyzna ściągnął kaptur, odsłaniając bladą twarz, upstrzoną cętkami zakrzepłej krwi.

- A kto powiedział, że to ja mam umrzeć?

KONIEC (choć kto wie...?)